

*Twierdzenie, że ona żyje, zakrawało na szaleństwo.
Wciąż jednak pozostawało pytanie: A co, jeśli tak?
Myśl, że budzisz się w trumnie kilka metrów pod ziemią.*

KATARZYNA PUZYŃSKA



MARTWIEC

Pyśzyński i S-ka

W serii ukazały się:

Motylek

Więcej czerwieni

Trzydziesta pierwsza

Z jednym wyjątkiem

Utopce

Łaskun

Dom czwarty

Czarne narcyzy

Nora

Rodzanice

Pokrzyk

Śreżoga

**KATARZYNA
PUZYŃSKA
MARTWIĘC**

Prószyński i S-ka

Copyright © Katarzyna Puzyńska, 2021

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce
Mariusz Banachowicz

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8234-185-0

Warszawa 2021

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Zło to zło, Stregoborze – rzekł poważnie wiedźmin, wstając. – Mniejsze, większe, średnie, wszystko jedno, proporcje są umowne, a granice zatarte. Nie jestem świątobliwym pustelnikiem, nie samo dobro czyniłem w życiu. Ale jeżeli mam wybierać pomiędzy jednym złem a drugim, to wolę nie wybierać wcale.

Andrzej Sapkowski, Ostatnie życzenie

Dla Darka i Tomka
oraz dla Lusi

PROLOG

Brodnica.

Sobota, 1 września 1984.

Godzina 19.00.

Ciszyciel

Czyżby trzasnęło?

Ciężki oddech Ciszyciela zdawał się głośniejszy niż odgłosy dochodzące z miasta. Czaszka tego typu była rozbita. Tak się przynajmniej wydawało.

A może nie?

Ciszyciel nie wiedział, czy to kości pękły, a może to tylko głęboka rana na skórze.

Przyglądał się strużce krwi. Zdawała się płynąć bardzo, bardzo powoli. Ale być może to czas zwolnił. Tak bywało, kiedy w żyłach buzowała adrenalina. Znał dobrze to uczucie.

Do Ciszyciela dopiero zaczynało dochodzić, jak bardzo jest zmęczony. Dopiero teraz. Kiedy tamten prawie już nie żył.

Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy. Dobrze sobie.

Ciszyciel cofnął się kilka kroków. Krew ofiary spływała po płytach chodnikowych. Ale tylko przez chwilę. Beton zdawał się chciwie ją wchłaniać.

Nagle mężczyzna otworzył oczy. Były fiołkowe. Damskie. Nie pasowały do postawnego chłopca, który leżał na ziemi przed Ciszycielem.

Błagały o litość.

Ciszyciel nie był pewny, czy jest w stanie ją okazać.

Pomyślał o słowie, które poznał niedawno. Teraz zdawało się do nich wszystkich pasować. Martwiec.

Podkreślił wąsy i ruszył do ofiary.

Litość?

Nie. Tego słowa od dawna nie znał.

CZĘŚĆ 1

TERAZ

ROZDZIAŁ 1

Cmentarz w Rarogach.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 9.10.

Weronika Podgórska

W powietrzu czuć było wyraźny zapach wilgoci. Nie tylko po wczorajszym deszczu, nasiąkniętych wodą jesiennych liściach i wietrze dmuchającym od jeziora Robotno. Tak pachnie mokra ziemia. Weronika Podgórska wpatrywała się w kobietę rozkopującą świeżą mogiłę.

– Ona żyje! – krzyczała Alina Konopka. – Nie rozumiecie?! Dominika żyje!

Niczym w amoku kobieta rozrzucała ziemię wokoło. Na jej twarzy malował się wyraz rozpacz. Weronika zadrżała. Ten widok przejmował do szpiku kości. Bardziej niż chłodne jesienne powietrze.

Usłyszała głośnie westchnienie po prawej stronie. Spojrzała kątem oka na byłą teściową. Starsza pani przeżegnała się dwa razy. Potem jeszcze trzeci raz; może na wszelki wypadek. Maria chodziła do kościoła kilka razy w tygodniu, a to, co teraz działo się na starym cmentarzysku w Rarogach, chyba zupełnie nie mieściło jej się w głowie.

Podgórska musiała przyznać, że ona też czuła... Odetchnęła głębiej, żeby się uspokoić. Co właściwie czuła? Trudno było to określić. Było w tym coś z przerażenia, coś z odrazy. Najbardziej chyba jednak głęboki niepokój.

Niepokój zawsze wydawał jej się jeszcze gorszym uczuciem niż paniczny strach. Strach z reguły miał swoje źródło. Niepokój ogarniał człowieka nieoczekiwanie i atakował do głębi. Nie dało się określić, czego konkretnie

dotyczył. I nie dało się zdefiniować źródła takiego lęku. Dlatego nie można było w żaden sposób mu przeciwdziałać.

Choć w tej sytuacji może było inaczej. Weronika znów spojrzała na pogłębiającą się dziurę w ziemi. Omszałe kamienie pobliskich grobów zdawały się pochylać nad nią, jakby miały zapaść się do świeżo rozkopywanej mogiły.

To, co krzyczała zrozpaczona matka pochowanej dziewczyny, wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. Dominika Konopka nie mogła przecież żyć, skoro wczoraj odbył się jej pogrzeb. Żałobnicy stali nad trumną i śpiewali pieśni intonowane przez księdza Rokowskiego. Weronika nie znała wszystkich słów, ale nuciła cicho.

Myśli kłębiły się jej w głowie. Najbardziej paradoksalna i nieodpowiednia była chyba ta, że rodzice zmarłej zdążyli z pochówkiem tuż przed tym, jak premier zarządził zamknięcie cmentarzy na Święto Zmarłych z powodu pandemii. Słowa rychło w czas wydawały się co najmniej mało odpowiednie podczas ceremonii pogrzebowej.

Tak więc twierdzenie, że Dominika żyje, zakrawało na szaleństwo. Z drugiej strony rodziło się pytanie: co, jeśli? Myśl, że budzisz się w trumnie kilka metrów pod ziemią, była wystarczająco przerażająca, żeby Weronika sama miała ochotę się przeżegnać. Jak była teściowa przed chwilą. A potem wskoczyć do grobu i kopać wraz z Aliną Konopką.

– Spoko – mruknęła Klementyna Kopp.

Maria i Klementyna były w podobnym wieku, ale tak bardzo się różniły. O ile była teściowa stanowiła wręcz kwintesencję starszej pani, emerytowana komisarz kryminalna Kopp była ostatnią osobą, którą ktoś mógłby nazwać seniorką. Jej twarz pokrywała wprawdzie sieć zmarszczek, ale ogolona na łyso głowa, tatuaże na niemal całym ciele, skórzany żakiet i czarne bojówki przywodziły raczej na myśl młodą buntowniczkę. Ciężkie wojskowe buty dopełniały całości.

– Spoko? – wyrwało się Weronice.

To słowo w żaden sposób nie pasowało do sytuacji. Klementyna była na tyle specyficzna, że czasem trudno było ją zrozumieć. Nie tylko dlatego, że z reguły wypluwała słowa jak z karabinu maszynowego. Jej tok myślenia też bywał mocno pokrętny.

– Pomóżcie mi! – zawołała matka pochowanej dziewczyny, zanim Kopp zdążyła odpowiedzieć. – Trzeba ratować Dominikę. Ona żyje!!!

Niepotrzebny był ten pośpiech! Ona żyje!

Do rozkopanej mogiły wskoczył Zbigniew Konopka. Mąż Aliny stał do tej pory za jednym z omszałych grobów. Jakby nie chciał w tym uczestniczyć, a jednak nie mógł zostawić żony samej. Na jego ogorzałej twarzy malował się wyraz zaciętości. Zakasał rękawy flanelowej koszuli i bez słowa zaczął rozkopywać ziemię.

– Ja nie wiem, co robić – powtarzał ksiądz Rokowski nerwowo. – Cmentarze zamknięte. My wszyscy tutaj w nekropolii. A jak nas skontrolują?

Trudno było wyobrazić sobie jakąkolwiek kontrolę w Rarogach. Wieś kryła się w gęstym borze porastającym brzegi jeziora Robotno. Można było tu dotrzeć tylko leśną drogą. Szlaku nie utwardzono, asfaltu nie położono. Jeżeli ktoś nie wiedział, że w głębi kniei kryje się siedziba ludzka, chyba tu nie trafił.

Weronika znów się wzdrygnęła. Rarogi to wieś duchów. Chyba usłyszała gdzieś to określenie. W każdym razie tak zaczęła ją nazywać w myślach już od pierwszego dnia, kiedy tu przyjechały. To było w lutym. Niedługo po tym, jak zajęły się sprawą pewnego zaginionego autobusu. Tak właśnie poznały Dominikę i jej rodziców. No i same Rarogi.

Miejscowość składała się z co najmniej dwudziestu domostw. Tylko pięć było teraz zamieszkanym. Wliczając w to plebanię i kościół. Reszta spoglądała na okolicę czarnymi od pustki oknami. Weronice wydawały się niby oczy bez dna. Ilekroć tu przyjeżdżały, zawsze czuła niepokój. Długo nie znikał. Nawet kiedy wyjeżdżały z lasu na szosę, cały czas ją gnębił. Jakby niewidzialni mieszkańcy tego miejsca ciągle towarzyszyli umykającym gościom. Jak gdyby chcieli się upewnić, że ci nigdy już do wsi nie odważą się wrócić.

– Pani Alino – zawołał błagalnie ksiądz. Wyglądał na zupełnie bezsilnego wobec furii kobiety. – Niechże się pani uspokoi... Bardzo proszę.

Matka pochowanej dziewczyny go zignorowała. Nie przestawała kopać. Trochę wyrzuconej szaleńczymi ruchami ziemi trafiło prosto w koloratkę kapłana. Ksiądz starał się ją zetrzeć, ale tylko rozproszził brud po materiale.

– Potrzebna jest jakaś pomoc?

Wszyscy odwrócili się w stronę porzewiałej bramy cmentarza. Stała w nich kobieta, którą Weronika zdążyła już wcześniej poznać. Maria

i Klementyna zdawały się przy niej młodymi dziewczynami. Hanna Lorenz chyba dobiegała setki. Na te lata wyglądała. Jej skóra przypominała pergamin. Miała długie siwe włosy, haczykowaty nos i rzeźbioną laskę. Nadawało jej to wyglądu wiedźmy z jakiegoś horroru. Jakby jej szczególny wygląd był tylko charakterystyczną.

Weronika zawsze widziała ją w otoczeniu młodych chłopaków, którzy chyba byli bywalcami siłowni. Golili się na łyso. A Podgórska podejrzewała, że bardzo chętnie zasłaniali twarze, jeszcze zanim rozpoczęła się pandemia. Pasowali raczej do stadionowej bojówki niż jako świta starej kobiety w zagubionej pośród lasów wsi.

– Nie wiem, co zrobić – przyznał ksiądz. Był chudy i wysoki. Wyglądał, jakby wiatr znad jeziora miał go zaraz przewrócić. To tylko potęgowało wyraz bezradności w jego głosie.

Weronika spojrzała znów w stronę świeżej mogiły. Rodzice pochowanej kobiety pracowali zaskakująco szybko. Widać już było sosnowe wieko trumny. Wyczuwało się ich przerażenie, że córka faktycznie mogła zostać pochowana żywcem.

Podgórska kolejny raz się wzdrygnęła i pomyślała o swej malutkiej córeczce. Po porodzie dopadła Weronikę silna depresja i nie potrafiła znaleźć w sobie chęci, żeby zająć się dzieckiem. Ostatnio czuła się lepiej i coraz częściej potrafiła podołać opiece nad Emilką. Teraz poczuła, że chciałyby ją przytulić i upewnić się, że wszystko z nią w porządku. Że nie leży gdzieś w ciemnej ziemi. W czerni trumny. Weronika z trudem pohamowała irracjonalne myśli. Córeczka została bezpieczna w Lipowie pod czułą opieką obecnego partnera Podgórskiej.

– To straszne, to straszne – szepnęła Maria głucho.

Zniknięcie autobusu, czwórki jego pasażerów i kierowcy było oczywiście przedmiotem oficjalnego policyjnego dochodzenia, ale od lutego robiły, co mogły, żeby rozwikłać tę sprawę na własną rękę. Jak dotąd niewiele osiągnęły, mimo że dwoiły się i troiły.

O tym zdarzeniu opowiedziała teściowej sąsiadka. Rozwiązały akurat zagadkę Śreżogi i postanowiły, że rozwikłają również tę nową. Przeliczyły się. Autobus jakby rozpląnął się w powietrzu. Jedynym punktem zaczepienia okazał się nieoczekiwany powrót jednej z pasażerek. Właśnie tej. Weronika spojrzała na rozkopaną mogiłę. Wieko trumny było już prawie odsłonięte. Dominika Piekarska, z domu Konopka, jak często

powtarzała, chcąc się chyba odciąć od męża, wróciła do Rarogów dwa dni po zniknięciu autobusu.

Wróciła to może nie było dobre słowo, poprawiła się w duchu Weronika. Pojawiła się było chyba znacznie lepsze. Autobus zaginął wieczorem dwudziestego czwartego lutego. Ostatnio widziany był właśnie w okolicach Rarogów. Kierowca był miejscowy. Nazywał się Szczepan Prawda, a jego żona prowadziła malutki sklepik w wiosce duchów. Trasa autobusu nie wiodła oczywiście przez ich miejscowość, ale Prawdzie zdarzało się zjeżdżać z asfaltu, żeby zabrać sąsiadów. Nie musieli wędrować przez las do najbliższego kursowego przystanku.

Tamtego wieczoru też tak było. Do autobusu wsiadła właśnie Dominika Konopka. Drugim pasażerem był Tomasz Lorenz, wnuk starej kobiety stojącej teraz w bramie cmentarza. Zabrał się też Modest Obuch, który razem z bratem żył w najbardziej zniszczonym domu w opustoszałej wsi. Kiedy Weronika zobaczyła budynek po raz pierwszy, zdziwiła się, że nie woleli zająć któregoś z pustych. Może bali się ich mieszkańców?

Tylko ostatnia pasażerka autobusu nie była stąd. Edyta Majchrzak jechała własnym autem, ale zabrakło jej benzyny. Napisała wiadomość do męża, że złapała autobus na stopa i jedzie do domu. Jej porzucony samochód stał na poboczu niedaleko miejsca, gdzie leśna droga z Rarogów docierała do szosy. Najwyraźniej więc tam jeszcze autobus był na trasie. Nikt natomiast nie wiedział, co wydarzyło się potem.

Nawet Dominika Konopka. Jedyna ocalała. Powróciła z samego rana dwudziestego siódmego lutego. Zniknęła więc na dwa pełne dni. Była wychłodzona, odwodniona i głodna. Ubranie miała brudne i częściowo poszarpane. Nie potrafiła powiedzieć, gdzie była ani co się stało.

Co dziwniejsze, pojawiła się zupełnie nie tam, gdzie ktokolwiek mógłby się jej spodziewać. Autobus miał kurs do Nowego Miasta Lubawskiego. Jechał z Brodnicy przez Zbiczno, potem zbaczał w las do Rarogów, wracał, jechał dalej przez Ciche, Tereszewo i mijając Kurzętnik, docierał do celu. Tymczasem Dominika wybiegła na krajową piętnastkę w Tamie Brodzkiej. Czyli dobrych kilkanaście kilometrów dalej na południe. Zupełnie nie po drodze, choć oczywiście z Brodnicy do Nowego Miasta większość osób jeździła właśnie tamtędy.

Biegli stwierdzili, że traumatyczne przeżycie wywołało u Dominiki Konopki amnezję. Istniała szansa, że odzyska pamięć, ale to nie nastąpiło.

Weronika, Klementyna i Maria próbowały ożywić jej wspomnienia. Bezskutecznie. Podgórska była z wykształcenia psychologiem i przed przyjazdem w te strony dość długo prowadziła praktykę w Warszawie. Nigdy nie zetknęła się z takim przypadkiem, ale wiedziała, że to możliwe. Pozostawało oczywiście pytanie, co było aż tak wielką traumą, żeby Dominika wymazała całe zdarzenie z pamięci.

A teraz nie żyła. Albo właśnie żyła, poprawiła się znów w duchu Weronika, jeśli wierzyć jej zrozpaczonej matce.

– Unieszkodliwić ich? – zapytał jeden z osiłeków towarzyszących Hannie Lorenz.

Zakasał rękawy czarnej bluzy z orłem, demonstrując imponujące przedramiona. Stara kobieta pokręciła głową. Na jednym oku miała bielmo. Ale właśnie ono zdawało się przeszywać na wylot. Jakby widziało więcej niż to zdrowe.

– Alino, co robicie? – zapytała Hanna Lorenz.

Głos miała melodyjny i silny. Zupełnie nie pasował do jej wiedźmiego wyglądu. Trochę jakby ktoś zamknął młodą osobę w ciele staruchy.

– Dzwoneczek! – załkała matka pochowanej. – Ona żyje! Moja Dominiczka żyje! Co z dzidziusiem? Musimy otworzyć trumnę!

Dominika Konopka była w zaawansowanej ciąży, kiedy została zamordowana. Weronika poczuła kolejną falę niepokoju. Znów zapragnęła natychmiast pojechać do domu i sprawdzić, co z Emilką, choć jej córeczka była bezpieczna w Lipowie z Mariuszem. Nie leżała w grobie. Nic z tych rzeczy.

– Co, jeżeli ona naprawdę żyje? – wyszeptała Podgórska wbrew sobie.

Zrobiło jej się głupio. Dużo by dała, by cofnąć te słowa, ale było już za późno. Całe szczęście słyszały ją tylko Maria i Klementyna.

– Spoko. Ale! Przestań panikować – syknęła Kopp. – Niemożliwe, żeby Dominika żyła. Same wiecie, co się stało we wtorek. Raczej nie wstała z martwych.

– Wiem – powiedziała Weronika szybko. – Wiem...

Zniknięcie autobusu to nie był koniec przygód Dominiki Konopki. Od lutego wprawdzie życie w Rarogach płynęło spokojnie i w swoim rytmie, ale w miniony wtorek znów wywróciło się do góry nogami.

A to dlatego, że Dominika Konopka została zamordowana.

ROZDZIAŁ 2

Las w okolicach Rarogów.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 9.10.

Aspirant Daniel Podgórski

Aspirant Daniel Podgórski rozejrzał się po polanie. W jej północnym krańcu zauważył sporo prawdziwków i kilka dorodnych kań. Policjant zawsze nosił przy sobie scyzoryk, więc mógł łatwo je wyciąć, żeby nie niszczyć grzybni. Korciło go, żeby to zrobić. Oczami wyobraźni widział już kanie zapiekane z serem albo w panierce. Tylko w co je zebrać. W samochodzie miał kilka foliowych torebek, ale one się nie nadawały. Grzyby mogłyby się zaparzyć.

– Mogę zobaczyć? – zapytała Malwina Górka, odwracając się. Duże kolczyki i bransoletki na nadgarstkach brzęczały w takt każdego jej ruchu.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że pisarka mówi o czaszce, a nie o skarbach puszczy, które rosły na polanie. Właściwie to nie była czaszka. Lepiej powiedzieć, że była to pozostałość głowy. Bo na kościach w niektórych miejscach nadal widać było coś, co policjantowi zdawało się fragmentami skóry i włosów. Większość miękkich tkanek już się co prawda rozłożyła albo rozprawili się z nimi mniejsi i więksi mieszkańcy lasu. Ciągle jednak można było powiedzieć, że mają do czynienia z trupem, a nie ze szkieletem. Przynajmniej według osobistej klasyfikacji Podgórskiego. Mech porastający kości sprawiał wprawdzie wrażenie, jakby od śmierci delikwenta minęło wiele czasu, ale przecież byli w lesie. Tu mech rósł wszędzie i rozprzestrzeniał się błyskawicznie.

Głowa ukryta była w niewielkiej rozpadlinie osłoniętej korzeniami. Obok tkwiła piła mechaniczna, częściowo zagrzebana w ziemi. Chyba ktoś próbował ją zakopać, ale zrezygnował w trakcie. Narzędzie było pordzewiałe. Na pierwszy rzut oka nie dało się orzec, czy dlatego, że znajdowało się na tej polanie na tyle długo, że warunki atmosferyczne zrobiły swoje, czy też było już dość zużyte, kiedy je tu umieszczono. Jedno wydawało się natomiast dość oczywiste. Piła z dużą dozą prawdopodobieństwa mogła posłużyć do odłączenia głowy od ciała.

Na razie wyglądało na to, że reszty zwłok na polanie nie było. Akurat to nie wzbudziło w nikim na komendzie większego zaskoczenia, kiedy niejaka Bożena Prawda zadzwoniła, żeby zawiadomić ich o znalezisku w lesie. Rok wcześniej w Rarogach zginął młody mężczyzna. Nazywał się Leszek Konopka. Bezgłowe ciało znaleziono na leśnej drodze. Sprawa nadal była nierozwiązana. Może teraz śledztwo ruszy z kopyta, skoro według wszelkiego prawdopodobieństwa Daniel patrzył właśnie na głowę młodego Konopki.

– Tylko ostrzegam, że to nic przyjemnego do oglądania – dodał, kiedy Malwina podeszła.

Pisarka sprowadziła się do Lipowa w lutym. Poznali się podczas śledztwa w sprawie Śreżogi. Ich historie były trochę podobne. Może dlatego szybko znaleźli wspólny język. Do tego stopnia, że niektórzy we wsi i na komendzie zaczęli plotkować, że coś ich łączy. Ale to była tylko przyjaźń. Oboje bardzo się w tej kwestii pilnowali.

Daniel był zdziwiony tymi plotkami. Bo spójrzmy prawdzie w oczy: co taka celebrytka mogłaby chcieć od prowincjonalnego gliniarza? I to takiego z nieco zbyt zaokrąglonym brzuchem, a nie wysportowanego patrolowca, których u nich nie brakowało. Nie, Podgórski nie był facetem dla takiej kobiety. Choć musiał przyznać, że trochę mu schlebiało, że ludzie mogli myśleć, że ona zwróciła uwagę na niego. Ale to by było na tyle. Zresztą nie miał ochoty na nowe związki. Nie po tym wszystkim, co przeżył w ostatnich latach. Dobrze mu było samemu i niech tak zostanie. A jutro Święto Zmarłych, więc tym bardziej powinien skupić się na kobiecie, którą kochał. Tej, która już nie żyła.

– Czy to może być chłopak, który zginął w Halloween rok temu? – zastanowiła się Malwina Górka.

Daniel opowiedział jej o Leszku Konopce. Nowy komendant zgodził się, żeby dziś mu towarzyszyła w czynnościach. Imponowało mu chyba, że taka persona chce się przyglądać pracy jego funkcjonariuszy. A może chciał się trochę ogrzać w blasku jej sławy. Ochoczo zaprosił Malwinę na kawę do swojego gabinetu i zapewnił, że jego ludzie są do jej dyspozycji.

Podgórski nie zamierzał więc ukrywać przed nią informacji na temat śmierci Leszka Konopki. Tym bardziej że Górska okazała się mistrzynią wyszukiwania informacji w sieci i potrafiła znajdować najróżniejsze przydatne rzeczy szybciej, niż on zdążył zajrzeć do akt.

O Konopce będzie musiał jeszcze poczytać. Nie znał szczegółów sprawy, bo rok temu prowadził ją ktoś inny. Ale Daniel wiedział, że Malwina współpracowała z Klementyną, jego matką i Weroniką w ich prywatnym śledztwie dotyczącym zaginionego autobusu. Leszek był bratem dziewczyny, która wtedy zniknęła. Malwina była więc i tak zorientowana w temacie.

– Możliwe, że to on – przyznał Podgórski.

Byli na niewielkiej polanie ukrytej wśród gęstego lasu porastającego brzegi jeziora Robotno. Policjant zapewne sam by tu nigdy nie trafił, gdyby kobieta, która ich wezwała, nie czekała na nich przy szosie i nie poprowadziła ich na miejsce. Najpierw leśną drogą, potem mniejszą ścieżką, a potem jeszcze mniejszą. W końcu przedzierał się przez zarośla. Dobrze, że była jesień. Część liści już opadła na leśne runo. Gdyby przyszło im iść tędy latem, dopiero byłoby trudno.

A i tak Daniel całą drogę słyszał za plecami narzekania Ziółkowskiego. Technik był niezadowolony, że musi nieść swój sprzęt w tych warunkach. Trzeba przyznać, że Ziółkowski nigdy nie był zadowolony. Na tym właśnie polegał jego urok. Za to był jednym z najlepszych specjalistów w swojej dziedzinie. Dobrze, że akurat dziś miał dyżur. Podgórski lubił z nim pracować.

– To jest rana od postrzału? – zapytała Malwina, przyklękając przy rozpadlinie. – Ten otwór tam przy skroni.

Farbowane na różowo włosy zaplotła w krótki warkoczyk. W ich niewielkim światku wyglądała niemal równie egzotycznie jak Klementyna z jej tatużami.

– Też zwróciłem na to uwagę – przyznał Podgórski. – Jak pan sądzi?

Do tej pory wszyscy uważali, że powodem śmierci Leszka Konopki była dekapitacja. Dość jasny i klarowny powód zakończenia egzystencji. Teraz okazywało się, że mogli się mylić. Jeżeli oczywiście mieli przed sobą głowę Leszka. W czaszce widać było wyraźny otwór.

– Ja... – zająknął się medyk sądowy.

Daniel go nie znał. Z reguły współpracował z doktorem Koterskim i bardzo to sobie chwalił, bo podobnie jak Ziółek Zbyszek znał się na swojej robocie jak mało kto. Teraz niestety Koterski był nieobecny. Ktoś z jego bliskich poważnie cierpiał z powodu COVID-u. Lekarz sądowy wyjechał więc do rodziny i rzadko odbierał telefony. Podgórski uznał, że nie będzie mu przeszkadzał.

Były sprawy ważne i ważniejsze. Daniel dostrzegł to stosunkowo późno. Służył w policji dwadzieścia lat. I chyba właśnie dokładnie tyle zajęło mu zrozumienie, że świat nie kończy się na mundurze. Lepiej wprawdzie dostrzec to po dwóch dekadach niż wcale, uśmiechnął się w duchu Podgórski. Ale żałował, że tak późno to do niego dotarło.

Coraz więcej spraw w firmie zaczynało go denerwować i męczyć. Coraz częściej miał wrażenie, że to nie jest już formacja, o jakiej marzył, kiedy był młodym, pełnym ideałów chłopakiem. Z wiekiem przybyło mu nie tylko kilogramów, ale też bagażu emocjonalnego.

Ktoś kiedyś powiedział mu, że ci najbardziej zaangażowani wypalają się najszybciej. Może to była prawda. Może za dużo się napatrzył. Nie tylko na trupy... Bardziej na kliki i koterie, które wyrastały tu i ówdzie i skutecznie zniechęcały do podejmowania jakichkolwiek inicjatyw.

A po sprawie Śreżogi zrobiło się u nich jeszcze gorzej. Ludzie polecili ze stołków, a na czele ich jednostki stanął człowiek z Bydgoszczy. Nowy komendant, młodszy inspektor Michał Więckowski, uosabiał wszystko to, co Podgórskiemu się nie podobało w firmie. A co gorsza, był znajomkiem osoby, która bardzo Danielowi załazła za skórę. Ale to już była zupełnie inna historia.

– Ja... No bo to trzeba wysłać do biegłego antropologa – dodał medyk. – Ja sam to nie wiem... znaczy nie mogę z całą pewnością stwierdzić, czy to był postrzał.

Doktor nazywał się chyba Bratkowski. W przeciwieństwie do Koterskiego, który uśmiechał się zawsze, młody mężczyzna przybrał marsową minę, jak tylko wysiadł z samochodu. Jeszcze zanim okazało się,

że czeka ich przeprawa przez krzaki. Co chwilę z wyraźną nerwowością poprawiał okrągłe okulary. Szczerze powiedziawszy, wyglądał Danielowi na kogoś, kto dopiero co skończył studia. Wiedzę chyba miał również na tym poziomie. Podgórski westchnął. Nie będzie łatwo.

– Pani, która nas tu skierowała, mówi, że to rana postrzałowa – odezwała się aspirant sztabowy Laura Fijałkowska.

Była naczelnikiem wydziału kryminalnego.

Mimo afer, które przetoczyły się przez komendę, Fijałkowska nie tylko nie wyleciała, ale dostała swój wymarzony kierowniczy stołek. Wyglądało więc na to, że zawsze spada na cztery łapy. Jeździła co jakiś czas na zdarzenia, ale chyba tylko po to, żeby się pokazać. Wszyscy wiedzieli, jak nienawidziła oglądania trupów. Już samo słowo sprawiało, że kulila się w sobie. Pewnie by się tu dziś nie zjawiała, gdyby nie to, że po śmierci kolegi, który prowadził śledztwo w sprawie Leszka Konopki, to ona przejęła dochodzenie. Chyba jeszcze nikomu go nie przekazała. Nie było więc sposobu, żeby mogła się wykręcić. Stała do tej pory z boku i deptała piękne grzyby, zupełnie nie zwracając na nie uwagi.

– To, że pani Bożena Prawda twierdzi, że to rana postrzałowa, niekoniecznie oznacza, że ta dziura faktycznie nią jest – włączył się do rozmowy szef techników. – To może być cokolwiek. Również powstałego potem.

Ziółkowski mówił tonem osoby, która wygłasza oczywistą oczywistość i ma tego absolutną świadomość.

– Jasne, wiem – odparła z godnością Fijałkowska. – Ale sami przyznajcie, że to wygląda na postrzał.

Daniel uśmiechnął się pod nosem. Mówiła to z taką pewnością, a szczerze wątpił, żeby szefowa kiedykolwiek widziała ranę postrzałową. Przynajmniej na żywo.

Czaszkę odkryła sklepikarka z pobliskich Rarogów, kiedy wyszła rano na grzyby. O ranie postrzałowej faktycznie gadała. I to jak najęta. Kiedy prowadziła ich tu wąskimi ścieżkami, usta praktycznie jej się nie zamykały. Do tego stopnia, że Podgórski zaczął podejrzewać, że zależy jej bardzo na tym, żeby uwierzyli, że to postrzał. Oczywiście mogło tak być. Miała też powód, żeby im to wmawiać.

ROZDZIAŁ 3

Cmentarz w Rarogach.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 9.30.

Klementyna Kopp

O jaki dzwoneczek chodzi, co? – zapytała Klementyna Kopp.

To, co się tu działo, było co najmniej nieoczekiwane. Wróciły dziś do Rarogów, bo okazało się, że Dominika Konopka zadzwoniła do Marii Podgórskiej, i to dzień przed swoją śmiercią. Matka Daniela nie miała w zwyczaju regularnie odsłuchiwać poczty głosowej, więc o wiadomości dowiedziały się dopiero dziś rano. Nagrana została w poniedziałek wieczorem. We wtorek Dominikę zamordowano. No a dziś rozkopywano jej grób.

Cmentarz znajdował się niemal przy samym brzegu jeziora Robotno. Kopp się zastanawiała, kto wydał na to zezwolenie. Zmarli zdawali się wypęłzać z wody. Może kiedyś nekropolia leżała dalej, ale się rozrastała. Wydawała się monstrualnie duża, jak na taką małą miejscowość. Jakby opuszczone domy były pozostałością po znacznie większej miejscowości.

Podczas wizyt w Rarogach Kopp słyszała historię wsi kilkakrotnie. Dawni mieszkańcy Rarogów zostali wymordowani za karę przez hitlerowców. Pod sam koniec wojny, kiedy zbliżali się tu Rosjanie, jeden z esesmanów był ranny, więc towarzysze zostawili go pod opieką miejscowych. Podobno jeden z nich wydał rannego oficera czerwonarmistom. Nikt nie wiedział kto. Mieszkańcy byli przerażeni, jakie będą tego konsekwencje.

Minęło kilka dni i pomyśleli z nadzieją, że hitlerowcy nie wrócą już po swojego. Mylili się. Niemcy nie tylko wrócili. Ale! Zemścili się za swojego

towarzysza, mordując niemal całą wieś. Najwidoczniej był dla nich ważny. Albo chcieli pozacierać wszelkie ślady. Podczas wojny wiele się na tych terenach działo. Zostawili za sobą wieś duchów, którą dopiero później częściowo zasiedlono.

– Dominika została pochowana żywcem! – zawodziła Alina Konopka, rozsypując ostatnie grudy ziemi. – Musimy jej pomóc!

Klementyna widziała, jak Maria robi znak krzyża, a Weronika nerwowo poprawia rude włosy. Obie zdawały się niezwykle poruszone. Klementyna widziała w swoim życiu niejedno. Zarówno zawodowym, jak i prywatnym. Kobiety zamurwane w ścianach. Kobiety z młotkami wepchniętymi w gardło. Kobiety z pociętymi twarzami. Niezliczone rzesze trupów w różnym stanie rozkładu. Kolejny nie robił na niej szczególnego wrażenia.

Człowiek chyba po prostu tego do siebie nie dopuszcza. Kopp pamiętała, jak oglądała sekcję zwłok i jak potem doktor ekscytacyjnie wycinał kanapki ze smakiem i nawet ją częstował. Był zupełnie niewzruszony tym, że kroił przed chwilą ciało. Klementyna popijała colę, a technik beztrudnie chował sprzęt. Prokuratorzy bywali różni, ale ci, którzy często uczestniczyli w oględzinach zwłok, też niezbyt się tym przejmowali. Taka robota.

Kopp nie lubiła teatralności i przesady. Matka zamordowanej dziewczyny miała prawo nie panować nad emocjami. Ale! Alina Konopka szalała aż za bardzo. Klementyna z trudem się powstrzymywała, żeby nie wyciągnąć jej z tej dziury siłą. Z doświadczenia jednak wiedziała, że czasem warto poczekać na rozwój wypadków. A te w Rarogach najwyraźniej znów zaczynały nabierać rozpędu.

– Błagam, ludzie, pomóżcie. Mój wnuk...

Głos Zbigniewa Konopki był dla odmiany całkiem spokojny. Ale! Przez to może bardziej przejmujący. Załamał się dopiero przy ostatnim słowie. Wnuk. Kopp sama była babcią. Wprawdzie tylko przyszywaną. Ale! Kochała wnuczka, jakby był jej własny. Nigdy nie przypuszczała, że znajdzie w sobie tyle uczuć. Rozumiała ból ojca Dominiki. Dziecko jeszcze się nie urodziło. Zginęło razem z ciężarną matką. Ale! Może to było jeszcze gorsze.

Ruda chciała chyba ruszyć w stronę grobu. Kopp przytrzymała ją delikatnie. Czowała, że Weronika drży.

– Byłyśmy wczoraj na pogrzebie – mruknęła Kopp, żeby ją uspokoić. – Chyba nie słyszałaś, żeby Dominika waliła w wieko trumny. Ona nie żyje.

Ktoś ją we wtorek udusił. Pamiętasz chyba, co?

No tak, nie dało się o tym zapomnieć. Dwudziestego siódmego października Dominika Konopka została uduszona. Dzień po tym, jak zostawiła wiadomość na poczcie głosowej Marii. Nagranie dotyczyło zniknięcia autobusu. Widać dziewczyna zaczynała odzyskiwać pamięć.

Albo zdecydowała się mówić, poprawiła się w duchu Kopp. Nie mogli przecież wykluczyć, że Dominika symulowała amnezję. Lata roboty w firmie nauczyły Klementynę jednego: wszyscy kłamali. Wszyscy. Czasem z błahych powodów. Czasem z ważniejszych. Czasem niewinnie, a czasem po to, żeby ukryć najgorsze. Kopp miała jedną radę. Nie ufać nikomu. Absolutnie nikomu.

Kopp złamała tę zasadę kilkakrotnie i zawsze tego żałowała. Mimo to była tu. Uśmiechnęła się krzywo pod nosem. I to razem z bandą szalonych bab, jak kiedyś zostały nazwane. Brakowało dziś z nimi tylko pisareczki. Ale! Malwina podobno pracowała. Jej strata.

– Wiem – szepnęła Weronika jak chwilę wcześniej. – Wiem...

Ciało Dominiki Konopki zostało znalezione niedaleko miejsca, gdzie niemal dokładnie rok temu leżał trup jej brata. Bardzo dużo wydarzeń, jak na małeńkie Rarogi, przebiegło Klementynie przez myśl. Okolica była zresztą posępna i wjeżdżając tu, od razu miało się wrażenie, że coś złego się dokoła czai.

Klementyna porządkowała w myśli fakty.

Najpierw w październiku zeszłego roku zamordowano Leszka Konopkę. Chłopaka znalezione na leśnej drodze. Bez głowy. Potem w lutym zaginął autobus, którym jechała jego siostra. Dominika wróciła po kilku dniach. Ale! Z amnezją. Po reszcie pasażerów autobusu ślad zaginął. Dlatego właśnie zaangażowały się w sprawę.

A teraz kilka miesięcy spokoju i proszę. Dominika nie żyje. Ciało znalezione niemal dokładnie tam, gdzie rok temu jej brata. Głowę miała co prawda na miejscu. Ale! Była jak najbardziej martwa. Wbrew temu, co twierdzili teraz jej rodzice.

– Pomóżcie im – rozkazała Hanna Lorenz. – Miejmy to już za sobą.

Na słowa staruchy do mogiły wskoczyło dwóch łysych. Świta neonazistów zawsze kręciła się wokół tej Lorenz, jakby była królową ula. Kopp jej nie ufała. Tu nawet nie było mowy o złamaniu *zasady-nieufności*. Zwłaszcza że wnuk Hanny również zaginął razem z autobusem. Z tego

powodu kilka razy rozmawiały na ten temat. Było w tej kobiecie coś, co Kopp nazywała złem.

W swojej pracy poznała wielu ludzi, którzy dopuścili się najokropniejszych czynów. Ale! Nie wszyscy byli źli. Niektórzy popełnili błędy albo działali w afekcie. Tych, którzy byli naprawdę źli, było w sumie niewielu. Ich nigdy nie należało lekceważyć. Byli zdolni do wszystkiego. I choć Hanna Lorenz wspierała się chwiejnie na rzeźbionej lasce, Kopp była pewna, że ma w sobie wystarczająco dużo siły, żeby przeprowadzić każdy plan, jaki wpadnie jej do głowy.

– O jakim dzwoneczku ona mówi? – dopytywała się Maria, ponawiając pytanie Klementyny.

W wilgotnym powietrzu pojawiła się nagle woń marmolady. Matka Podgórskiego wyciągnęła z kieszeni jesiennego płaszcza papier i zaczęła go odwijać. Pewnie kolejny z jej wypieków. Kopp już chciała to skomentować, kiedy bardziej wyczuła niż usłyszała poruszenie za plecami. To też było zboczenie zawodowe po latach robienia w firmie. Każdy policjant miał oczy dookoła głowy i nie mógł się tego wyzbyć. Nawet jak był już cywilem.

Cywil. Jakże Kopp nienawidziła tego słowa. Na emeryturę trafiła nagle po pewnym incydencie z bronią. Groziła szefowi techników. W tamtej sytuacji to było konieczne. Zawsze miała swoje zasady i według nich postępowała. Tyle. Zasady, które tworzyli inni, były w porządku. Ale! Tylko kiedy zgadzały się z jej własnymi. To też była kwestia zaufania. Albo jego braku.

– Z tego, co wiem, chodzi o dzwoneczek na grobie – poinformował szeptem niziutki mężczyzna, który za nimi stanął.

Był całkiem łysy. Nie miał też brwi ani rzęs. Za to nad jego ustami pysznił się monstrualnie duży podkreślony wąs. Wyglądał jak doklejony. Kopp zwróciła uwagę na tego wąsacza już wczoraj na pogrzebie Dominiki. Jako jedyny był w maseczce. Ale! Zdjął ją, kiedy zobaczył, że w odciętej od świata wiosce chyba nikt nie przejmuje się obostrzeniami sanitarnymi. Kopp myślała, że poznały już wszystkich mieszkańców Rarogów, kiedy usiłowały się dowiedzieć, co stało się z autobusem.

Nie było ich wielu. Hanna Lorenz, babcia zaginionego Tomasza. Świta towarzysząca wiedźmie nie mieszkała we wsi. Nadciągała tu pieszo z okolicznych miejscowości. Bracia Modest i Nestor Obuchowie. Bliźniacy, z których jeden zniknął razem z autobusem. Bożena Prawda, sklepikarka

i żona zaginionego kierowcy. Alina i Zbigniew Konopkowie. No i wychudzony ksiądz. Obecnie z załamanymi rękami powtarzający, że cmentarz jest zamknięty zgodnie z zarządzeniem premiera.

Niziutkiego wąsacza Kopp zobaczyła dopiero wczoraj. Nie było okazji pytać, kim jest. Zresztą w ostatnich miesiącach bywały tu coraz rzadziej. Może w międzyczasie się wprowadził. Przecież było tu tyle pustych domów. W dzisiejszych czasach aż dziwne, że nikt ich nie zagospodarował. Nawet jeżeli niektórzy uważali to miejsce za nawiedzone. Może wąsacz właśnie uznał, że zamieszka nad brzegiem Robotna, by napawać się pięknem przyrody. Nie pasował do tego miejsca. Mógł być miastowy, choć Kopp zauważyła wczoraj, że jeździł terenowym autem. Klementyna sama nie była zbyt wysoka. Ale! Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że facecik przy swoim wielkim nissanie patrolu wyglądał na karykaturalnie wręcz małego. Może próbował pozbyć się kompleksów, kupując duże auto.

– Dzwoneczek na grobie, co? – powtórzyła za nim Kopp.

Wąsacz uśmiechnął się przyjaźnie i skinął głową.

– Ależ mnie pan wystraszył – zaśmiała się Maria. – Tak się pan za nami skradał?

– Przepraszam – szepnął wąsacz. – Po prostu podszedłem. Niechcący usłyszałem, o czym panie mówią.

– Za stara jestem na takie niespodzianki – perorowała *starsza-pani*. – Poczęstujecie się? Mam ciasteczka. Według nowego przepisu. Z wiśniową marmoladą.

– Mamo... – mruknęła Weronika karcąco.

Na jej piegowatych policzkach pojawił się rumieniec. Może zawstydziała się, że jej była teściowa jakby zupełnie zapomniała, że właśnie stoją przed rozkopanym grobem. Kopp znów uśmiechnęła się pod nosem. Zdążyła się już przekonać, że do Marii idealnie pasuje powiedzenie: nie oceniać książki po okładce. Zdawała się niegroźną staruszką, której życiowym celem było nakarmienie każdego ciastem. Ale! Potrafiła też pokazać pazury. Klementyna musiała przyznać sama przed sobą, że ją polubiła. Mimo że stanowiły najbardziej nieprawdopodobną ekipę, jaką ktoś mógłby sobie wyobrazić.

– Ja to dziękuję – zapewnił cicho mężczyzna i znów podkreślił wąsa.

Teraz Kopp była niemal pewna, że zarost jest sztuczny. Nie podobało jej się to. Kto przykleja sobie sztuczne wąsy, co? Może jednak była nazbyt

nieufna. Może nie znała się na obecnych trendach w modzie i urodzie. Ale! Nieznajomy wydawał się jej podejrzany.

– No to co z tym dzwoneczkiem? – nie odpuszczała Maria. Najwyraźniej zawiedziona, że nikt nie chce spróbować jej wypieków.

– O tam. Po lewej. – Niziutki mężczyzna skinął w stronę rozkopanego grobu. – Niech panie spojrzą na ten stary pomnik.

Cmentarz w Rarogach pełen był wiekowych nagrobków. Większość obrosła mchem. Był intensywnie zielony, mimo że nadeszła jesień. Mocno kontrastowało to z żółknącymi liśćmi okolicznych dębów i ponurą zielenią sosen.

Niedaleko za rozkopaną mogiłą stał większy grób rodzinny Konopków. Obok niego wznosiło się coś w rodzaju kolumienki. Dopiero teraz Kopp zauważyła, że faktycznie wisi tam stary dzwoneczek. Jeszcze zanim wąsacz zaczął mówić, domyśliła się, do czego może służyć.

– Z tego, co słyszałem, zanim panie przyjechały... – podjął cicho mężczyzna – to ci Konopkowie mają zwyczaj chować swoich zmarłych z urządzeniem, które jest rodzajem systemu ostrzegania.

– Przed czym? – zdziwiła się Maria. Przeżuwała z przejęciem kawałek ciastka.

– Przed pochowaniem żywcem – włączyła się do rozmowy Hanna Lorenz.

Najwyraźniej nadal miała dobry słuch. Ruszyła w ich stronę, stukając rzeźbioną laską. Kopp poczuła, że kręci ją w nosie. Starucha pachniała czymś drażniącym. Trochę jakby pieprzem. Lorenz obrzuciła wąsacza przeciągłym spojrzeniem.

– Przyszłam się pomodlić i dzwonek zadzwonił! – krzyknęła Alina Konopka. – Dominika żyje i jest w środku! Zaklinam was, pomóżcie.

– Jest w środku. Ale! Zdecydowanie nie żyje – podkreśliła Kopp. – To niemożliwe. Została zamordowana. Wtedy robi się sekcję zwłok. A tej by raczej nie przeżyła.

Klementyna miała tego wszystkiego dość. Nie po to tu przyjechały, żeby uczestniczyć w takim przedstawieniu. Po odsłuchaniu wiadomości od Dominiki postanowiły pomówić z jej rodzicami, żeby wy badać, czy kobieta przypominała sobie coś jeszcze oprócz tego, co nagrała na sekretarkę Marii.

Nie było tego wiele. Ale! Zdecydowanie więcej, niż do tej pory miały. Dominika mówiła nieco chaotycznie o tym, że była mgła, że nie działały telefony i że kogoś zastrzelono. Nagranie urwało się nagle. Dominika mówiła dość cicho, jakby obawiała się, że ktoś ją usłyszy. To utrudniało zrozumienie jej słów. I sprawiało, że zyskiwały na znaczeniu, jeżeli wzięło się pod uwagę, że następnego dnia ją uduszono.

– Pani Alino – zaczął znów swoje klecha. Przeszłoby mu przerazony z nogi na nogę. – Zostawmy to. Pomódlmy się za Dominikę i jej dziecko, ale...

– Pani Hanna kazała kopać – przerwał mu jeden z osiłków, których ta przed chwilą wysłała do pomocy przy rozkopywaniu mogiły.

– Tak nie można. – Ksiądz załamał ręce.

– No i proszę! Jak ona rozgrzebuje grób, to jakoś na psy nie dzwonicie?!

Wszyscy się odwrócili. Od strony sypiącego się muru otaczającego cmentarzysko nadchodził długowłosa mężczyzna. Na brodzie zaplecione miał dwa warkocze. Przypominał Klementynie wikinga. Jego też już poznała. To był Nestor Obuch. Brat jednego z zaginionych pasażerów autobusu.

– Bo niby zadzwonił jakiś dzwonek? – zadrwił. – On ciągle dzwoni na wietrze. To nie trup się budzi. To jesień. Ale może ja zadzwonię na pały? To was dla odmiany zgarną.

Nestor Obuch miał powody, żeby nienawidzić policji. Do Rarogów wrócił niedługo po śmierci Leszka Konopki. Wyszedł z więzienia. Kopp słyszała, że siedział z artykułu dwieście osiemdziesiątego kodeksu karnego. Z tego, co pamiętała, za rozbój groziło od dwóch do dwunastu lat. Nestor dostał trzy. Nie znała szczegółów. Wiedziała tylko, że odsiedział swoje w Starych Świątkach. To był zakład karny o niezbyt dobrej opinii. Nawet w firmie mówiło się o nim źle. Ona miała tam trochę swoich znajomości. Jeszcze się przydawały.

Podobno Leszek Konopka poszedł na współpracę z policją i wydał Nestora Obucha po tym, jak ich obu zatrzymano. Sam nie dostał nawet zawiasów. Gdyby nie to, że Nestor odsiadywał jeszcze swoje, kiedy Konopkę zabito, można by przypuszczać, że sam to zrobił.

– Nie gorączkujmy się – powiedziała donośnie Hanna Lorenz.

Wszyscy natychmiast ucichli. Kopp zerknęła na staruchę spod oka. Już zdążyła się przekonać, że Lorenz jest nieformalną władczynią tego miejsca. Pasowała do tego ponurego królestwa jak nikt inny.

– Grób jest już właściwie otworzony. Zajrzyjmy do trumny, żeby się przekonać, czy Dominika nie żyje. Choć na pewno tak jest – podkreśliła kobieta.

– Nasz zakład pogrzebowy nie popełnia takich błędów – poparł ją jeden z osiłków. – Przygotowaliśmy Dominikę do ostatniej drogi. Dziecko też, chociaż było w brzuchu, ale każdy z nas się starał, żeby to wyglądało naturalnie.

No proszę. Czyli prowadzili dom dla umarłaków, pomyślała Klementyna. Nie wiedziała, co medyk sądowy zrobił z dzieckiem podczas sekcji. Kiedy dowiedziała się o śmierci Dominiki, próbowała dodzwonić się do doktora. Ale! Koterski potraktował ją zdawkowo. Wy tłumaczył, że jest na urlopie i kto inny się tym zajmuje. Jakiś młodzik, którego nie знаła. Nie było więc możliwości wykorzystania starych znajomości i dowiedzenia się więcej. Trzeba będzie wypytać Daniela, co o tym wie.

– Oczywiście, że nie ma mowy o błędzie – zagrzmiała Lorenz. – Ale Alina nie uspokoi się, póki nie zobaczy, że mamy rację. Potem zakopimy grób. Ksiądz powie modlitwę i zapomnimy o całej sprawie. Nie ma potrzeby dzwonić po policję, Nestorze.

Ostatnie słowa zabrzmiały jak groźba. Wiking zdawał chyba sobie z tego sprawę. Zaśmiał się głośno, jakby nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Są równi i równiejsi, co? – rzucił zaczepnie. – Jak zawsze w naszym społeczeństwie. Wy możecie bezcześcić grób, wysługiwać się biednymi i tak dalej. Możecie wszystko. A inni co? Bezczeszczenie grobów jest nielegalne, naziolko. Nie wiem, czy zauważyłaś.

Świta staruchy poruszyła się niespokojnie. Ale! ona uspokoiła ich gestem ręki. Jakby chciała powiedzieć, że nie należy tracić czasu na nic nieznaczącą osobę Nestora. Kopp czuła, jak od Hanny Lorenz bije władcza pewność siebie.

Jeden z jej ludzi uniósł wieko trumny. Zatrzeszczało głośno, mimo że drewno było świeże. Dominika leżała na wznak. Ubrana była w czarną sukienkę z wysokim kołnierzem. Być może po to, żeby ukryć cięcia, które musiał zrobić lekarz sądowy podczas sekcji i ślady na szyi po duszeniu. Jej twarz była woskowa i najwyraźniej całkiem martwa. Mimo to Alina Konopka wskoczyła do trumny, chcąc chyba sprawdzić puls.

– A ksiądz co? – Nestor Obuch odwrócił się do klechy. – Ksiądz nic nie powie? To nie jest bezczeszczenie grobu? A może ksiądz się boi, że tak

zwani wierni przestaną w niedzielę przychodzić, jak Haneczka zakáže? I będzie ksiądz sam msze odprawiał? Ile kosztuje zaprzękanie duszy diabłu?

Zanim kapłan zdążył coś powiedzieć, powietrze rozdarł przerażający krzyk. Zdawał się zwierzęcy, mimo że Klementyna widziała dokładnie, że wydobywa się z ust Aliny Konopki. Matka Dominiki stała jedną stopą pomiędzy nogami córki i wrzeszczała z całych sił.

– Co się dzieje?! – krzyknął jej mąż.

– Nadepnęłam na coś – wydusiła w końcu Alina.

Poderwała czarną suknię córki. Pomiedzy nogami zmarłej leżało dziecko. Z tego, co Klementyna widziała, nadal było połączone z ciałem matki pępowiną. Zapadła cisza, jakby cały las wstrzymał oddech na ten widok.

– Ona urodziła! Przecież dziecko było w brzuchu! Widziałam podczas czuwania! – zawołała Alina Konopka. – Ona urodziła! W trumnie! Miałam rację. Jeszcze żyła, kiedy ją pogrzebaliście!

ROZDZIAŁ 4

Las w okolicach Rarogów.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 9.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Bożena Prawda może mieć powód, żeby mówić, że to postrzał – odezwała się Malwina Górka, jakby odgadła, o czym pomyślał przed chwilą Daniel. – Przecież jej mąż był jednym z podejrzanych w sprawie śmierci Leszka Konopki. Właśnie z powodu piły mechanicznej.

Pisarka spojrzała na narzędzie ukryte między korzeniami rozłożystego dębu. Kolczyki i bransoletki znów zabrzęczały. Sięgnęła do kieszeni po telefon. Odblokowała ekran i kliknęła kilka razy.

– Nadal mam zachowaną zakładkę z artykułem z jakiejś miejscowej strony, chociaż potem go usunięto – wyjaśniła. – *Zginął Leszek K. Głowę odpiłowano mu piłą mechaniczną, a ciało podrzucono na leśną drogę w okolicach Rarogów. Podejrzany jest Tomasz L., który prześladował Leszka od dłuższego czasu. Tomasz L. znany jest z nacjonalistycznych poglądów, a Leszek był homoseksualistą. Drugim podejrzany jest Szczepan P., kierowca autobusu i właściciel sklepu w Rarogach, do którego należało prawdopodobne narzędzie zbrodni – piła mechaniczna.*

– No właśnie – potwierdził Daniel. – Czy możliwe, że Bożena Prawda sama zrobiła tę dziurę w czaszce, żebyśmy myśleli, że Leszek Konopka został zastrzelony, i żebyśmy nie skupiali się na jej mężu?

Podgórski zerknął bez większych nadziei na młodego medyka sądowego. Bratkowski zarumienił się i poprawił okrągłe okulary.

– Ja... Już mówiłem, że to musi obejrzeć antropolog. Oni znają się najlepiej na kościach. Wyślę to jak najszybciej. Oczywiście zabezpieczę czaszkę. Ale musi ją zbadać antropolog.

Podgórski westchnął. Czyli tak jak myślał, to będzie ciężka przeprawa. Szkoda, że Koterski nie mógł tu przyjechać. Choć lekarz za każdym razem powtarzał, że wypowie się dopiero po sekcji, Daniel zawsze mógł liczyć na wstępne uwagi już na miejscu zdarzenia. Tym razem będzie musiał polegać na sobie.

– Kiedy ta osoba zmarła? – spróbował mimo wszystko. Nadzieja umierała ostatnia. – Możliwe, że czaszka leży tu od roku?

– Ja... Tego... Najtrudniejsze jest zawsze oszacowanie, jak długo ktoś nie żyje. Mówię przecież, że kości nie rozkładają się tak jak ciało czy skóra. Dlatego każdy z nas jest specjalistą w innej dziedzinie. Do tego trzeba wziąć pod uwagę warunki pogodowe, zwierzynę. Nawet kwaśność ziemi może mieć wpływ. Przyspieszać albo spowalniać proces rozkładu kości. Ja nie chcę brać tego na swoje barki! Łatwo tu o pomyłkę. Zdarza się, że już po pierwszych dwóch tygodniach ciało może być częściowo zeszkieletowane. Zwłaszcza jeżeli znajduje się w pełnej ekspozycji. Część czaszki była zakopana, dlatego mogły zostać fragmenty tkanek, bo to, co wystaje, jest zeszkieletowane w ciągu ośmiu miesięcy. To, co było schowane w ziemi, mogło się lepiej zachować.

Czaszka faktycznie była częściowo zagrzebana w ziemi. Młody medyk i szef techników wykopali ją ostrożnie pod okiem ludzi z sanepidu.

– Tu nadal są włosy – zauważyła Malwina.

– Tak. Bo włosy mogą się rozkładać nawet do piętnastu miesięcy... chyba... Ja nie jestem antropologiem – przypomniał znów młody medyk.

Jakby ktokolwiek zdążył zapomnieć, pomyślał sarkastycznie Daniel.

– A ten mech? – dopytywała się Malwina.

– Mchem bym się nie przejmował – odpowiedział szybko Podgórski. Nie chciało mu się już słuchać jąkania Bratkowskiego. – Las robi swoje.

Pisarka skinęła głową. Kolczyki zabrzęczały. Zaczęła wstawać. Wyciągnął rękę, żeby jej pomóc.

– Pani Bożena Prawda twierdzi, że to musi być czaszka Leszka Konopki – powtórzyła Fijałkowska.

– No, jak pani Prawda tak mówi, to tak musi być – burknął Ziółkowski.

Na twarzy technika zawsze gościł grymas. Teraz Daniel zauważył załazek uśmiechu. Sam też nie mógł się powstrzymać. Musiał się odwrócić, żeby Fijałkowska nie widziała, że się śmieje.

– Ale gdyby specjalnie chciała odwrócić uwagę od piły mechanicznej – zastanawiała się głośno Malwina – to chyba zabrałaby tę, która tu leży, i ukryła, zanim przyjechaliśmy.

– Nie wiem. Chodźmy z nią porozmawiać – zdecydował Podgórski, chociaż nie miał wielkiej ochoty wracać do gadatliwej sklepikarki.

Fijałkowska ochoczo ruszyła przodem, rozdeptując kolejne piękne okazy prawdziwków. Danielowi serce się krajało, kiedy na to patrzył. Jego matka robiła świetną grzybową. Szefowa najwyraźniej chciała odejść jak najdalej od czaszki i piły mechanicznej.

– Co o tym sądzisz? – zapytała Malwina cicho, kiedy szli za Fijałkowską.

– Za wcześnie na jakieś wnioski – mruknął.

Od jakiegoś czasu bycie sam na sam z pisarką sprawiało, że się stresował. Może za dużo myślał o tym, co ludzie gadali. A może chodziło o Łukasza. Syn był jednym z patrolowców, których wysłano tu z nimi. Daniel czuł na sobie jego wzrok, kiedy szli przez polanę. Ciekaw był, czy chłopak też myśli, że coś go łączy z pisarką. Emilia zginęła co prawda ponad dwa lata temu, ale jej śmierć wydawała się Podgórskiemu nadal świeżym faktem. Być może Łukasz czuł to samo. Przecież chodziło o jego matkę. Daniel nie chciał dodatkowo go ranić. Ich relacje były skomplikowane.

Łukasz długo winił Podgórskiego o śmierć Strzałkowskiej. A także o to, jak Daniel Emilię potraktował. Podgórski sam dobrze wiedział, że nie postąpił przyzwoicie. Ani wobec niej, ani wobec Weroniki, która była wtedy jego żoną. Tak naprawdę chyba wobec nikogo. To też zrozumiał poniewczasie. Nie chciał popełniać kolejnych błędów.

Tym bardziej że od pewnego czasu pomiędzy nim a synem zaczęło się układać. Spędzali razem czas. Najpierw w pracy. Potem również w wolne dni. I choć Daniel nigdy nie wybrałby dla syna zawodu policjanta, musiał przyznać, że fakt, że pracowali w jednej jednostce, pomógł im na powrót się do siebie zbliżyć. Nie ma więc chyba tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Mówiłam właśnie, że to musi być czaszka Leszka – oznajmiła Bożena Prawda, kiedy podeszli. – No i widać, że go zastrzelono.

Łukasz uśmiechnął się do Daniela półgębkiem. Furażerkę miał zawadiacko zsuniętą na bok. Zawsze tak ją nosił. Podgórski tylko czekał, kiedy któryś z przełożonych zacznie się o to czepiać.

– Wspomniała już pani, kiedy tu szliśmy – odparł, również uśmiechając się do syna.

Bożena Prawda była pulchną kobietą z burzą kręconych blond loków. Twarz miała mocno umalowaną. Trudno było stwierdzić, czy tak przygotowana chodziła na grzyby, czy też po znalezieniu czaszki wróciła do domu, żeby się umalować na przyjazd policjantów, i dopiero w pełnym makijażu dokonała zgłoszenia.

– To była egzekucja! Podobnie jak wtedy, kiedy hitlerowcy rozstrzelali mieszkańców Rarogów. Nie wiem, czy państwo znają tę historię. Dlatego u nas jest tyle pustych domów. Ludzie mówią, że duchy nadal w nich mieszkają.

– Często pani przychodzi zbierać grzyby na tę polanę? – zapytał.

Nie chciał teraz słuchać o historii drugiej wojny światowej. Ani tym bardziej lokalnych legend o duchach. W tych lasach pełno było opowieści. Praktycznie każde jezioro miało jakąś swoją historię. A oni byli tu i teraz. Trzeba było ustalić, czy polana była uczęszczana przez miejscowych. Chociażby jako miejsce grzybobrania. Podgórski sam nigdy by tu nie trafił, ale może mieszkańcy Rarogów doskonale znali to miejsce. To pomogłoby zawęzić krąg podejrzanych. Choć oczywiście niczego nie przesądzało. Ktoś obcy też mógł trafić na to miejsce.

– Od czasu do czasu – wyjaśniła sklepikarka, poprawiając blond loki.

– A inni mieszkańcy?

– Czasami. Nie wiem dokładnie. Tu jest sporo grzybów. Ale ja jestem tu pierwszy raz od ostatniej jesieni. No i takie znalezisko. Ale sami państwo widzą, że Leszek został zastrzelony. A więc to nie jest wina mojego męża. Denerwuje mnie, że w mediach ciągle Szczepana oskarżano. To była nagonka. I to zupełnie niesprawiedliwa. Mój mąż był bardzo pozytywnie nastawiony do Leszka. Konopkowie zawsze byli biedni. Jako dzieciaki Leszek i Dominika chodzili głodni, to coś tam spod lady im dawałam, jak wracali ze szkoły i szli obok naszego sklepu. Żeby w brzuskach nie burczało. No i mój mąż miałby zabijać? I to piłą mechaniczną? Głupoty! No i proszę! Teraz już wiadomo, że ktoś Leszka zastrzelił. Może ten wariat

ukradł nam piłę, żeby zrzucić winę na mojego Szczepana. Może to ten sam, co odpowiada za zniknięcie autobusu.

Głos jej się załamał. Przetarła ostrożnie łzy, które napłynęły do oczu. Nie chciała zepsuć sobie makijażu.

– To może być wszystko powiązane – dodała jeszcze. – Może to ta cholerna Dominika! Ona wróciła tak niespodziewanie. I tylko ona.

Ostatnio w Rarogach nie było spokojnie. Daniel był tu we wtorek, bo Dominikę Konopkę uduszono. Ciało znalazł jeden z mieszkańców Rarogów, niejaki Nestor Obuch, i zawiadomił policję. Podgórski akurat miał wtedy dyżur.

– Wczoraj był pogrzeb Dominiki – przypomniała Malwina Górka. – Byłam na nim, jak pani wie. Skoro jest martwa, to raczej też jest ofiarą, a nie sprawcą.

Podgórski wyobraził sobie Klementynę Kopp, jak powtarza, że nigdy nic z góry nie można zakładać. Starsza koleżanka wbiła mu to do głowy, kiedy jeszcze razem prowadzili sprawę. Dominika mogła być ofiarą, ale nie jest wykluczone, że wcześniej mogła być w coś zamieszana.

Daniel zerknął na Fijałkowską, żeby zobaczyć jej reakcję. Naczelniczka nie wyglądała na szczególnie zainteresowaną. Najbardziej chciała chyba stąd odjechać.

– Dotykała pani czaszki, zanim pani do nas zadzwoniła? – zapytał Podgórski ostrożnie.

Jeżeli nawet Bożena Prawda zrobiła tę dziurę, żeby uprawdopodobnić postrzał, oczywiście się do tego nie przyzna. Pytanie nie mogło jednak nie paść.

– Oczywiście, że nic nie ruszałam – odparła sklepikarka.

Według Daniela odrobinę za szybko. Zerknął na Malwinę. Pisarka odwzajemniła spojrzenie. Przez krótką chwilę poczuł się jak kiedyś w towarzystwie Emilii. Strzałkowska była nie tylko jego kochanką, ale też jedną z lepszych policjantek, z jakimi pracował.

Podgórski szybko odwrócił wzrok. Znów poczuł się winny wobec Łukasza. Syn poprawił furazerkę.

– Pani powiedziała mi przed chwilą coś interesującego – odezwał się.

Nie wydawał się ani trochę speszony, że mówi do naczelniczki wydziału kryminalnego i kolegi z dwudziestoletnim stażem, który był co prawda jego ojcem, ale mimo wszystko. Daniel pamiętał, że jako młody patrolowiec

miał w sobie więcej nieśmiałości i szacunku, mimo że też pochodził z policyjnej rodziny. Chyba młodzi ludzie byli teraz bardziej przebojowi.

– Leszka Konopkę znalazł rok temu niejaki Modest Obuch. A teraz jego siostrę znalazł Nestor Obuch. Jego brat – wyjaśnił Łukasz. – Przypadek? A może nie.

– Ja się nad tym zastanawiam od wtorku – odparła Bożena Prawda. – Nestor to jest niebezpieczny człowiek. Był w więzieniu. Pobił kogoś. Czy coś w tym stylu. Nie wiem dokładnie. No więc może bracia maczali w tym palce. I to jeszcze bliźniacy! To oni. Wszyscy mówią o moim mężu albo o Tomaszu Lorenzu. A co z Obuchami?

– Modest zniknął razem z autobusem – przypomniała Malwina Górka. Sklepikarka wzruszyła ramionami.

– Może porwali autobus i Modest pilnuje zakładników? Skąd mogę wiedzieć. Modest niby taki katolik. Katechetą jest w Nowym Mieście Lubawskim. To znaczy był. Mój mąż często go tam woził autobusem. Ale kto może wykluczyć, czy nie zgrzeszył? Nawet nasz ksiądz grzeszy, bo czasem widziałam, że popała fajeczkę. A może Obuchowie od dawna to planowali!

– A co dokładnie, pani Bożeno? – zapytał Łukasz, jakby to on teraz prowadził śledztwo.

Puste pagony posterunkowego na ramionach syna wyglądały wręcz rozczulająco. Daniel widział jednak, że syn naprawdę ma serce do tej roboty. Może mimo wszystko to był dobry wybór. Podgórski zamierzał pomóc synowi, jak umiał. Kto wie. Może za jakiś czas, jak chłopak odsłuży swoje w patrolach, też trafi do wydziału kryminalnego.

– Nie wiem. Ja nie jestem od tego, żeby to wymyślać – odparła Bożena Prawda defensywnie. – Ale może Obuchowie porwali autobus dla okupu. Jak w tym filmie. Z tym aktorem, który grał w *Matriksie*.

– Keanu Reeves – odpowiedział Łukasz usłużnie. – Pewnie ma pani na myśli *Speed*?

– Nie pamiętam tytułu. Ale tam też było o autobusie.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Polanę wypełnił świergot jakiegoś ptaka. Samotna piosenka płynęła przez las. Wydawało się, że nikt na nią nie odpowie. Była już przecież jesień i czas amorów dawno się skończył. Przyroda szykowała się do nadejścia zimy. Mimo to gdzieś pomiędzy drzew rozległo się nawoływanie ptasiego współtowarzysza.

Nagle koncert przerwał telefon Daniela. Pierwsze nuty *Master of Puppets* też wprawdzie robiły wrażenie, ale niezbyt pasowały do ptasich popisów. Podgórski ustawił sobie tę piosenkę jako dzwonek kilka miesięcy temu. To była piosenka o uzależnieniu. Sam borykał się z nim dłuższy czas. Miała mu przypominać, żeby nie uległ znów pokusie.

Zerknął na wyświetlacz. Dzwonił dyżurny z komendy.

– Halo?

– Jesteście jeszcze w lesie obok Rarogów? – zapytał kolega.

– Jo.

– To jedźcie do Rarogów, bo tam coś się dzieje na cmentarzu. Jest tam Kopp, twoja matka i była żona. Tak że przygotuj się – zaśmiał się drużyny.

Podgórski westchnął. Babska ekipa prowadząca własne śledztwo widać wróciła do wsi. Nie było w jego gestii, żeby zakazać im grzebania w tych wszystkich sprawach. Póki nie przeszkadzały w śledztwie, oczywiście. A Kopp wiedziała doskonale, jak omijać procedury. Przecież była emerytowaną policjantką. Daniel wolałby jednak, żeby trzymały się od poszukiwań sprawców z daleka. Tam, gdzie chodziło o morderstwo, nigdy nie można było wykluczyć, że nie dojdzie do kolejnego. Zwłaszcza jeżeli ktoś za bardzo węszy. Lepiej, żeby się nie narażały. Ciekawe, co tam się znów wydarzyło.

– Ale nic im nie jest? – upewnił się.

– Nie.

Zabrzmiało to dość beznamytnie, ale Podgórski miał poczucie, że kolega chce coś jeszcze dodać.

– Ale? – naciskał.

– Pomyślałem, że lepiej, żebyś wiedział.

– Co?

– Znów przyjechała. Jest na komendzie. Nie wiem, czy tam do was nie pojedzie. Jeśli nawet nie, to na pewno ją spotkasz, jak wrócicie z terenu.

Dyżurny nie musiał wymieniać nazwiska. Daniel doskonale wiedział, o kim kolega mówi. Podinspektor Mari Carmen Sikora. Nemezis, która prześladowała Podgórskiego od pół roku.

– Kurwa – mruknął tylko. Naprawdę nie było nic więcej do dodania.

ROZDZIAŁ 5

Rarogi.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 10.05.

Klementyna Kopp

Klementyna wyjęła z plecaka butelkę coli i wypła kilka długich łyków. Potrzebowała odpowiedniej dawki cukru, a niestety zapomniała kupić więcej na zapas. W plecaku miała tylko wczorajszą resztkę. Zapowiadało się, że jeszcze w Rarogach posiedzą, mimo to opróżniła butelkę do końca. Później będzie przejmować się brakiem paliwa. Niektórzy powtarzali, że w jej wieku powinna już przystopować ze słodzonymi napojami. Nie zamierzała sobie niczego odmawiać. Kto wie, ile jeszcze pożyje. Może i była *starą-głupią-babą* i jeszcze tego pożałuje. Ale! Życie było za krótkie, żeby ograniczać się drobnostkami.

Teresa pewnie by ją skarciła i kazała pić jakiś sok wyciśnięty z sałaty, łykać witaminy czy inne cuda. Kochanka zawsze o Klementynę dbała. Kopp westchnęła. Dotąd nie pogodziła się z tym, że już nigdy nie usłyszy jej karcącego głosu ani nie poczuje zapachu zdrowego śniadania, które przygotowywała. Rak zabrał jej roześmianą, kochającą Teresę dużo przed czasem. Od tamtej pory Kopp goliła regularnie głowę. Minęło wiele lat, a ona nie zamierzała z tego rezygnować.

Zgniotła butelkę po napoju. Po odkryciu ciała dziecka pomiędzy nogami Dominiki Konopki Kopp zadzwoniła na komendę. Może i nie doszło do pochowania żywcem. Ale! Trzeba było sprowadzić tu kogoś, kto znał się na rzeczy, i upewnić się, że żaden szczegół nie zostanie przeoczony. Znała granice swojej wiedzy. Jej siła tkwiła w umyśle. Czasem również w pięści.

Ale! Tak naprawdę najważniejsza zawsze była głowa. Ludzie tacy jak Koterski czy Ziółkowski mieli w rękach fach, który mógł dostarczyć jej danych. Kopp nie zamierzała tego lekceważyć.

Nadal nie dopuszczała do siebie myśli, że Dominika Konopka mogła urodzić w trumnie. Chyba że pochowano by ją po mylnie stwierdzonej śmierci naturalnej. Tu jednak chodziło o morderstwo, co potwierdziła sekcja zwłok. Wykluczała ona przeżycie, choćby dlatego, że medyk musiał przecież porozcinać ciało, pokroić i obejrzeć sobie wnętrze. Technik fotografował kolejne czynności. Ustawowo w sekcji uczestniczył jeszcze prokurator. Nie był to stary dobry Jacek Czarnecki, z którym Kopp była w znakomitej komitywie. Czasy się zmieniały i ludzie się zmieniali. Od momentu, kiedy odeszła na emeryturę, w prokuraturze doszło do wielu przetasowań. Przybyła nowa gwardia. Jednak nawet najbardziej niedoświadczony medyk, nawet najbardziej nieopierzony prokurator i najbardziej nieudolny technik zebrani w jednym pomieszczeniu zorientowaliby się, że na stole sekcyjnym leży żywa kobieta. A jednak małe ciało dziecka znalazło się pomiędzy nogami zamordowanej. Kopp się wzdygnęła. Jeżeli synek Dominiki nie został wyjęty z jej łona w trakcie sekcji, to musiało być jakieś inne, bardziej logiczne wyjaśnienie niż to niedorzeczne, że Dominika ożyła i urodziła w trumnie.

Ekipa z komendy przyjechała szybciej, niż można się było tego spodziewać, bo okazało się, że nie tylko w Rarogach byli potrzebni. Podobno na polanie w lesie Bożena Prawda znalazła czaszkę. Być może należąca do Leszka Konopki. Dlatego wszyscy byli już właściwie na miejscu.

Wąsacz, który pojawił się znikąd i opowiadał o dzwoneczku, zniknął równie szybko i bezgłośnie, jak się pojawił. Hanna Lorenz wraz ze świtą jej łysych zbirów też się wycofała na dźwięk policyjnych syren. Nestor Obuch bez skrupowania przeskoczył przez mur. Najwyraźniej wszyscy stracili rezon na wieść, że mają tu przybyć mundurowi. Kobiety zostały więc z księdzem i rodzicami zamordowanej. Klecha towarzyszył teraz policji nad grobem, a one miały czas na rozmowę z Konopkami. Nareszcie. Bo właśnie po to przyjechały do Rarogów.

– Niech no pani da tę butelkę – powiedziała Alina Konopka. – Wyrzucę u nas w domu. Nie będzie pani śmieci w plecaku nosiła.

Matka Dominiki miała twarz umazaną ziemią. Ale! Wyglądała nareszcie spokojniej. Nie było już w niej tego zaciętego szaleństwa, które pojawiło się, kiedy wdepnęła w ciało swojego wnuka. Kopp musiała przyznać, że mogło to być makabryczne przeżycie. Nawet dla tak jak ona zaprawionej w bojach. A Alina przecież nie nawykła do widoku śmierci.

– Wspomniała pani, że ktoś domagał się szybkiego pochówku Dominiki – powiedziała Malwina Górską.

Pisareczka przyjechała tu razem z Danielem. Na jej widok Weronika wyraźnie się spięła, mimo że przecież wszystkie one wiedziały, że Malwina zyskała zgodę na towarzyszenie w pracy Podgórskiemu. Ruda niby akceptowała różową. Ale! W jej towarzystwie zawsze wyglądała na zdenerwowaną. Kopp podejrzewała, że powodów należy szukać w uczuciach, od których sama trzymała się najdalej, jak można. Malwina była kiedyś kochanką policjanta. Ruda z kolei była zdradzoną żoną policjanta. I choć nie chodziło o tego samego funkcjonariusza, to najwyraźniej skojarzenia były jednoznaczne i powodowały napięcia. Wyglądało też na to, że Malwina i Daniel się zbliżyli. Weronice raczej się to nie spodobało, choć ani razu nie powiedziała na ten temat ani słowa.

Kopp uśmiechnęła się krzywo. Cóż. Ruda i różowa będą musiały rozwiązać to między sobą. Ona skupi się na sprawie. W obliczu zdarzeń na cmentarzu przynajmniej część oficjalnej ekipy zaraz rozpocznie śledztwo w Rarogach. Wtedy kontynuowanie prywatnego dochodzenia może być utrudnione. Jeżeli sprawę przejmie Daniel, to pół biedy, jeżeli Fijałkowska, to zaraz będzie chciała zaprowadzić swoje porządki. Trzeba było działać póki czas. Tym bardziej że Alina Konopka powiedziała przed chwilą coś bardzo interesującego.

– No właśnie – odezwała się Kopp, wtórując Malwinie. – Kto nalegał na szybki pochówek twojej córki, co?

Faktycznie przygotowanie do pogrzebu i sam pochówek przebiegły nadspodziewanie szybko. Ale! Wszyscy sądzili, że to reakcja na nakaz zamknięcia cmentarza. Dominika została zamordowana we wtorek, a już w piątek pochowano ją w nowej mogile. Tempo iście ekspresowe. Ale! Alina dopiero co oznajmiła, że nie chodziło wyłącznie o decyzję rządu.

– Tak naprawdę mogliśmy czekać z pochówkiem do następnego tygodnia... – wydusiła. – Ale...

– Kochanie, przestań – mruknął Zbigniew Konopka. Na jego pyzatej ogorzałej twarzy wykwitł rumieniec.

– Co mam przestać? Przecież to pani Hanna Lorenz nalegała, żeby Dominikę pochować jak najszybciej. Ci jej ludzie z zakładu pogrzebowego pracowali po godzinach, żeby zdążyć.

– Chciała pomóc. A panie gotowe upatrywać w tym coś złego... Tak to przedstawiłaś. Jakby to był jakiś spisek.

Alina Konopka wzruszyła ramionami.

– Moja córka urodziła w trumnie. Zamierzam znaleźć winnego.

– Na pewno nie jest winna pani Hanna!

W głosie Zbigniewa Konopki pojawiło się niemal przerażenie. Kopp zmarszczyła brwi. Najwidoczniej ojciec Dominiki bał się staruchy z rzeźbioną laską. Klementyna uznała to za bardzo ciekawą informację. Chodziło o karków, którzy jej towarzyszyli, czy o coś więcej, co? Kopp wydawali się śmieszni z tymi swoimi patriotycznymi bluzami, a jednocześnie hitlerowskimi hasłami na ustach. Potrafiła sobie jednak wyobrazić, że ich całkiem spore pięści mogły robić wrażenie. Choć sam Zbigniew Konopka też mały nie był.

– Ale co? – włączyła się do rozmowy Maria. – Hanna Lorenz mówiła, żeby pochować Dominikę w piątek?

Matka Daniela miała rozpalone policzki. Co rusz zerkąła w stronę syna, rozmawiającego z księdzem przy mogile. Klementyna podejrzewała, że stara Podgórska już się zastanawia, jak podejść do Daniela i wcisnąć mu jeden ze swoich wypieków. Nie mogła przepuścić żadnej okazji.

– Mówiła, że trzeba jak najszybciej położyć Dominikę w poświęconej ziemi. To wszystko – powiedział twardo Zbigniew Konopka. – Co w tym dziwnego? Nie szukajmy dziury w całym.

– Okej. No dobra. Zostawmy to – zarządziła Kopp. Wyglądało na to, że w tej sprawie więcej z Konopków nie wyciągną. Nie było co tracić czasu. – Przyjechaliśmy tu dziś, by trochę z wami porozmawiać. O zaginięciu autobusu.

– Znowu? – burknął Zbigniew niechętnie. – Przecież nic nowego nie odkryto.

– Czekaj. Stop. Właśnie odkryto. – Klementyna uśmiechnęła się słodko. Ciekawa była jego reakcji. – Wasza córka coś sobie przypomniała. Nagrała nam wiadomość w tej sprawie.

Kopp celowo nie powiedziała, co dokładnie mówiła Dominika. Czekala. Oby tylko zadna z pozostałych nie wypaliła z czymś nieoczekiwaniem. Klementyna nie chciała, żeby cokolwiek zasugerowały rodzicom zamordowanej dziewczyny. Trzeba było najpierw usłyszeć, co oni mają do powiedzenia.

– No faktycznie coś sobie przypomniła – odparła Alina Konopka. – Ale nie sądziłam, żeby to było jakoś szczególnie ważne.

Maria sapnęła.

– Są jeszcze ciasteczka, co? – zapytała Kopp szybko. Widziała po minie matki Daniela, że ta zaraz coś wygada. Pytanie o wypieki było jedynym sposobem, żeby ją powstrzymać.

– Oczywiście! W samochodzie mam pierniczki! Wypróbuję nowy przepis. Do świąt jeszcze daleko, ale kto by się tam przejmował, prawda?

– Co Dominika sobie przypomniła? – zapytała Malwina Górka.

Jako jedyna nie była zorientowana w temacie, bo od rana towarzyszyła Danielowi. Bardzo dobrze. Jej pytanie zabrzmiało naturalnie.

– Córka w ogóle dziwnie się zachowywała po powrocie – wtrącił się Zbigniew Konopka. – Nie była sobą, jednak nie ma co zawracać sobie tym głowy.

– Tak, ale pamiętasz, jak obierałyśmy ziemniaki i się zraniła w palec? – Alina odwróciła się do Klementyny. – Przygotowywałyśmy jedzenie. Była mgła i to Dominice chyba przypomniło tamten dzień.

Kopp skinęła zachęcająco głową. Na razie zgadzało się to z nagraniem na poczcie głosowej Marii.

– I powiedziała, że autobus pojechał nie tą drogą co trzeba – dokończyła Alina Konopka. – Więcej nie pamiętała. Chociaż oczywiście pytaliśmy. Potem nie było już o tym rozmowy.

A to ciekawe, pomyślała Klementyna. Bo na nagraniu Dominika powiedziała jeszcze, że ktoś został zastrzelony. Dlaczego nie zdradziła tego rodzicom?

ROZDZIAŁ 6

Dom Hanny Lorenz w Rarogach.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 10.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Proszę – powiedziała Hanna Lorenz.

Podgórski odsunął ciężkie dębowe krzesło i usiadł przy stole. Łukasz zajął miejsce obok niego. Gospodyni nie usiadła. Nadal stała oparta na rzeźbionej lasce. Może chciała patrzeć na nich z góry i w ten sposób zapewnić sobie przewagę. Na nic się to zdało, bo Daniel miał prawie dwa metry wzrostu. Syn odziedziczył wzrost po nim, Emilia nie była wysoka. Tak więc nawet siedząc, oczy mieli na wysokości twarzy kobiety.

Mimo to policjant czuł niepokój. Gospodyni nie przypominała poczciwej staruszki. Haczykowaty nos, poorana bruzdami zmarszczek twarz i oko pokryte bielmem przywodziły raczej na myśl wiedźmę. Ale nie to było najgorsze. Hanna roztaczała wokół upiorną aurę. Daniel odgonił od siebie te myśli. Była tylko zwykłą staruszką. Nawet jeżeli zawsze towarzyszyła jej grupa wyrostków. Nie wpuściła ich co prawda do izby, ale Podgórski podejrzewał, że czekają tuż za drzwiami gotowi reagować na każdy sygnał.

– A kolegów pani nie zaprosi? – zapytał Łukasz, jakby pomyślał dokładnie o tym samym. Jego ton był wesołkowaty.

Daniel przyszedł tu z synem na polecenie Fijałkowskiej. Ksiądz opowiedział im, że Hanna pomogła znacznie przyspieszyć datę pochówku. Prosił przy tym, żeby nie wygadali się, że wiedzą to od niego. Najwyraźniej się bał. To tym bardziej oznaczało, że warto było porozmawiać z Hanną Lorenz.

Naczelniczka zapewniła, że sama przypilnuje prac przy rozkopanym grobie Dominiki Konopki oraz zabezpieczenia miejsca odkrycia czaszki i piły mechanicznej na polanie w lesie. Rzuciła jeszcze coś na temat tego, żeby Łukasz się uczył, to może kiedyś przejdzie do wydziału kryminalnego. Daniel podejrzewał, że Fijałkowska wysyła ich do Hanny, bo sama zamierza się zmyć do bazy, kiedy tylko znikną jej z oczu. I tak dziwne, że wytrzymała na miejscu tak długo.

Wychodząc z cmentarza, porozmawiali z Klementyną, Weroniką, Marią i Malwiną. Okazało się, że one też dowiedziały się, że Hanna sugerowała przyspieszenie pochówku. Konopkowie, tak jak ksiądz, wyglądali na przestraszonych.

Żałował trochę, że nie zabrali ze sobą Malwiny. Pisarka miała w sobie coś kojącego. Roztaczała wokół siebie pozytywną energię, jakby całą sobą mówiła: zaopiekuję się tobą. To było irracjonalne, ale bardzo silne uczucie. W pewnym sensie stanowiła przeciwieństwo Hanny Lorenz. Widzieli się zaledwie przed chwilą, ale policjant czuł, że za nią tęskni. Odgonił szybko te myśli. To było dokładnie to, czym nie powinien się zajmować.

Właściwie Fijałkowska nie zabroniła mu zabrać Malwiny na przesłuchanie. Nadal było aktualne poranne zarządzenie nowego komendanta o pokazaniu pisarce wszystkiego, co będzie chciała. Daniel wolał jednak dmuchać na zimne, skoro na komendzie była Mari Carmen Sikora. Funkcjonariuszka BSW¹ gotowa oskarżyć go o to, że zabranie cywila na czynności było jego pomysłem.

Od lutego Mari Carmen nie dawała mu spokoju. Sytuacja pogorszyła się jeszcze, kiedy nowy komendant objął oficjalnie stanowisko, bo Więckowski i Sikora byli przyjaciółmi.

I wtedy zaczęło się pasmo drobnych potyczek. Mari Carmen jako funkcjonariuszka BSW stanowiła policję w policji. Do jej zadań należało wyłapywanie czarnych owiec w ich formacji. Wydział, w którym pracowała, nie cieszył się dobrą sławą wśród funkcjonariuszy. Wewnętrzni byli oczywiście potrzebni, jeżeli jakiś policjant faktycznie przekroczył cienką granicę pomiędzy prawem a bezprawiem. Mówiło się jednak, że często bazują na pomówieniach i nie szukają dowodów, a swoimi poczynaniami potrafią zniszczyć człowiekowi życie. Potem, jeśli nawet policjant zostanie uniewinniony, to jego kariera jest skończona.

Daniel unikał jakiegokolwiek kontaktu z BSW przez większość swojej służby w policji. Zmieniło się to podczas śledztwa w sprawie Śreżogi. Wtedy podjął decyzję o zawiadomieniu wewnętrznych. Zjawiała się Mari Carmen. Jak się później okazało, Podgórski postąpił dobrze, bo ludzie, których typował, faktycznie zasłużyli na karę. Nie przypuszczał jednak, że to będzie miecz obosieczny, a niewysoka funkcjonariuszka BSW zmieni jego życie w piekło.

– Myślę, że możemy porozmawiać sami – powiedziała Hanna Lorenz spokojnie. – Moi chłopcy nie będą potrzebni, prawda?

Głos miała czysty i mocny. Zupełnie nie pasował do starczego wyglądu. Sprawiało to jeszcze bardziej niepokojące wrażenie. Jakby patrzyło się na kogoś, a słyszało wypowiedź kogoś innego.

– Czasem są w gorącej wodzie kąpani. A przecież nie chcemy problemów – dodała, kierując na Daniela pokryte bielmem oko. – O co panowie chcą pytać?

Podgórski poczuł na sobie spojrzenie Łukasza. Syn chciał chyba upewnić się, na jak wiele może sobie pozwolić. Był przecież zwykłym posterunkowym. Daniel tu dowodził.

– Podobno nalegała pani na szybki pochówek Dominiki Konopki-Piekarskiej – powiedział policjant nie dlatego, że nie chciał dać synowi szansy się wykazać. Po prostu czuł, że z Hanną Lorenz nie ma żartów. Wolał wziąć to na siebie.

Domaganie się przyspieszenia pochówku mogło mieć znaczenie, ale nie musiało. Postanowił właśnie od tego zacząć. Wykluczał, żeby dziecko Dominiki urodziło się w grobie. Będzie musiał zapytać Bratkowskiego, czy wyjął ciało dziecka z brzucha matki, i tyle.

– Tak. Uważałam, że Dominika powinna spocząć w poświęconej ziemi – odparła Hanna Lorenz. – A przez tę epidemię zostały zamknięte cmentarze. Kto to widział, żeby ciało katolika leżało zamrożone i czekało na pochówek. Zrobiłam to dla Dominiki. I tak dużo wycierpiała.

– Ale to chyba nie do końca pani sprawa – wtrącił się Łukasz. – Nie należy pani do rodziny Konopków.

Podgórski uniósł brwi. Nie było to zbyt fortunne pytanie. Czekał na reakcję Hanny.

– Tu wszyscy jesteśmy rodziną – odparła stara kobieta spokojnie. Nadal była zwrócona do Daniela, jakby to z nim tylko rozmawiała. – W naszej wsi

raptem garstka domów jest zamieszкана. Musimy trzymać się razem. Czuję się odpowiedzialna za tę naszą małą społeczność. Nie tylko dlatego, że jestem tu najstarsza. Te ziemie dostał mój ojciec. W dowód wdzięczności za zasługi w walce podczas wojny. Teraz są moje. Odziedziczy je mój wnuk Tomasz. Dzierżawimy je pozostałym rodzinom. Tak to funkcjonuje.

– Nie wiedziałem – przyznał Podgórski. Zastanawiał się, czy ta informacja ma jakieś znaczenie.

Hanna Lorenz zrobiła kilka kroków w stronę stołu, stukając rzeźbioną laską.

– Jedynie kawałek ziemi na skraju wsi nie należy do mnie. Tuż przy brzegu jeziora. Za cmentarzem. Są tam pozostałości starego kościoła. Ta ziemia należała do dziadka braci Obuchów i Szczepana Prawdy. Bo oni są kuzynami. Teraz, zdaje się, Szczepan i Modest z Nestorem kłócą się o te ziemie. Tak więc widzi pan, do tego właśnie prowadzi brak silnej ręki. Dlatego ja sprawuję pieczę nad Rarogami. I staram się spełnić mój obowiązek jak najlepiej.

Mówiła to z dumą, jak jakaś królowa. Być może właśnie za taką się uważała. Pani opuszczonej osady. Pełnej pustych domów z oknami zabitymi deskami. Władczyni duchów.

– Pani dziadek zasłużył się podczas wojny? – zapytał tymczasem Łukasz. Znów dość beztrosko. Jeszcze sporo musiał się nauczyć. – A ja myślałem, że pani i pani gwardia lubicie takie hitlerowskie klimaty.

Podgórski rzucił synowi ostrzegawcze spojrzenie. Nie podobało mu się, że Łukasz poczyna sobie tak samowolnie. Nawet jeżeli jego pytanie było uzasadnione. Zwolennicy Hanny Lorenz rzeczywiście wyglądali na neonazistów.

– Te wszystkie nowomodne wymysły... To całe Halloween – odezwała się bez związku z tematem gospodyni, ignorując pytanie Łukasza. – To wymysły szatana. Ty jesteś młody, chłopcze, chociaż z taką pewną miną nosisz ten swój mundur. Pewnie przebierasz się w te wszystkie halloweenowe stroje, czyż nie? Mylę się?

Hanna Lorenz rzuciła przeciągłe spojrzenie Danielowi i po raz pierwszy odwróciła się do Łukasza. Podgórski miał ochotę kazać synowi stąd wyjść. Nie podobało mu się spojrzenie gospodyni. To oczywiście było kolejne irracjonalne uczucie. Nie mógł przecież chronić Łukasza przed całym światem. Zwłaszcza w takiej robocie.

– Czasami się przebieram w Halloween, tak – odparł Łukasz niezrażony.
– Ale w tym roku akurat miałem służbę, więc nic z tego nie wyszło. Zresztą wszelkie imprezy zostały zakazane. Takie czasy.

Stara kobieta milczała przez chwilę. Potem ruszyła powolnym krokiem do komody stojącej przy ścianie. Laska stuknęła o podłogę z każdym ruchem. Jej kroki były boleśnie powolne. Dotarła w końcu do mebla i otworzyła jedną z szuflad.

– Zamiast wypytywać mnie, powinniście zająć się tym – oznajmiła.

W sękatej dłoni trzymała kartkę. Podgórski wstał i podszedł bliżej. Nie chciał czekać, aż sama dotrze do stołu.

– Włożyłam to plugastwo w folię, jak tylko wyjęłam ze skrzynki. Żeby się nie zniszczyło i żeby nie zatrzeć odcisków palców sprawcy. Proszę mi nie dziękować. Pan niech lepiej włoży rękawiczki. Chyba takie macie procedury, czyż nie? Podpiszę protokół przekazania rzeczy, czy jak to nazywacie, i będzie mógł pan to zabrać. Daję to dobrowolnie. Proszę pamiętać.

Podgórski wyciągnął z kieszeni rękawiczki. Nigdy nie jeździł na zdarzenia bez co najmniej kilku par. Jak na żyjącą w zapomnianej wsi staruszkę Hanna Lorenz miała sporą wiedzę o pracy policji. Może nie była to wiedza tajemna, ale jednak dość zaskakująca. Daniel podejrzewał, że jej podopieczni nie raz mieli kontakty z władzami i trzeba było wyciągać ich z kłopotów. Może właśnie wtedy Hanna Lorenz się dokształciła.

– Co to jest? – zapytał, choć na pierwszy rzut oka można się było domyślić.

Kartka wyglądała jak wyjęta ze starego filmu policyjnego. Ktoś powycinał litery i całe słowa z gazety i w ten sposób utworzył list.

– Niech pan przeczyta.

– *Mamy autobus z twoim wnukiem. Dawaj forszę, bo go wysadzimy! I to nie na przystanku! Wysadzimy go w pył!!!* – przeczytał Daniel na głos, żeby Łukasz też wiedział, o co chodzi. – *Chcemy 200 tys. zł. Wiemy, że masz! Masz zostawić 1 marca na rozstaju dróg. Wiesz, gdzie to jest! Za słupem. Nie powiadamij policji, bo go wysadzimy. Nie dasz pieniędzy, to go wysadzimy! I jak autobus zwolni, to go wysadzimy.*

– List z żądaniem okupu? – zapytał Łukasz.

Tym razem w jego głosie pobrzmiwała ekscytacja. Daniel trochę zazdrościł synowi tych emocji. Sam czuł już tylko postępujące wypalenie.

A niechęć wzrosła jeszcze bardziej, kiedy pomyślał, że jak wrócą na komendę, będzie czekała tam na niego Mari Carmen.

Zerknął jeszcze raz na kartkę i przebiegł wzrokiem tekst. To był pierwszy od dawna nowy trop w sprawie zniknięcia autobusu. Mimo narastającej melancholii i jemu serce zabiło szybciej. Teraz została zabita Dominika Konopka, a sklepikarka Bożena Prawda znalazła czaszkę Leszka Konopki. Jakby na zamówienie. Czyżby te sprawy się łączyły?

– Dokładnie tak – pokiwała głową Hanna Lorenz. – Brudne plugastwo.

Podgórski miał wrażenie, że kobieta splunie na podłogę. Nie zrobiła tego, ale na jej pomarszczonych ustach pozostał grymas.

– Kiedy pani to dostała? – zapytał. Żadnej daty ani nagłówka nie było.

– W czwartek.

– Teraz przed pogrzebem Dominiki?

Hanna Lorenz zaśmiała się skrzekliwie. Uśmiech dodawał mroku jej upiornej twarzy.

– Oczywiście, że nie. Dwudziestego siódmego lutego tego roku.

– Dostała to pani w lutym?!

– Dwa dni po zaginięciu autobusu – uściśliła spokojnie.

– Dlaczego nie poinformowała pani policji?

– Nie chciałam dać tym plugawcom satysfakcji.

Podgórski nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie bała się pani o wnuka? – zapytał Łukasz. Chyba był równie zaskoczony.

– Mój Tomasz to silny mężczyzna, a nie jakiś tam mięczak. Wiedziałałam, że sobie poradzi – odparła, choć Danielowi wydało się, że wyczuwa lekkie drżenie w jej głosie.

– Dała pani porywaczom żądane pieniądze? – zapytał.

– Oczywiście, że nie – odparła. – Nie mam tylu pieniędzy. Jestem tylko staruszką.

Zatoczyła ręką krąg po pokoju, jakby tym gestem chciała zademonstrować, że nie jest osobą majątną. A przecież stwierdziła, że wszystkie okoliczne ziemie z wyjątkiem jednej działki należą do niej.

– Jeden z moich chłopców ma zakład pogrzebowy – dodała. – Ale nawet on nie mógł dać mi takiej sumy. Mimo że interes w pogrzebach zawsze dobrze idzie. Tak więc wolne żarty. Nikomu nic nie dałam. A już na pewno nie zamierzałam zostawiać takiej sumy za słupem gdzieś w lesie.

– Nic pani nie zrobiła? – zapytał znów Łukasz. – Tak po prostu? Przecież chodziło o pani wnuka. Moja babcia stanęłaby na głowie, żeby mnie ratować. Prawda?

Łukasz odwrócił się do Daniela, oczekując najwyraźniej poparcia. Policjant poczuł dyskomfort. Wolałby, żeby syn nie mówił Hannie Lorenz nic więcej. Czuł, że lepiej było nie informować nikogo o łączącym ich pokrewieństwie. Zwłaszcza jej. Kto wie, jak to może zostać wykorzystane. Rarogi położone były kilkanaście kilometrów od Lipowa i Daniel wątpił, żeby Hanna wiedziała, że ma przed sobą ojca i syna. Nosili przecież inne nazwiska. Łukasz nazywał się Strzałkowski. Po Emilii. Choć wszyscy coraz częściej mówili o nim z rozpędu Podgórski. Chłopak to akceptował. To znaczy odkąd przestał być wściekły na Daniela.

– Na pewno – mruknął policjant.

Nie mógł się powstrzymać. Był pewny, że Maria zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby ratować swoich. Taka była. A przy okazji jeszcze zdążyłaby upiec jakieś ciasto.

Hanna Lorenz taksowała przez chwilę Łukasza od stóp do głów.

– Pyskaty jesteś, chłopcze – powiedziała w końcu. O dziwo, w jej głosie brzmiała aprobata. – Ale to nie było tak, że nic nie zrobiłam. Ja sama nie ruszam się już tak żwawo jak kiedyś. Mam dziewięćdziesiąt jeden lat. Najlepsze już minęły. Ale wysłałam tam jednego z moich. Z workiem. W środku były pocięte gazety. Położył to w umówionym miejscu. A drugi obserwował okolicę spomiędzy drzew. Nie sądzę, żeby ktoś go zauważył. Mam kilku takich, którzy umieją się dobrze kryć.

– I nic? – zapytał Daniel, chociaż gdyby cokolwiek się stało, pewnie by o tym wiedzieli.

– Nic – przyznała.

Podgórski zastanawiał się, co to mogło oznaczać. W liście użyto liczby mnogiej, więc porywaczy najwyraźniej było kilku. Zażądali dwustu tysięcy złotych okupu za Tomasza Lorenza. Wyznaczyli datę i miejsce na przekazanie pieniędzy. Po czym nie zjawili się, żeby je odebrać. Dlaczego? Zwietrzyli spisak?

Była jeszcze druga możliwość. Być może zakładnicy już wtedy nie żyli i porywacze nie mogli uwolnić Tomasza i oddać go babci. Tylko co z tego? Nawet jeśli tak by było, to porywacze mogli przyjść po pieniądze i potem się ulotnić. W liście nie było mowy o bezpośredniej wymianie.

– Kontaktowała się pani jakoś z tymi ludźmi? – zapytał.

– Z nikim się nie kontaktowałam. Dostałam tylko ten list. Nic więcej. Żadnych telefonów ani nic, jeśli o to pan pyta.

Podgórski przejechał ręką po brodzie. Była już dość długa. Opuścił kilka wizyt u barbera. Nie było jakoś okazji. Zastanawiał się. Nagle przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł. A co, jeśli porywacze nie przyszli, bo nie żyli? Albo z jakiegoś innego powodu nie mogli? Może zostali aresztowani za coś zupełnie innego? Bywało przecież, że morderców zatrzymywali ruchacze² za przekroczenie prędkości albo za coś równie błahego i nagle okazywało się, że byli poszukiwani.

Istniała jeszcze jedna możliwość, pomyślał policjant, spoglądając na Hannę Lorenz. Uśmiech zniknął już z jej twarzy. Pozostał tylko mrok. Może stara kobieta ich oszukiwała. List mógł być sfabrykowany, a cała opowieść kłamstwem.

Oczywiście kartkę odda Ziółkowskiemu. Niech szef techników sprawdzi, co da się z niej wyczytać. Ktokolwiek przygotował to wszystko, mógł zostawić jakieś ślady.

– Proszę jeszcze raz opowiedzieć, jak pani weszła w posiadanie tego listu.

Daniel chciał zobaczyć, ile szczegółów będzie umiała podać. Choć nie wątpił, że jeżeli ona to zaplanowała, to wszystko doskonale obmyśliła.

– Został wrzucony do skrzynki na listy. Już mówiłam. Był w kopercie. Nie oczekiwałam wtedy żadnej korespondencji, więc się zdziwiłam, widząc go. Tym bardziej że nie było adresu ani znaczka. Czyli to nie listonosz go przywiózł. Jak tylko otworzyłam kopertę i zobaczyłam te wycinanki, włożyłam rękawiczki. Może jednak jakiś mój odcisk się tam znajdzie. Ale na pewno nie na całej kartce. Uważałam.

Uniosła sękatą dłoń i uśmiechnęła się przebiegle. A więc i to przemyślała. Oczywiście przy założeniu, że to ona była autorką. Jeżeli nawet znajdą jakieś odwzorowania linii papilarnych, bo tak to się poprawnie nazywało, to Hanna będzie mogła powiedzieć, że zanieczyściła list niechcący, jak go wyjmowała i nie wiedziała jeszcze, co to jest. Sprytne.

– A po co nakładała pani rękawiczki i była taka ostrożna, skoro nie chciała pani oddać tego listu policji? – zapytał lekkim tonem Łukasz. – Co pani w takim razie zależało?

– Nie jestem partaczem – oznajmiła Hanna Lorenz szybko. – Jak coś robię, to porządnie. Poza tym mam podejrzenie, kto mi to podrzucił.

1 Biuro Spraw Wewnętrznych.

2 Slang. Policjanci ruchu drogowego (potocznie drogówki).

ROZDZIAŁ 7

Rarogi.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 10.30.

Malwina Górska

No to jak to było z tym ciałem Dominiki, co? – zapytała Klementyna Kopp.

Splotła ręce na piersi. Nieco przykrótkie rękawy skórzanego żakietu odsłoniły stare tatuaże. Przypominały sieć więziennych dziar. Niektóre na pewno wykonał ktoś niemający zbyt dużego doświadczenia. Mimo to pasowały do Klementyny. Malwina miała poczucie, że patrzy na historię życia zapisaną na ciele. Wielokrotnie chciała zapytać emerytowaną policjantkę o ich znaczenie, ale się nie odważyła. Może przyjdzie na to czas. Jak na razie Kopp budziła w Malwinie respekt połączony z obawą. Nigdy nie mogła przewidzieć, co była policjantka zrobi albo powie.

Kiedy skończyły rozmawiać z rodzicami Dominiki Konopki, Malwina zaproponowała Marii, Weronice i Klementynie, żeby spotkały się z Nestorem Obuchem. Daniel szedł z Łukaszem przesłuchać Hannę Lorenz, one mogły w tym czasie sprawdzić inny wątek. Pisarkę zainteresowało to, co powiedziała wcześniej na polanie Bożena Prawda. Ciało Leszka Konopki znalazł Modest Obuch. Ciało Dominiki Konopki jego brat, Nestor. To mógł być oczywiście przypadek. A sklepikarka tylko próbowała zwrócić na niego uwagę, żeby odsunąć podejrzenia od swojego męża.

Z Modestem porozmawiać nie mogły. Zaginął razem z resztą pasażerów autobusu. Nestora odnalazły dość łatwo. Spacerował wzdłuż muru cmentarza. W tę i z powrotem. Jakby na coś czekał. A może próbował

zorientować się w sytuacji. Policja kończyła prace przy rozkopanym grobie Dominiki. Malwina widziała, że Fijałkowska zbiera się do odjazdu.

– No jak to jak? Poszedłem się przejść i znalazłem Dominikę – wyjaśnił Nestor. – Odkąd wyszedłem z pierdła, mam zwyczaj sobie połazić. Rano, wieczorem, w południe. Kiedy mi tak tylko w duszy zagra. Co, nie podoba się? Gdybyście siedziały zamknięte za kratami prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę, też byście miały potrzebę pooddychać świeżym powietrzem. W pierdłu wszystko robi się jak w zegarku. I nie wtedy, kiedy się chce, tylko kiedy ci każą. Srasz nawet na zawołanie. Mam tego dość. Chcę oddychać pełną piersią.

Malwina dobrze go rozumiała. Też chciała oddychać pełną piersią. Zarówno w przenośni, jak i dosłownie. I dlatego po przebudzeniu wkładała strój do biegania i szła do lasu, żeby się przewietrzyć. To ją uspokajało. Nie pozwalało myślom wędrować w rejony, o których najchętniej by zapomniała.

Było dużo spraw, które nie dawały jej spokoju. Czasem bolały za bardzo, żeby o nich myśleć. Ale musiała robić dobrą minę do złej gry. Na wywiadach z dziennikarzami, na spotkaniach z czytelnikami. A nawet w mediach społecznościowych. Kochała swoją pracę, ale czuła, że odetchnęłaby pełną piersią, dopiero gdyby pozwoliła sobie zrzucić maskę i przeżyć do końca wszystko, co tak bolało. Pozwolić sobie na płacz. Zapomnieć o dyżurnym uśmiechu. A zwłaszcza o tym, że ciągle starała się wszystkich zadowolić i nie zawieść.

– Dominika leżała obok tego krzyżyka, który postawili Konopkowie tam, gdzie Modest znalazł rok temu Leszka – kontynuował Nestor. Jego długie włosy powiewały na jesiennym wietrze. Zebrał je w kucyk. – Teraz, jak o tym myślę, to wyglądało tak, jakby ktoś ją złożył w ofierze. Dłonie miała ułożone na piesi. Wokół szyi była czerwona pręga. Uduszono ją.

– Ale ona na pewno nie żyła? – upewniła się Maria.

Malwina nie była przy tym, kiedy Alina Konopka razem z mężem zaczęła rozkopywać grób, ale nietrudno było sobie wyobrazić, że widok małego ciała dziecka pomiędzy nogami Dominiki musiał zrobić na wszystkich obecnych tam wielkie wrażenie. Nawet sama opowieść wywoływała dreszcze.

– Nie wiem. Ja się nie znam. W ciemności wydawało mi się, że tak. Potem zadzwoniłem pod sto dwanaście. – Nestor splunął, jakby brzydził się

samego numeru. – No i to wszystko.

Pisarka spojrzała na niego spod oka, odniosła bowiem wrażenie, że mężczyzna nie mówi im wszystkiego. Ale może była zbyt podejrzliwa.

– Dziwne, że jej ciało leżało dokładnie tam, gdzie rok temu ciało jej brata – powiedziała, blokując ekran swojego telefonu.

Przez ostatnie miesiące pomagała trochę Klementynie, Marii i Weronice rozwikłać tajemnicę zaginionego autobusu. Była więc dobrze zorientowana, co się dzieje w Rarogach. Poza tym od czego był Internet. Zawsze warto było poszperać w wyszukiwarce. Nawet ogólnodostępne informacje mogły rzucić sporo światła na sprawę, jeśli spojrzano się na nie pod innym kątem. Nagle mogły stanowić brakujący element układanki.

– No dziwne – przyznał Nestor i zaczął bawić się jednym z warkoczyków na brodzie.

Malwina była ciekawa, czy chce w ten sposób opanować stres. Wyraźnie coś ukrywał. Trzeba będzie powiedzieć Danielowi, żeby go przycisnął.

Kiedy Podgórski poprosił ją, żeby została z kobietami, poczuła ukłucie żalu. To ją przestraszyło. Nie chciała, żeby ich znajomość zaszła za daleko. A chyba nie można było wykluczyć, że mogło się tak stać. Malwina jeszcze nie przestała cierpieć z powodu pewnego policjanta. Nie chciała powtórnie przeżywać traumy. Wyczuwała na sobie niechętnie spojrzenia Weroniki i wolała chyba zostać w dobrych relacjach z Podgórką niż próbować wchodzić w związek, który i tak niewiele rokował. Koniec kropka.

– Brat opowiadał o tym, jak znalazł Leszka? – zapytała Weronika, jakby wiedziała, że Malwina właśnie o niej pomyślała.

– No ja jeszcze siedziałem wtedy w pierdłu, więc nie było jak rozmawiać. A jak wyszedłem, to nie wracaliśmy do tematu. Były inne rzeczy na głowie. Na przykład na nowo musieliśmy nauczyć się razem żyć. Jesteśmy bliźniakami i nasza więź jest silna, ale więzienie niszczy bliskość. Kolejny błąd systemu, który powinno się zwalczyć. Pokażcie mi chociaż jedną osobę, która została zresocjalizowana przez pakę³. O nie, moje panie. Tam człowiek staje się jeszcze gorszy. Wiem po sobie. A ci, co byli źli, uczą się od tych, co jeszcze więcej zła poznali. To żadna pomoc dla społeczeństwa. Bo jak taki delikwent wychodzi na wolność, to rusza do dawnego życia z nową wiedzą i z większym wkurwem.

– Ty też jesteś wkurwiony, co? – wtrąciła się Kopp.

– Oczywiście, że jestem wkurwiony. Na to, że kurwa Leszek mnie głupio wsypał, jak robiliśmy coś dobrego. To jest walka z systemem. Z niesprawiedliwością społeczną. Z bogaczami, którzy zabierają wszystko tym, którzy nic nie mają. To jest misja.

– Samodzielne wymierzanie sprawiedliwości, co?

Nestor uśmiechnął się pod wąsem, jakby naprawdę cieszył się, że Klementyna go zrozumiała.

– Dokładnie tak. Ale wiem, że Modest miał niezłą jazdę, jak Leszka znalazł. Kurwa, chłopak był bez głowy. To już z dwojga złego ja miałem lepiej. Dominika przynajmniej była cała.

– Modest gniewał się na Leszka, że doniósł na ciebie? – zapytała Malwina.

Nestor był jeszcze w więzieniu, kiedy brat Dominiki został zamordowany. Ale może mścić się w imieniu brata bliźniaka.

– Modest na Leszka? Nie. Czasem myślałem, że woli jego niż mnie. Ciągle mu pomagał. Jakby był jego bratem, a nie moim. Nagle kurwa obrońca uciśnionych się znalazł. Boga odnalazł w sobie. Dobrze. To już nie był mój brat. Zostałem sam.

– Uważasz, że Modest i inni nie żyją? – zapytała Weronika.

Zebrała długie rude włosy w koczek na środku głowy. Kilka kosmyków z niego wypadło, dodając delikatności jej twarzy. Weronika była piękną kobietą, ale Malwina też wiele razy słyszała komplementy na swój temat. Nigdy jednak nie potrafiła w nie uwierzyć. Kiedy patrzyła rano w lustro, widziała same braki. Teoretycznie wiedziała, że nie powinna tak myśleć. Nie potrafiła jednak tego zmienić. Poprawiła różowe włosy. Bransoletki na nadgarstku zabrzęczały cicho. Lubiła ten dźwięk, działał na nią kojąco. A kiedy się uspokajała, umiała dać oparcie innym. Teraz być może będzie to potrzebne. Przecież były w trakcie śledztwa. Nie wiadomo, co je czeka.

– Moim zdaniem są martwi – odparł Nestor. W jego głosie nie było nawet cienia wątpliwości.

– Coś taki pewny, co? – zapytała Kopp z krzywym uśmiechem na pomarszczonych ustach.

Malwina pomyślała, że faktycznie trudno było sobie wyobrazić, żeby pasażerowie zaginionego autobusu jeszcze żyli. Minęło osiem miesięcy. Gdzie mogliby być?

– A co? Mam ukrywać, że jestem pewny, żebyście mnie kurwa nie podejrzewały? Rzygam takimi gierkami. Jestem człowiekiem, który wali prosto z mostu. Już mówiłem, że ja i Modest mamy specjalną więź. Taką, którą rozumieją tylko bliźnięta. I ja czułem, że on zginął. Zresztą ogień pochłonie nas wszystkich. Myślę o tym, żeby zrobić stos dla brata.

– Stos? – powtórzyła Maria pytająco.

Maria Podgórska była dla Malwiny oparciem. Przez ostatnie miesiące pisarka często do niej zaglądała. Patrzyła, jak Maria piecze te swoje ciasta. Rozmawiały o wszystkim i o niczym. W jej pachnącej przyprawami kuchni Górską czuła się jak u siebie. Zupełnie się tego nie spodziewała. Nigdy przedtem nie ciągnęło jej do takich osób.

– Tak. Stos. Nasi praprzodkowie tak właśnie żegnali się ze zmarłymi. Nie uważam, żeby należało postępować inaczej, chociaż ja tam nie wierzę w żadnych bogów. Po prostu raczej nie byłoby wątpliwości, czy ktoś żyje, czy ktoś nie żyje.

Mężczyzna zaśmiał się niewesoło i głową pokazał cmentarz. Policja zbierała się już do odjazdu. Nadszedł też van, którym chyba mieli zabrać ciało Dominiki. Malwina podejrzewała, że powtórnie będzie badane przez lekarza sądowego.

– Masz jakiś pomysł, kto mógł zabić Dominikę? – zapytała.

– Co ja tam wiem.

– Podobno Hanna Lorenz chciała, żeby pochowano ją jak najszybciej – podpowiedziała pisarka.

– Same dobrze wiecie, że mam kosę z Hanką i jej naziolami. Nie wiem, czemu nikt się nimi nie zajmie. Przecież oni otwarcie głoszą nacjonalistyczne i hitlerowskie hasła! To jest kurwa skandal. Wbrew prawu. Rysują swastyki i inne takie. Czemu nikt ich za to nie aresztuje? No czemu? Powiem wam. Bo to jest kurwa wszystko spisek elit. A teraz jeszcze rozkopywanie grobu. No i to też ujdzie bezkarnie. A zdaje się, że pochówków bezcześcić nie wolno. A ja kurwa poszedłem kiblować, bo obiliśmy mordę jakiemuś kapitaliście. A wracając do pytania, to kurwa oni mogli chcieć zabić Dominikę. Była siostrą Leszka. Leszek był gejem. A oni nie akceptują żadnej odmienności. I to jest okej? Może i mnie wkurwia! Lechu, ale rozumiem, czemu mój brat mu pomagał. To było ciągle kurwa prześladowanie. Leszek nie mógł normalnie iść przez wieś, bo ciągle na niego naskakiwali. Ten człowiek miał traumę taką, że jak stąd do Warszawy

albo i na Jamajkę. I co? To, co oni mu robili, jest okej, tak? Może odpiłowali mu głowę? Może zabili Dominikę? Ale nawet jeśli nie, to na pewno rozwalili mu życie. Nawet jeśli Leszka nie zamordowali, to go zniszczyli. Musiał się leczyć na głowę. Nie wiem, czy wiecie. Łaził do jednej psychiatry.

Wiedziały o tym oczywiście. Edyta Majchrzak była jedną z pasażerek zaginionego autobusu. Wsiadła do niego na szosie pomiędzy przystankami. Skończyło jej się paliwo i złapała autobus na stopa. Najwyraźniej miała pecha, skoro tak to się skończyło.

– A to nie było tak, że Dominika była pielęgniarką i zajmowała się trochę Hanną Lorenz? – zapytała Weronika. – Starsza pani nie miała obiekcji, żeby korzystać z jej pomocy. Mimo że była siostrą Leszka.

– Tak, ale to co innego – zaprotestował Nestor. – Właśnie to jest dokładnie to, o czym mówię. Wykorzystywanie. Kiedy się potrzebuje, to okej. Kiedy się nie potrzebuje, to na śmietnik. Nasze społeczeństwo to jest wieczny konsumpcjonizm. Ale powiem wam coś, co może was zainteresuje. Skoro tak grzebiecie.

Bezwiednie skupiły się wokół niego. Malwina nie lubiła bliskości fizycznej. Bała się jej. Pewnie pozostałość wydarzeń z dzieciństwa.

Ostatni rok obfitował w komunikaty, żeby zachować odległość od innych osób, zasłaniać nos i usta. Panowało wszechobecne napięcie. Mimo że rzadko dopuszczała kogoś do siebie tak blisko, to właśnie teraz paradoksalnie ciągnęło ją do ludzi. Może dlatego, że poczuła pewną więź z Danielem. Nie należało tego mylić z innym uczuciem.

– Otóż Leszek Konopka przyszedł do mnie na widzenie – oznajmił Nestor. – Niedługo przed tym, jak mu odpiłowali głowę.

– Czekał. Stop. Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś zimą, co? – zapytała Kopp.

To była zupełnie nowa informacja. Kobiety rozmawiały z Nestorem kilka razy przez ostatnie miesiące. I nawet się o tym nie zająknęły. Malwina podejrzewała, że Obuch może skrywać jeszcze niejedną tajemnicę.

– Musiałem zrobić swoje prywatne śledztwo – odparł mężczyzna z uśmiechem. – Myślicie, że tylko wy szperałyście? Nie zamierzałem tego tak zostawić. A już na pewno nie policji. Nie ufam im ani odrobinę. Są jedynie wsparciem dla systemu.

– Możesz przejść do sedna, co?

Malwina czuła w głosie Kopp delikatną urażę. Klementyna pewnie by się do tego nie przyznała, ale wyglądała na osobę związaną ze swoją dawną formacją bardzo emocjonalnie.

– Nie wiemy, co się stało z autobusem, prawda? – zaczął Nestor.

Chyba bardzo mu zależało na zbudowaniu napięcia, bo zignorował głęboką zmarszczkę, która pojawiła się na czole Kopp. Była policjantka przejechała wytatuowaną dłonią po ogolonej na łyso głowie. Dłonie miała małe i niezbyt zadbane. Trochę męskie.

– Wiesz coś o tym? – zapytała z wyraźną nadzieją Maria Podgórska. – Moja sąsiadka ciągle mnie wypytuje, czy coś odkryłyśmy. Obiecałam jej, że jeżeli nie rozwiążemy tej sprawy, to jej zdradzę przepis na moją szarlotkę. Nie wiem, po co to zrobiłam. Bo ta szarlotka to moja tajemnica.

W głosie Marii zabrzmiała gorycz, jakby chodziło co najmniej o kody do aktywacji bomby atomowej.

– No to słuchajcie. W autobusie byli ludzie od nas. Szczepan Prawda prowadził. Pasażerem był mój brat. Oprócz Modesta była tam jeszcze Dominika Konopka. Do tego Tomuś Lorenz. To już samo w sobie jest bardzo dziwne, bo przecież Hanka i on mają samochód w gospodarstwie. Po co w takim razie jechał autobusem? Ale nie do tego teraz zmierzam. Zmierzam do piątej osoby. Czyli tej psychiatry, o której wam wspomniałem. A właściwie nie do niej samej. Do jej męża. Facet jest krezusem. To kardiochirurg, ale ma swoją przychodnię w Brodnicy. Wszystkie specjalizacje lekarzy. Ceny, rzecz jasna, horrendalne. Według Leszka on mógł mieć bardzo dobry powód, żeby pozbyć się żony. No i proszę. Leszek przychodzi do mnie na widzenie i mi o tym opowiada. Potem umiera. Kilka miesięcy później znika autobus, w którym była Edyta Majchrzak. Moim zdaniem od początku mogło chodzić właśnie o nią. Tylko i wyłącznie o nią.

[3](#) Slang. Więzienie.

ROZDZIAŁ 8

Pod Komendą Powiatową Policji w Brodnicy.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 11.50.

Aspirant Daniel Podgórski

Co myślisz o tym, co powiedziała ta starucha? – zapytał Łukasz, kiedy silnik subaru ucichł.

Podgórski dość często używał prywatnego samochodu. Nawet kiedy jeździł gdzieś służbowo. Głównie dlatego, że po prostu lubił swoje auto. Błękitne subaru ze złotymi felgami miało już trochę lat, ale policjant dbał o nie i nadal dobrze się trzymało. Sprawiało mu wiele radości, choć dawno minęły czasy, kiedy ścigał się po lesie z kolegami z posterunku w Lipowie. Nagle zapragnął przekręcić kluczyk, włączyć silnik i wyjechać z parkingu przy komendzie. Kilka minut i znajdzie się poza miastem. Jeszcze kilka i będzie mógł wjechać do lasu. Tam gaz do dechy i w długą.

To były oczywiście mrzonki. Zerknął w lusterko. Budynek komendy miał za plecami. Widział okna hotelu⁴. Piętro wyżej były pokoje komendantów. Tam zapewne czekała na niego Mari Carmen Sikora u swojego koleżki młodszego inspektora Michała Więckowskiego.

Daniel miał wielką ochotę zapalić. A najlepiej podjechać do Kauflandu i tak na wszelki wypadek do tego kupić flaszkę. Ogarnął go wstyd. Myśl o czasie, kiedy spędzał każdy wieczór w towarzystwie butelki, nadal napelniała go wstrętem do siebie samego.

– Tato?

– Co? – zapytał Daniel z roztargnieniem.

– No pytałem, co myślisz o tym, co powiedziała Hanna Lorenz. Że to Dominika Konopka podrzuciła list z żądaniem okupu.

Lorenz stwierdziła, że jej zdaniem to Dominika podrzuciła list. Pojawił się dokładnie w dzień tajemniczego powrotu dziewczyny. Jedynej z pasażerów zaginionego autobusu.

– Bo ja wiem... Po pierwsze to powinieneś bardziej uważać, jak rozmawiasz ze świadkiem albo podejrzanym... Zwracać uwagę, jakim tonem do nich mówisz...

– Chyba wiem, czemu jesteś taki nieobecny – zaśmiał się syn, wchodząc mu w słowo. Poprawił furazerkę. Byli już w bazie. Trzeba utrzymywać odpowiedni standard. I chyba wreszcie to do Łukasza dotarło. – Ta pisarka zawróciła ci w głowie.

Daniel poczuł, że się czerwieni.

– Co? Nie. Przestań. Nie o to chodzi. Myślałem o samochodzie. I o Mari Carmen.

– Taaa – zagwizdał Łukasz. – Pasowalibyście do siebie z Malwiną. Jest niczego sobie. Brałbym.

– Przestań. Myślałem o czymś zupełnie innym – podkreślił Daniel. – Jeżeli masz ochotę do niej startować, to proszę bardzo. Tylko wąsy najpierw wyhoduj, młody.

Podgórski nie wiedział, czemu tak bardzo zirytował go komentarz syna. A suchar z wąsami to uwidoczniał. Sam przed sobą musiał przyznać, że Malwina mu się podoba. Doskonale się dogadywali. Ale nie chciał nic więcej. A teraz poczuł presję, że powinien wykonać jakiś ruch.

Łukasz spojrzał na niego spod oka.

– Boisz się, że się wścieknę, jak się z kimś zaczniesz spotykać? – zapytał wprost. – Przecież wiem, ile mama dla ciebie znaczyła. Nie obrażę się, że znów się z kimś widzisz. Z Weroniką wam nie wyszło, ale to nie znaczy, że masz siedzieć sam w piwnicy u babci. Minęło tyle czasu. Musisz zacząć żyć.

Daniel nie mógł się powstrzymać i się uśmiechnął. Klepnął Łukasza w ramię.

– Gadasz jak stary. Skup się na sobie, chłopaku – rzucił żartobliwie.

Zaraz jednak poczuł smutek. Doskonale wiedział, ile czasu minęło od śmierci Emilii. Dziewięćset osiemdziesiąt dwa dni. Ponad dwa i pół roku. Kiedyś liczył w ten sposób dni trzeźwości. Po śmierci Strzałkowskiej

tamto straciło znaczenie. Codziennie rano powtarzał sobie nową liczbę. Wiedział, że pewnie nie powinien. Po tak długim czasie lepiej było już odpuścić i zacząć normalnie żyć. Tak jak powiedział przed chwilą syn. Podgórski czynił już jakieś próby. Niekiedy nawet się udawało. Musiał przyznać, że głównie dzięki czasowi, jaki spędzał z Malwiną. Pokazywał jej okolicę, opowiadał o robocie. Takie tam drobne rzeczy.

Dni jednak jakby same się liczyły. I nawet kiedy potrafił zdobyć się na uśmiech, to zaraz potem przypominał sobie, że nie będzie mógł go z nią podzielić. Emilii już nie ma i nie będzie. Pustka, jaką wówczas czuł, była tak dotkliwa, że brakło mu tchu. Potęgowało ją silne przekonanie, że powinno być na odwrót. To jego powinno nie być. To on zawalił. On spierdolił tamto śledztwo koncertowo. A jednak to on był tu i teraz. To na jego twarz padały promienie jesiennego słońca. A jej nie było.

– Hej, hej – powiedział Łukasz, pstrykając mu palcami tuż przed twarzą.
– Zawiesiłeś się.

– Tak, przepraszam. Myślałem o Hannie Lorenz – skłamał Podgórski. Na pewno nie zamierzał zrobić nic, co zepsułoby jego relacje z synem. Tego był pewny. – Nie wiem, co o tym sądzić. Faktycznie dziwne, że Dominika Konopka tak po prostu wróciła po kilku dniach. I to wyszła obok Tamy Brodzkiej, a nie gdzieś na trasie, którą zwykle pokonywał autobus.

Jak wiadomo, autobus miał jechać przez Ciche, potem pomiędzy jeziorami Wielkie Partęczyny i Dębno, dalej przez Tereszewo i później w stronę Nowego Miasta Lubawskiego. Tama Brodzka znajdowała się kilkanaście kilometrów na południe. Krajowa piętnastka wprawdzie też prowadziła w stronę Nowego Miasta Lubawskiego, ale gdyby autobus miał jechać tamtędy, potężnie nadłożyłby trasy. Skąd w takim razie Dominika wzięła się właśnie tam? Czy po to wróciła, żeby dostarczyć Hannie list z żądaniem okupu? A jeżeli tak, to czy współpracowała z ludźmi, którzy porwali autobus? Dlaczego pojawiła się tak daleko od domu? Nie łatwiej byłoby magicznym sposobem zmaterializować się na przykład w Cichem?

– Nie wiem... Dla mnie to ściema. Ta Lorenz nie umiała powiedzieć, dlaczego Dominika miałaby podrzucić ten list.

– Muszę podpytać Fijałkowską i Zjawę, jak to było z tym powrotem Dominiki – głośno myślał Daniel. – Ja nie prowadziłem tej sprawy, ale dużo się o tym mówiło. Wydaje mi się, że Dominika była wyczerpana i zdezorientowana. Wybiegła na drogę. Ktoś znalazł przy niej dokumenty

i odwiózł ją do Rarogów. Pewnie nie w głowie było jej podrzucanie listu. No ale kto ją tam wie.

– Chyba że symulowała amnezję – podsunął syn.

Daniel pokiwał głową. Stali przez chwilę w milczeniu obok samochodu. Podgórski nie mógł się zdobyć na to, żeby ruszyć do jednostki. Miał coraz większą chęć na papierosa. Kolejny nałóg, który na razie udawało mu się trzymać na wodzy. Było to tym bardziej ważne, ponieważ szalał wirus atakujący płuca. Na razie pozostawało tylko założyć maseczkę i ruszyć w paszczę lwa. Z kawałkiem materiału na twarzy czuł się jeszcze gorzej.

– Na pewno wszystko okej? – zapytał Łukasz. Nasunął komin z napisem *Policja*. Cała grupa młodych patrolowców kupiła sobie takie u jakiejś dziewczyny, która ręcznie je wyszywała.

– Jo. Tylko nie mam ochoty na pogaduszki z Mari Carmen.

– Czy ona się nigdy nie odpierdoli? Chyba powinni ją przebadać w tej wojewódzkiej. Ona jest pojebana. Tak naprawdę powinienes zgłosić, że ona cię prześladuje. Jak nie, to ja to zrobię.

– Przestań. Wiesz, że tak to nie działa. Chodźmy. Sam sobie z nią poradzę.

Akurat kiedy wchodzili po schodach prowadzących do budynku komendy, drzwi otworzyły się i stanął w nich nowy medyk sądowy. Doskonale się składa, przebiegło Danielowi przez myśl. Chciał przecież zamienić kilka słów z Bratkowskim. W Rarogach na cmentarzu nie zdążył.

– Nie zostaje pan na odprawie? – zagadnął.

Bratkowski poprawił okulary. Zaparowały mu od maseczki. Nie wyglądał na zadowolonego. Ani z tego powodu, ani najwyraźniej na widok Daniela.

– Wychodziłem już... Ciała czekają w chłodni w szpitalu. Tam teraz robimy sekcje i ja...

– Pogadajmy chwilę tu. To nie zajmie długo – przerwał mu Daniel. – Dosłownie moment. Wiem, że to głupie pytanie, ale ci ludzie w Rarogach są przekonani, że Dominika Konopka urodziła synka w grobie. No i to ciało dziecka rzeczywiście tam było. Pan je wyjął z jej brzucha podczas sekcji czy jak?

– Nie ruszałem dziecka – odparł defensywnie młody medyk. Chyba podejrzewał, że Daniel go o to oskarża. – Uznałem, że to niepotrzebne. Niezwiązane z przyczyną jej śmierci. Została uduszona. To było

najistotniejsze. Nie powinno się bez potrzeby kroić ciała na plasterki. Ani tym bardziej dziecka.

– W porządku – powiedział Daniel, chcąc go udobruchać.

– Czaszkę z polany wyślę do biegłego antropologa. Tak jak mówiłem. Wtedy będzie pan miał pewność, czy to postrzał. Piłę mechaniczną zabrał pan Ziółkowski. Do widzenia.

– Coś się panu bardzo spieszy – zażartował Łukasz.

Syn rozstawił nogi i skrzyżował ręce na piersi. Podgórski musiał przyznać, że w tej pozie Łukasz robił całkiem imponujące wrażenie. Był troszkę niższy i zdecydowanie szczuplejszy od Daniela, ale w mundurze prewencjusza⁵ wyglądał dość groźnie. Młody medyk chyba też tak uważał, bo cofnął się o krok. Drzwi do poczekalni przed dyżurką już się zamknęły. Bratkowski oparł się o nie plecami zaskoczony.

– Mam sekcję do przeprowadzenia – przypomniał. Okrągłe okulary jeszcze bardziej zaparowały. – Proszę mnie przepuścić.

– Po co te nerwy? – zapytał Łukasz prowokująco.

Czuł chyba swoją wyższość. Daniel miał nadzieję, że syn nie ulegnie poczuciu, że wszystko mu wolno. Niektórzy policjanci nie potrafili udźwignąć na swoich barkach tego, że władza, którą dawała odznaka, była tak naprawdę odpowiedzialnością. Czasem wręcz brzemieniem. Nigdy nie powinna być czymś, co człowiek wykorzystywał albo na czym budował poczucie własnej wartości. Łatwo było o tym zapomnieć. Zwłaszcza jak było się młodym. No ale nic. Syn musi to sam zrozumieć. Podgórski nie może go niańczyć.

– Ale nie miał pan wątpliwości, że ona była martwa? – zapytał Bratkowskiego. Czuł się dość głupio, pytając o coś tak oczywistego, ale chciał mieć absolutną pewność, żeby uciąć wszelkie spekulacje. Medyk wyglądał na zupełnie zielonego, ale zgon chyba umiał stwierdzić.

– Oczywiście, że nie żyła. Już mówiłem. To było uduszenie. A właściwie zadzierzgnięcie. Diagnostyka sekcyjna jest w takich przypadkach bardzo łatwa – uściślił Bratkowski. – Patomechanizm zgonu jest wtedy zupełnie inny niż na przykład przy powieszeniu. Mimo że przyczyna jest oczywiście podobna. Coś zaciska się na szyi. Natomiast obserwujemy zupełnie inne ułożenie pętli. No i siła inaczej się rozkłada. Siła ręki ludzkiej jest mniejsza niż nacisk, który wywiera samo ciało, jak to jest w przypadku wisielca. Ucisk na szyję ofiary musi trwać przynajmniej cztery minuty, żeby zabić.

Z reguły przy zadzierzgnięciu mamy poziomo ułożoną zamkniętą bruzdę. Odbicie pętli jest wyraźnie zarysowane na karku. Tu też tak było. Łatwo też zauważyć wyboczyny podspojówkowe i podśluzówkowe. No i te na twarzy. Obrzęk języka, przekrwienie mózgu i czasem wytrzeszcz gałek ocznych to kolejne rzeczy, które można zaobserwować. Choć tu tego nie było, więc twarz pani Dominiki wyglądała dość normalnie, jak zresztą pan widział w otwartym grobie. Ewentualny wytrzeszcz jest spowodowany tym, że pętla uciska żyły szyjne. One odprowadzają krew z głowy. Zaobserwowałem też u denatki złamanie chrząstek krtani. To dość charakterystyczny objaw, choć nie zawsze występuje. Mamy więc całą paletę sygnałów i oznak zadzierzgnięcia. A teraz muszę już iść.

Podgórski spojrział na młodego medyka sądowego zaskoczony. Takiego potoku informacji się nie spodziewał. Bratkowski jednak jakąś tam wiedzę posiadał, mimo że na polanie w Rarogach wydawało się inaczej.

– Jeszcze moment – wtrącił się Łukasz. – Czyli Dominika nie została uduszona gołymi rękoma, tylko sznurem? Dobrze zrozumiałem?

– Powinien pan odrobić lekcje z terminów z zakresu kryminalistyki i medycyny sądowej – odparł medyk z godnością. – Zadzierzgnięcie to specyficzny rodzaj zagardlenia. Ucisk jest wywoływany przez pętlę. Tylko jest ona zaciskana ręcznie przez jakiegoś człowieka. A nie, jak to jest u wisielca. Przecież przed chwilą to tłumaczyłem. Uduszenie gołymi rękoma, jak to pan określił, to jest tak zwane zadławienie. Jeśli chodzi o Dominikę Konopkę, stawiałbym na to, że zadzierzgnięcia dokonano jakąś linką albo kablem. Sprawcy używają różnych rzeczy. Od linek do wieszania prania, przez krawaty czy nawet rajstopy. Ale tu stawiałbym na coś w rodzaju linki lub kabla.

Daniel skinął głową z aprobatą. Miał teraz wrażenie, że rozmawia z kimś pokroju doktora Koterskiego. Może nie docenił młodego medyka. Chyba nie będzie tak źle, jak się tego rano spodziewał.

– Próbowwała walczyć? – zapytał.

– Możliwe. Miała połamane niektóre paznokcie. Niestety niewiele materiału udało się spod nich zebrać. Sprawca musiał być ubrany tak, że go nie zdołała zadrapać. Płód oczywiście też był martwy. Niestety. A teraz naprawdę muszę już iść. Do widzenia.

Bratkowski przepchnął się pomiędzy Danielem i Łukaszem i ruszył szybkim krokiem w stronę parkingu. Zatrzymał się przy jakimś fiacie. Syn

spojrzał na Podgórskiego pytająco.

– Odpuść mu – zaśmiał się policjant.

– Dziwny typ.

– Tu muszę się z tobą zgodzić – odparł Daniel, otwierając drzwi do komendy. Nie było co odwlekać wejścia w paszczę lwa.

Jakby na zawołanie od strony dyżurki rozległo się rytmiczne stukanie obcasów. Podgórski miał ochotę zakląć i wycofać się chyłkiem, jak zrobił to młody medyk. Tylko że i tak nie ominie go spotkanie z Mari Carmen. Nie było przed nią ucieczki. Zresztą zaraz zacznie się odprawa, a znając życie, nowy komendant i tak ją na nią zaprosi.

Daniel skinął głową dyżurnemu i wpisał kod przy drzwiach prowadzących do części zamkniętej. Mari Carmen stała w korytarzu, najwyraźniej na niego czekając. W rękach trzymała białą teczkę.

– Dzień dobry – powiedziała z uśmiechem.

Musiała zadzierać głowę, żeby na niego patrzeć. Mogła mieć najwyżej sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Prawie pół metra mniej niż Podgórski. Żadne obcasy, nawet najwyższe, nie wyrównałyby tej różnicy. Mimo to Daniel czuł przed nią lęk, bo wydawała się zdolna do wszystkiego. A co gorsza, policjant miał wrażenie, że bawi ją straszenie go kolejnymi ewentualnymi postępowaniami.

– No i jak tam, panie Danielu? – zapytała z uśmiechem na oliwkowej twarzy.

Z pochodzenia była Hiszpanką, choć z tego, co Daniel wiedział, urodziła się w Polsce. Wyszła za mąż za Polaka. Stąd swojsko brzmiące nazwisko Sikora.

– Po staremu – odparł cierpko, wiedząc, że trzeba przy niej uważać na każde słowo.

Podgórski podpadł jej w sposób zupełnie nieprawdopodobny. Mari Carmen chciała uprawiać z nim seks w łazience. Kiedy odmówił, oskarżyła go o złożenie niemoralnej propozycji i o molestowanie. Potem było już tylko gorzej. Ciekawe, czy gdyby poszli do tej cholernej łazienki, zyskałyby spokój czy znalazłaby inny powód, żeby go prześladować.

– Jak się panu podoba mój balejaż? – zagadnęła, przejeżdżając ręką po włosach.

Rzeczywiście wśród gęstych ciemnych pukli widać było jasne pasemka. Wyglądało to całkiem dobrze. Podgórski nie miał jednak ochoty omawiać

jej fryzury. Ani tym bardziej jej komplementować.

– Co masz w tej teczce? – zapytał.

Nie zamierzał też silić się na formę pani. Mari Carmen używała zamiennie form ty i pan. W zależności od nastroju i chyba efektu, który chciała uzyskać. On uznał, że odpuści sobie formalności.

Mari Carmen posłała mu kolejny uśmiech.

– Twoją przyszłość – oznajmiła. – Lub jej brak.

[4](#) Slang. Pomieszczenie dla Osób Zatrzymanych, potocznie: policyjny areszt.

[5](#) Slang. Policjant prewencji.

ROZDZIAŁ 9

Brodnica.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 11.50.

Weronika Podgórska

To tu! – krzyknął Nestor Obuch. – Cholera, przejechałaś! Teraz będziesz musiała zawrócić i stracimy czas!

W głosie mężczyzny brzmiał wyrzut, jakby to była jej wina. Weronika pokręciła głową zirytowana. Szczerze mówiąc, miała dosyć tego całego Nestora i tej wyprawy. Wolałaby być teraz z córeczką.

Obuch był najgorszym nawigatorem, jakiego mogła sobie wyobrazić. Gdyby nie powiedział jej, że mają dojechać w okolice Lidla w Brodnicy, pewnie dotarliby zupełnie gdzie indziej. Polegając tylko na jego wskazówkach, pojechałaby wszędzie, ale na pewno nie tu.

Tę część trasy znała. Kłopoty zaczęły się dopiero na koniec. Weronika nie wiedziała, gdzie dokładnie znajduje się adres, pod który jadą. Mieszkała na tych terenach od końca dwa tysiące dwunastego roku, nadal jednak nie zapamiętała wszystkich nazw ulic. Zresztą w Warszawie, skąd pochodziła, też miała z tym kłopot. Brodnica była oczywiście mniejsza, ale to nie miało znaczenia.

Podgórska zerknęła we wsteczne lusterko. Maria, Klementyna i Malwina z trudem mieściły się na tylnej kanapie. Pisarka była wysoka, ale szczupła. Kopp niewielka, za to kanciastej budowy. Jednak to była teściowa zajmowała większość miejsca. Chrupała teraz w najlepsze ciasteczka, siejąc okruchy na wszystkie strony.

– Proponowałam, ale nikt z was nie chciał – powiedziała, zauważając chyba spojrzenie Weroniki w lusterku. – Upiekłam sama i lepsze niż kupne. A przepis prosciuseńki. No i wegańskie, tak jak dla was. Olej, mąka, cukier, mleko roślinne i szczypta soli. Ot i cała filozofia, a jakie dobre. Nie sądziłam nawet, że...

– Zawrócę na parkingu przy Lidlu – ucięła Weronika.

Maria mogła godzinami opowiadać o pieczeniu i gotowaniu. Podgórska nie miała teraz do tego cierpliwości. Prawdę mówiąc, zapal do prowadzenia śledztwa zupełnie jej ostygł. Chciała wrócić do córeczki. Mariusz na pewno dobrze się nią zajmował, ale przez kilka godzin Weronika bardzo się stęskniła. Czuła niepokój na myśl o tym, że nie wróci szybko do domu.

Z drugiej strony opanowała ją niewytlumaczalna fala spokoju. Wreszcie chyba zaczynała czuć się jak normalna matka, która chce zajmować się swoim dzieckiem, a nie ciągle od niego ucieka. Wyrzuty sumienia gnębiące Weronikę w ostatnich miesiącach może wreszcie znikną.

Z racji swojego zawodu doskonale wiedziała, czym jest depresja poporodowa. Mimo to nie potrafiła zaakceptować faktu, że ją też ona dotknęła. Gdyby miała do czynienia z pacjentką, zapewne inaczej by ją traktowała niż samą siebie. Biczowanie się wyrzutami sumienia nie było dobre. Nie potrafiła jednak z tym sobie poradzić aż do teraz. W tej chwili była przekonana, że wszystko się jakoś ułoży.

Dojechała ulicą Lidzbarską do marketu Lidl. Wjechała na parking i okrążyła stojące tam samochody, żeby znów wyjechać na drogę. To był znacznie łatwiejszy manewr niż zawracanie na jezdni.

– Teraz – krzyknął Nestor Obuch.

Gdyby nie wiedziała już, że ma skrócić w wąską uliczkę po lewej, to znów by ją przegapiła. Mężczyzna reagował zdecydowanie za późno. Wjechali pomiędzy domy jednorodzinne skupione przy ulicy Jagiellońskiej.

– Spoko. Ale! Wyjaśnisz nam w końcu, dokąd jedziemy, co? – zapytała Klementyna.

Nestor powiedział im, że przeprowadził własne śledztwo. Zaczęło się od nieoczekiwanej wizyty Leszka Konopki na widzeniu w więzieniu w Starych Świątkach. Kiedy Obuch wyszedł na wolność, okazało się, że Leszek został zamordowany. Niedługo potem zniknął autobus. Mężczyzna dodał dwa do dwóch, jak sam powiedział, i zaczął badać sprawę na własną rękę. Jego zdaniem najważniejsza była osoba Edyty Majchrzak. Nestor nie

wyjaśnił jednak dlaczego. Powiedział, że same się przekonają, jak pojedą z nim do Brodnicy. Wsiadły więc do jeepa Weroniki i pojechały, zwłaszcza że w jego tonie było coś, czego nie dało się zignorować.

– Poczekajcie. Zaraz się dowiecie! – oznajmił Nestor wyraźnie podekscytowany. – Jeszcze moment i będziemy!

Jechali przez chwilę Jagiellońską. Po dwóch stronach stały domy jednorodzinne.

– To tu! – zawołał Nestor, pokazując niewielki szary budynek po prawej.

Weronika zjechała na chodnik. Był wąski. Jej samochód zajmował prawie całą szerokość. Chyba wbrew przepisom. Uznała jednak, że nie będzie się przejmować, będą tu tylko chwilę.

Drzwi domu otworzyły się i na próg wyszła kobieta. Mogła mieć koło pięćdziesiątki. Była przy kości i miała krótkie kasztanowe włosy.

– To jest moja informatorka. Nie musicie znać jej nazwiska. Nawet lepiej, żebyście nie znały.

– Cóż za konspiracja – mruknęła Kopp z krzywym uśmiechem na pomarszczonych ustach.

– A to nie jest Alicja Kurska ze szpitala? – zapytała Maria z całym spokojem. – Jedna z pielęgniarek?

Weronika usłyszała, że Malwina parska śmiechem. Sama również nie mogła się powstrzymać. Maria była nieocenionym źródłem nie tylko wypieków, ale też wszelkich miejscowych plotek, koligacji, imion, nazwisk i czego tylko się chciało. Podgórskiej zdawało się, że była teściowa zna wszystkich ludzi w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od miasta. Brodnica liczyła koło trzydziestu tysięcy mieszkańców. Trudno było odgadnąć, jak Maria to zapamiętuje.

– Chodźmy – mruknął Nestor.

Był chyba zaskoczony, że jego informatorka została zdekonspirowana tak ekspresowo. Starał się jednak zachować dobrą minę. To też było zabawne, bo czego się spodziewał? Przecież przywiózł je pod dom tej kobiety. Nie był chyba najlepszy w ukrywaniu tajemnic. A może po prostu mu nie zależało i to była tylko gra? Weronika jeszcze go nie rozgryzła.

– Witam – powiedziała Alicja, kiedy stanęli pod jej płotem.

Nie wyglądała na zaskoczoną. Chyba ich oczekiwała. Nestor pisał coś na telefonie, kiedy tu jechali. Zapewne zawiadomił ją, że przyjadą.

– Możemy? – zapytała Malwina, kiedy gospodyni nie zapraszała ich do środka.

– Tak.

– Co tam w szpitalu? – zagadnęła Maria. – Pani chyba niedawno się przeniosła. Bo przedtem pracowała w prywatnej klinice, prawda?

– Tak. No i właśnie o tym chcecie rozmawiać, czyż nie?

– Dokładnie tak – odparł Nestor i uśmiechnął się przebiegle.

– Będziecie wchodzić do środka? – zapytała kobieta.

– Nie, nie mamy czasu – odparł Nestor Obuch szybko. – Zbliża się południe. A od południa do trzynastej to tylko chwila.

– A to my mamy gdzieś być o trzynastej? – zdziwiła się Maria.

– Ano lepiej tam nie być – zaśmiał się Nestor.

Weronice nie podobał się ten śmiech. Zerknęła na Klementynę. Kopp miała zmarszczone brwi, jakby się nad czymś zastanawiała. Chyba też była zaniepokojona.

– Jak już najwyraźniej wiecie, pracowałam w klinice Stefana Majchrzaka – zaczęła pielęgniarka. – Zanim mnie stamtąd wykopał. Mnie i moją psiapsiółkę. Ewka co prawda miała gorzej, jak Majchrzak nas wywalił, bo jej chłop ma raka. Teraz jest z nim trochę lepiej, ale wtedy trzeba się było nim opiekować. Zresztą tak się poznali. Bo ona się nim zajmowała, jak dorabiała jeszcze w innym miejscu. Strasznie są w siebie wpatrzeni. Ubrania podobne, bransoletka identyczna, żeby podkreślić, że stanowią jedność. Nawet takimi samymi samochodami jeżdżą. Dla mnie to już przesada. Ale każdy ma, co lubi. Zresztą nieważne. Odbiegam od tematu. Pan wielki szef Majchrzak nas zwolnił. Najpierw myślał chyba, że ot tak sobie pójdziemy. Ale nie wiedział, że jestem pamiętliwa. W końcu od ręki załatwił nam robotę w szpitalu w Brodnicy. Jeżeli mnie kto spyta, to moim zdaniem po to, żeby nam zamknąć usta. Znaczący nie chciał, żebyśmy były niezadowolone i żebyśmy mu bruździły. Że tak to ujmę. Po prostu chciał się wkupić w nasze łaski. I tyle.

– Spoko. Ale! Może do celu, co?

– Pani też miała raka? – zapytała pielęgniarka, patrząc na ogoloną na łyso głowę Klementyny.

Kopp spojrzała na nią spod oka. Wydawało się, że nie odpowie. W końcu jednak przejechała ręką po głowie i mruknęła:

– Ja nie. Moja dziewczyna. Teresy już nie ma. I tyle.

Weronika dobrze wiedziała, jak bardzo Klementyna przeżyła śmierć ukochanej. Podgórska i Kopp poznały się co prawda rok później, ale nie raz była o tym mowa. Oczywiście nie wprost. Jeśli chodziło o uczucia, to z Klementyną rzadko mówiło się wprost. Z kolei w sprawach innych niż uczucia tylko wprost się dawało. Emerytowana policjantka nienawidziła owijania w bawełnę.

– Przykro mi – rzuciła Alicja.

Zabrzmiało to beznamiętnie. Jakby to była często powtarzana formułka. Może Weronika była niesprawiedliwa. Pielęgniarka spotykała się ze śmiercią na tyle często, że nie mogła podchodzić do niej zbyt emocjonalnie.

– Krezus Majchrzak chciał się ich pozbyć z kliniki, bo za dużo wiedziały – włączył się do rozmowy Nestor Obuch. – Tak samo jak Leszek Konopka i Edyta Majchrzak. Tylko oni wiedzieli więcej. No i teraz nie ma ani jednego, ani drugiego.

– O czym konkretnie panie wiedziały? – zapytała Malwina, pobrzękując bransoletkami i kolczykami.

To było strasznie irytujące. Z drugiej strony Weronika musiała przyznać sama przed sobą, że uczucia, jakie żywiła wobec pisarki, zdecydowanie nie były obiektywne. Nie podobało jej się, że zaprzyjaźniła się z Danielem. Za bardzo przypominało to historię z Emilią. Bolało, mimo że Podgórski nie był już mężem Weroniki.

– Na przykład o tym, że związek szefa z panią Edytą od dłuższego czasu był fikcją – poinformowała pielęgniarka. – Znacząca małżonka szefa akurat o tym chyba nie wiedziała, ale Majchrzak chciał się jej pozbyć. Znacząca wziąć rozwód. Któregoś razu słyśmy z Ewką, jak o tym gadał ze swoim prawnikiem. Tylko że to nie było takie łatwe, bo przedtem był wobec żony zanadto szczery. Za dużo wiedziała, że tak powiem. Wtedy nie domyślałyśmy się z moją psiapsiółką, o co chodzi, ale potem Nestor zaczął się kręcić i przekazał mi, co mu opowiedział na widzeniu ten chłopak, którego zamordowano. No i to się wszystko układa w całość. Dobrze, że Majchrzak nie wiedział, że ja i Ewka coś wiemy. Bo pewnie też by mnie tu już nie było.

– Spoko. Ale! Do celu – warknęła Kopp wyraźnie zniecierpliwiona.

Nestor uśmiechnął się i zerknął na zegarek. Naprawdę zależało mu na czasie. Tylko czemu nie wspominał o tym, kiedy tu jechali?

– Tak, tak – powiedział. – Otóż jak Leszek do mnie przyszedł na widzenie, to opowiedział mi o czymś, co go bardzo zaniepokoiło i zaintrygowało. Byliśmy pokłóceni, bo bądź co bądź to przez niego siedziałem w pierdlu. Ale jednocześnie wiedział, że ja najlepiej znam się na takich przekrętach, jakie robią bogacze. I bardzo dobrze, że do mnie przyszedł, bo to nie może być tak, że rządzą nami tylko elity i są bezkarne. Co z resztą społeczeństwa?

– Lepiej powiedz, co z resztą tej historii, co? – sarknęła Kopp.

– Leszek chodził leczyć się do Edyty Majchrzak. Już mówiłem, że ona była psychiatrą. No i tam w klinice jej męża są różne specjalizacje. Nie tylko związane z sercem. On oczywiście tam przyjmuje, bo jest kardiochirurgiem, ale ma wszystkich możliwych lekarzy. I oczywiście wygórowane ceny, jeśli idzie się prywatnie. Nie na NFZ. A i tak było mu mało. Oni zawsze chcą więcej. I zrobił to bardzo sprytnie. Dopisywał ludziom zabiegi, których nie wykonywał, i zgłaszał to do NFZ, żeby państwo mu za to zapłaciło. Mniej więcej tak to się odbywało?

– Mniej więcej tak – potwierdziła pielęgniarka. Schowała ręce w kieszeniach grubej bluzy.

Weronice też zrobiło się chłodno. Dzień nie był szczególnie zimny. Teraz spośród chmur przeświecało nawet słońce, ale była już jesień. Nie można było dać się zwieść pozornemu ciepłu.

– No i Leszek przypadkiem zobaczył w swojej karcie zabieg, którego mu nie zrobiono. I to nie tylko jeden. A co najśmieszniejsze, jeden był w ogóle z dupy! Bo Leszek jakoby miał robione coś z jajnikami. Czaicie? Majchrzak się nie pierdolił, tylko wpisywał te zabiegi jak leci.

– To były zabiegi na NFZ, nie prywatne – uściśliła pielęgniarka. – Czyli właśnie NFZ płacił szanownemu panu Majchrzakowi za ich wykonanie. To szło jakby z ubezpieczenia pacjenta. Tylko że zabiegów nie było. Jeżeli są panie ciekawe, czy ktoś nie robi tak na pań nazwisko, to sobie mogą panie zajrzeć do systemu w Internecie. Tam jest lista...

– Jak duże to może być oszustwo, co? – przerwała jej Kopp. – O jakiej kasie mowa, co?

– W zależności od tego, jak wielu pacjentów do tego wykorzystał – zaśmiała się pielęgniarka. – Ja o tym nie wiedziałam. Nestor dopiero potem do mnie z tym przyszedł, ale już było za późno, żebym bezpiecznie pogrzebała w kartach. Wiem tylko, że pan Majchrzak chciał się pozbyć pani

Edyty. Wtedy nie wiedziałam dlaczego. Dopiero jak Nestor zaczął działać i mnie znalazł, to połączyliśmy fakty. Ale czytałam kiedyś artykuł o lekarce, która sfalszowała dokładnie w ten sposób karty prawie dwóch tysięcy pacjentów i chyba ze trzysta tysięcy z tego wyciągnęła, że tak powiem. Niezła sumka, co?

– No i widzicie. Znow wyzysk bogaczy – wtrącił się Nestor. Wyglądało na to, że jest coraz bardziej pobudzony. – Nie dość, że taki Majchrzak ma prywatną klinikę dla takich burżujów jak on sam i gdzie z pańskiej łaski przyjmuje biedaków na NFZ, to jeszcze kręci na tym nielegalną kasę. Podejrzewam, że Edyta Majchrzak o tym wiedziała. Majchrzak chciał rozwodu, ale bał się, że żona zacznie gadać o jego szwindlach. Dlatego ją uciszył. Przedtem zrobił to samo z Leszkiem Konopką. No a czy wiecie, że Dominika też była pacjentką Edyty? I teraz ona też nie żyje. Może więc coś o tym wszystkim wiedziała.

– Ale dlaczego miałyby to zrobić w autobusie? – zapytała Maria. – Leszka przecież zabił w lesie w Rarogach. Tam nikt nie mógł go przyłapać. Jeżeli założyć, że zabił też Dominikę, to była podobna sytuacja. Wręcz identyczna, skoro ich ciała leżały niemal w tym samym miejscu. A z Edytą? Nagle zupełnie inaczej? W autobusie byli przecież inni pasażerowie.

– Ano i tu jest błąd myślenia – zaśmiał się Nestor. – To tylko pozornie trudniej zrobić. Bo jeżeli nie zależało mu na pozostałych pasażerach autobusu, to po prostu ich też usunął. Takie przypadkowe ofiary, żeby pozbyć się żony i odrzucić podejrzenia od siebie. Mogło mu to wpaść do głowy, jak dostał od Edyty esemesa, że skończyło jej się paliwo i zatrzymała autobus. Majchrzak ma rezydencję niedaleko jeziora Ciche. To bardzo blisko trasy autobusu. Wystarczyło, że wyszedł z domu, wsiadł w samochód i pojechał.

– Co potem zrobił z autobusem i resztą pasażerów? – zapytała Weronika, choć w sumie pomysł nie był tak całkiem niedorzeczny. Lepiej było to sprawdzić.

– Nie wiem – przyznał Nestor Obuch. – Tego jeszcze nie udało mi się ustalić. Na razie wiemy, jaki ma motyw. Może chodzić o kilkaset tysięcy złotych. Dla takich oligarchów jak on życie ludzkie nic nie jest warte w porównaniu z pieniędzmi. Co go obchodziło, że zabije jeszcze kilka osób oprócz żony? Otóż powiem wam. Nic go to nie obchodziło. Tacy jak on nigdy nie ponoszą konsekwencji swoich czynów. Nawet tych najbardziej

ohydnych. Bierze kasę, sypie nią, gdzie trzeba, i już. Do ciupy to on na pewno nie trafi. Dlatego wszystko przygotowałem. Nie zamierzam pozwolić, żeby światem rządziły uprzywilejowane jednostki.

– Czekaj. Stop. Co dokładnie przygotowałeś, co? – zaniepokoiła się Kopp.

Mężczyzna znów zerknął na zegarek.

– Ogień. Będzie ogień. Będą mieli swojego raroga.

Te słowa zabrzmiały jak bredzenie szaleńca. Ale było coś, co sugerowało, że trzeba potraktować je poważnie. Weronika widziała po twarzach pozostałych, że odczuwały to samo. Nestor kręcił warkoczyki na brodzie z coraz większym zapamiętaniem. Jakby miał je zaraz oderwać. Na policzki wystąpił mu rumieniec. Szczerze mówiąc, wyglądał teraz jak jeden z jej pacjentów, kiedy prowadziła praktykę w Warszawie. Zakończenie nie było najlepsze. Ogarnęły ją złe przeczucia.

– Co masz dokładnie na myśli? – zapytała delikatnie, żeby go bardziej nie pobudzać.

– Podłożyłem bombę – oznajmił Nestor z wyraźną dumą w głosie. – No i zaraz będzie sprawiedliwość. Bum.

ROZDZIAŁ 10

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 12.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Sprawą śmierci Leszka Konopki rok temu zajmował się Zdzisiek Potocki – oznajmiła Fijałkowska. – Jak wiecie, niestety nasz kolega dostał zawału. Ja to później przejęłam, ale nie udało się ustalić zabójcy.

Głos naczelniczki brzmiał ni to przepraszająco, ni zaczepnie. Zebrali się na krótkiej odprawie w pokoju nowego komendanta. Daniel nie był z tego powodu zadowolony, głównie dlatego, że na honorowym miejscu obok szefa zasiadła Mari Carmen. Nadal trzymała w ręku białą teczkę. Pełną zapewne jakichś materiałów przeciwko Danielowi, skoro stwierdziła, że to jego być albo nie być.

Podgórski ledwie się powstrzymał, by nie podejść i nie wyrwać jej tej teczki. Chociażby z ciekawości, żeby zobaczyć, co tym razem Mari Carmen wymyśliła. Jak na razie wszystkie donosy, którymi go straszyla, były wysrane z palca. Może sama je preparowała.

Ostatnio sugerowała, że Podgórski pobił jakiegoś gościa, żeby wymierzyć sprawiedliwość szybciej, niż zrobiłoby to prawo, a tym samym przekroczył uprawnienia służbowe. Daniel nie raz miał ochotę zrobić coś takiego. Zwłaszcza na początku swojej służby w policji. Jeździł wtedy często na interwencje dotyczące przemocy domowej. Kiedy pod dany adres trzeba było tłuc się po raz kolejny, naprawdę miał ochotę dać delikwentowi w łeb, żeby nareszcie się uspokoił.

Niełatwo było trzymać nerwy na wodzy, ale Danielowi jakoś zawsze się to udawało. A jeśli chodzi o rzekomo poszkodowanego, o którym Mari Carmen mówiła mu ostatnio, to nawet nie znał jego nazwiska. Nigdy takiej osoby nie spotkał. A Sikora wymachiwała mu przed nosem jakimiś zeznaniami. Wyssanymi z palca. Tak się na niego nakręciła, że pewnie gdyby udało jej się znaleźć kogokolwiek, kto naprawdę zdecydowałby się go oskarżyć, już dawno zostałyby wszczęte jakieś postępowanie. Nie przychodziło mu do głowy, do czego można by się przyczepić w stosunku do jego osoby. Nie był święty, ale nigdy nie przekroczył granicy. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Podgórski zerknął na funkcjonariuszkę BSW. Może Łukasz miał rację i warto by zgłosić ten mobbing wyżej, a nie udawać, że nic się nie dzieje? Tylko kto by mu pomógł, skoro nowy komendant i Mari Carmen byli znajomkami? W wojewódzkiej też na pewno mieli przyjaciół. Tak więc w praktyce nic nie można było zrobić oprócz zaciśnięcia zębów. Myśl o tym, że miałyby się poddać jej zastraszeniom, napawała Podgórskiego wyjątkowym obrzydzeniem. Nie miał ochoty pokazać jej, że cokolwiek go ruszyło.

– To nie byłby pierwszy raz, kiedy policja nawala – powiedział nieco ostentacyjnie prokurator Bastian Krajewski.

Poprawił okulary, nie patrząc na nikogo ze zgromadzonych. Policjanci nazywali go Zjawą. Nie tylko dlatego, że był albinosem i jego blada skóra, białe włosy i niezwykłego koloru źrenice nadawały mu wygląd ducha. Również dlatego, że zjawiał się i znikał zupełnie niepostrzeżenie.

A z reguły w ogóle się nie zjawiał. Dlatego Daniel był zaskoczony, że zaszczycił ich dziś na komendzie. Krajewski nie lubił wychodzić z prokuratury. Unikał przyjeżdżania na miejsce zdarzeń i w pracy ograniczał się tylko do niezbędnego minimum.

Ale był bliskim przyjacielem Malwiny Górskiej. Pisarka opowiadała Danielowi dużo dobrego o prokuratorze. W rezultacie policjantowi ciężko było pogodzić te dwa tak sprzeczne obrazy Krajewskiego.

– Może i do tej pory tak było, panie prokuratorze. Ale to na pewno się zmieni – odparł nowy komendant z uśmiechem. – Podinspektor Mari Carmen Sikora pomoże mi oczyścić tę jednostkę z niepożądanego elementu i wkrótce wszystko będzie u nas chodziło jak w zegarku. Zobacz pan. Nasza współpraca będzie zdecydowanie bardziej owocna niż dotychczas.

Młodszy inspektor Michał Więckowski był dość niskim mężczyzną o wąskiej twarzy. Rude włosy nadawały mu lisi wygląd. Błyskał na wszystkie strony ciemnymi oczami. Teraz co prawda nie zatrzymały się na Danielu ani na moment, ale policjant był pewien, że określenie niepożądany element tyczyło się między innymi jego.

Fijałkowska odchrząknęła, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Spróbuję przybliżyć zdarzenia, żeby wszyscy państwo byli w temacie. Głównym podejrzanym w sprawie śmierci Leszka Konopki był Tomasz Lorenz. Prześladował Leszka od szkoły podstawowej, głównie ze względu na jego orientację seksualną. Drugim podejrzanym był Szczepan Prawda. A to z tego powodu, że do niego należało prawdopodobnie narzędzie zbrodni, czyli piła mechaniczna. Jak wiemy, obaj zaginęli razem z autobusem. W każdym razie wracając do narzędzia zbrodni, dzisiejsze odkrycie na polanie niedaleko Rarogów pokazuje, że być może Leszek został postrzelony, zanim odpiłowano mu głowę. Doktor Bratkowski przekazał czaszkę do biegłego. Szkoda, że nie ma z nami dziś doktora Koterskiego, który przeprowadzał wtedy sekcję zwłok. Ale zajrzałam do dokumentacji. No i zainteresowało mnie to, co znaleźliście wtedy z Koterskim na rękach denata.

Fijałkowska skinęła głową w stronę Ziółkowskiego. Szef techników jak zwykle się skrzywił. Upił kilka łyków kawy i odstawił kubek. Pachniała zachęcająco. Idealnie pasowałyby do niej kawałek szarlotki jego matki. Daniel z miejsca poczuł, że robi się głodny. Nic nie jadł od rana. Przełknął ślinę. Z drugiej strony lekka głodówka mu nie zaszkodzi. Ostatnio znów przybyło mu kilka kilo.

– Fakt – potwierdził technik. – Teraz sobie przypominam, że Leszek Konopka miał na dłoniach ślady prochu. Ale zdaje się, że wtedy nikt na to nie zwrócił uwagi, bo chłopak był tego dnia na strzelnicy. Regularnie tam chadzał. Mogę się oczywiście mylić.

Fijałkowska znów odchrząknęła. Uśmiech zadowolenia zniknął z jej twarzy. Liczyła chyba na większy efekt swojej wypowiedzi, a została zgaszona przez Ziółkowskiego.

– Tak. Ale nie tylko on chadzał na strzelnicę – poinformowała, przekładając papiery. – Strzelał razem z Modestem Obuchem. Zdaje się, że Obuch był w tym całkiem niezły. To było ich wspólne hobby.

Daniel miał ochotę przejechać ręką po brodzie. Nabrał tego zwyczaju, kiedy ją zapuścił. Prawie zapomniał, że nadal ma na twarzy tę nieszczęsną maseczkę. Poprawił ją. Część osób w pokoju zdjęła swoje. On wolał nie wychodzić przed szereg, kiedy obok była Mari Carmen. Gotowa nawet o to się przyczepić.

Ale wracając do rzeczy, pomyślał. Bożena Prawda zwróciła ich uwagę na to, że Modest i Nestor Obuchowie znaleźli ciała. Najpierw Modest Leszka, a potem Nestor Dominikę. A teraz okazywało się, że na pewno jeden z nich umiał strzelać.

– Modest zniknął razem z autobusem, ale mam trochę notatek na jego temat w papierach Zdziśka. Więc mamy jakieś informacje, mimo że porozmawiać z nim nie możemy. Zdzisiek napisał, że jego zdaniem Modest był porządnym człowiekiem i bardzo wierzącym. I że pomagał Leszkowi w dużej mierze bezinteresownie. Chociaż mogły się też za tym kryć wyrzuty sumienia, bo brat Modesta, Nestor, wciągnął Leszka w działalność jakichś aktywistów, którzy tak naprawdę byli zwykłą chuliganerią. W każdym razie Leszek miał problemy psychiczne przez to, że nie był akceptowany przez rówieśników, i Modest wymyślił strzelanie jako coś, co w chłopaku podbuduje poczucie wartości.

– Jak miło – odezwała się Mari Carmen.

Podgórski nawet nie musiał na nią zerkać, żeby mieć pewność, że na jej twarzy pojawił się słodki uśmiech. Jakby na przekór temu, co robiła, jej ton ociekał spokojem i był wręcz cukierkowy. Sprawiało to nieprzyjemne wrażenie.

– Jo – potwierdziła Fijałkowska.

– Ach, to wasze urocze małe słówko – wyszczerzyła się znów Mari Carmen. – Zawsze tak miło je słyszeć, aż chce się wracać.

Podgórskiemu chciało się już rzygać od tych jej uśmiechów.

– Ktoś sprawdzał wtedy dłonie Modesta Obucha? – zapytał, żeby skupić się na temacie spotkania.

Nie chciało mu się już powtarzać, że nie mogą zakładać, że dziura w czaszce jest efektem postrzału, póki nie potwierdzi tego biegły. Nadal pamiętał o Bożenie Prawdzie i jej twierdzeniu, że to musi być dziura po kuli. Może sama ją zrobiła, by zamaskować zbrodnię męża. Pytanie oczywiście, dlaczego akurat teraz. Kto to mógł wiedzieć. Ludzie robili

dziwniejsze rzeczy. Natomiast jakieś założenia trzeba było poczynić. Chociażby roboczo.

– Chyba nie. Wtedy nie wiedzieliśmy, że Leszka Konopkę być może zastrzelono – wyjaśniła Fijałkowska. – W każdym razie nic takiego nie znalazłam w papierach. Tylko trzeba jeszcze podkreślić, że nie tylko ta dwójka chodziła na strzelnicę. Stałym bywalcem był też Tomasz Lorenz. Szczepan Prawda też od niej nie stronił. Zwłaszcza że ta strzelnica należy do jakiegoś jego znajomego. A nie wiem, czy nie jednego z grona tych ludzi z otoczenia Hanny Lorenz.

– Czyli wracamy de facto do punktu wyjścia – odparł cierpko Zjawa. – Nawet jeżeli Leszka Konopkę zastrzelono, nadal mamy tych samych podejrzanych.

– Może zastanówmy się w takim razie, dlaczego odpiłowano mu głowę – zaproponował Daniel. – Załóżmy, że faktycznie Leszek został postrzelony. Ale potem głowę usunięto. Myślę, że nikt by sobie tyle trudu nie zadał, skoro chłopak już i tak nie żył, jeżeli nie chodziło o ukrycie faktu strzelania.

– Chyba że głowa była potrzebna na przykład do jakiegoś rytuału – odezwał się Łukasz. – Jeżeli to zdarzyło się rok temu, to też było Halloween. Odpiłowana głowa, samotna polana i takie tam. Może ktoś za bardzo odleciał i uznał, że wprowadzi w życie dość makabryczne scenariusze.

Uczestnictwo Łukasza w odprawie było dla Daniela zaskoczeniem. Zaproponowała to Mari Carmen po tym, jak oznajmiła Podgórnemu, że jego przyszłość ma w tej cholernej białej teczce. To, że potem zaprosiła Łukasza na odprawę jakby nigdy nic, napełniło Daniela niepokojem. Syn jednak z miejsca ucieszył się, że ma okazję brać udział w większej sprawie niż typowe interwencje, do których jeździł z kolegami z OPI⁶. Zapomniał najprawdopodobniej na moment, że Mari Carmen to wilk w owczej skórze.

– Ciekawa koncepcja – odparła funkcjonariuszka BSW. Z jej tonu nie dało się wywnioskować, czy naprawdę tak uważa, czy szydzi z chłopaka.

Rytuały satanistyczne też warto było brać pod uwagę, choć wydawało się to surrealistyczne, mimo że tereny nad Retnem i Cichem obfitowały w legendy, a nawet same Rarogi miały krwawą historię. Nie było co prawda mowy o obcinaniu głów ani o składaniu ludzi w ofierze, ale kto wie?

– No i podobno oba ciała leżały prawie dokładnie w tym samym miejscu – kontynuował Łukasz. – To też może świadczyć o jakimś rytuale. Może

sprawca uważa to miejsce za święte.

Syn znów nie wyglądał na ani trochę speszonego. Jakby czuł, że mówi do równych sobie, a nie do przełożonych.

– Może niech nie ponosi nas wyobraźnia – odparł prokurator. Jego usta rozciągnęły się w pobłażliwym uśmiechu.

– Zgadza się. To nie jest horror – zaśmiała się nieco nerwowo Fijałkowska. – To życie. Nie wymyślajmy może...

– No ale młody może mieć rację – przerwała jej Mari Carmen. – Bywa, że ludzie czerpią scenariusze z filmów czy gier. Nie możemy tego wykluczyć. No i poród w trumnie pięknie nam do Halloween pasuje. Należy chwalić świeżość spojrzenia, a nie od razu je tłamsić.

– No właśnie – potwierdził młodszy inspektor Michał Więckowski. – To jest właśnie to, o czym mówię. W naszej jednostce staramy się być nowocześni. Słuchamy głosu młodych i korzystamy z mądrości starych.

Podgórski miał ochotę przewrócić oczami, jak to kiedyś robiła Emilia. Słowa nowego komendanta pięknie brzmiały, ale były pustymi frazesami. Policjantowi nie podobał się ten nagły przypływ przychylności dla Łukasza. Coś musiało się kryć za tą nagłą bezinteresownością szefostwa.

Poruszył się na krześle. Zostało tu przyniesione specjalnie na czas ich spotkania, być może z piwnicy, i nie należało do najmłodszych. Zaskrzypiało głośno, aż wszyscy zwrócili oczy na niego. Czuł, że musi się odezwać. Jakby został w ten sposób wywołany do tablicy.

– No i mamy nowy trop – stwierdził i opowiedział o liście z żądaniem okupu. – Hanna Lorenz uważa, że list podrzuciła jej Dominika Konopka-Piekarska, bo podobno został wrzucony do skrzynki właśnie wtedy, kiedy ona wróciła do wioski. No i Lorenz twierdzi, że Dominika tylko udawała amnezję.

– Biegły psychiatra ją badał – wyjaśniła Fijałkowska. Odłożyła akta poprzedniej sprawy i sięgnęła po drugie. – Gdzieś tu mam nazwisko...

– No ale co z tego? – przerwał jej Podgórski. Był zniecierpliwiony. – Mogła udawać nawet przed psychiatrą. Nie możemy tego wykluczyć.

– Coś w którymś momencie wykluczyć trzeba, bo nigdy się z tym nie uporacie – powiedział Zjawa tonem mentora.

Podgórski miał ochotę przypomnieć mu, że śledztwo tak naprawdę prowadzi prokurator. Choć oczywiście jego prowadzenie może powierzyć policji. Albo w całości, albo w części. Ale zawsze powinien nadzorować

postępowanie przygotowawcze. Mówienie, że się z tym nie uporacie, było więc co najmniej zabawne. Przecież Zjawa jechał razem z nimi na tym samym wózku.

– Pamiętajmy o jednym. Dominika mogła udawać amnezję, tak jak mówisz. Ale nie mogła na pewno symulować odwodnienia i wyczerpania – wtrąciła się Fijałkowska. – Nie wiadomo, co się z nią działo pomiędzy poniedziałkowym wieczorem dwudziestego czwartego lutego, kiedy zaginął autobus, a czwartkiem rano dwudziestego siódmego, kiedy znaleziono ją pod Tamą Brodzką. Mówi się, że woda jest źródłem życia. Bez jedzenia mogła przetrwać. Bez wody już gorzej. No ale gorąco nie było. Raczej zimno. I ona była wyziębiona. Pamiętam, że lekarz, który ją badał, powiedział, że wygląda jak osoba, która błąkała się po lasach. Tego wszystkiego udawać nie mogła.

– Dlaczego? – zapytał Łukasz. Furażerka znów mu się przekrzywiła, dodając zawadiackiego wyglądu. – Bo jeżeli na przykład brała w tych wydarzeniach udział i rzeczywiście podrzuciła list, to mogła celowo nie jeść i nie pić jakiś czas, żeby uwiarygodnić sytuację. A czy nikt jej nie przeszukał, kiedy ją znaleziono? To by wyjaśniło, czy miała przy sobie list, czy nie.

– Ona wybiegła na drogę. Jakieś auto się zatrzymało. Nie pamiętała, co się działo, ale pamiętała Rarogi – wyjaśniła naczelniczka. – Ludzie z auta odwieźli ją do rodziców, a ci zadzwonili na pogotowie i dopiero później my się tym zajęliśmy. Więc bezpośrednio po jej powrocie nikt jej nie przeszukiwał. Faktycznie mogła podrzucić list. Chyba nie możemy tego do końca wykluczyć.

– A ci ludzie, którzy się nią zaopiekowali pod Tamą Brodzką? – zapytał Daniel.

– Czyści. A co z tą Hanną Lorenz? Czegoś się jeszcze dowiedzieliście? Czegoś o przyspieszeniu pochówku?

– Twierdzi, że chodziło jej o to, żeby Dominika spoczęła w poświęconej ziemi – wyjaśnił Podgórski. – Teraz w drzwiach spotkałem doktora Bratkowskiego. Będzie chyba jeszcze raz oglądał ciało?

– Tak. Wróćmy jednak do listu – zaproponowała Fijałkowska. – Przeczytaj, co tam jest napisane.

Podgórski wziął kopię listu. Krzesło znów zatrzęszczało, kiedy się poruszył. Ostatnio stwierdził, że pogarsza mu się wzrok. Siwe włosy na

skroniach też sugerowały, że czterdziestka rządzi się swoimi prawami. Być może będzie trzeba pomyśleć o okularach. Nie podobał mu się ten pomysł.

– *Mamy autobus z twoim wnukiem – przeczytał z kopii listu. – Dawaj forszę, bo go wysadzimy! I to nie na przystanku! Wysadzimy go w pył!!! Chcemy 200 tys. zł. Wiemy, że masz! Masz zostawić 1 marca na rozstaju dróg. Wiesz, gdzie to jest! Za słupem. Nie powiadamiaj policji, bo go wysadzimy. Nie dasz pieniędzy, to go wysadzimy! I jak autobus zwolni, to go wysadzimy.*

– Hanna Lorenz twierdzi, że nikt nie przyszedł po pieniądze – wtrącił się znów Łukasz.

Daniel wolałby, żeby syn się nie wychylał. Zwłaszcza w obecności Mari Carmen. Lepiej, żeby nie zwracała na niego uwagi.

– A to ciekawe – powiedziała, jakby zorientowała się, że policjant właśnie o niej pomyślał.

– Użyta jest liczba mnoga – zauważył Zjawa. – Czyli porywaczy jest kilku. Zastanawiam się, czy stwierdzenie *wiemy, że masz* jest tylko użyte w formie nacisku, czy oni znają Lorenz i wiedzą, że dysponuje takimi pieniędzmi.

– Ona twierdzi, że takich pieniędzy nie ma – wyjaśnił Daniel. – Dziwi mnie natomiast, że mówi o tym liście dopiero teraz.

Ogarnęło go poczucie, że coś przeoczył. Zanim zdążył zebrać myśli, rozległo się pukanie. Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi. W progu stanął dyżurny.

– Mamy bombę – oznajmił bez wstępu.

W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza.

[6](#) Ogniwo Patrolowo-Interwencyjne.

ROZDZIAŁ 11

W drodze do rezydencji państwa Majchrzaków.

Sobota, 31 października 2020.

Godzina 12.55.

Malwina Górska

Malwina przytrzymała się rączki nad drzwiami, kiedy Weronika dodała gazu. Silnik jeepa pracował głośno. Wjeżdżali w zakręt zdecydowanie zbyt szybko. Pisarka obawiała się, że zaraz zwymiotuje. Nie było jednak czasu na marudzenie. Chodziło o ludzkie życie.

Kiedy Nestor Obuch poinformował je, że podłożył bombę, Kopp natychmiast zarządziła, że jadą na miejsce, żeby uratować Stefana Majchrzaka. Bomba została podłożona podobno w garażu. Nestor znał rozkład dnia lekarza i wiedział, że ten ma w zwyczaju kończyć pracę około południa. Mniej więcej godzinę później był w domu. Bomba miała wybuchnąć o trzynastej.

– Jak otworzy garaż, to ładunek sam się zdetonuje – poinformował Nestor. – Nawet jeżeli zawiódłby wyzwalacz ustawiony na pełną godzinę. Wszystko przemyślałem. Za chwilę wybuchnie. Nie powstrzymacie tego.

Malwina widziała kątem oka, że Maria się przeżegnała. Pisarka odwróciła się do Klementyny. Ta siedziała bez ruchu wpatrzona w krajobraz za oknem. Już z Brodnicy zadzwoniła na komendę, żeby zawiadomić, co się dzieje. Z nadzieją, że jeżeli one nie dotrą na czas, to będzie tam już policja. Na razie nie było słyhać syren, wyglądało więc na to, że one są pierwsze.

– Oby recepcjonistka zadzwoniła do szefa – sapnęła Maria.

Próbowały oczywiście ostrzec samego lekarza. Dotarcie do Majchrzaka nie było jednak łatwe. Bezpośredniego numeru nie miały. Zadzwoniły do

kliniki, ale recepcjonistka nie uwierzyła w ich opowieść. Rozmawiała z nią Malwina. Miała niestety poczucie, że dziewczyna wzięła ją za wariatkę. Bomba? W garażu? Faktycznie brzmiało to dość nieprawdopodobnie. Zwłaszcza tu pośród lasów, daleko od wielkich wydarzeń.

– Nie uda wam się tego powstrzymać – powtórzył, znów bawiąc się warkoczykiem na brodzie. – To jest pierwszy krok do tego, żeby wyrównać szanse społeczne. Nie rozumiecie? I ukarać człowieka, który w przeciwnym razie kary nie poniesie. Oni działają na zasadzie: ręka rękę myje. Bogaci chronią bogatych. A ich wszystkich chronią służby. Policja, wojsko, lekarze. Wszyscy! To jest jeden wielki spisek! A teraz mamy szansę go unicestwić. Może nie cały system, ale przynajmniej jakiś trybik. A maszyna bez jednego trybiku w końcu się rozpadnie.

– Naprawdę uważasz, że wysadzanie kogoś w powietrze to dobry sposób, żeby przeciwdziałać niesprawiedliwości? – zapytała pisarka.

Nie mogła się powstrzymać. Irytowało ją takie gadanie. Jej zdaniem przemoc nigdy nie była rozwiązaniem. Nigdy. Niektórzy uważali, że jest infantylna i nie zna życia. Ale była przekonana, że przemoc rodzi przemoc. Więc nawet na najgorszą nie powinno się odpowiadać przemocą.

– Czasem nie ma innego sposobu – odparł Nestor.

– Zawsze jest – mruknęła.

– Spoko. Ale! Daruj sobie już z łaski swojej, Nestor – wtrąciła się Kopp.
– Daleko jeszcze, co?

Pani z recepcji nie chciała podać Malwinie numeru telefonu swojego szefa. Za to Nestor powiedział im, gdzie Majchrzak mieszka. Obuch był chyba tak pewny, że bomba wybuchnie, że nie obawiał się, że zdołają udaremnić ten zamach.

– Nawigacja pokazuje, że zostało nam dosłownie kilka minut – powiedziała Weronika nerwowo.

– O mój Boże. – Maria przeżegnała się, kiedy wjechali w kolejny zakręt.

Jeep nie był stworzony do takich wyścigów. Ale nie było wyjścia. Nadjeżdżali od strony miejscowości Ciche. Stefan Majchrzak i jego zaginiona żona postawili rezydencję pomiędzy jeziorami Ciche a Mieliwo.

– To tam – odparł z uśmiechem Nestor.

W oddali widać już było położoną na wzgórzu willę. Obok głównego budynku stał garaż. Podjechała tam właśnie ciemna limuzyna. Kierowca chyba nacisnął guzik na pilocie, bo drzwi zaczęły się otwierać.

– Kurwa! – krzyknęła Weronika.

Zacząła przeraźliwie trąbić, żeby zwrócić uwagę Majchrzaka. Z tej odległości żadne krzyki nie byłyby słyszane. Wszyscy w samochodzie wstrzymali oddech. Pisarka czuła, jak szybko bije jej serce. Niech ta bomba nie wybuchnie, powtarzała sobie w duchu. Może to był tylko głupi żart. Albo może Nestor Obuch nie był dobrym konstruktorem i jego ładunek nie eksploduje. Niech to nie wybuchnie!

Wtedy rozległ się huk.

CZEŚĆ 2
CISZYCIEL

ROZDZIAŁ 12

Squat Wolność.

Sobota, 27 marca 2004.

Godzina 17.30.

Ciszyciel

Ciszyciel popatrzył na zgwałconą dziewczynę. Spuściła wzrok przestraszona. Chyba nie doszła jeszcze do siebie.

Gwałt.

Po czymś takim zapewne będzie długo cierpiała.

Jej oczy przypominały Ciszycielowi spojrzenie tamtego chłopaka w osiemdziesiątym czwartym. Były podobnego koloru.

Ale nie tylko o to chodziło. Miały w sobie podobne cierpienie.

Bezbronność.

Ból.

Już sama myśl o tym sprawiła, że po skórze przebiegł mu znajomy dreszcz.

Martwiec. Był w każdym z nich. To była jego wina.

Ból.

Bezbronność.

Cierpienie.

Ciszyciel rozumiał cierpienie.

Mimo że nikt go o to nie pytał.

Nie miał łatwego życia.

Mimo że nikt go o to nie pytał.

Matka urodziła go, kiedy miała niecałe piętnaście lat. Niemal od razu uciekła z domu i zamieszkała w komunie, którą jej mieszkańcy nazywali

Kwiatowym Rajem.

Tego miejsca dawno już nie było. Zlikwidowano je, kiedy ktoś doniósł, że przebywają tam małoletnie osoby i dopuszczają się różnych przestępstw.

Piętnaście lat.

Tyle miała matka. Ciszycielowi aż trudno było w to uwierzyć. Nie jest to wiek, kiedy dziewczyna jest zdolna do wychowania syna. A przynajmniej jego matka nie była.

Starła się wpoić mu zasady dzieci kwiatów. Ale jej życie było zawsze podszyte mgłą środków halucynogennych. Ciszyciel już jako małe dziecko wiedział, że nie może na matce polegać.

Nigdy.

A to z prostej przyczyny.

Zawsze, ale to zawsze przegrywał z alkoholem i narkotykami. Był za nimi.

Zawsze, ale to zawsze matka wołała te używki od niego.

– Nic wielkiego z ciebie nie wyrośnie, więc nie ma co tracić czasu – bełkotała z butelką w ręce.

Kiedy trzeźwiała, z reguły brała się do przeproszania. Co z tego, skoro Ciszyciel dokładnie pamiętał jej słowa. Zdawały się wrzynać w pamięć, jakby zostały tam wypalone na zawsze.

Nic wielkiego z niego nie wyrośnie.

Nic.

Nie dało się też zapomnieć jej słów również z prozaicznej przyczyny. W pewnym momencie po prostu przestał rosnąć. Może sprawiło to jej uzależnienie, któremu nie przestała folgować w ciąży. Może to, że zostawiała go samemu sobie, jakby oczekiwała, że kilkuletnie dziecko samo znajdzie pożywienie. Gdyby nie to, że mieszkali w komunie i zawsze znalazł się ktoś, kto rzucił mu jakiś skrawek pożywienia, może umarłby z głodu.

A ona nawet by nie zauważyła.

Czas mijał, a ona jakby zaczęła go zauważać.

– Będiesz jak Charles Manson – kwitowała z papierosem w ustach. Naczytała się wtedy o Mansonie i uznała go za swojego guru. – Też był niski, a patrz, ile osiągnął.

*

Kiedy z perspektywy czasu Ciszyciel myślał o jej słowach, wydawały mu się całkiem zabawne. Bo ileż to ten Manson osiągnął? Tyle, że trafił do więzienia.

Ciszyciel nie zamierzał powtórzyć jego losu.

Nigdy.

Choć matka zapewne uśmiechnęłaby się zadowolona, gdyby wiedziała, że w dorosłym życiu osiągnął dokładnie wzrost jej idola.

Sto pięćdziesiąt siedem centymetrów.

CZEŚĆ 3

AUTOBUS

ROZDZIAŁ 13

Rarogi.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 18.30.

Modest Obuch

Modest Obuch szedł szybkim krokiem przez las, przyświecając sobie latarką w telefonie. Nie było późno, ale zimą zdawało się, że jest środek nocy. Wokoło panowały egipskie ciemności. Zostało jeszcze piętnaście minut do przyjazdu autobusu, a na miejsce spotkania mógł dojść w mniej więcej dziesięć. Ale nie mógł się spóźnić. To i tak cud, że Szczepan Prawda zjeżdżał z głównej drogi, żeby ich zabierać. A jeszcze większy cud, że jeszcze nikt się do tego nie przyczepił.

Ich maleńka wieś przytuliła się do brzegu jeziora Robotno. Modest lubił to odosobnienie, choć czasem sprawiało, że ciarki przebiegały człowiekowi po plecach. Rarogi były nazywane wioską duchów. Coś w tym było. Puste domy zdawały się trwać w jakimś dziwnym napięciu. Tak to czuł. Jakby nadal czekały na swoich właścicieli. A oni już nigdy nie nadejdą. Przez jednego zdrajcę, który wydał ich kiedyś hitlerowcom. Większość mieszkańców została wówczas rozstrzelana.

Tyle lat minęło od tamtych wydarzeń. Wyglądało na to, że żadna nowa rodzina się do nich nie wprowadzi, a tymczasem pod koniec zeszłego roku nagle pojawił się kupiec, który chciał nabyć ziemię obok wsi. I zbudować tam spa. To był zupełnie niedorzeczny pomysł, jakiś żart. Rarogi były ostatnim miejscem, które by zachęcało do odwiedzin. Tymczasem Szczepan Prawda bardzo naciskał i dowodził, że kupiec jest zdecydowany zapłacić im każdą cenę w każdej chwili.

Ziemia, o którą chodziło, znajdowała się tuż za cmentarzem. Właściwie przy brzegu jeziora. Stała tam stara kaplica. Pozostałość po kościele. Jedyne murowane budynki w ich wsi. Teraz już ruina. I to ruina okryta złą sławą. Jeszcze gorszą niż reszta wsi. Ale tak się składało, że ziemia należała do człowieka, który zapisał ją swoim wnukom. Modestowi, Nestorowi i ich kuzynowi, Szczepanowi Prawdzie. Należała do ich trójki. Kierowca nie mógł więc jej sprzedać bez zgody braci bliźniaków.

Modest czasem zaglądał do kaplicy, żeby się pomodlić w ciszy. Wiedział, że nie tylko on tam bywał, mimo że to było dziwne miejsce. Powiedzmy tak, lepiej było się nie rozglądać i skupić po prostu na modlitwie.

A on modlił się dużo. Nie tylko w kaplicy. W domu i w nowym kościółku w środku wsi też. Chciał przebłagać Boga za dawne grzechy. Miał nadzieję, że to się uda. Bóg był miłosierny. No i dlatego Modest nie zamierzał dopuścić, żeby działka z kaplicą została sprzedana. Dom Boży przerobiony na jakieś spa, pomyślał z odrazą. Pomysł wydawał mu się wręcz odrażający.

Modest przyspieszył kroku. W tym miejscu droga była rozmoknięta i błotnista. Ciężko się szło. Wiła się wzdłuż jeziora, a w tym miejscu zbliżała się do mokradeł, które je otaczały. Z drugiej strony wśród drzew kryła się mniejsza dróżka. Być może o tej porze roku dałoby się łatwiej tamtędy przejść, ale Modest wolał nie schodzić z głównego szlaku. Te lasy nie cieszyły się dobrą sławą.

Promień z komórki padł na zbity z listewek krzyż przy leśnej drodze. Modest zatrzymał się w pół kroku. Przeżegnał się. To tu jesienią leżało bezgłowe ciało Leszka Konopki. Modest nie zapomniał. Nie mógłby. Sam go przecież znalazł. Krzyżyk postawił Zbigniew Konopka już kilka dni po tym, jak jego syn zginął.

Modest zmówił zdrowaśkę. Przecież ma pięć minut zapasu. Zdąży.

– Amen – powiedział na głos i ruszył dalej.

Stawiał ostrożnie kroki. Wyszedł już co prawda z najgorszego błota, ale teraz na ubitej drodze czekały kolejne zasadzki. Zdradliwe korzenie groziły w każdej chwili potknięciem się w ciemności. Dobrze, że chociaż tej zimy nie spadł śnieg i było dość ciepło, jak na tę porę roku. Bywały lata, że w lutym Rarogi były zupełnie odcięte od świata, bo leśną drogę zasypywała zamieć.

A szczególnie dziś nie chciał się wywrócić i zabrudzić świeżego ubrania. Włożył najelegantsze rzeczy, jakie miał, bo chciał zrobić dobre wrażenie. Płócienne spodnie zamiast dżinsów. Koszula i sweter w serek. Uśmiechnął się. Jechał na randkę. Już sama myśl sprawiała, że czuł się szczęśliwy, choć też pełen wątpliwości.

Nie powiedział o tym nawet księdzu na spowiedzi. Wspomniał tylko dwóm osobom.

*

Po pierwsze Nestorowi. I to tuż przed wyjściem. Byli braćmi. Bliźniacy zawsze trzymali się razem. Nawet jeśli ich poglądy na życie różniły się diametralnie.

– A ty możesz robić te rzeczy? – zaśmiał się Nestor, kiedy Modest zwierzył mu się ze swoich planów.

– Mogę. Nie jestem księdzem. Jestem katechetą – wyjaśnił mu Modest. – To nie grzech.

Co prawda czuł lekkie wyrzuty sumienia i długo rozważał, czy wypada mu chodzić na randki.

– Grzech? – zaśmiał się Nestor. – Daj spokój, stary. Żartuję sobie tylko. Jedź. Poruchaj sobie na zdrowie. Wiem, jak to jest nie używać tego, co natura dała.

– Przestań – zganił brata Modest.

Nestor niedawno wyszedł z więzienia. Spędził tam trzy długie lata. To była między innymi kość niezgody. Modest starał się, żeby Nestor tego nie odczuł, ale wstydził się trochę, że ma brata kryminalistę. Sam się starał prowadzić życie czyste i dawać dobry przykład. Pracował w szkole w mieście. Jego uczniowie nie widzieli go w sytuacjach codziennych, ale wieści szybko się rozchodziły i część wychowanków wiedziała, że ma w rodzinie przestępcę.

– Taki świętoszek z ciebie? – zadrwił Nestor.

To była kolejna kość niezgody. Kiedyś obaj byli buntownikami. Mieszkali w squacie w Brodnicy. Obaj nosili wtedy długie włosy i brody. Dziś Modest golił się gładko, a włosy obcinał najkrócej, jak mu się udawało bez golenia ich maszynką. Wolałby zapomnieć o dawnych czasach. Nie były powodem do dumy. Błędy młodości. Natomiast Nestor zdawał się jakby zaklęty

w czasie. Pokażna, choć już nieco przerzedzona czupryna, warkoczyki na brodzie. To nie przystoi mężczyznom w ich wieku.

– Oj już się nie bocz – powiedział brat, chcąc chyba Modesta udobruchać.
– Lepiej opowiedz o tej dziewczynie.

– Jeszcze jej nie znam – przyznał katecheta w przypływie szczerości. – Mieszka w Nowym Mieście Lubawskim i jest nauczycielką.

Nestor zagwizdał.

– Co ty mówisz! Nie znasz jej? To jak się umówiłeś na randkę?

– Poznaliśmy się przez Internet. Na katolickiej stronie – podkreślił Modest, żeby brat znów nie zaczął drwić z niego. – Do niczego nie dojdzie, jeżeli tak podejrzewasz. Chcemy się poznać. Takie rzeczy, o których mówisz, to dopiero po ślubie.

Nestor zaśmiał się głośno. Teraz był w tym chłód.

– Namieszane masz we łbie, stary.

– Dlatego że chcę czekać z seksem do ślubu? – zapytał Modest, podnosząc głos. Nie potrafił powstrzymać złości. – Co w tym złego? Lepiej siedzieć w więzieniu?

Nim skończył to mówić, wiedział, że niepotrzebnie uderzył w tę nutę. Po twarzy Nestora przebiegł grymas. Uważał, że trafił do więzienia za nic. Był w nim gniew, bo winił o to Leszka Konopkę. Do pewnego stopnia Nestor faktycznie trafił za kraty przez Leszka, bo chłopak powiedział policji, kto z nim był na jakiejś tam akcji protestacyjnej czy co oni robili.

Tylko że Nestor zapominał o jednym. Leszek może i wydał go policji, ale nie wymyślił przestępstw, które Nestor wtedy popełnił. Nie można więc było twierdzić, że trzy lata w więzieniu przesiedział przez Leszka. To Nestor sam sobie nagrabił. Ale kiedy tylko Modest próbował mu to uświadomić, brat wybuchał. Lepiej więc było nie poruszać tematu więzienia.

– Nic w tym kurwa złego. Tyle że prawiczkiem to już od dawna nie jesteś, panie święty. Chyba zapomniałeś?

Modest się wzdrygnął. Wolałby zapomnieć, że kiedyś prowadził inne życie. To prawda. Ale najważniejsze, że już od dawna jest na właściwej drodze, a squatu Wolność nie zamierzał pamiętać.

– Stare czasy się nie liczą – mruknął. – Ważne, co będzie. Dlaczego masz taką potrzebę, żeby ze mnie szydzić? Ze mnie i z mojej wiary. Daje ci to jakąś radość czy coś?

Nestor pokręcił głową.

– Nie szydę, stary. Chcę ci tylko pokazać, że dałeś się omamić. Stałeś się elementem systemu. Trybikiem. Nie rozumiesz? Kiedyś z tym walczyłeś! Co się z tobą porobiło?!

– Znalazłem swoją drogę. A ty utknąłeś w przeszłości. I wiesz co, Nestor? Tobie też radzę pójść do przodu. Chyba wystarczy ci, że odsiedziałeś swoje. Zostaw to i dołącz do mnie.

– Odsiedziałem, bo pierdolony Leszek mnie wsypał. Do nikogo nie zamierzam dołączać. Jesteście sektą omamioną przez facetów w sukienkach.

Modest pokręcił głową. Leszek był dobrym chłopakiem. Pogubionym, ale dobrym. Katecheta bardzo chciał mu pomóc. Niestety się nie udało. Ktoś chłopaka zabił. Wiele wskazywało na to, że Tomasz Lorenz. Tak przynajmniej uważała policja. Modest nie był pewny, kto ma rację. Cieszył się w każdym razie, że brat był wtedy w więzieniu i nikt nie mógł jego podejrzewać. A dzięki temu Modest nie był jeszcze dodatkowo bratem mordercy.

– Nie mów tak. Ani o Kościele, w który ja wierzę, ani o Leszku. On nie żyje. O zmarłych...

– Zdaję sobie sprawę – przerwał mu Nestor. – I daruj sobie te kaznodziejskie tony. Leszek nie żyje. Nie ma go. Rozpłynął się w nicości. Chociaż może nie. Jeszcze jakieś tam szczątki pewnie są. Ale nie ma czegoś takiego jak dusza. Rozczaruję cię, stary.

To też była znajoma śpiewka. Modest był nią zmęczony. Mimo to nie chciał odpuszczać. Najgorzej było zignorować osobę niewierzącą. Cały czas żył nadzieją, że brat się nawróci. A jeżeli on, Modest, się do tego przyczyni, to będzie przeszczęśliwy. On odnalazł swoją drogę i spokój. Może brat też to osiągnie?

– To co? – zapytał delikatnie. – Twoim zdaniem jesteśmy tylko ciałem?

Nestor wzruszył ramionami, jakby nie chciał dyskutować albo skończyły mu się argumenty. Obie wersje były możliwe. Przez chwilę żaden z braci się nie odzywał. Szczerze mówiąc, Modest nie miał ochoty kontynuować sprzeczki. Od czasu, kiedy Nestor wyszedł w listopadzie z więzienia, ciągle szukał zaczepki. Nie dało się z nim dogadać.

A teraz nie było na to czasu. Była randka. Na tym Modest chciał się skupić i tym cieszyć tego wieczoru. Przekonywać do wiary będzie kiedy

indziej. Kilka godzin chyba nie robi różnicy.

– Idę – oznajmił. – Zaraz będzie autobus. Muszę zdążyć.

Nestor nie odpowiedział, więc Modest po prostu wyszedł z ich drewnianego domu. Nadal go dzielili, chociaż Nestor wspominał kilkakrotnie, że może wprowadzi się do któregoś z tych pustych. Może nawet zrobi tam swój własny squat na wzór tego Trzeciego i reszty. Modest liczył, że do tego nie dojdzie, bo Nestor gotowy sprowadzać do Rarogów innych podobnych do siebie buntowników. Ich wieś tego nie potrzebowała.

Całe szczęście ten scenariusz był mało prawdopodobny. Modest wątpił, żeby Hanna Lorenz na to pozwoliła. Puste domy stały przecież na jej ziemi. Oprócz działki z kaplicą wszystko należało do Lorenzów. Wydzierżawili je tylko pozostałym rodzinom. A Hanna miała swoich ludzi, którzy na rozkaz pozbyliby się nieproszonych gości. Chętnie pozbyliby się pewnie również Nestora, ale on był stąd. Nie można go było po prostu wyrzucić. Nawet Hanna miała swoje zasady.

– Idź, idź, bracie – mruknął Nestor. – Tylko uważaj, bo w lesie niebezpiecznie. Pamiętaj, co stało się z Leszkiem.

Te słowa zabrzmiały co najmniej dziwnie. Co to miało być? Groźba? Modest się wzdrygnął. Głupoty. Przecież to był jego brat. Nie mógł mu grozić.

*

Modest skierował strumień światła tuż przed swoje nogi, żeby omijać zdradliwe korzenie. Wolał się nie rozglądać. Ciemność zdawała się tworzyć jakby nieprzeniknioną ścianę. Dawało to iluzoryczny spokój. Świat zdawał się ograniczać do punktu światła tuż przed stopami i błotnistej leśnej drogi. Jeżeli coś lub ktoś czaił się w ciemności, lepiej chyba było nie wiedzieć.

Mimo to coś kazało mu unieść wzrok. Chyba kątem oka zobaczył światło. Faktycznie. Nie mylił się. Na rozstaju dróg coś migotało. Była tam chyba jeszcze jedna osoba z latarką w ręce. Czyli nie był jedynym, który wybrał się na autobus. W ciemności nie mógł dojrzeć kto to. No nic, zaraz się okaże. Westchnął, nie lubił niespodzianek. Ostatni kawałek przebył już nieco wolniej, próbując odsunąć to w czasie.

– Ty też na autobus?

Uniósł latarkę. Przed nim stała Dominika Konopka. Poczuł, że serce bije mu szybciej. O nie. Naprawdę gorzej być nie mogło. Dlaczego akurat ona musiała tu być? A może to nie był przypadek, przebiegło mu przez myśl. Może przyszła tu specjalnie ze względu na niego? Przecież jej też napomknął, że jedzie na randkę. Równie nieopatrznie jak bratu. Była drugą osobą, która wiedziała. Czy przyszła tu dlatego? Nie, to niemożliwe. Były jednak jakieś granice. Szalona chyba nie była?

– Jo – przyznał niechętnie. – Przepraszam, że nie jestem na mszy za Leszka. Wiem, że odbywa się teraz...

Blżej poznał Dominikę właśnie przez Leszka. Powtarzała, że jest Modestowi wdzięczna, że zawsze bronił jej brata. Szczerze mówiąc, ona sama zachowywała się biernie. Kiedy chłopcy Hanny atakowali brata, nigdy nie stanęła po jego stronie. Na co dzień co prawda nie mieszkała już w Rarogach, ale bywała tu całkiem często. Wiedziała, co się dzieje.

Początkowo Modest miał o to do niej cichy żal. Może nawet patrzył na nią z lekką wyższością. Kiedy to sobie uświadomił, poczuł potrzebę modlitwy i przeproszenia za swoją pychę. Przecież sam też był zwykłym grzesznikiem. Nie wszyscy mieli odwagę przeciwstawić się, zwłaszcza silniejszym od siebie. Jak mogła bronić brata przed grupą silnych wyrostków.

Modest wiedział, że jego religia była piękna, ale także bywała trudna i pełna sprzeczności. A Konopkowie byli bardzo religijni, więc syn gej nie miał u nich łatwo. Dominika być może nie chciała otwarcie Leszka wspierać, żeby nie robić przykrości rodzicom. Może potrzebowała czasu, żeby się na to odważyć.

Gdy Modest to sobie uzmysłowił, zaczął więcej z nią rozmawiać. Odkrył wiele jej pozytywnych cech. Choćby to, że kiedyś była pielęgniarką, i to taką z powołania. Teraz nie pracowała już w zawodzie, ale czasem dorabiała, opiekując się starszymi osobami. Nawet samą Hanną Lorenz, kiedy ta potrzebowała nieco delikatniejszych i bardziej wykwalifikowanych rąk niż umięśnione łapska tych jej goryli.

Modest chciał pomóc Dominice. Co prawda ona też tak jak Leszek rozpoczęła terapię u psychiatry. Nie wiedział, czy u tej samej. Nie znał nazwiska tamtej lekarki, ale wiedział, że przez swoją wiarę też wiele może zdziałać. Nie przypuszczał ani przez moment, że Dominika może za wiele sobie po tym obiecać.

– Nie szkodzi – zapewniła. – Też nie zostałam. Ale modlę się za Leszka codziennie. Gdzie jedziesz? Do Nowego Miasta?

Zapytała, mimo że przecież z ich wcześniejszej rozmowy doskonale wiedziała. To było dziwne.

– Tak.

– Jedziesz się spotkać z dziewczyną – bardziej stwierdziła niż zapytała.

W ciemności i napływającej zewsząd mgłę trudno było zinterpretować wyraz jej twarzy, choć obie latarki były nadal włączone.

– Jo – przyznał znów Modest niechętnie.

Zupełnie niepotrzebnie powiedział jej dziś rano o randce. I dopiero wtedy zrozumiał, jakimi uczuciami Dominika go darzyła. Wściekła się i zaczęła krzyczeć, że myślała, że on jest inny. Pierwszy raz widział u niej taki gniew. Właściwie furię. Teraz wydawała się spokojna. Ale może to były pozory?

– Przepraszam, że tak się uniosłam – szepnęła.

Chyba odgadła, o czym Modest pomyślał. Tylko że był pewny, że w jej głosie wcale nie ma skruchy. Co ona tu robiła, przebiegło mu znów przez myśl. Przyszła, żeby go powstrzymać przed randką? Nie, naprawdę chyba dziś przesadzał z podejrzeniami. Najpierw przypisywał Nestorowi nieczne zamiary, a teraz jej. Miała prawo jechać tym autobusem tak samo jak on.

– Nie szkodzi – zapewnił. – Nic się nie stało.

Starął się mówić normalnym głosem, ale czuł się niezręcznie. Oby Szczepan szybko przyjechał.

– A ty gdzie jedziesz? – zapytał po chwili, żeby przerwać kłopotliwe milczenie.

– Też do końca trasy – poinformowała.

W jej tonie było coś dziwnego.

ROZDZIAŁ 14

Rarogi.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 18.35.

Alina Konopka

Alina Konopka wsparła się na ramieniu męża. Zbigniew był dużym mężczyzną. Zawsze dawało jej to poczucie bezpieczeństwa. Poznali się jako bardzo młodzi ludzie. Nie była wcześniej z nikim innym, nie miała więc porównania. Ale zawsze myślała, że nie mogłaby być na przykład z kimś tak szczupłym i wątłym jak ksiądz Rokowski.

Rumieniec oblał jej twarz i mocniej przytuliła się do męża. Skąd w ogóle takie myśli! Wracali z mszy za duszę Leszka. Może dlatego. Odbywały się regularnie, odkąd syn został zamordowany. Na tym powinna się skupić, a nie na urodzie lub jej braku u księdza.

– Uważam, że to skandal, że Dominika nie przysłała z nami na mszę – burknął Zbigniew. – Praktycznie już mieszka z nami, to powinna się dostosować do zasad naszego domu. Pomagamy jej przecież. Powinna siedzieć z mężem.

– Ale sam wiesz, jaki jest jej mąż. Rozrabiaka i alkoholik – mruknęła Alina. – Dobrze, że zamieszka u nas.

Nigdy nie lubiła zięcia. Całe szczęście praktycznie nie miała z nim kontaktu. Córka poznała go, jak miała osiemnaście lat. Alina próbowała tłumaczyć jej, że za wcześnie na ślub. Że to już nie te czasy, ale Dominika się uparła. Myślała, że będzie inaczej. Alina dobrze wiedziała, że nigdy nie jest inaczej.

– Ale to mąż. Ty byś ode mnie odeszła, żeby mieszkać z rodzicami?

Alina wiedziała, że na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź.

– Oczywiście, że nie – zapewniła. – Miejsce żony jest u boku męża.

Prawda jednak była taka, że wielokrotnie myślała o tym, żeby spakować się i opuścić Zbigniewa. Nie tylko Zbigniewa zresztą. Także te przekłete Rarogi. Nienawidziła tego nawiedzonego miejsca z całego serca, choć mieszkała tu przez większość życia.

Patrzyła uparcie pod nogi, żeby nie widzieć tej upiornej wsi. Czuła odrazę do tych pustych domów i do samotności. Pochodziła z pobliskiego Zbiczna. Co też ją podkusiło, żeby ulec silnemu ramieniu Zbigniewa, jak była młodą dziewczyną? Poczucie bezpieczeństwa to trochę za mało, żeby znosić to wszystko.

Tak, chciała stąd uciec. Ale potem, jak pojawiły się dzieci, uznała, że po prostu zaakceptuje swój los. No i tak zostało. Nie ma już stąd ucieczki. Właśnie tu dobiegną końca jej dni.

Lata mijały. Alina była przykładną żoną. Ale to nie zmieniało faktu, że się bała. A po śmierci Leszka myśl o ucieczce wróciła. Pierwszy raz od lat. Ale wtedy Dominika zapytała, czy mogłaby się do nich wprowadzić. Jakby wiedziała o planach Aliny i chciała ją powstrzymać. A przecież nikt nie wiedział.

Bo Alina nie ufała tu nikomu. Nawet swojej córce.

ROZDZIAŁ 15

Las obok Rarogów.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 18.45.

Modest Obuch

Modest miał już dosyć krępującej ciszy. Nie patrzył w stronę Dominiki, miał jednak wrażenie, że ona cały czas mu się przygląda. Właściwie to była pewność. Nie chciał sprawdzać. Bał się, że jak zobaczy błyskające w świetle latarek białka jej oczu, to po prostu ucieknie. To było głupie. Wiedział. Ale bał się jej. Było w niej coś dziwnego. Bardzo dziwnego.

– Chyba jedzie – oznajmiła.

Spojrzał na nią kątem oka. Wcale nie patrzyła na drogę, tylko na niego. Tak jak podejrzewał. Na jej twarzy malowała się dziwna determinacja. Gdyby nie to, że w ciszy mglistego, nocnego lasu dał się już słyszeć warkot silnika autobusu, naprawdę by uciekł.

Kilka sekund później zza zakrętu faktycznie wytoczył się niewielki autobus. Dlatego mógł na rozstaju spokojnie wykręcić. Gdyby Szczepan Prawda kierował pekaesem, pewnie nie zjeżdżałby po nich do lasu.

Szczepan. To była kolejna osoba, której Modest absolutnie nie miał ochoty dziś spotkać. Ale jeżeli chciał dotrzeć na randkę do Nowego Miasta, to musiał jakoś znieść fakt, że spędzi ileś tam minut jazdy z Prawdą. Trudno unikać kierowcy.

– Ty pierwsza – powiedział do Dominiki, kiedy Szczepan otworzył im drzwi.

Autobus był pusty. W taką pogodę ludzie woleli siedzieć w domach, a nie podróżować. Albo mieli własne samochody i nie musieli korzystać

z transportu publicznego. Modest wyrzucał sobie, że nigdy nie zrobił prawa jazdy. Byłby niezależny od nich wszystkich.

– A proszę, proszę – zaśmiał się na jego widok kierowca. – Kogo my tu mamy?

Na jego twarzy pojawił się grymas. Widać wciąż był urażony, że nadal nie doszła do skutku sprzedaż działki z kaplicą. Może nawet więcej niż urażony. Modest znów miał ochotę uciekać. Odetchnął głębiej, by się uspokoić. Ani Dominika, ani Szczepan nic mu nie zrobią. To nie jest film sensacyjny. To jest życie. Jego las. Jego mała ojczyzna. Mogą się kłócić o działkę, ale to nie znaczy, że Szczepan przejdzie do rękoczynów. Dominika mogła wściekać się, że wolał inną, ale to nie znaczy, że mu coś zrobi. Koniec głupich myśli.

– Nadal będziesz się idiotycznie upierał? – zapytał Szczepan Prawda.

Byli kuzynami. Modesta zawsze bawiło, jak bardzo nazwisko Szczepana do niego nie pasuje. To był obłudnik i kłamca pierwszej wody. Człowiek nastawiony na zysk. Chyba nic innego się dla niego nie liczyło. Obuch wcale by się nie zdziwił, gdyby to ktoś z jego rodziny sprzedał hitlerowcom ludzi z Rarogów, doprowadzając do wyludnienia ich wsi.

– To nie jest głupi upór – powiedział. Sam nie wiedział dlaczego. Trzeba było po prostu zignorować słowa Szczepana i wsiąść do autobusu.

Ale nie mógł nic nie powiedzieć. Pewien był, że się nie zgodzi. Nie będzie żadnego spa w ich małej wsi. A już zwłaszcza wyburzenia starej kaplicy. Po jego trupie. Dla nich to może były tylko mury. Dla niego nie.

– Zdajesz sobie kurwa sprawę, że przez ciebie niezła fortunka mignie nam koło nosa? – zapytał kierowca. – Koleś, który chce to kupić, jest napalony na tę ziemię. To bogaty gość. Pieniądze będą od razu. Nie żadne raty.

Szczepan nie zwracał uwagi, że Dominika się im przysłuchuje. Zajęła miejsce w połowie rzędu siedzeń. Modest miał nadzieję, że usiądzie jak najdalej od niej, ale teraz to było niemożliwe. Czy pójdzie na tył, czy zostanie z przodu, i tak będzie blisko. Ale z przodu będzie też blisko Szczepana, więc lepiej chyba usiąść z tyłu.

Swoją drogą ciekawe, do czego jest zdolny Szczepan Prawda. Głównym podejrzanym po śmierci Leszka był wprawdzie Tomasz Lorenz, ale kierowca autobusu też pojawił się w sprawie. Leszkowi odpiłowano głowę. Prawdopodobnie piłą mechaniczną. Małżeństwo Prawdów to jedyni mieszkańcy ich wsi, którzy taką mieli. A właśnie ich piła zniknęła.

Szczepan i Bożena twierdzili, że ktoś ją ukradł. Ale co, jeśli to Szczepan zabił Leszka? Też miał konserwatywne poglądy jak Hanna i reszta. Może Leszek i jego tęcza za bardzo mu przeszkadzali.

– Rozmawiałem z Nestorem – oznajmił kierowca nieoczekiwanie. – Nie jest na nie.

Tego Modest zupełnie się nie spodziewał. Szczepan i Nestor zawsze się nienawidzili. Już od czasów dzieciństwa. To była wieczna walka. Potem poróżnili się jeszcze bardziej. Jak widać jednak, sprawa kaplicy potrafiła połączyć nawet tych najbardziej zwaśnionych. Brat nic nie wspominał Modestowi. To bolało.

– Poczekajcie, kurwa – rozległo się z ciemności, zanim Modest zdążył coś odpowiedzieć.

No nie. Było jeszcze gorzej, niż myślał. To był głos Tomasza Lorenza. Modest będzie musiał odbyć całą podróż w towarzystwie osób, które życzyły mu najgorzej na świecie.

ROZDZIAŁ 16

Rarogi.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 18.45.

Bożena Prawda

Bożena Prawda miała w zwyczaju chodzić po mszy na cmentarz. Tak było w każdą niedzielę. Dziś był poniedziałek, ale uznała, że to nie szkodzi. Przecież dziś też była msza. Dziwnie tak wrócić do domu jakby nigdy nic, bez odwiedzenia grobów.

Wszyscy jej przodkowie tu spoczywali. Czasem chodziła pośród pomników i szukała starych zdjęć. Miała wtedy wrażenie, że spoczywający tu ludzie patrzą na nią i jej słuchają. Mogła im się zwierzyć. Nawet z najgorszych rzeczy. Oni nie powiedzą nikomu. Martwi nie mówią. Milczą. Czasami bardzo dobrze, że tak jest, bo mogliby powiedzieć za wiele.

Zatrzymała się przy grobie Leszka Konopki. Konopkowie mieli kilka kwater w środkowej części cmentarza i o dziwo jeszcze trochę miejsca na nowe. Kiedyś to była bogata rodzina. Mogli sobie pozwolić na ekstrawagancję w rodzaju dzwoneczków, które miały ostrzegać przed pochowaniem żywcem.

Bożena słyszała, jak teraz dzwonią na wietrze, tworząc cichą melodię. Zatrzymała się. Wyobraziła sobie, że to zmarli do niej mówili. Nie mogła rozemnić się, czy melodia jest spokojna, czy wręcz przeciwnie. Co chcieli powiedzieć? O niej na przykład. Czy chcieli, żeby tu była?

Jeżeli nie, to nie była tu bezpieczna. Ich wieś była miejscem, gdzie duchy trwały na straży. Wierzyła w to całym sercem. Duchy tu były. W każdym

pustym domu, na cmentarzu, w starej kaplicy. Wszędzie.

Wolała dziś nie nadużywać ich gościnności. Ruszyła powoli do bramy. Wisiała na przerdzewiałych zawiasach, więc skrzypnęła głośno, kiedy Bożena ją zamykała. Dźwięk zdawał się potężnieć pomiędzy drzewami i płynąć po tafli jeziora Robotno. Dalej do Dębna. Można nawet do Wielkich Partęczyn. A stamtąd kto wie, gdzie jeszcze.

Bożena szła pomiędzy pustymi domami. Czasem wchodziła do niektórych. Lubiła poczuć ich atmosferę i wyobrazić sobie, jak tam kiedyś mieszkało. Większość przypominała dom, który zajmowali ze Szczepankiem. Jakby wszystkie domostwa w Rarogach wybudowano według jednego planu. Izba, druga izba. Sień. To tyle. Te domy, które zostały zamieszkałe, poprzerabiano. Dobudowano łazienki, zainstalowano różne udogodnienia. Ale poza tym były takie same jak lata temu.

No może oprócz domu Hanny Lorenz. Był największy, bo jej ojciec dostał go od władzy ludowej za zasługi. Razem z większością terenów. Dziwne to, bo przecież wszyscy wiedzieli, jakie Hanna i jej ojciec mieli poglądy. Bożena nie znała się na polityce, ale wydawało jej się, że nazizm i komunizm chyba raczej się wykluczały. Ale kto tam wie.

Przeszła pomiędzy dwoma starymi domami. Kiedyś w jednym z nich mieszkał sołtys. Jeszcze całkiem niedawno. Jeśli można powiedzieć, że trzydzieści lat to niedawno. Bożena miała trzynaście lat, kiedy zmarł, zostawiając swoje obojętne następcom. Którego nie było, dodała w duchu. No i tak kolejny dom stanął pusty. Ciekawa była, kiedy wszyscy wymrą i Rarogi pozostaną bez mieszkańców. To znaczy bez fizycznych mieszkańców, bo duchy będą tu zawsze. Może i oni staną się jak z tej legendy o strawionej zarazą wsi na brzegu jeziora Ciche. Przecież to niedaleko.

Od strony jeziora Robotno napływała powoli mgła, jakby duchy już dziś chciały wziąć ziemię w swoje władanie. Jej delikatne strzępy stawały się coraz gęstsze, jakby formowały się z niej postaci. Bożena Prawda patrzyła zafascynowana. Chłonęła atmosferę.

Dziś był akurat nów. Nów zawsze ją fascynował bardziej niż pełnia. Pełnia była taka zwyczajna. Dziś właśnie Księżyc znajdował się pomiędzy Ziemią a Słońcem. Zawsze uważała, że w ten sposób ich chroni.

Mało kto wiedział, jak ważny był nów – nieco spokojniejsza energia niż pełnia. To oczywiste. Ale jednak wciąż silna. Otwierająca nowy rozdział.

Początek nowego cyklu. Wszystko mogło się więc zdarzyć. Od jutra księżyc będzie wzrastał. Pod koniec miesiąca będzie już widać całkiem spory sierp. Od dziś zatem energii zacznie przybywać. Energii, żeby działać. Dlatego warto było zastanowić się, co dalej.

Podeszła do swojego domu. On też różnił się od pozostałych, bo Szczepan dobudował pomieszczenie, które stało się ich niewielkim sklepem. To był dobry pomysł. Bo chociaż w Rarogach mieszkało tak mało ludzi, oni też musieli robić zakupy. Nie dyktowała zbyt wysokich cen, żeby nie chcieli iść do Cichego lub do Zbiczna. Mimo to powodziło im się całkiem nieźle. Latem trochę lepiej, jeśli w lesie znalazł się jakiś zbłąkany turysta.

Ale zawsze mogło być lepiej. I mieli już ze Szczepanem pewne plany. To były śmiałe plany. Wręcz szalone. Ale ona wiedziała, że się nie zawaha, jeżeli tylko Szczepanek da znać. No i dziś był właśnie nów. Nowy początek. Powiedziała mu to, kiedy ruszał do pracy. Niech o tym pomyśli. To mogła być ich szansa.

Weszła do domu. Nowa piła leżała w sieni. Przesunęła narzędzie. Dziś był nowy początek. Nie może tu tak leżeć.

ROZDZIAŁ 17

W autobusie.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 18.50.

Modest Obuch

Przepuść mnie – warknął Tomasz Lorenz, ładując się do autobusu.

Pchnął Modesta na siedzenie jednego z foteli. Zabolało, ale katecheta tego nie skomentował. Nikt normalny nie próbowałby podskoczyć Tomaszowi. Był wysokim, postawnym młodzieńcem, a Hanna pilnowała, żeby ćwiczył codziennie. Nadal była wierna rasie nadludzi. W rezultacie Tomasz wyglądał, jakby miał podwójny kark. Jego biceps był szerokości uda Modesta. Nie było co się łudzić, że mógłby sobie poradzić z Tomaszem w jakiegokolwiek potyczce wręcz. Lepiej było ustąpić, porzucić plany o zajęciu miejsca z tyłu i usiąść gdziekolwiek.

Tomasz wybrał fotel w rzędzie za Dominiką i od razu wyciągnął komórkę. Chyba w coś grał. Modest poczuł ulgę. Niech wyrostek się na czymś skupi. Kiedy pomyślał wcześniej, że gorzej już być nie mogło, nie spodziewał się, że dołączy do nich Tomasz. Teraz autobus przypominał Modestowi tykającą bombę zegarową. Kto by w ogóle przypuszczał, że Lorenz tu będzie? Przecież Hanna miała samochód. Dlaczego go nie wziął? To było dziwne.

– Ruszymy kurwa czy nie? – warknął chłopak, nie podnosząc głowy znad komórki.

– On musi usiąść – powiedział Szczepan Prawda.

– To niech kurwa jego mać siada, bo nie mam czasu.

Modest dopiero po chwili się zorientował, że mowa o nim. Pospiesznie zajął miejsce. Usiadł tuż za Szczepanem. Teraz można powiedzieć, że znalazł się pomiędzy młotem a kowadłem. Całe szczęście droga do Nowego Miasta powinna trwać maksimum pół godziny. Przy takiej mgłę może nieco dłużej. Jakoś wytrzyma. To nie była podróż do Wrocławia.

Najważniejsze to przetrwać. I nie wdawać się w rozmowy, żeby nikogo nie sprowokować. Dotrze spokojnie na randkę. A wracając, weźmie taksówkę. Trudno. Wyda fortunę, ale oszczędzi nerwy.

Szczepan wykręcił na rozstaju dróg.

– Czemu nie jedziesz prosto? – warknął Tomasz. – Przez las byłoby szybciej.

Widać było, że zupełnie nie zna zwyczajów Szczepana. Niepisaną zasadą było, że podjeżdżał on do rozstaju dróg. Wsiadali, a potem zawracał z powrotem na asfalt w okolicy Rytych Błot. Później jechali dalej wyznaczoną trasą. Droga na Ciche i następnie w stronę Tereszewa. Teoretycznie mogliby pojechać tak, jak mówił Tomasz, ale wtedy pominęliby przystanek w Cichem. A za to Szczepan mógłby mieć kłopoty. Lepiej więc było cofnąć się kawałek i jechać regularną trasą.

Kierowca wyłuszczył to wnukowi Hanny przy akompaniamencie przekleństw młodego mężczyzny. Pogrożki Tomasz nie zrobiły na Szczepanie wrażenia i w końcu chłopak ucichł zajęty komórką.

Modest Obuch odetchnął, kiedy w autobusie zapadła cisza. Ale nadal czuł niepokój. Znow miał wrażenie, że Dominika nie spuszcza z niego oka. Odwrócił się powoli i faktycznie napotkał jej wzrok. Zdawała się przewiercać go tymi swoimi wielkimi oczami na wylot. Naprawdę wybrała się do Nowego Miasta w swoich sprawach czy go śledziła? Nie mógł znieść dłużej jej spojrzenia.

– A ty dokąd jedziesz? – zapytał, odwracając się do Tomasz nie bardzo świadom, po co do niego zagadał.

Wnuk Hanny wyglądał na zaskoczonego, że katecheta odważył się do niego odezwać. Przyglądał mu się ze spuszczoną głową, jak dzikie zwierzę, które zaraz ma zaatakować. Modest miał ochotę zapaść się pod ziemię, zwłaszcza że przypomniał sobie różne rzeczy na jego temat i że Hanna Lorenz nie raz dała mu do zrozumienia, że Modest musi milczeć.

– A co cię to kurwa obchodzi? – wycodził w końcu Tomasz. – Nie twój pierdolony interes, po co i gdzie jadę.

– No właśnie, skoro już o tym mowa, to powinieneś zapłacić za bilet – odezwał się Szczepan Prawda z przodu. – Tamci mają miesięczne. Dokąd ty jedziesz, bo od tego zależy cena?

– Nie będę kurwa płacił za żaden bilet.

Kierowca zahamował.

– To nie możesz jechać dalej.

– Co ty kurwa sobie myślisz, co? – zapytał Tomasz. – Chcesz jeszcze wrócić do wsi? Bo ja myślę, że nikt ode mnie za bilet nie musi płacić. Mylę się?

W autobusie zapanowało milczenie. Modest miał wrażenie, że można kroić powietrze nożem.

– Kurewska mgła – warknął Szczepan Prawda. Najwyraźniej wybrał odpuszczenie konfrontacji z Tomaszem. – Może nigdzie nie dojedziemy. Ledwo co widać.

Włączył wycieraczki, mimo że nie padało. Skrzypiały na szybie miarowo, ale mgły rozgonić nie mogły.

– Dojedziemy albo pożałujesz – powiedział Tomasz. – Muszę być na miejscu jak najszybciej.

Wyjechali na asfalt koło Rytych Błot. To znaczy Modest zgadywał, że są właśnie w tym miejscu, bo mgła zrobiła się taka, że gdyby nie znał trasy, toby się nie zorientował, gdzie są. Ale byli już na głównej drodze. To najważniejsze.

– Jakaś baba próbuje złapać stopa – oznajmił Szczepan.

Modest spojrział przez przednią szybę. Faktycznie na skraju drogi stał czerwony mercedes. Zobaczył też, że jakaś kobieta macha ręką. Na płaszcz narzuciła kamizelkę odblaskową, inaczej trudno byłoby ją dostrzec.

– Bierzemy ją? Co szef na to? – zapytał Szczepan sarkastycznie.

– Niech, kurwa, tam sterczy. – Tomasz zaśmiał się. Chyba mu się podobało, że kierowca nazwał go szefem. Może nie wyczuł ironii.

– A jak coś jej się stało? – włączyła się do rozmowy Dominika. – Nie możemy jej tak zostawić.

– Dobra, kurwa, bierzcie ją i jedziemy – odparł wspaniałomyślnie Tomasz Lorenz.

Szczepan zatrzymał się i otworzył drzwi. Do środka wpadło zimowe powietrze. Teraz zdawało się lodowate, mimo że temperatura była powyżej zera. Wilgoć i mgła potęgowały odczucie zimna.

– Skończyła mi się benzyna – wyjaśniła kobieta.

Modestowi wydawało się, że gdzieś widział jej twarz, ale nie pamiętał gdzie. Raczej nie miał kontaktów z takimi jak ona. Odblaskowa kamizelka z wyposażenia auta kryła drogi płaszcz. Buty na wysokim słupku też wydawały się kosztować więcej, niż on zarabiał. W dłoniach trzymała torebkę z logo jakiejś firmy. To były jakby dwie litery C. Jedna zapisana normalnie, druga wspak. Modest nie znał się na tym. Wszystko to jednak krzyczało jedno. Pieniądze.

– Nic dziwnego, że się skończyła. Ten merc pewnie zre paliwo jak smok – skonstatował Szczepan, wskazując limuzynę zaparkowaną na poboczu.

– Może ma pan trochę benzyny? – zapytała.

– A co ja stacja benzynowa jestem?

– Nie możemy spuścić z pańskiego baku?

– Droga pani, po pierwsze ten autobus jest na ropę. Po drugie to nie moje, żebym mógł coś spuszczać. Potem mnie z tego rozliczają. To wszystko? Jeśli tak, to do widzenia.

– Ale nie pomoże mi pan? – zapytała kobieta płaczącym tonem.

– Mogę pani pomóc, jak pani zapłaci za bilet. Wtedy zawiozę panią na następny przystanek. To jest moja rola. Jestem kierowcą. Nie zamierzam robić więcej niż trzeba. Nie jestem stacją benzynową. Ani tym bardziej zbawcą ludzkości.

– Możemy już kurwa jechać? – warknął Tomasz z tyłu.

– Najpierw pani zapłaci za bilet. Dokąd pani chce?

Kobieta zaczęła grzebać w torebce. W końcu wydobyła portfel, a z niego wyjęła kartę kredytową.

– Do końca trasy – poprosiła.

– Super, ale co ja zrobię z tym kawałkiem plastiku? – zapytał Szczepan.

Modest miał wrażenie, że kierowca doskonale się bawi, mając władzę nad tą kobietą.

– No przecież chcę zapłacić.

– Tu się płaci gotówką.

– Nie mam gotówki.

– Kurwa jedziemy! – warknął Tomasz.

– Ona ma zapłacić za bilet. Chyba nie jest od ciebie?

– Ja za panią zapłacę – zaoferowała się usłudźnie Dominika. – Już nie róbmy problemów.

Siostra Leszka wygrzebała z wysłużonej torebki drobne. Monety zabręczały, kiedy je podawała Modestowi, żeby ten podał Szczepanowi. Ich dłonie musnęły się przypadkiem. Katecheta natychmiast cofnął rękę.

– Dziękuję – powiedziała kobieta w czerwonym płaszczu i ruszyła pomiędzy fotelami w głąb autobusu.

Modest poczuł zapach perfum, kiedy go mijała. Ten zapach... znał go. Ale...

Nie, to niemożliwe.

ROZDZIAŁ 18

Rarogi.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 18.50.

Hanna Lorenz

Hanna Lorenz chodziła w tę i z powrotem po głównej izbie swojego domu. Rzeźbiona laska stukała rytmicznie w takt kroków. Za wolno. O wiele za wolno. Nienawidziła starości. Nienawidziła tego, że coraz bardziej zależy od swoich chłopców. Kiedyś stanowili jej armię przyboczną. Teraz coraz częściej zmieniali się w pomocników niedołęźnej staruszki.

Niedołęźna staruszka. Hanna nienawidziła myślenia o sobie w ten sposób. Ale jak inaczej nazwać zniszczone przez czas ciało? Młódką zdecydowanie nie była. Uderzyła z całej siły laską o ziemię. Złość, która ją przepełniała, domagała się ujścia.

– Wszystko w porządku? – Do pomieszczenia zajrzał jeden z chłopców.

Nigdy nie pamiętała ich imion. Nie miały dla niej znaczenia. Chłopiec pewnie myślał, że się przewróciła. Zdarzyło jej się to już kilkakrotnie. To potworna hańba. Starość zupełnie nie pasowała do rasy panów, bo była tylko słabością. Ona nie chciała być słaba. Nienawidziła tego.

Nienawidziła!

Nienawidziła też wszystkiego, co z tym związane. Jak bardzo nisko trzeba było upaść, żeby płacić takiej osobie jak Dominika Konopka za to, żeby pomagała jej się umyć? Hańba. Na domiar złego Dominika i Modest zobaczyli i usłyszeli coś, czego zdecydowanie nie powinni.

Hańba. To było słowo, które ostatnio jej towarzyszyło. A jeśli było cokolwiek, czego bardziej nienawidziła od starości, to właśnie utraty

honoru. Honoru jej samej i jej rodziny. Tego nie zamierzała tolerować.

– Możesz iść – powiedziała. Chłopiec nie był jej potrzebny. Chciała być sama.

Gryzło ją, że wysłała Tomasza zamiast tego bezimiennego chłopca. Ale wnuk nalegał. Może to był błąd? Z drugiej strony co mogło się stać? Wszystko pójdzie dobrze.

ROZDZIAŁ 19

W autobusie.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 19.00.

Edyta Majchrzak

Edyta Majchrzak zajęła pierwsze wolne miejsce i od razu wyciągnęła telefon. Napisała esemesa do męża, że skończyła jej się benzyna i że wsiadła do autobusu. To był element planu. Benzynę wypompowała trochę wcześniej.

To wcale nie było trudne. Obejrzała przedtem kilka filmików na YouTubie, żeby zorientować się, jak to zrobić. Potem starannie wykasowała historię wyszukiwania z laptopa. Zresztą nie sądziła, żeby ktoś go sprawdzał. To był stary komputer, którego używali w przychodni męża. Leżał w szafie, pewnie wszyscy o nim zapomnieli. Nie mogła przecież skorzystać ze wspólnego. To była zwykła ostrożność. Kto mógłby to sprawdzać. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że nie znalazła się tu przypadkiem. A już na pewno nie Stefanowi.

Benzynę po prostu rozlała po asfalcie. Potem odjechała kawałek dalej na resztce. To nie był może najlepszy pomysł, ale nic innego nie wpadło jej do głowy. Miała nadzieję, że nie będzie z tego jakiegoś pożaru. Odpukać. Nienawidziła ognia. Bała się go. Ludzie z reguły lubili, jak trzaskał w kominku. Ona na samą myśl czuła ciarki.

Zerknęła na wyświetlacz telefonu, żeby sprawdzić, czy wiadomość doszła i czy Stefan nie wyczuje, że to ściema. Wszystko wydawało się okej. Brzmiało jasno i klarownie. Była ciekawa, czy mąż odpisze. Mocno w to wątpiła. Ostatnio źle się między nimi działo.

Piknięcie wiadomości przychodzącej sprawiło, że aż podskoczyła. Za dużo emocji. *Przyjechać po ciebie?*, napisał mąż. Odpisała szybko, że nie trzeba. Jest blisko domu, a po samochód wrócić później. Na to nie było już odpowiedzi.

Odetchnęła, żeby rozluźnić napięte mięśnie. Wyrzała za okno. Właściwie nic nie było widać. Mgła zgęstniała na tyle, że przypominała białą ścianę. Albo okno zaklejone folią.

Poruszyła się niespokojnie. Ciekawe, kto wcześniej siedział na tym miejscu. Wołała o tym nie myśleć. Już dawno nie musiała wsiadać do publicznego środka lokomocji. Położyła ręce na torebce, żeby nie dotykały siedzenia.

Poza tym chciała mieć pewność, że w środku nadal jest pistolet. Nie wyczuwała go przez skórę chanelki, ale czuła jego ciężar na kolanach. Dodawał mocy. Zerknęła w stronę Tomasza Lorenza. On pewnie nie wiedział, kim ona jest, ale ona wiedziała, kim jest on.

Leszek opowiadał jej o nim wielokrotnie podczas ich sesji terapeutycznych. Pokazywał też zdjęcia, dlatego rozpoznała chłopaka od razu. Znała ich historię. I nie tylko ich. Hannę też trochę znała. Załatwiała u niej różne rzeczy. Chociażby tę broń. Ale jej wnuka widziała po raz pierwszy na żywo właśnie teraz.

Ale to nie Tomasz był dziś przedmiotem jej zainteresowania. Spojrzała na kierowcę autobusu. Szczepan Prawda. To o niego jej dziś chodziło i to ze względu na niego tu była. Poczwała złość. Narastała w niej coraz silniejsza i silniejsza. Edyta starała się nie ulegać emocjom. Teraz jednak nie walczyła z nimi. Łatwiej było znieść wstrętny zapaszek autobusu. A może to ona tak śmierdziała benzyną?

Pociągnęła dyskretnie nosem. Nie, chyba nie. Specjalnie popsikała się mocniej perfumami. Była wierna tym samym od lat. Też Chanel. Nawet jak kiedyś jeszcze nie mogła sobie na nie pozwolić, to i tak je kupowała. Ekstrawagancja. Zawsze marzyła, że będzie bogata. W pewnym momencie oczywiście wszystko to zawisło na włosku. Przez kilka lat myślała, że będzie skazana na biedę. Ale udało jej się i te przeciwności pokonać. Zawsze parła do przodu. Nic nie mogło jej powstrzymać.

Odetchnęła głębiej. Teraz koniec z emocjami. Biznes to biznes. Choć dziś to nie był czysty biznes, musiała przyznać sama przed sobą. Chciała ukarać Szczepana Prawdę. Nie tylko dlatego, że mogła coś na tym zyskać. Po

prostu nienawidziła samej myśli, że ktoś taki chodzi sobie po ziemi i jeszcze sądzi, że wszystko ujdzie mu płazem.

Z trudem powstrzymywała się przed wyciągnięciem pistoletu, kiedy z uśmiechem samozadowolenia odmówił przyjęcia jej karty kredytowej. Mogła już wtedy strzelić prosto w tę jego chamską, wstrętną gębę. Tylko lata praktyki w powstrzymywaniu emocji, wręcz zupełnym ich wykluczaniu ze swojego życia, sprawiły, że wytrzymała.

Gwałt był momentem przełomowym w jej życiu.

Wtedy właśnie wszystko się zmieniło. Nastał najczarniejszy okres. Nie tylko dlatego, że nie potrafiła sobie poradzić psychicznie z traumą. Myła się godzinami, aż jej skóra była czerwona, tak że zaczęła schodzić. Stosowała nawet ostre detergenty, byle zmyć z siebie wstrętny odór tego, który jej to zrobił. Miała wrażenie, że nadal go na sobie czuje, mimo że tamten nie pachniał niczym. Po prostu niczym.

Wzdrygnęła się i szczelniej otuliła płaszczem. Przycisnęła torebkę z pistoletem do brzucha. No i dziecko. Dziecko, które powołali do życia, mimo że była dziewicą. Wtedy jeszcze była na tyle głupia, że choć spotkało ją coś takiego, czuła ulgę, że konsekwencji z tego nie będzie. Bardziej mylić się nie mogła. Teraz miała ochotę śmiać się z siebie. Jakaż była naiwna.

No i właśnie to niechciane dziecko było powodem udręki. Aż w końcu się go pozbyła. Nikt nie wiedział. Udawała, że umarło we śnie. Nic z tych rzeczy. Edyta była dzieciobójczynią. Cóż. To prawda, ale tajemnica pójdzie z nią do grobu. Nie miała już dziecka, więc mogła zająć się sobą. Zrobiła studia i poznała Stefana. Już nie narzekała na brak pieniędzy. Tylko one się liczyły. Nic innego.

Kogoś mogło to mierzić, ale niech wszyscy się od niej odpierdolą. To było jej życie. Koniec kropka! Edyta sama decydowała o sobie. Nikomu nic do tego. A tym bardziej teraz, gdy mogła pozabijać wszystkich w tym cholernym obleśnym autobusie dla biedoty.

Odetchnęła znów głębiej. Wzdrygnęła się. Zapomniała, że oddycha tym śmierdzącym powietrzem. To była mieszanka stęchlizny, brudu, benzyny i potu dawnych pasażerów. Do tego włączonego ogrzewania, jakiegoś starego jedzenia... Nie, lepiej nie wyliczać.

Szczepan Prawda. Na nim musiała się skupić. Też był gwałcicielem. Jak tamten. Dlatego pożałuje. Edyta da mu nauczkę. Nie tylko za siebie. Za

wszystkie kobiety.

– Nic nie widzę przez tę cholerną mgłę! – wrzasnął Szczepan Prawda zza kierownicy. – To jakaś porażka. Nie będę dalej jechał, bo się pozabijamy.

– Jedź kurwa dalej! Bo ci przyjebię – warknął natychmiast Tomasz Lorenz. – Zrozumiano?

– Masz nie po kolei w tym łysym łbie.

– Może i mam kurwa nie po kolei, ale ty zaraz będziesz miał tę swoją gębę rozkwaszoną na kierownicy, jak nie pojedziesz dalej. Muszę dotrzeć do Nowego Miasta. I to szybko.

– Chyba nie chcesz, żeby doszło do wypadku – odezwał się mężczyzna, którego Edyta nie znała.

Do tej pory siedział cicho, ale przyglądał jej się zza prostokątnych okularków. Miał źle obcięte włosy i niezbyt dopasowane ubranie. Choć chyba starał się wyglądać elegancko. Uśmiechnęła się wbrew sobie. Sweter i koszula wydawały się pochodzić z lumpeksu. Może jechał na jakieś spotkanie. To mógł być jakiś cieć albo robotnik. A może miał zacząć nocną zmianę?

– Kurwa chcę dojechać do Nowego Miasta – wywrzaskiwał Tomasz. – Której części kurwa nie rozumiecie? Jedziemy dalej, bo wszyscy pożałujecie. Kurwa.

Nagle poczuli wstrząs. Koła zabuksowały.

– Chyba zjechaliśmy z asfaltu – zawołał Szczepan.

– Chyba? – wyrwało się Edycie. Raczej to było pewne.

– Kurwa nie wiem, bo nic nie widzę – zawołał znów kierowca. – Przecież przed chwilą mówiłem.

– Jedź do przodu i tyle – rozkazał Tomasz. – Żadnych dyskusji.

– Ale...

– Mówię, że żadnych kurwa dyskusji!

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Edyta odwróciła się delikatnie w stronę Dominiki. Siostra Leszka wyczuła chyba jej spojrzenie, bo odpowiedziała tym samym. Obie natychmiast się odwróciły. Umowa była taka, że będą udawać, że się nie znają. Nikt w autobusie nie wiedział, że to Edyta leczyła ją i wcześniej Leszka. Z ich punktu widzenia były nieznajomymi.

Tyle że Edyta czuła teraz niepokój. Zobaczyła w twarzy Dominiki coś, czego nie widziała tam wcześniej. Nie była wcale pewna, czy powinna dać jej broń, jak dojdzie już co do czego. Może Dominika wiedziała o śmierci

Leszka więcej, niż przyznała? Wydawała się taka zahukana. Teraz jeszcze zgwałcona.

Ale jeśli nie była tylko ofiarą?

ROZDZIAŁ 20

Rarogi.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 19.00.

Nestor Obuch

Nestor Obuch przemykał się pomiędzy pustymi domami. Nie włożył czapki. Nigdy tego nie robił. Czy było zimno, czy nie. Ubieranie się ciepło to słabość. On chciał, żeby jego ciało stało się silne i zahartowane. Cieszył się wiatrem rozwiewającym długie włosy, a przedtem także brodę, ale to było niezbyt wygodne, więc zaplatał ją w warkoczyki. Był niczym wiking. Odporny na zimno, ból i na wszystko. Gotowy do walki.

Przemknął pomiędzy domami na skraj wsi i oparł się o murek otaczający cmentarz. Stąd było całkiem blisko do starej kaplicy i do kościoła. Lubił spoglądać z ukrycia na dewoty wychodzące z mszy. On w nic nie wierzył, natomiast lubił grzebać w starych podaniach. Bardziej dla zabawy niż z innych względów.

Weźmy Raroga na przykład, od którego być może wzięła nazwę ich wieś. To był ognisty ptak boga słońca, Swaroga. Czyli od ognia wszystko się zaczęło. I Nestor był ogniowi wierny. Dlatego tak bardzo spodobało mu się, jak kiedyś w squacie Trzeci i Ciszyciel opowiadali o bombach domowej roboty. Chłonał tę wiedzę, choć ciągle nie poznał jej w takim stopniu, jak by chciał.

Ale wracając do dawnych wierzeń. Nestor przeczytał kiedyś, że ognisty ptak był strażnikiem pilnującym bram krainy starych bogów. Dlatego Słowianie palili swoich zmarłych na stosach. Przemawiało to do niego,

choć sam uważał, że po śmierci nie ma nic. Ani krainy dawnych, ani nowych bogów.

Uśmiechnął się półgębkiem. Byli też na tym świecie tacy, którzy uważali się za bogów. Bogacze i krezusi. Myśleli, że należy im się więcej niż pozostałym. Tego zdecydowanie nie zamierzał tolerować. Taki Stefan Majchrzak na przykład. Nestor nie zapomniał, co powiedział mu Leszek, kiedy niespodziewanie zjawił się na widzeniu w zakładzie karnym w Starych Świątkach.

I choć Nestor niczego wtedy chłopakowi nie obiecał, to postanowił się tym zająć. Już nawet zaczął robić delikatne przygotowania w tej sprawie. A najbardziej zaskoczyło go, jak dowiedział się, kto jest żoną tego nadętego bufona kardiochirurga.

Jak widać, stare czasy wracały do człowieka, kiedy tego się najmniej spodziewał.

ROZDZIAŁ 21

W autobusie.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 19.10.

Edyta Majchrzak

Swoją drogą cała rodzinka Konopków to były niezłe ziółka, przebiegło przez myśl Edycie. Okej, ona też miała swoje za uszami. Zabiła własne dziecko. W przyływie czarnego humoru dotarło do niej, że w takim razie powinni się rozumieć. Bo przecież Alina i Zbigniew chcieli zrobić to samo, kiedy ją wynajęli. Pozbyć się Leszka. Nie powinna ich więc oceniać.

Edyta miała swoje metody, którymi można doprowadzić do śmierci ofiary. Wcale nie takie jak płatni zabójcy. Ona potrafiła posługiwać się głową i słowami. Te miały największą moc, jeżeli ktoś wiedział, jak nimi władać.

Już na studiach z psychologii odkryła, jak bardzo można ludźmi manipulować. Koledzy z roku nie dostrzegali tego potencjału. Profesorowie też. Ciągłe mówili o ratowaniu ludzkich istnień. A ona wiedziała lepiej. Tak, można ratować. I dzięki temu zarabiać dużo pieniędzy. Ale można robić też coś odwrotnego. I też zarabiać. Tym się właśnie Edyta czasem zajmowała. Można powiedzieć, że to był sposób na dorobienie sobie do niezłej pensyjki w centrum zdrowia należącym do Stefana.

Znów położyła rękę na torebce. Ciężar broni dawał poczucie mocy. Ale znacznie więcej siły dawał jej własny umysł. I złote usta, którymi mogła ludziom wmówić, co chciała. Najczęściej jej ofiarami byli ci najwrażliwsi. *Vulnerable*, jak to się mówiło po angielsku. Nigdy nie umiała znaleźć odpowiedniego słowa w ojczystym języku. Ale kto by się tam przejmował polszczyzną. Na pewno nie ona.

Taką *vulnerable* osobę można było przekonać do wszystkiego. I to pod pretekstem pomagania. Wystarczyło podsuwać pewne sugestie, aż pacjent zaczynał utwierdzać się w przekonaniu, że cały świat uważa go za beznadziejnego i nic niewartego. Że jest ciężarem dla bliskich i dla siebie.

Ale nie można było mówić tego wprost. Wiadomo, że nie. Oficjalnie przecież pomagała pacjentom radzić sobie z demonami. A nieoficjalnie doprowadzała ich do tego, że sami pozbawiali się życia, a ona inkasowała kasę na kolejną torebkę. Proste. Edyta nie miała wyrzutów sumienia. Słabych należało eliminować. Ona nie okazywała słabości.

Alina i Zbigniew wynajęli ją, żeby pozbyła się ich syna. Chyba nie trawili tego, że jest gejem. Jej to nie przeszkadzało. Zabijała i tych homo, i tych hetero. Nie lubiła natomiast niedokończonych zadań. A Leszek był właśnie takim niedokończonym zadaniem. Ktoś go wykończył, zanim ona zdążyła doprowadzić go do samobójstwa.

No i co najgorsze, cała kasa przeszła jej koło nosa. Została tylko zaliczka. Konopkowie co prawda nie wiedzieli, jakie ona stosuje metody, liczył się efekt. Mogła im wmówić, że wykonała zadanie. Uznała jednak, że nie będzie ich oszukiwać, że to ona odpiłowała ich synowi głowę. Grunt to dbać o honor.

Zerknęła znów na Dominikę. Siostra Leszka odpowiedziała jej tym samym. Znów się odwróciły jak na zawołanie. Były tu, żeby ukarać Szczepana Prawdę za gwałt na Dominice. Ale Edyta nie mogła mieć pewności, czy nie patrzyła na osobę, która zabiła swojego brata.

Z łatwością wyobraziła sobie Dominikę z piłą mechaniczną w dłoniach. Nie była delikatną kobietką. Ręce miała silne. I tylko pozornie była taka zahukana. Potrafiła pokazać pazury, kiedy coś wyprowadziło ją z równowagi. A jej relacje z bratem można było określić jako dziwne. Edyta zaśmiała się w duchu na to niezbyt profesjonalne określenie. Ale czasem lubiła takiego użyć. Ono często lepiej opisywało sytuację niż cała góra profesjonalnych definicji.

Tak więc relacja Dominiki i Leszka była dziwna. Dominika była starsza od brata o dwanaście lat, a mimo to patrzyła na niego jak zakochana w idolu nastolatka. Starła się go naśladować. Chyba właśnie dlatego zapisała się do Edyty na terapię, że Leszek do niej przychodził.

Majchrzak miała wrażenie, że to naśladowanie brata zakrawa na obsesję. Może Leszek zdenerwował czymś siostrę na tyle, że ta odpiłowała mu

głowę? To nie było nieprawdopodobne.

– Kurwa! – krzyknął Szczepan Prawda nieoczekiwanie, hamując gwałtownie.

Autobusem zatrzęsło.

– Co ty kurwa jego mać robisz! – zawołał Tomasz Lorenz. – Mówiłem, że ci przyjebię, jeżeli nie będziesz jechał dalej. Czemu kurwa hamujesz jak pojeb?

Szczepan Prawda wcisnął gaz, ale koła autobusu tylko buksowały.

– Utknęliśmy w jakimś błocie. Nigdzie nie pojedziemy.

– Jak to nie pojedziemy? – zapytał mężczyzna w okularkach.

Teraz wydawał się Edycie jakby znajomy. Jakby już go gdzieś widziała. Albo kogoś bardzo do niego podobnego.

ROZDZIAŁ 22

Domek myśliwski Ryszarda Majchrzaka.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 19.10.

Stefan Majchrzak

Stefan Majchrzak skończył czyścić broń i zamknął szafę pancerną. Przestrzegał reguł. Ale nie tylko o to chodziło. Nie chciał, żeby ktokolwiek dotykał jego broni. Choć nigdy nie uważał się za strzelca wyborowego, to jednak kiedy trzeba było, potrafił trafić do celu. Sam się w duchu nazywał snajperem. Nawet był trochę podobny do aktora, który grał w filmie o takim tytule. Widział podobieństwo za każdym razem, kiedy patrzył w lustro. Jak on się nazywał? Bradley Cooper!

Kardiochirurg ruszył do ściany, gdzie trzymał kolekcję noży. Każdemu myśliwemu wcześniej czy później musiały się przydać. A on był myśliwym. Nie tylko w lesie. Dłonie miał zręczne, wyćwiczone na sali operacyjnej. Umiał oprawiać zwierzynę na równi z leczeniem ludzi.

Od zawsze wiedział, że będzie lekarzem, ale specjalizację wybrał dość późno, i to w nietypowych okolicznościach. Któregoś dnia poszedł na randkę. Co śmieszniejsze, teraz nie pamiętał nawet imienia dziewczyny. A przecież poniekąd wpłynęła na całe jego życie.

– Gdzie moje serduszko? – zapytała, wydymając usta.

Chodziło o rysunek idiotycznego serduszka, który miał dla niej zrobić na piachu. Głupoty dla zakochanych. Nie miało to nic wspólnego z prawdziwym organem. Narysował jej serce takie, jakie biło w jej piersi. Po czym położył jej rękę na klatce piersiowej.

– Ale ty jesteś dziwny – mruknęła, odtrącając jego rękę.

Nic nie rozumiała. Myślała chyba, że chodziło mu o dotykanie jej żałośnie małych cycków. Nie. One Stefana w ogóle nie interesowały. Choć później, kiedy już budował swoją klinikę, szybko zorientował się, że i na nich można zrobić dobry biznes.

Ale wtedy naprawdę chodziło mu tylko i wyłącznie o serce. Bijące niestrudzenie od mniej więcej trzeciego tygodnia po poronieniu. W ciągu życia uderza kilka miliardów razy. Mniej więcej dwa i pół miliarda, żeby nie skłamać. A to oznacza, że przepompowuje kilka tysięcy cystem krwi. Czyż to nie robi wrażenia?!

Ta myśl go uderzyła. Z czysto praktycznego punktu widzenia to jest zwykły organ funkcjonujący jako pompa. Ale czy to nie było właśnie w tym najpiękniejsze? Zwykła pompka, a może tak wiele? Bez niej nikt nie chodziłby po tej ziemi.

Czyli od niej zależało wszystko.

Wtedy właśnie Stefan uznał, że jego powołaniem jest leczyć serca. Wcale nie chodziło mu o ich właścicieli. Chodziło mu właśnie o ten najpiękniejszy z narządów. Właściciel był tylko dodatkiem. Czasem kłopotliwym.

Stefan Majchrzak uśmiechnął się pod nosem rozbawiony własnym żartem. Zawsze umiał powiedzieć coś śmiesznego. Żałował, że nie ma dzieci. Przekazałby dobre geny. Ale na pewno nie będą to dzieci z Edytą. Jej czas dobiegł końca. Z wielu względów.

Zdjął swój ulubiony nóż z haczyka. Klinga lśniła. Dziś nie trzeba go dodatkowo czyścić. Zresztą wkrótce nadejdzie czas polowania. Dopiero potem trzeba będzie zadbać o to, żeby ostrze było ponownie nieskazitelne.

Wiadomość znów brzęknęła. Odblokował ekran. To była ta irytująca pielęgniarka. Na szczęście już załatwił jej pracę gdzie indziej, żeby zamknąć jej usta. Jej przyjaciółeczce też. Miał nadzieję, że to wystarczy, żeby zamknąć im wszystkim gęby. Musiał nawet zaprosić tych cholerników do domku myśliwskiego na poczęstunek. Czego się nie robi, żeby ludzie myśleli, że coś znaczą.

Gorzej z Edytą. Ona nie była głupia. I, co gorsza, wiedziała zdecydowanie za wiele. Stefan natomiast nie wiedział o niej prawie nic. Dopiero niedawno się zorientował, jak dobrze skrywała swoją przeszłość. Kiedy prawnik zapytał, czy ma na nią jakieś haki, Stefan mógł tylko bezradnie wzruszyć ramionami.

Niestety nie miał żadnych haków na niechcianą żonę. I to było najgorsze.
Trzeba będzie uciszyć ją inaczej.

ROZDZIAŁ 23

W autobusie.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 19.15.

Edyta Majchrzak

Nie ruszymy – oznajmił Szczepan Prawda. – Przykro mi. Chyba że może pani szefowa łaskawie by pomogła?

Próbowali wypchnąć autobus z błota, ale bezskutecznie. Edyta tylko ich obserwowała. Nie zamierzała się taplać w błocku. Nawet w tej ciemności i mgle widziała, że ubrania mają brudne. Poza tym robiło się coraz zimniej i miała ochotę schować się w autobusie.

– Kurwa – wrzasnął Tomasz Lorenz. – Jeszcze te pierdolone komórki nie działają.

Edyta wyciągnęła swój telefon. Ona też nie miała zasięgu. Co gorsza, bateria była słaba. Wyłączyła latarkę, żeby ją oszczędzić.

– Nikomu nie działa telefon? – zapytał facet w okularach, który wydawał jej się jakby znajomy.

– Nie – odpowiedzieli wszyscy.

– Kurwa, nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy – powiedział Tomasz Lorenz.

Wyglądało na to, że nawet ten goryl odczuwa niepokój. Najwyraźniej mocny był tylko w gębie. I zgadzało się to z tym, co Leszek opowiadał o nim Edycie. Tylko jakie to miało teraz znaczenie? Utknęli gdzieś w lesie. To był największy problem.

– No i co ci tak zależało, żeby jechać dalej, Tomasz? – wrzasnęła Dominika. – Powinniśmy byli się zatrzymać, jak Szczepan mówił, że nic nie widzi.

Siostra Leszka stała tuż obok Edyty. Już nie pchała autobusu z mężczyznami.

– Najgorzej, że nie jesteśmy na głównej drodze. Marna szansa, że ktoś będzie tędy jechał i nas wyciągnie – podsumował Szczepan. – Podejrzewam, że gdybyśmy mieli jakiś drugi samochód, nawet zwykłego SUV-a, i linę, to dalibyśmy radę wyciągnąć. Albo jakby łaskawe panie nam pomogły.

– Może specjalnie nas w to wpakowałaś?

Teraz Dominika skupiła uwagę na Szczepanie. W jej głosie słychać było histeryczne nuty. Edyta poczuła narastającą wściekłość. Nie czas teraz na panikę. W takich sytuacjach trzeba działać. Szkoda tylko, że była zupełnie nieprzygotowana do wędrówki po lesie. Zdecydowanie za wysokie obcasy.

– Idziemy po pomoc – oznajmiła mimo to.

Odechciało jej się strzelania i załatwiania nie swoich spraw. Zwłaszcza za darmo. Chciała wyjść z tej cholernej mgły i wrócić do domu. Najlepiej bez niszczenia płaszcza i botków.

– Ale niby gdzie idziemy? – zapłakała Dominika. – Skąd wiadomo, gdzie iść?

– Może po prostu drogą? – warknęła Edyta. – Tak jak przyjechaliśmy. W końcu dojdziemy do asfaltu. To chyba dość logiczne. Po co głupio pytasz?

Dominika wyglądała na urażoną. Ale nadal chyba była bardziej przestraszona. Choć oczywiście możliwe, że tylko udawała. Jej zachowanie było dość teatralne.

– Wydaje mi się, że wiem, gdzie jesteśmy – powiedział facet w okularach. – Możemy iść przez las na skróty. Zaraz dojdziemy do domostw. To znaczy, jeżeli się nie mylę.

– Znaczy gdzie twoim zdaniem kurwa jesteśmy? – zapytał Tomasz.

– W okolicach Cichego.

Zapadło milczenie, jakby wszystkich dosłownie zmroziło.

– I uważasz, że mamy iść przez las? Przecież chyba wiesz, co ludzie gadają?!

Edyta nie pochodziła stąd, ale mieli ze Stefanem rezydencję na północ od jeziora Ciche. Słyszała oczywiście opowieści o upiorze, który krążył po lasach. Ostatnim mieszkańcu wsi, którą przetrzebiła zaraza. Pozostał jako

jedyny i nie było nikogo, by go pochować. Jego dusza szalała więc po tych lasach.

– Tam chyba ktoś jest! – krzyknęła nagle siostra Leszka. – Jakiś mężczyzna! Czai się! To może być ten upiór! Ten martwy... Jesteśmy zgubieni!!!

W jej głosie było tyle lęku, że Edyta wbrew sobie też poczuła ciarki na plecach. Chyba nie tylko ona.

– Halo, jest tam kto?! – zawołał Szczepan Prawda lekko drżącym głosem.

– Nie wiem, jak wy, ale ja idę poszukać pomocy – oznajmiła Edyta jakby na przekór. Jak wszyscy zaczną panikować, to utkną tu na noc. – Jest pan pewien, że przez las będzie szybciej?

– Tak – odparł okularnik. – Jeżeli się nie mylę, to pójdziemy kawałek przez las i powinniśmy wyjść w Cichem. Znaczący w tej miejscowości. Rozdzielmy się, będzie szybciej, bo możemy wyjść gdzieś na pole. Kto pierwszy zobaczy jakiś dom, to po prostu poprosi o pomoc i już. Chyba raczej nikt się nie zgubi. To naprawdę niedaleko.

– Mówię przecież, że tam ktoś się czai! – zawołała Dominika. – To może być ten martwy... Ten ostatni... Nie możemy tam pójść.

– To zostań tu i pilnuj autobusu – sarknęła Edyta. – Może ten martwy będzie wolał zostać tu z tobą.

Szczerze mówiąc, bała się. I to bardzo. Nie zamierzała jednak zachowywać się jak rozhisteryzowana Dominika. Pierwsza weszła w las. Mężczyźni ruszyli za nią. Tylko Dominika nadal się ociągała. To jeszcze bardziej zirykowało Edytę.

– Faktycznie się rozdzielmy – zakomenderowała, przejmując dowodzenie. – Będzie szybciej.

Nie chciała spędzić ani chwili dłużej niż trzeba w towarzystwie siostry Leszka. Po co w ogóle obiecała jej pomoc. Zresztą ten lęk na pewno nie był na wyrost. Jeśli podejrzenia Edyty były prawdziwe, Dominika mogła zamordować Leszka. A jeśli tak, to raczej nie bała się cieni w lesie. Tym bardziej martwych.

– Ale chociaż zróbmy to z głową – oznajmił Szczepan Prawda, jakby usłyszał jej myśli. – Pójdziemy kawałek, a jak nie znajdziemy drogi, to wracamy do autobusu. Wtedy pójdziemy do asfaltu. Bo zaraz wyjdzie na to, że się pogubimy w lesie i tyle z tego będzie. Jesteście pasażerami, ja za was odpowiadam.

– Pierdolony kapitan tonącego statku się znalazł – mruknął Tomasz Lorenz. – Idziemy. Kto nie idzie, dostanie wpierdol. Pomogło zebrać się na odwagę?

ROZDZIAŁ 24

W lesie.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 19.55.

Szczepan Prawda

Szczepan Prawda nie mógł sobie uzmysłwić, jak długo idzie przez las. W ciemności i mgle całe otoczenie wydawało się odrealnione. Mogło być tak, że odszedł dosłownie kilkanaście metrów od autobusu. A równie dobrze może szedł już godzinę.

Odblokował ekran komórki, która służyła mu teraz za latarkę. Poza tym była bezużyteczna, bo nie było tu zasięgu. Brakowało pięciu minut do dwudziestej. Kiedy się rozdzielili? Że też tego nie sprawdził!

To było takie dziwne, bo nigdy nie tracił orientacji. Wychował się w tych stronach i doskonale znał legendy o wsi zabitej przez zarazę. Była podobno gdzieś w tych lasach. Ten martwy, jak nazwała go Dominika, ponoć cały czas się tu kręcił. Od dziecka ludzie się nim nawzajem straszili i ten lęk zostawał w człowieku. Nawet jak już wiedział, że duchów nie ma.

Szczepan zaklął pod nosem. Mieszkał w Rarogach. Miejscowości, która wszystkim wydawała się upiorna. Ale on znacznie bardziej bał się tych lasów. Oczywiście jeśli Modest się nie mylił i naprawdę zjechali gdzieś w okolice jeziora Ciche. W sumie to było możliwe. Szczepan mógł nie zauważyć zakrętu na asfaltówce i pojechać prosto. Im więcej o tym myślał, tym bardziej prawdopodobne mu się to wydawało. A to z kolei oznaczało, że znajdowali się całkiem blisko domu. To było pocieszające.

Szczepan pomyślał o Bożence. Żona pewnie szykowała kolację na jego powrót. Myślała, że on jest na trasie. Że pojedzie do Nowego Miasta

i wróci. A tymczasem on kręcił się po lesie zaledwie kilka kilometrów od Rarogów.

Nie, to było bez sensu. Kto wpadł na idiotyczny pomysł, żeby przedzierać się na skróty przez las. Modest był chyba szaleńcem! Najprościej było iść do szosy tak, jak przyjechali. Chyba wszyscy postradali zdrowe zmysły w tej mgle i ciemności, że się zgodzili łączyć po krzakach. Równie dobrze mogli kręcić się w kółko.

Szczepan zatrzymał się i omiótł latarką ciemność wokół siebie. Światło zdawało się odbijać od mgły i wracać do niego. Nic praktycznie nie widział. Tylko niewyraźne zarysy najbliższych drzew. Czyżby ktoś tam się poruszał?

Nie, to było zupełnie niedorzeczne, żeby tak łączyć. Szczepan zawrócił. Wolał nie sprawdzać, kto tam jest w ciemności. Gdyby zobaczył jakąś męską postać, to chyba...

Nagle usłyszał strzał.

Szczepan Prawda nie miał najmniejszych wątpliwości, że to była broń palna. Jego znajomi mieli strzelnicę. Właściwie to byli znajomi Hanny Lorenz, ale jego też. Poza tym sam też strzelał. Był myśliwym.

– A to ciekawe – mruknął do siebie.

Zapomniał o strachu przed tym martwym. Bajki dla dzieci. Tymczasem on widział prawdziwy pistolet. I to całkiem niedawno. W autobusie.

Ruszył szybszym krokiem. W tej sytuacji najlepiej jak najszybciej dotrzeć do autobusu. Zapalą światła, będzie ich lepiej widać. Jeszcze tego brakowało, żeby...

Drugi strzał.

ROZDZIAŁ 25

W lesie.

Poniedziałek, 24 lutego 2020.

Godzina 20.10.

Dominika Konopka-Piekarska

Dominika Konopka-Piekarska biegła przez las.

Ciemność.

Mgła.

Potykała się o korzenie drzew. Serce biło jej jak oszalałe. Tak szybko, że wydawało się całkiem możliwe, że wyskoczy z piersi. Nie wiedziała nawet, gdzie biegnie. Miała wrażenie, że cały świat wiruje wokół niej.

Wpadała na drzewa i upadała.

Jedynie, czego była pewna, to że musi biec i chować się, jeśli tylko kogoś zobaczy.

Martwy.

On był martwy!

CZEŚĆ 4
CISZYCIEL

ROZDZIAŁ 26

Squat Wolność.

Sobota, 27 marca 2004.

Godzina 17.35.

Ciszyciel

Ciszyciel machnął ręką zgwałconej dziewczynie, żeby już poszła. Nazywała się chyba Edyta, ale nie był pewny.

Musiał pomyśleć, ale nie mógł się skupić na niej. Jego myśli znów uciekały do przeszłości.

*

Już w najmłodszych latach życia czuł, że może polegać tylko na sobie. Nienawidził pełnych współczucia spojrzeń, które rzucali mu ludzie na ulicy, kiedy matka ciągnęła go za rączkę i darła się na niego wniebogłoso.

Zupełnie naćpana.

Nienawidził obojętności pozostałych mieszkańców komuny i ich wiecznie zamglonych oczu.

Najbardziej lubił zamykać się w piwnicy i marzyć. Że życie będzie inne. Gromadził tyle jedzenia, ile mógł, żeby nie musieć stamtąd wychodzić. Tam czuł się bezpiecznie, bo nikt na niego nie patrzył.

Nikt go nie oceniał.

Siedział po prostu w ciszy i marzył. Wymyślił wtedy dla siebie nowe imię.

Ciszyciel.

Trochę od tej ciszy, w której się odnajdował. Trochę od pocieszania.

Pocieszania samego siebie.

Tak jak matka powinna kołysać w ramionach i mówić: „Ciiii, już nie boli”.

Jego matka nigdy tego nie zrobiła. Sam musiał szeptać sobie różne historie, żeby odnaleźć spokój.

CZEŚĆ 5

TERAZ

ROZDZIAŁ 27

Szpital w Brodnicy.

Niedziela, 1 listopada 2020.

Godzina 8.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Zarzuty tego szaleńca są doprawdy śmieszne – powiedział Stefan Majchrzak.

Podgórski uniósł głowę i powrócił do rzeczywistości. Dziś było Święto Zmarłych, ale cmentarze zamknięto, więc nie mógł odwiedzić Emilii. Żle się z tym czuł. Ale najdziwniejsze było to, że pomyślał o tym dopiero teraz, a nie z samego rana, jak się obudził. Powód był dość jasny. Malwina. Policjant poczuł wyrzuty sumienia.

– No i że miałem chęć rozwieść się z żoną? – kontynuował Majchrzak. – Widział pan zdjęcie mojej Edyty?! Atrakcyjniejszej kobiety pan nie uświadczysz. Te piękne oczy. Co za debilizm. Wariat chciał mnie zabić i jeszcze próbuje zszargać moją reputację. Powinniście wpakować tego Nestora Obucha do więzienia na dożywocie.

Trudno było zrozumieć, co mówi kardiochirurg, bo część jego twarzy pokrywała spora opuchlizna. Majchrzak miał szczęście, że nie został poważniej ranny. Samochód, w którym siedział, stał na tyle daleko od drzwi garażu, że fala uderzeniowa okazała się niewystarczająco silna.

Gdyby wjechał do garażu, jego ciało mogłoby zostać rozerwane na strzępy. Nie tylko w wyniku fali uderzeniowej, ale różnicy ciśnień. Narządy wypełnione gazem lub płynem mogą wówczas pęknąć. Lekarz ze szpitala wyjaśnił Danielowi, że fala uderzeniowa może też zadziałać w ten sposób, że choć czaszka jest nienaruszona, mózg i tak ulega zniszczeniu, dlatego że

narząd ten zostaje wprowadzony w drgania. Jeżeli pękają przy tym naczynia krwionośne, śmierć ofiary jest nieunikniona.

Ładunek przygotowany przez Nestora Obucha okazał się za słaby. Oczywiście im więcej materiału wybuchu, tym fala uderzeniowa jest mocniejsza. Rozchodzi się bardzo szybko. Bywa, że szybciej niż dźwięk. Podgórski rozmawiał o tym wczoraj z pirotechnikiem z komendy. Podobno podczas sierpniowej eksplozji w Bejrucie fala miała trudną do wyobrażenia prędkość kilku tysięcy kilometrów na godzinę. Podgórski nie był pewny, czy dobrze zapamiętał. Wybuch w Libanie był oczywiście zupełnie innego rodzaju i nie był wynikiem podłożenia bomby, ale uwolnił energię równą jednej trzynastej bomby zrzuconej na Hiroszimę. To robiło wrażenie. U nich na szczęście nie doszło do czegoś takiego.

Równie wielkie szczęście, że jeep Weroniki był na tyle daleko, że kobietom nie groziło w tej sytuacji praktycznie żadne niebezpieczeństwo. Podgórski był wściekły, że tam pojechały. Najbardziej na Kopp, bo ona powinna wiedzieć lepiej o skutkach wybuchu i ich nie narażać.

Wczoraj z nimi rozmawiał. Wymienili się spostrzeżeniami. Na chwilę zapomniał o ostrożności, którą obiecał sobie w związku z przyjazdem Mari Carmen. Być może miało z tym coś wspólnego spojrzenie Malwiny. Wieczorem przed zaśnięciem bawił się trochę myślą o sobie i o niej. Nie mógł się powstrzymać.

– Nie robię żadnych przekrętów medycznych. Jestem szanowanym lekarzem. Wykonuję swój zawód z poświęceniem. I to od lat – podkreślił Stefan Majchrzak jeszcze raz. W jego głosie czaił się wyraźny wyrzut, że ktoś mógłby go podejrzewać. – Tymczasem, z całym szacunkiem, ale ten typ nie dość, że chce mnie zabić, to jeszcze jest recydywistą. Mam nadzieję, że tym razem na dobre trafi za kratki.

Podgórski nie miał wątpliwości, że Nestor Obuch zostanie potraktowany surowo. Przecież usiłował zabić Majchrzaka. I to przy użyciu materiału wybuchowego. Takie zamachy sąd traktował z całą surowością. O ile Daniel dobrze pamiętał, artykuł sto czterdzieści osiem kodeksu karnego mówił, że kto zabija z użyciem materiałów wybuchowych, podlega karze co najmniej dwunastu lat więzienia. Najczęściej dostaje się ćwiartę⁷ albo dożywocie.

Tu mieli co prawda do czynienia z usiłowaniem zabójstwa. Dziś jeszcze raz przesłuchają Nestora, ale wczoraj nie okazał najmniejszej skruchy.

Opowiadał o tym, że chciał zniszczyć nierówności społeczne, i wydawał się z tego dumny. Nie przejął się, że ktoś naprawdę mógł zginąć.

Wręcz przeciwnie. Obuch żałował, że Stefanowi Majchrzakowi nic się nie stało. Sąd wymierza karę za usiłowanie w granicach przewidzianych dla danego przestępstwa⁸. Tak to chyba szło. Podgórski podejrzewał, że Nestor może dostać nawet najwyższy wymiar kary. Zwłaszcza jeśli nie zmieni postawy.

No i pamiętał o liście od porywaczy. Tam też była mowa o bombie, więc w świetle wczorajszych wydarzeń można było na niego spojrzeć zupełnie inaczej. Podgórski rozważał początkowo, czy Hanna nie spreparowała listu. Tymczasem mogło się okazać, że był jak najbardziej prawdziwy. Być może napisany przez Nestora Obucha. Daniel mógł sobie z łatwością wyobrazić, jak ogarnięty obsesją mężczyzna wycina literki i słowa z gazety. Może ładunek, o którym była mowa w notatce, okazał się skuteczniejszy niż ten z garażu Majchrzaka.

– Dobrze, że garaż stoi oddzielnie. W przeciwnym razie nie miałbym gdzie mieszkać – warknął wściekle Majchrzak. – No chyba że w moim domku myśliwskim przy jeziorze. Tam fala uderzeniowa na pewno nie doszła. Nie mieści mi się to w głowie. Dosłownie mi się nie mieści. A pan tu przychodzi i pyta o przekręty. I to dzień po wybuchu. Kiedy omal nie straciłem życia i domu. A ten typ sobie spokojnie siedzi w celi i nic mu nie jest.

Majchrzak nie zrobił dobrego wrażenia na Podgórskim. Daniel przyjechał do szpitala sprawdzić, jak się ma poszkodowany, a kardiochirurg cały czas się tłumaczył. Podgórski nie zajmował się przestępczością gospodarczą, więc wczoraj wieczorem poprosił kolegę pegowca⁹, żeby włączył się do sprawy i sprawdził, czy doszło do przekrętu medycznego. On zamierzał skupić się na poszukiwaniu zabójcy.

– Jak pana samopoczucie? – zapytał ze współczuciem, żeby uspokoić sytuację i nie spłoszyć Majchrzaka za bardzo.

Policjant był tu z jeszcze jednej przyczyny. Jechał na odprawę na komendę i skręcił w Wiejską, żeby podjechać do szpitala. Sam. Na tym mu właśnie zależało.

Wczoraj po wybuchu i aresztowaniu Obucha nowy komendant zarządził, że Mari Carmen Sikora będzie wszędzie z Danielem jeździć. Więckowski nazwał to pomocą w trudnej sytuacji. Jego zdaniem należało zmobilizować

siły i środki, ale Daniel dokładnie wiedział, że chodziło znów o to, żeby Mari Carmen mogła realizować to, po co tu przyjechała. Tylko pod płaszczykiem oficjalnych działań.

Słyszając to, Podgórski miał wrażenie, że krew zagotuje mu się w żyłach. Myśl o tym, że ma współpracować z Mari Carmen, sprawiała, że odechciewało mu się dosłownie wszystkiego. Dlatego właśnie skręcił w Wiejską zamiast w Zamkową i wpadł do Stefana Majchrzaka. Bez niej. Może i przypominało to dziecinny bunt, ale nie mógł się powstrzymać. Jej wściekłością zajmie się potem.

– A jakie ma być! Ktoś chciał mnie zabić. Oczywiście, że nie czuję się dobrze. Ale mogło, rzecz jasna, być gorzej. Chociaż kto wie. Konsekwencje mogą być za jakiś czas. No ale najważniejsze, że ręce całe. – Majchrzak uniósł wypielęgnowane dłonie. – Tu mam mój fach. A właśnie. À propos fachu. Skoro już rozmawiamy, powiem panu, co sobie ostatnio przypominałem. To jest przekroczenie tajemnicy lekarskiej, ale może okazać się ważne. Dlatego panu powiem. Tylko musi pan obiecać, że nikomu nie powie, że to wyszło ode mnie. To nie jest złamanie tajemnicy, bo nie zdobyłem informacji w związku z wykonywaniem zawodu. Zrobiła to moja żona, bo powiedziała mi, czego dowiedziała się podczas prowadzenia terapii. Nie chcę, żeby miała problemy.

Daniel zwrócił uwagę, że Stefan Majchrzak mówił o Edycie, jakby jego żona ciągle żyła. To oczywiście jeszcze nic nie znaczyło. Kardiochirurg mógł chcieć odwrócić od siebie podejrzania. Obecnie głównym podejrzanym zdawał się Nestor, Podgórski zamierzał się jednak trzymać zasady Kopp. Niczego z góry nie zakładać.

– Nie zdradzi pan, że to wyszło ode mnie? – upewnił się kardiochirurg.

– A o co chodzi? – zapytał Daniel zamiast odpowiedzi. Niczego nie zamierzał obiecywać.

– Zresztą wszystko jedno. – Mężczyzna machnął ręką. – Kogo ja oszukuję. Moja żona i tak pewnie nie żyje, więc nieważne już, co mi zdradziła o swojej pacjentce i co ja zdradzę panu.

– O którą pacjentkę chodzi? – zapytał Daniel.

Stefan Majchrzak przyglądał się policjantowi spod oka. Międlął w palcach szpitalną pościel. Była świeżo wyprana. Czuć było zapach detergentów. Całkiem przyjemny. Trochę kwiatowy. Może kardiochirurg został specjalnie potraktowany ze względu na swoją profesję.

– O Dominikę Konopkę, rzecz jasna. Moja żona była terapeutką Leszka, a potem zajmowała się też Dominiką. Leszek polecił Edytę siostrze. No i wie pan, co ona powiedziała mojej żonie?... Bo ona była w ciąży. Wie pan o tym, prawda?

Daniel skinął głową. Wiedział doskonale. Internet aż huczał od artykułów o kobiecie, którą pochowano żywcem, a ona urodziła dziecko w grobie. Od wczoraj Podgórski miał wrażenie, że ten temat wyskoczy mu nawet z łódówki.

– Tak, oczywiście, że wiem.

– No jasne – zreflektował się Majchrzak. – Głupio spytałem. Wszyscy o tym teraz mówią. A wie pan, czyje to było dziecko?

Daniel przejechał ręką po brodzie. Znów zapomniał, że ma tę nieszczęsną maseczkę. Pragnął, aby wreszcie świat wrócił do normalności. Niestety, jak na razie się na to nie zanosilo. Zakażonych było coraz więcej. Również u nich w jednostce. Jego nadal to omijało. Osoby, na których mu zależało, też. Oby tak dalej.

Pytanie, czyje było dziecko, trochę go zaskoczyło. Do tej pory się nad tym nie zastanawiał i nikt chyba nie poruszył tej kwestii. Nie wydawała się szczególnie istotna. Bardziej przerażające było chyba dla ludzi to, że w ogóle mogło dojść do porodu w trumnie.

Policjant obiecywał sobie, że pomówi dziś z doktorem Bratkowskim. Trzeba było przygotować jakieś materiały dla rzeczniczki komendy. Wiedział, że Agnieszka sobie z tym poradzi i odpowiednio to przedstawi. Przyda się trochę rzetelnych wiadomości w morzu spekulacji. W ludziach był chyba lęk przed obudzeniem się w całkowitej ciemności i maleńkiej przestrzeni trumny. Dlatego takie gadki trafiały na podatny grunt, a portalom internetowym z miejsca zapewniały zasięgi.

– Dominika ma męża pijaka – kontynuował kardiochirurg, zanim policjant zdążył odpowiedzieć. – Tego Piekarskiego.

Daniel skinął głową. To też już wiedział. Po nieoczekiwanym pojawieniu się w Tamie Brodzkiej Dominika Konopka-Piekarska zamieszkała u rodziców z myślą o tym, że oni lepiej zaopiekują się nią po takim przeżyciu. Potem już u nich została.

Policja sprawdzała Piekarskiego, ale zdawał się głównie zajęty spożywaniem mocnych trunków i z tego, co Daniel wiedział, został szybko wykluczony z kręgu podejrzanych. Przedwcześnie?

– To nie było dziecko jej męża. Bo z mężem Dominika seksu nie uprawiała od lat – oznajmił Majchrzak. – A jednak była w ciąży. Z kim?

Mężczyzna znów zaczął miętosić w palcach brzeg kołdry. Czekał chyba na odpowiedź. Może lubił budowanie napięcia.

– Domyślam się, że pan wie – odparł Daniel. Nie miał siły na gierki.

– Otóż Dominika została zgwałcona. Tak przynajmniej powiedziała mojej żonie. I stąd prawdopodobnie to dziecko.

– Wie pan, kto to zrobił? – zapytał Podgórski.

To była zupełnie nowa i potencjalnie ważna informacja. Nie wiedział jeszcze, jak ten fakt się ma do całej historii, ale czuł, że mógł odegrać jakąś rolę. Czasem intuicja, a raczej doświadczenie, podpowiadała mu takie rzeczy.

– Zrobił to Szymon Prawda.

– Mąż sklepikarki – bardziej powiedział niż zapytał Podgórski. – Kierowca autobusu.

Kardiochirurg potwierdził.

– Ale to nie wszystko – dodał z uśmiechem. – To pierwszy kandydat na ojca. Ale ja dodam jeszcze drugą możliwość. Dominika mówiła mojej żonie, że spotykała się z Modestem Obuchem. Czyli bratem tego wariata, który chciał mnie wysadzić. Więc nie wiem, czy to było dziecko z gwałtu, czy może któregoś z braci bliźniaków. Bo skoro jej się podobał jeden, to czemu nie drugi? Byli przecież bliźniakami. Oni w tym siedzą po uszy. Mówię panu.

Podgórski poprawił maseczkę. Tęsknił za momentem, kiedy wreszcie zdejmie ją w samochodzie. Zastanawiał się nad tymi wszystkimi powiązaniem. Na razie nie dało się rozeznaczyć, co się dzieje. Miał irytujące wrażenie, że w tej rozmowie padło coś istotnego, jakiś niewinny komentarz, który utkwiał mu gdzieś w podświadomości. Niestety nie mógł uzmysłwić sobie, co go tak zaniepokoiło.

[7](#) Slang. Wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia.

[8](#) Artykuł 14 kodeksu karnego – wymiar kary za usiłowanie. Paragraf pierwszy.

[9](#) Slang. Policjant zajmujący się przestępczością gospodarczą.

ROZDZIAŁ 28

Szosa przy Rytych Błotach.

Niedziela, 1 listopada 2020.

Godzina 8.15.

Klementyna Kopp

Na asfalt opadały żółte liście. Wkrótce kolory jesieni znikną i pozostaną gołe gałęzie. Ciekawe, jaka zima ich czeka. Kopp się wzdrygnęła. Nie lubiła zimna. Choć nigdy nie pozwalała, żeby warunki klimatyczne w jakikolwiek sposób ją ograniczały. Cały rok ubierała się tak samo. Bojówki, wojskowe buty i skórzany żakiet. Zimą nakładała jeszcze długi szal. Tyle. Nawet jeżeli miało być minus dwadzieścia. Nikt nie będzie jej niczego narzucał. Nawet mróz.

– Zaczniemy tu – zakomenderowała Kopp. – Bo wiadomo, że w tym miejscu autobus był jeszcze na swojej trasie.

Nowy-dzień. Nowy-plan. A właściwie powrót do samego początku. Czasem trzeba było się cofnąć. Policyjna robota uczyła pokory. Czasem polegała na beczynnym czekaniu, a czasem wymagała zrobienia nawet kilkunastu kroków wstecz, bo dopiero ten manewr pozwalał ruszyć do przodu z nową siłą. Musiały sprawdzić, czy nic nie przeoczyły, kiedy zajmowały się sprawą zaginionego autobusu w lutym. Albo raczej sprawdzić, co przeoczyły. Bo że przeoczyły, było więcej niż pewne. W przeciwnym razie sprawa byłaby już rozwiązana.

Kopp uśmiechnęła się krzywo. Ciągle czuła, że pracuje w firmie, mimo że tak długo była już cywilem. Cywil. To zniechęcające słowo od siebie odpychała. Po prostu zamierzała znaleźć sprawcę. Jeżeli złoczyńca liczy, że ujdzie mu to na sucho, to chyba nigdy jej nie spotkał.

Spojrzała na swoją obecną ekipę. Nie było tu technika kryminalistyki, nie było policjantów z wydziału. Ani operacyjnych, ani dochodzeniowców. Nie było prokuratora ani medyka sądowego. Była za to ona. *Stara-ale-niezawodna*. Do tego Maria. Starsza pani, która wiecznie wszystkich dokarmiała. Weronika. Młoda matka, tęskniąca obecnie za powrotem do dziecka. Malwina. Pisareczka, wiecznie stukająca w ten swój telefon. Kilka miesięcy temu ktoś nazwał je bandą szalonych bab po to, żeby je obrazić. Ale! Kopp całkiem podobała się ta nazwa. *Banda-szalonych-bab*. Chwytiliwe i może do pewnego stopnia prawdziwe. Znow się uśmiechnęła pod nosem.

– A ty mów, jaką trasą twój mężulek miał w zwyczaju jechać, co? – rozkazała.

Zabrały ze sobą sklepikarkę. Kto lepiej od Bożeny Prawdy wiedział, którędy jeździł Szczepan Prawda. Wiadomo było przecież, że zjeżdżał po kryjomu po mieszkańców Rarogów. Kto wie, co jeszcze robił na trasie między Brodnicą a Nowym Miastem Lubawskim przez Zbiczno i Ciche. Klementyna miała zamiar przejechać tę drogę od początku do końca. Może nawet kilka razy, jeśli będzie trzeba.

Policja już to zrobiła w lutym. Kopp nie była pewna, czemu *banda-szalonych-bab* nie. Chyba za bardzo zaufała ekipie z komendy, że to sprawdzi. Mimo że sama zawsze powtarzała, że lepiej zrobić coś samemu niż polegać na kimś. Tylko wtedy ma się pewność, że to jest zrobione odpowiednio. Albo że w ogóle jest zrobione. Wydawało się co prawda, że zrobiono wszystko, co się da. Sprowadzono nawet dron, dzięki któremu można było obejrzyć okolicę z góry. *Nic-z-tego*.

Poza tym teraz zdobyły nowe informacje. Dominika nagrała się na komórkę Marii i powiedziała, że mogło dojść do strzelaniny. Ale! Tego rodzicom nie powiedziała. Zbigniewowi i Alinie wspomniała za to, że autobus nie pojechał tą drogą, co trzeba. Kopp zamierzała sprawdzić śmiałą teorię, że autobus się zgubił. W nagraniu na poczcie głosowej była mowa o mgłę i niedziałających telefonach. Im więcej o tym myślała, tym bardziej ta teoria wydawała jej się prawdopodobna. Nawet jeśli byłaby chybiona, Kopp postanowiła nie porzucać jej, póki tego nie sprawdzą.

– Szczepanek zjeżdżał z asfaltu i jechał lasem do Rarogów – poinformowała Bożena Prawda. – Z reguły wsiadali koło rozstaju dróg. Tam było wygodniej wjechać niż jechać do samej wsi. Mąż kierował nie

dużym pekaesem, tylko mniejszym autobusem, ale mimo wszystko to spory pojazd jak na nasze leśne ścieżki.

– Spoko. Ale! To już wiemy. Co dalej, jak już zabrał pasażerów, co? Gdzie jechał dalej, co?

– Wraciał właśnie tu na asfalt – wyjaśniła Bożena Prawda. – I dalej jechał jakby nigdy nic.

– Nie łatwiej było pojechać drugą stroną lasu i wyjechać obok Wielkich Partęczyn? – zapytała Malwina Górską. – Biegam tamtędy i ta leśna droga tak prowadzi. Pokażę wam.

Pisareczka wyciągnęła telefon i wybrała aplikację z mapą. Pokazała im fragment, o który jej chodziło. Faktycznie od rozstaju dróg wystarczyło jechać prosto i autobus znalazłby się z powrotem na asfalcie, choć dużo dalej na trasie, niż się znajdowały. Można wręcz było powiedzieć, że to był skrót.

– Tak, ale tak nie mógł jechać. Bo jest przystanek w Cichem. Jakby pojechał przez las, toby go ominął. Musiał tu wrócić. Nie było wyjścia.

Kopp podrapała się po ogolonej na łyso głowie. Zaszędziało. Chyba jakiś zapomniany komar uznał, że nie czas jeszcze uciekać przed zimą. Niedługo będzie musiała znów sięgnąć po maszynkę, bo gdzieś tam czuła pod palcami nierówną szczecinę. Nie lubiła, kiedy włosy odrastały. Przyzwyczaiała się do swojego odbicia w lustrze. Nie potrzebowała burzy rudych loków jak Weronika. Ani różowych warkoczyków jak pisareczka. Ani tym bardziej nawiniętych na wałki siwych pukli Marii Podgórskiej.

– Okej. No dobra. Tam kawałek dalej stał mercedes doktorki od czubków – mruknęła Kopp bardziej do siebie niż do nich.

Edyta Majchrzak wysłała do męża wiadomość, że skończyła jej się benzyna. Autobus akurat nadjeżdżał i zatrzymała go na stopa. Policja faktycznie znalazła potem jej czerwoną limuzynę. Bak był pusty. Auto stało dosłownie kilkaset metrów od miejsca, gdzie się teraz znajdowały. Czyli autobus prowadzony przez Szczepana Prawdę wyjechał z lasu i ruszył w prawo w stronę miejscowości Ciche. Na razie dokładnie tak, jak kierowca sobie zaplanował.

– A ja się zastanawiam, czy oni nie mieli wypadku – odezwała się Maria. – W nagraniu Dominika mówiła, że była mgła. Zresztą to był dzień, kiedy kończyłyśmy śledztwo w sprawie Śreżogi, pamiętacie? Bo ja dużo o tym myślałam, jak wczoraj wieczorem piekłam makowiec. Musiałam upiec,

żeby się uspokoić po tym wybuchu. To było straszne... A nic tak nie uspokaja jak pieczenie. Mówię wam, kochane, palce lizać wyszedł mi ten makowczyk. A lukier... Wzięłam...

– Mamo, teraz nie czas na ciasto – upomniała ją ruda.

Kopp niemal była pewna, że Weronika zaraz przewróci oczami, jak to miała w zwyczaju mysia policjantka. Podgórska chyba jednak się pilnowała, żeby nie być jak znienawidzona Emilia, bo jej twarz zastygła tylko w pełnej niecierpliwości minie.

– Ano tak, przepraszam, do rzeczy – zreflektowała się Maria. – W każdym razie mgła była wtedy taka, że widoczność spadła prawie do zera. Może w coś wjechali, bo nic nie było widać?

– Spoko. Ale! Gdyby w coś wjechali, to autobus zostałby znaleziony. Raczej by nie wyparował. Dlatego teraz proponuję skupić się na założeniu, że się zgubili.

– No ale nawet jakby się zgubili, to w końcu by się odnaleźli – mruknęła Weronika.

Z trudem ją namówiły, żeby pojechała dziś z nimi. Widać było, że chce zostać z córeczką. Ale! Kopp nie ustępowała. Potrzebowały terenowego auta rudej. Nie wiadomo przecież, po jakich wertepach będą musiały jeździć. Czarna skoda Klementyny mogłaby nie dać rady. A Weronika nie chciała dać jej kluczyków i pożyczyć samochodu. Skończyło się więc na tym, że musiały znaleźć sposób, żeby ją przekonać do dalszego uczestnictwa w ich prywatnym śledztwie. Kopp sama nie była pewna, jak się udało. Jeszcze tak niedawno Weronika uciekała od córeczki, teraz chyba odmieniło jej się o sto osiemdziesiąt stopni. Klementyna do pewnego stopnia ją rozumiała. Ona sama też kiedyś prawie została matką... Ale! To była zupełnie inna historia. Kopp wzdygnęła się. Nie zamierzała teraz wspominać.

– Może i by się odnaleźli. Ale! Najpierw sprawdzmy, czy w ogóle znajdziemy miejsce, gdzie mogli się zgubić.

Nie tylko Malwina umiała grzebać w aplikacjach z mapami. Klementyna zrobiła wczoraj wieczorem to samo. Trochę czasu zajęło uporządkowanie spraw związanych z wybuchem i oddanie Nestora Obucha w ręce policji. Mundurowi przyjechali niedługo po nich, trzeba było jednak złożyć wyjaśnienia, czekać na pirotechnika i tak dalej.

Kiedy wreszcie to wszystko się skończyło, każda z nich chciała już tylko wrócić do domu. Kopp też. Choć dobrze wiedziała, że nie wytrzyma zbyt długo beczynn timer. Przejrzała trasę autobusu na mapie internetowej i znała już chyba każdy jej centymetr. Była doskonale przygotowana, żeby dziś ją przejechać razem z *bandą-szalonych-bab*.

Tylko co innego patrzeć na mapę, a co innego rozeznaczyć się w terenie. Na mapie wszystko wydawało się proste. A trzeba było wyszukać potencjalnie problematyczne miejsca. Wejść niejako w skórę Szczepana Prawdy siedzącego za kierownicą autobusu.

Kopp też pamiętała mgłę, która pojawiła się tamtego wieczoru. Widoczność była tak zła, że nietrudno było wyobrazić sobie, że mogło wydarzyć się coś zupełnie nieoczekiwanego. A to z kolei mogło pociągnąć za sobą kolejne konsekwencje. Nieraz łańcuch wydarzeń zaczynał się od zupełnie drobnego elementu.

– Ja też dużo myślałam o tej sprawie wczoraj wieczorem – wtrąciła się Malwina Górka. – A...

– Co to się z ludźmi porobiło – przerwała jej Bożena Prawda. – Ten wybuch. Przecież ktoś wysadził w pył garaż pana Majchrzaka. Cud, że nikt nie zginął.

Pisareczka spojrzała na sklepikarkę spod oka. Niezadowolona chyba, że jej przerwano. Bożena Prawda najpewniej się zreflektowała, bo nie kontynuowała wypowiedzi. Różowa czekała chwilę.

– A konkretniej o tym strzelaniu – podjęła w końcu. – To znaczy najpierw nie chciałam w ogóle myśleć o sprawie. Zaczęłam robić prasówkę w Internecie, ale w aktualnościach wszędzie było tylko o porodzie w trumnie. Zaczęłam więc czytać starsze rzeczy. Czytałam akurat artykuł o odstrzale dzików. Jak wiecie, jestem weganką, więc niezbyt podoba mi się ten pomysł... I wtedy pomyślałam o tym, co powiedziała Dominika. O strzelaniu. Co, jeżeli trwało akurat polowanie i ktoś w autobusie został postrzelony? To by zgadzało się z teorią Klementyny. Zgubili się. Wjechali na teren polowania...

– Dominika nie użyła słowa morderstwo? – wtrąciła się Weronika. – Jeżeli doszło do morderstwa, to raczej nie oznacza przypadkowego wjechania na teren polowania.

– Odsłuchajmy tę wiadomość raz jeszcze, co? – zaproponowała Kopp i spojrzała na Marię wyczekująco.

Matka Daniela wyglądała na zdziwioną.

– Co? – zapytała.

– No musimy odsłuchać tę wiadomość z twojego telefonu, mamie – odparła Weronika niecierpliwie. – Włącz ją.

– Tylko że ja wykasowałam to wszystko – powiedziała Maria cicho.

– Co zrobiłaś, co? – zapytała Kopp powoli.

– No bo nie chciałam, żeby mi się zapchała skrzynka!

– Mamie, to był nasz jedyny punkt zaczepienia! I miałyśmy przekazać to Danielowi.

– No ale myślałam, że wszystkie pamiętamy, co powiedziała Dominika – tłumaczyła Maria przeprasząco. – Nie przyszło mi do głowy, że to będzie jeszcze potrzebne.

Teraz to Kopp miała ochotę przewrócić oczami. Zrobiłaby to, gdyby nie fakt, że to było też po części jej niedopatrzenie. Powinna była zabezpieczyć nagranie od razu, a nie ufać, że będzie w telefonie Marii. Najwyraźniej Klementyna zaczyna się starzeć, skoro popełniała takie błędy. *Głupia-stara-baba*. Tak naprawdę każde słowo i każdy niuans wiadomości mogły być istotne. Coś, co wydawało się błahe, mogło nabrać innego wydźwięku, kiedy pojawiały się nowe fakty. A teraz z tego nici.

– Interesująca hipoteza z tym polowaniem – powiedziała, siląc się na spokój. – Kiedy są sezony łowieckie, co? Któraś z was wie, czy w lutym się poluje na jakieś zwierzęta, co?

Pomysł pisareczki był godny uwagi. Jeżeli ktoś został postrzelony przez przypadek, a takie rzeczy przecież się zdarzały, może myśliwi chcieli ten fakt potem zatuszować. I pozbyli się wszystkich pasażerów oraz kierowcy feralnego autobusu.

– Ja wiem, bo Szczepanek czasem polował – powiedziała Bożena Prawda.

– W lutym poluje się między innymi na jelenie, danielle, dziki, chyba też borsuki. To tak z pamięci.

Kopp zauważyła, że po każdym wymienionym zwierzęciu mina Malwiny Górskiej rzednie. Nie było teraz czasu na wywody dotyczące ochrony fauny. To było ważne. Ale! Musiały znaleźć mordercę.

– No dobrze, ale co z tym listem od porywaczy, o którym mówił wczoraj Daniel? – zapytała Weronika. Kiedy Podgórski przyjechał pod rezydencję Majchrzaka, udało im się wymienić informacjami. – Jak to się ma do teorii z polowaniem?

Kopp wzruszyła ramionami. Widziała co najmniej kilka możliwości. Pierwsza to skierowanie uwagi w inną stronę. Czyli jak najdalej od siebie.

– Zapisałam sobie treść tego listu w telefonie – wtrąciła się Malwina. – Więc akurat to mamy do wglądu i możemy do tego wracać. Przeczytać? Może powinniśmy trochę bardziej się tym zainteresować? Nie uważacie?

Podgórski streścił im wydarzenia. Nietrudno było jednak zauważyć, że skupiał się zwłaszcza na jednym z nich. Kopp uśmiechnęła się znów do siebie. Chłopak powinien uważać.

– Zostawmy na razie to – odparła Klementyna. Widziała po minie Weroniki, że zaraz może dojść do jakiejś przepychanki. Nie warto tracić czasu na kłótnie o mężczyzn. Kopp dobrze to wiedziała. – Trzeba się skupić na zadaniu. A teraz mamy jedno. Jedziemy trasą autobusu i rozglądamy się, gdzie mógł ewentualnie zmylić drogę. A ty podpowiadasz, jak twój mężulek miał w zwyczaju jechać.

Kopp pokazała palcem Bożenę Prawdę.

– Oczywiście – zapewniła sklepikarka z Rarogów. – I chcę jeszcze raz podkreślić, że mój Szczepanek nie ma z tym nic wspólnego. Też jest ofiarą. I mam nadzieję, że policja w końcu to zrozumiała, bo to gadanie o naszej pile mechanicznej... A tu proszę. Wczoraj znalazłam czaszkę z postrzałem. Czyli Leszek nie zginął od piły, tylko od postrzału. Czyli wnioski były nieprawdziwe! A teraz mówicie, że Dominika powiedziała, że była jakaś strzelanina. To musi mieć jakiś związek. Szczepanek nie ma z tym nic wspólnego. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc. Pozostałym zresztą też... O ile oni jeszcze żyją...

Świetnie. Przynajmniej jedna z nich była nastawiona zadaniowo.

– Leszek zginął dokładnie rok temu, co? – upewniła się Kopp.

– Jo. Dzień przed Świętem Zmarłych – uściśliła sklepikarka. Na jej twarzy pojawiła się wyraźna odraza. – W Halloween. W naszej wsi nienawidzimy tego święta. Nie zgadza się z naukami Kościoła. Czczenie duchów i innych takich.

– A nie jest tak, że duchy to wy macie u siebie? – zapytała Malwina.

Bożena Prawda wzdrygnęła się.

– Tak ludzie mówią. Ja wolę o tym nie myśleć. Z takimi rzeczami się nie igr.

Kopp uśmiechnęła się krzywo. Jeżeli istniało jakieś miejsce, które doskonale pasowało do Halloween, to były z pewnością Rarogi. Niedaleko

stąd znajdowały się Utopce. Kiedyś prowadziła tam śledztwo. Ale! O tamtym miejscu wolała nie myśleć. Zresztą trzeba było działać, nie gadać.

– Daj no te kluczyki – powiedziała, odwracając się do Weroniki.

Ruda wyglądała na zaskoczoną.

– Ja teraz poprowadzę – dodała Klementyna.

– To mój samochód – mruknęła Podgórska.

– Zdaję sobie sprawę. Ale! Jak ty będziesz prowadzić, to wszystko przeoczmy. Czasem trzeba spieszyć się bardzo powoli. A ty, zdaje się, niezbyt to potrafisz. Tu trzeba metodycznie.

Weronika chciała zaprotestować. W końcu jednak dała kluczyki Klementynie. Kopp dziwiła się tej niechęci. Emerytowana komisarz należała do osób, które bardzo dbają o samochody. Jej *brzydka-ale-niezawodna* skoda miała swoje lata. Ale! Zawsze była wmyta, olej uzupełniony, płyn do spryskiwaczy nalany. Na pewno będzie się obchodziła z terenówką rudej lepiej niż jej właścicielka.

Weronika pędziła po leśnych szlakach, jakby jeździła asfaltem. Teraz nie mogły sobie na to pozwolić. Przy wielkich prędkościach można było łatwo coś przeoczyć. Poza tym Kopp liczyła, że siedząc za kierownicą, łatwiej wczuje się w sytuację, która miała miejsce w lutym. Chciała dokładnie sprawdzić, co widział Szczepan Prawda.

Wsiadły w pięć do jeepa i Kopp przekręciła kluczyk. Nie zwracała uwagi na perorowanie Marii. Stara Podgórska chyba znów proponowała im jakieś ciastka. A może nawet świeży makowczyk. Klementyna wpatrywała się w drogę, pozwalając im rozmawiać. Nie spieszyła się. Z Rytych Błot do Nowego Miasta Lubawskiego było jakieś dwadzieścia kilometrów. Może trochę więcej. Zamierzała przejechać je powoli i w skupieniu. Niech one zajmą się sobą.

Zaraz...

Zahamowała.

Musiała przyznać, że zrobiła to dość gwałtownie. Przejechały dopiero kilkaset metrów. Leśna szosa skręcała łagodnym łukiem. Ale! gdyby pojechać prosto...

– Myślisz, że już tu zjechali z trasy? – zapytała Weronika. – Przecież dopiero co ruszyliśmy. Tak blisko to raczej by się nie zgubili.

Kopp skinęła głową. Tak, to wydawało się mało prawdopodobne. Nie zamierzała jednak nic z góry zakładać. Leśny szlak biegł początkowo niemal wzdłuż asfaltu, dopiero potem odbijał między drzewa. Gdyby Szczepan skręcił choćby odrobinę za bardzo, mógł zjechać z szosy. Klementyna przycisnęła delikatnie pedał gazu. Samochód potoczył się leśną drogą. O dziwo, prawie nie czuć było zmiany nawierzchni pod oponami. Sunęły dość płynnie naprzód.

– Faktycznie można byłoby się pomylić! – zawołała Bożena Prawda podekscytowana. – Jeżeli Szczepanek nic nie widział przez mgłę, to mógł myśleć, że droga prowadzi dalej prosto! Niby znał trasę jak własną kieszeń, ale wiecie, że to się zdarza. Tylko dlaczego by nie cofnął, jeżeli zorientowałby się, że się pomylił?

Nikt jej nie odpowiedział. Jechały przez chwilę w zupełnej ciszy. Stopniowo droga robiła się coraz bardziej wyboista. Jeżeli autobus faktycznie tędy pojechał, to Szczepan Prawda musiałby już wiedzieć, że coś jest nie tak. Pytanie sklepikarki było więc jak najbardziej trafne.

– Tam ktoś idzie – powiedziała Maria. Pochyliła się pomiędzy fotelami. Jej twarz znajdowała się teraz kilka centymetrów od Kopp. Pachniała ciastem.

– To ten facet – mruknęła Klementyna.

Leśną drogą szedł niziutki mężczyzna. Odwrócił się, kiedy usłyszał silnik samochodu. Łysa głowa i charakterystycznie podkreślony wąs nie pozostawiały żadnych wątpliwości. To był on. Niepokojący facecik ze sztucznymi wąsami. Tylko co on tu robił?

ROZDZIAŁ 29

Przed wyjściem ze szpitala w Brodnicy.

Niedziela, 1 listopada 2020.

Godzina 9.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Pana to jakoś zawsze spotykam w progu – zaśmiał się Podgórski.

– Spieszę się – oznajmił doktor Bratkowski swoim zwyczajem. – Muszę natychmiast wyjść.

– Ale przecież pan właśnie wchodził.

Podgórski skończył rozmawiać ze Stefanem Majchrzakiem i szedł właśnie do samochodu, żeby pojechać na komendę, kiedy natknął się na młodego medyka sądowego. A właściwie prawie na niego wpadł, bo szedł całkowicie pogrążony w myślach.

Dotarło do niego to, co wcześniej nie dawało mu spokoju. Stefan Majchrzak wspomniał, że ma domek myśliwski. Żartował, że mógłby tam nocować, gdyby jego dom został uszkodzony przez wybuch. A jeżeli kardiochirurg miał domek myśliwski, przebiegło policjantowi przez myśl, to najprawdopodobniej umiał strzelać. A przecież w czaszce Leszka Konopki znaleźli dziurę, która mogła być raną postrzałową. No i kobiety powiedziały mu wczoraj, że Dominika zaczęła odzyskiwać pamięć. Też mówiła coś o strzelaniu.

– Ja... no tak... Mam sekcję do zrobienia. Ciało tej kobiety z Rarogów zostało wczoraj znów przywiezione.

Sekcje zwłok były teraz przeprowadzane na terenie szpitala. Dominika Konopka-Piekarska miała znów trafić na stół. Jej rozkopany grób na razie pozostawał pusty i czekał na swoją lokatorkę.

– A nie robił pan tego wczoraj? Wspominał pan, jak się spotkaliśmy w drzwiach komendy.

– Ja... Muszę się nad tym porządnie skupić. Prokurator Krajewski oczekuje na wyniki.

– Zjawą zawsze oczekuje na wyniki – zaśmiał się znów Daniel. – Pięć minut go nie zbawi. Tyle panu zajmę.

Już wczoraj Podgórski zauważył, że medyk zachowuje się co najmniej dziwnie. Dziś to wrażenie przerodziło się w niemal całkowitą pewność, że coś jest nie tak. Policjant nie zastanawiał się, o co może chodzić, ale postanowił przycisnąć doktora. Szkoda, że nie było z nim Łukasza. Syn skutecznie nie dopuściłby do ulotnienia się medyka.

– Muszę iść – powiedział Bratkowski nerwowo.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem do swojego auta. Jeździł najnowszym nissanem micrą, choć wczoraj Podgórski chyba widział go przy fiacie. Samochód znacznie różnił się od poprzednich wersji tego modelu. Daniel musiał przyznać, że nowe wcielenie popularnego auta wyglądało całkiem nieźle.

Bratkowski otworzył drzwi, by wsiąść do środka. Podgórski przytrzymał je zdecydowanym ruchem. Medyk był co najmniej dwa razy mniejszy od niego. Poradzi sobie z nim nawet bez Łukasza.

– Przecież podobno miał pan robić sekcję, bo prorok¹⁰ się wścieknie. To gdzie pan jedzie? – zapytał powoli. – Poza tym nie dokończyliśmy wczorajszej rozmowy, tak szybko pan wyszedł. Zupełnie jak dziś. Zaczynam mieć niemiłe wrażenie, że pan mnie unika.

– Chyba pan żartuje – zaśmiał się medyk. Było w tym tyle nerwowości, że nie mogło już być mowy o pomyłce.

– No oczywiście żartuję – odpowiedział Podgórski, żeby go nieco udobruchać. Nadal jednak przytrzymał drzwi micry.

– Proszę mnie puścić.

– Ale ja pana nie trzymam – odparł Podgórski powoli. – Opieram się tylko o drzwi. A że do lekkich nie należę, cóż poradzić.

– To jest napaść!

– Przecież tylko rozmawiamy. Czemu jest pan taki nerwowo?

Powieka Bratkowskiego zaczęła drgać.

– Ja nerwowo?

– No nie wygląda pan na spokojnego – powiedział Daniel z uśmiechem. – A ja chcę tylko porozmawiać na tematy służbowe.

– Zapłacili mi – oznajmił nieoczekiwanie medyk. Ściszył głos niemal do szeptu, choć przed budynkiem szpitala akurat nikogo nie było. – Zadowolony pan?

– Tak trudno było to powiedzieć? – zapytał policjant, żeby zyskać trochę na czasie i zorientować się w sytuacji.

Bratkowski zaskoczył go na tyle, że Daniel nie wiedział jeszcze, jaką strategię przyjąć. Bardzo się starał, żeby zdziwienie nie było widoczne na jego twarzy. Takiej odpowiedzi medyka akurat zupełnie się nie spodziewał. Wyglądało jednak na to, że Bratkowski myślał, że Daniel coś wie. Najwyraźniej dlatego był taki zestresowany i w końcu nerwy mu puściły.

– Nie zrobiłem tej choleralnej sekcji – syknął medyk. Pot zaczął spływać mu po twarzy.

Podgórski poczuł, że i jemu robi się gorąco. Kiedy przyszyły pierwsze jesienne chłody, wyciągnął z szafy ramoneskę. Pamiątkę jeszcze z czasów burzliwej młodości. Nie dopinała się na brzuchu, więc musiał nosić ją rozpiętą. Przegrzanie zdecydowanie mu nie groziło. Mimo to i on zaczynał się pocić. To, co usłyszał, zupełnie mu się nie podobało. Jeżeli sekcji nie było, to jak rozumieć poród w trumnie? Czyżby Dominika jednak żyła? I wszystkie artykuły z Internetu miały rację? Jak długo można przeżyć w drewnianym pudle zakopanym pod ziemią? Ile żyło dziecko urodzone pod ziemią?

– Nie zrobił pan sekcji Dominiki Konopki? – zapytał policjant powoli.

– Nie zrobiłem, kurwa. Zadowolony pan?

Podgórski pierwszy raz słyszał, żeby młody medyk przeklinał. Z drugiej strony zupełnie go nie znał. Może Bratkowski wcale nie był takim wymuskany kujonem, na jakiego wyglądał w pracy. Daniel sam też miał ochotę przeklinać.

– A co z prokuratorem i technikiem? – zapytał.

Zupełnie nie mógł zebrać myśli. Jak to możliwe, że autopsja się nie odbyła? To brzmiało jak z jakiegoś horroru. Przecież Zjawa i Ziółkowski musieli uczestniczyć w sekcji. Taki mieli obowiązek. Technik robił zdjęcia i wszystko dokumentował, a ustawa nakazywała prokuratorowi uczestniczyć w całej procedurze. No i co z zakładem pogrzebowym? Przecież wiadomo było, że Dominika była ofiarą morderstwa i miała być

zrobiona sekcja zwłok. Czyżby pracownicy domu pogrzebowego nie zorientowali się, że ciało nie zostało rozkrojone? Zupełnie nic by nie powiedzieli, kiedy przygotowywali je do pochówku?

– Muszę usiąść – wydusił medyk. – Pozwoli pan?

Mężczyzna faktycznie wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć. Daniel uznał, że nic złego się nie stanie, jeżeli pozwoli mu zająć miejsce w samochodzie. Jeszcze tylko brakowało, żeby Bratkowski stracił przytomność, zanim wszystko wyjaśni.

– Niech mi pan da kluczyki – poprosił policjant. Wolał nie ryzykować, że mężczyzna wpadnie na pomysł, żeby go oszukać i odjechać.

Medyk posłusznie sięgnął do kieszeni i dał policjantowi kluczyki od samochodu. Podgórski przepuścił go i pozwolił mu zająć miejsce za kierownicą. Nadal jednak trzymał drzwi.

– Lepiej?

– Tak.

– Zaczniemy w takim razie od tego, kto panu zapłacił – powiedział.

Właśnie wtedy zobaczył, że medyk sięga do kieszeni i... wyciąga kluczyki. Podgórski w roztargnieniu spojrział na własną dłoń. Trzymał wprawdzie kluczyki samochodowe, ale od fiata. Policjant nie zwrócił uwagi na bordowe logo włoskiego producenta, kiedy Bratkowski mu je podawał. A to oznaczało...

Silnik micry zawył.

Samochód skoczył do przodu. Nadal z otwartymi drzwiami.

Na decyzję były dosłownie sekundy. Gonić go na piechotę nie było sensu. Podgórski pobiegł do swojego subaru. Dobrze, że stało tak blisko. Dosłownie dwa miejsca dalej, pomiędzy czarnym nissanem patrolem a białym oplem astrą.

Jeżeli medyk chce się bawić w wyścigi, będzie je miał.

10 Slang. Prokurator.

ROZDZIAŁ 30

Okolice jeziora Ciche.

Niedziela, 1 listopada 2020.

Godzina 9.15.

Weronika Podgórska

Co on tu robi? – zastanawiała się Weronika, kiedy Kopp minęła łysego mężczyznę.

– Nie wiem. Ale! Możemy po prostu zapytać.

Klementyna zahamowała i uchyliła okno. Samochód wypełnił ostry zapach jesiennego lasu. Weronika lubiła go, choć czasem niósł coś niepokojącego, tak jak teraz.

– Dzień dobry – powiedział cicho mężczyzna, kiedy je rozpoznał.

– Co za niespodzianka – rzuciła Kopp, pochylając się w stronę otwartego okna.

– Co panie tu sprowadza? – zapytał mężczyzna z uśmiechem.

Weronika ledwo go słyszała. Wczoraj myślała, że nieznajomy szepcze przejęty sytuacją na cmentarzu. Tu pośrodku lasu nie było takiej konieczności. Można było mówić normalnie. Czyżby nigdy nie podnosił głosu? Podgórską przebiegł dreszcz.

– Szukamy zaginionego autobusu – oznajmiła Maria z tylnego siedzenia.

Weronika miała ochotę zatkać byłej teściowej usta. Kątem oka widziała, że Klementyna chyba też.

– Trochę poniewczasie – szepnął łysy. – Z tego, co czytałem, autobus zaginął w lutym?

– Tak. Ale postanowiłyśmy teraz to rozwikłać – objaśniała Maria niezrażona pełnymi irytacji spojrzeniami pozostałych.

– Czemu szukać teraz? – zdziwił się mężczyzna. – Dla tych ludzi nie ma już szans.

– Spoko. Ale. Skąd ta pewność, co? – zapytała Kopp.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Tak długo ich nie ma. Chyba w takich sytuacjach wiadomo, co się stało.

– Ja na przykład nie wiem – odezwała się Malwina.

Weronika zerknęła na pisarkę w lusterku. Ich spojrzenia się spotkały. Podgórska szybko się odwróciła. Nie mogła nic poradzić na to, że ciągle miała Górskiej za złe. W sumie nie wiedziała nawet co. Bo pisarka nic jej osobiście nie zrobiła. To nie ona była kochanką Daniela, lecz Emilia. A Emilii już przecież nie ma. Jest za to rozwód. Sprawa dawno zakończona. Podgórska zła była na siebie, że nie potrafiła przestać chować w sobie urazy. To było silniejsze od niej.

– Ja też nie wiem – szepnął mężczyzna. – Ale chyba coś złego, prawda? Bo dlaczego nie wrócili?

– A pan co tu robi? – zapytała Bożena Prawda. – Nie jest pan z naszej wsi, a ciągle na pana wpadam. Jest pan stąd?

– Mam tu dom. Prawie nad jeziorem Ciche – szepnął mężczyzna. – Przyszedłem się przejść, bo dawno tu nie byłem. Czasem trzeba wrócić na stare śmieci. Pożegnać się, jeśli trzeba.

Jego usta zdawały się prawie nie poruszać pod podkreconymi wąsami, a jednak wydobywał się z nich ten dziwny szept. Weronikę znów przebiegł dreszcz.

– Radziłbym się stąd cofnąć – dodał jeszcze nieznajomy. Tym razem dość głośno. Przynajmniej jak na niego.

– Spoko. Ale! Niby czemu, co? – zapytała Kopp.

– Są dwa powody.

– Jakie, co?

– Po pierwsze dlatego, że to ślepa droga. Nigdzie panie tędy nie dojadą. Trzeba będzie zawrócić. Ten wasz autobus na pewno tędy nie jechał. Zawróćcie. Zawróćcie.

– Bardzo panu zależy, żebyśmy nie jechały dalej – wtrąciła się Weronika.

– Nie chcę, żeby panie miały kłopoty – szepnął nieznajomy. – Nie ma po co dalej jechać. Tu jeszcze łatwo wykręcić i zawrócić. Dalej droga będzie węższa, aż na koniec stanie się zupełnie wąziutką ścieżką. Zresztą nie

wiem, czy panie wiedzą, co się mówi o lasach nad jeziorem Ciche? To jest drugi powód, dla którego nie warto dalej jechać.

– Och, to tylko lokalna legenda. – Bożena Prawda machnęła ręką. – Że tu była kiedyś wieś. I jak przyszła zaraza, to wszyscy jeden po drugim umierali. Chowali swoich bliskich, aż została jedna osoba. Mężczyzna. I jego nie miał już kto pochować, bo tylko on został. Ten martwy... No i podobno straszy tu po lasach.

– To nie jest tylko legenda. Wielu go widziało. Myli ludziom drogę – szepnął łysy. – Czasem sprowadza na manowce.

– To takie głupotki, które tu się opowiada – zaśmiała się Bożena Prawda, ale w jej głosie słyhać było pewną nerwowość. – Nie ma co wierzyć w takie rzeczy. Tak jak wszyscy mówią o naszej wsi...

Ostatnie zdanie wypowiedziała prawie szeptem, jakby cichy głos mężczyzny zmuszał wszystkich do zamilknięcia.

– Och, pamiętam, że kiedyś czytałam o tym w „Czasie Brodnicy” – szepnęła Maria. Jej to się chyba też udzieliło, bo również mówiła teraz cicho. – Tam było napisane, że ten duch sprowadził samochód drwali do jeziora. Że padało i ktoś tam zwoził drewno i prawie zatonał...

– Spoko. Ale! I tak kawałek się jeszcze przejedziemy – przerwała jej Kopp. Mówiła zupełnie normalnym tonem, ale wśród szeptów jej głos zabrzmiał jak krzyk.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jak panie chcą. Nie będę zatrzymywał w takim razie. Miłego dnia.

Kopp zamknęła okno i wcisnęła gaz. Samochód potoczył się dalej.

– Dziwny człowiek – powiedziała Maria z przejęciem.

– Wczoraj pomyślałam, że może wprowadził się do jednego z tych pustych domów.

– Nie, ja go nie znam. – Bożena Prawda pokręciła głową. – Te wąsy... kto takie nosi?

– Są sztuczne – poinformowała Kopp.

– I ten jego szept – mruknęła Weronika.

Przez jakiś czas jechały w zupełnej ciszy, jakby wszystkie tematy się wyczerpały. Każda pogrążyła się w swoich myślach. Wokół był tylko las. Zdawał się coraz gęściejszy, mimo że Podgórskiej wydawało się, że powinny zmierzać do jego skraju. Może się myliła. Nie znała tego terenu aż tak dobrze.

Sięgnęła po telefon. Tęskniła za córeczką. Skoro rozmowa w aucie się urwała, mogła zadzwonić do Mariusza i zapytać, czy wszystko w porządku. Telefon nie łączył. Spojrzała na pasek zasięgu. Żadnej kreski. Las chyba skutecznie tłumili możliwości ich nowoczesnych telefonów. Natura nic sobie nie robiła ze starań człowieka, żeby ją okiełznać.

– Faktycznie ciężko byłoby wjechać tu autobusem – odezwała się. – Droga robi się węższa. I jest sporo błota. Jakby padało, tobyśmy nie przejechały. Chyba powinniśmy zawrócić.

Weronika naprawdę bardzo chciała wyjechać spomiędzy drzew i zadzwonić. Potrzeba była tak silna, że trudno było ją stłumić.

– Macie zasięg? – zapytała Malwina. – Chciałam sprawdzić mapę. Zorientowałybyśmy się, gdzie jesteśmy. Ale mi się nie wczytuje.

– Ja też nie mam zasięgu – powiedziała Weronika.

Maria i Bożena wyciągnęły swoje telefony. Obie pokręciły głowami.

Kopp zahamowała nagle. Weronika poleciała w stronę deski rozdzielczej. Przytrzymał ją pas. Telefon Marii upadł na podłogę.

– Co ty robisz, Klementynko?! – zawołała matka Daniela.

– Telefony nie działają – oznajmiła Kopp triumfalnie.

– No mówię przecież, że nie ma zasięgu... – zaczęła Weronika.

– Pamiętacie wiadomość od Dominiki, co? – przerwała jej emerytowana komisarz. – Tę, którą niektórzy skasowali... Dominika gadała coś, że telefony nie działają. Uznałam, że to jakieś brednie. Ale! Co, jeżeli nie?

– Myślałam, że wiadomość nie będzie potrzebna – zaczęła znów tłumaczyć się defensywnie Maria.

– Ale to nic dziwnego – włączyła się do rozmowy Bożena Prawda. – W Rarogach też często nie ma zasięgu. Daleko od anten jesteśmy.

Weronika skinęła głową. Wiedziała coś o tym. W jej dworku w Lipowie też bywało różnie.

– I tak sprawdzimy okolicę – zakomenderowała Kopp. – To nie zaszkodzi. Czuję, że jesteśmy blisko.

– Blisko czego? – zapytała Weronika cierpko. Naprawdę chciała wrócić na szosę.

Klementyna nie odpowiedziała. Jechały dalej. Znów w ciszy. W końcu przed nimi wyrosła ściana drzew. Nie było przejazdu. Wyglądało to tak, jakby ktoś posadził tu te drzewa celowo. Były wyraźnie młodsze

od pozostałych. Nie zmieniało to faktu, że skutecznie uniemożliwiały przejazd. Niczym jakaś dziwna brama.

– No i co teraz? Droga się kończy – powiedziała Weronika. – Ten facet miał rację. Nic tu nie ma.

– Mówił też, że ma tu dom – odparła Kopp. – Nie podoba mi się ten gość. Telefony nie działają, tak jak wspomniała Dominika. Nie zostawię tego tak sobie.

– Chcesz teraz szukać jego domu?! Nie wystarczy ci, że mamy jeździć po trasie autobusu w jakichś bezsensownych staraniach, żeby znaleźć coś, co gdyby było, odnalazłaby policja w lutym? Zachowujemy się jak idiotki. Daniel wyraźnie zakazał nam wczoraj pakowania się w kolejną kabałę. Chyba powinnyśmy chociaż raz posłuchać rozsądku.

Weronika sama nie poznawała swojego głosu. Było w nim tyle gniewu. Chciała po prostu zawrócić. I jak najszybciej pojechać do córeczki. Niepotrzebnie dała się namówić na ten wyjazd. Zresztą zawsze jak się w coś mieszała, działy się niebezpieczne rzeczy. Powinna być teraz bardziej odpowiedzialna. Miała dziecko. To, że Kopp albo Malwina, albo nawet Maria czy też ta Bożena Prawda chciały ryzykować, było ich sprawą.

Kopp zatrzymała samochód pośrodku wąskiej drogi. Zgasiła silnik i odwróciła się do Weroniki.

– Proszę – oznajmiła, podając jej kluczyki.

– To znaczy?

– To znaczy bierz samochód i jedź do domu. Bo chyba chcesz wracać.

– Ale... co z wami?

Emerytowana komisarz wzruszyła ramionami.

– Ja w każdym razie idę poszukać domu tego wścawca. Wy to nie wiem – dodała i wysiadła z samochodu. – Kto ma chęć, niech idzie ze mną. Reszta niech wraca z rudą. Proste.

W jeepie zapadła cisza. Patrzyły, jak Kopp przedziera się pomiędzy drzewami.

– Przecież nie możemy jej puścić samej – powiedziała Maria. – Weroniczko, no tak nie można.

Podgórska miała ochotę przekląć. Była pewna, że Kopp zachowuje się tak celowo. Ona i jej manipulacje. Klementyna zawsze myślała tylko o sobie. A innymi się nie przejmowała. Weronika zazdrościła jej tej umiejętności. Mogłaby choć trochę tej niefrasobliwości sobie pożyczyć.

– Idziemy – mruknęła. – Ale tylko kawałek. I nie pakujemy się w kłopoty.

Kopp zaparkowała pośrodku drogi. Nie było tu pobocza. Tylko krzaki i drzewa. Weronika wątpiła, żeby jakikolwiek inny samochód miał je wyminąć. Z drugiej strony jaka była szansa, że ktoś w ogóle będzie tędy jechał. Tym bardziej że droga faktycznie okazała się ślepa. Po namyśle uznała więc, że nie będzie przestawiać samochodu. Miała nadzieję, że towarzyszki pójdą po rozum do głowy i zaraz zawrócą. Nie, już na pewno nie da kluczyków Klementynie. Wystarczy tego rządzenia się.

– Jeżeli mogę coś powiedzieć, to nie podoba mi się, że wysiadamy, a gdzieś tam jest ten typ z wąsami – mruknęła Bożena Prawda.

– Na pewno nie będziemy się rozdzielać – powiedziała Weronika.

Kiedy ostatnio się rozdzieliły podczas śledztwa w sprawie Śreżogi, nie skończyło się to dobrze. Tego błędu na pewno nie popełnią. Nawet jeżeli dziwny mężczyzna z wąsami był niebezpieczny, to nie stawi czoła piętno kobiet naraz. Był malutki.

– Raczej nie wygląda na osobę, która mogłaby poradzić sobie z pasażerami autobusu – powiedziała na głos. – Jest bardzo niski.

– Dominika mówiła coś o strzelaniu – odpowiedziała Malwina, brzęcząc kolczykami. – Jeżeli miał pistolet, to jego wzrost nie ma znaczenia.

Podążyły za Klementyną pomiędzy drzewa. Weronika czuła, że narasta w niej irytacja. Próbowwała wprawdzie nie poddać się emocjom, ale było to trudne. Jeszcze brakowało zagubienia się w tej głuszy. Za chwilę nie będą wiedziały, z której strony przyszły.

Podgórska zatrzymała się przy drzewie. Zdarła kluczykiem od samochodu kawałek kory. Czuła się przy tym idiotycznie. Niby co to pomoże? Wszystkie drzewa wyglądały tak samo. Niektóre też miały poobdzieraną korę. Może przez zwierzęta.

– Weronika?

Podgórska odwróciła się. Za jej plecami stała Malwina. Pozostałe kobiety szły dalej. Nie zwróciły nawet uwagi, że one dwie zostały z tyłu. To by było na tyle, jeśli chodzi o działanie zespołowe. Typowe dla Klementyny.

– Co? – zapytała Podgórska ze złością.

Malwina przyglądała się jej bez słowa.

– No co? Powiesz czy nie?

– Coś mi przyszło do głowy na temat tego listu z okupem – szepnęła pisarka. – Chyba wiem, kto go napisał.

ROZDZIAŁ 31

Ulica Wiejska w Brodnicy.
Niedziela, 1 listopada 2020.
Godzina 9.15.
Aspirant Daniel Podgórski

Podgórski wskoczył do subaru i uruchomił silnik. Głośny bulgot rozdarł powietrze. Policjant wycofał szybko z parkingu i ruszył za uciekającym micrą doktorem Bratkowskim. Nie było teraz czasu na zastanawianie się, o co w tym wszystkim chodzi. Trzeba było najpierw dogonić uciekiniera. Gdyby Daniel był w radiowozie, od razu zawiadomiłby dyżurnego przez radio. Teraz musiał poradzić sobie sam.

Medyk pędził swoim samochodem ulicą Wiejską. Zmierzał w kierunku krańców miasta. Zaraz będzie przejazd kolejowy w miejscu, gdzie główna ulica zmieniała nazwę na Niskie Brodno. Szlabany zaczęły się właśnie zamykać, zwiastując rychłe pojawienie się pociągu. Świetnie, przebiegło Danielowi przez myśl. Bratkowski będzie musiał się zatrzymać.

Była niestety też druga opcja. Uciekinier mógł skrócić i pojechać dalej rozwidleniem Wiejskiej. To by oznaczało, że trzeba będzie kontynuować pościg po bardzo wąskiej drodze. To mogło być niebezpieczne dla osób postronnych. Podgórski z niechęcią myślał, że mogło to oznaczać, że trzeba będzie zrezygnować z pościgu.

Całe szczęście Bratkowski nie skręcił w prawo. Jechał dalej prosto w stronę przejazdu. Światła stopu micry rozbłysły. Mogło się więc okazać, że to będzie naprawdę krótki pościg, uśmiechnął się Daniel do siebie i przyspieszył. Za chwilę dogoni medyka i będzie po sprawie.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy auto Bratkowskiego przecięło zamknięty już prawie szlaban. Mężczyzna albo za późno zdecydował się zatrzymać i droga hamowania wydłużyła się bardziej, niż się spodziewał, albo chciał staranować przeszkodę. Raczej to pierwsze, bo micra zatrzymała się w końcu.

Tyle tylko że dokładnie pośrodku torowiska.

– Kurwa – zaklął Podgórski.

Zatrzymał subaru i wyskoczył na jezdnię. Z oddali słyhać było trąbienie nadjeżdżającego pociągu.

– Wysiadaj, człowieku – wrzasnął policjant, biegnąc.

Medyk nadal tkwił pośrodku torów, jakby go zamurowało. Policjant przebiegł pomiędzy szczątkami skrzydła szlabanu i podbiegł do micry. Nacisnął klamkę i pociągnął. Całe szczęście drzwi się otworzyły, bo przez chwilę bał się, że się zaklinowały i dlatego medyk nie wysiada.

Znowu trąbienie.

Pociąg musiał być już naprawdę blisko.

– Wysiadaj – rozkazał medykowi.

Mężczyzna wyglądał na sparaliżowanego przez strach. Słowa Daniela jakby zupełnie do niego nie trafiały. Być może miał atak paniki. Policjant widział już, jak ludzie dosłownie zamarli z przerażenia.

– Ale samochód...

– Wysiadaj, kurwa.

ROZDZIAŁ 32

Las nad jeziorem Ciche.

Niedziela, 1 listopada 2020.

Godzina 10.00.

Klementyna Kopp

Ja muszę za potrzebą – powiedziała Maria przepraszającym tonem. – Mogę?

– Spoko. Ale! Masz pięć lat, żebyś musiała mnie pytać o takie rzeczy, co?
– Kopp uśmiechnęła się krzywo.

– Dziewczyny i tak zostały w tyle, to skoczę na boczek – dodała starsza pani przepraszająco. – Pęcherz już nie ten.

Kopp odwróciła się do tyłu. Faktycznie szły teraz w pewnym rozproszeniu. Klementyna i Maria z przodu, mimo że były przecież najstarsze. Bożena Prawda sama pośrodku. Może dlatego, że nie za bardzo je znała. A ruda i pisareczka z tyłu. Wydawały się o dziwo pogrążone w jakiejś dyskusji.

– Szybciej tam – ponagliła je emerytowana policjantka. – Podobno trzymamy się razem. Zapomniałyście, co?

Wąsacz być może nie był niebezpieczny. Ale! Wolą nie ryzykować. Mimo że Weronika zirytowała ją swoim mazgajstwem.

– Tu chyba nic nie ma – powiedziała sklepikarka. – Może już wracajmy?

Kopp zmarszczyła brwi. Teraz jeszcze ta?

– Już nie chcesz znaleźć mężulka, co?

– Chcę, ale jego tu nie ma! Przecież nie wjechali autobusem w te zarośla! A ten dziwny typ gdzieś tu się kręci. Chcę wracać. Boję się go. I że tu będzie upiór.

– Co się dzieje? – zapytała Weronika, kiedy dogoniły je z Malwiną.
– Maria poszła sikać, a Bożenka straciła ducha walki – odparła Kopp. – I boi się duchów.

– Nie straciłam ducha, tylko...
– Spoko. Ale! Lepiej powiedz, o czym wy tam tak dyskutujecie, co? – przerwała jej Kopp. Była ciekawa, o czym zawzięcie perorowały ruda i różowa.

Weronika i Malwina wymienili spojrzenia. Obie odwróciły się do Bożeny Prawdy.

– To ty napisałaś ten list z żądaniem okupu – stwierdziła Weronika oskarżycielsko.

Sklepiarka zrobiła się czerwona na twarzy. Kopp nie była pewna, o co chodzi. Ale! Jedno było całkiem jasne. Ruda trafiła w czuły punkt.

– Niczego nie napisałam – zaczęła się więc Bożena Prawda.
Jej mowa ciała mówiła coś odwrotnego.

– Przyszło mi to do głowy przed chwilą – wyjaśniła Malwina, wyciągając telefon. – Użyłaś określenia, które padło też w tym liście. Było dość charakterystyczne. Nie słyszałam, żeby ktoś inny go używał. Niby nic szczególnego, ale każdy ma specyficzny sposób wyrażania. Lubię różne ciekawostki językowe i zwracam uwagę na to, kto jak mówi i pisze. Powiedziałaś, że ktoś wysadził w pył garaż Majchrzaka. A tam było, że porywacze wysadzą w pył Tomasza Lorenza. O tu...

– Nie musisz czytać – przerwała jej Kopp. Odwróciła się do Bożeny Prawdy. – I co ty na to?

– Nie napisałam żadnego listu... Przecież mojego męża też nie ma. *W pył* to nie jest jakieś wydumane określenie. Wiele osób go używa.

– Nie jest niecodzienne – zgodziła się pisareczka. – Raczej połączenie tych słów *wysadzić w pył* wydało mi się charakterystyczne i zaczęłam się zastanawiać. No i chyba trafiłam, prawda?

Różowa spojrzała na Kopp pytająco, jakby to od niej chciała uzyskać odpowiedź. Klementyna odwróciła się znów do Bożeny Prawdy.

– O co chodzi z listem, co? I przestań kłamać, bo nie mam do tego cierpliwości. Za stara jestem, żeby tracić czas. Kiedyś może i bym miała do tego serce. Teraz chcę odpowiedzi tu i teraz. *Tu-i-teraz*, rozumiesz, co? Przywilej wieku.

Bożena Prawda zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Potem zaczęła nieoczekiwanie płakać. Łzy spływały jej po policzkach, rozmazując makijaż. Wyglądała, jakby przebrała się na Halloween, którego w Rarogach zdawali się tak nie lubić. Kopp dała jej chwilę, żeby się uspokoiła. Dobrze jest wiedzieć, kiedy naciskać, a kiedy odpuścić. Jeżeli podczas przesłuchania przesadziło się w którąkolwiek ze stron, było z tego wielkie nic.

Klementyna z doświadczenia wiedziała, że ludzie, którzy coś ukrywają, często bardzo chcą o tym powiedzieć. Gryzie ich sumienie. Tyczy się to oczywiście tych, którzy nie mają zbytniego doświadczenia w popełnianiu złych uczynków. Ci prawie zawsze pękają. Wcześniej czy później. Zwłaszcza jeśli naciśnie się odpowiedni punkt. A sklepikarka wyglądała Kopp na taką, która wszystko zaraz wyśpiewa. Nawet bez zbytnich starań.

– No dobrze, ja to napisałam – przyznała w końcu Bożena zgodnie z oczekiwaniami emerytowanej policjantki.

Kopp podeszła bliżej, żeby jeszcze wzmocnić efekt. Czuła teraz oddech sklepikarki na swojej twarzy. W czasach zarazy każdy zdecydowanie by to odradzał. Na to w tym momencie też nie miała czasu. Konsekwencjami zazwyczaj martwiła się później. Za młodu z reguły uchodziło jej to płazem. Teraz może będzie inaczej. Ale! Na razie za bardzo chciała dowiedzieć się, o co chodzi, żeby uważać.

– Ale co w tym złego? – broniła się Bożena Prawda. – Nawet nie poszłam po te pieniądze!

– Wiesz, co się stało z autobusem, co?

– Nie wiem! Przysięgam!

– Skoro napisałaś list z żądaniem okupu, to jak możesz nie wiedzieć, co się stało z pasażerami? – zapytała Weronika.

– Po prostu – wydusiła Bożena Prawda. Otarła twarz rękawem i jeszcze bardziej rozmazała makijaż. – Na początku myślałam, że Szczepanek wprowadza w życie nasz stary szalony plan. Wtedy w lutym. Ale teraz to już nie wiem.

No proszę, uśmiechnęła się słodko Kopp. Nowa informacja. Opłacało się wejść do tego lasu.

– Jaki plan, co?

– No, żeby porwać autobus. Jak w tym filmie. *Speed*. Szczepanek nie lubił tej roboty. Wożenia niewdzięcznych ludzi i tak dalej. Chciał czegoś więcej

niż nasz mały sklepik w Rarogach i jeżdżenie autobusem. Też uważam, że jest stworzony do czegoś większego. Czasem wieczorami snuliśmy takie plany, że mógłby porwać autobus. Właśnie jak w tym filmie. A ja bym wysłała list z żądaniem okupu. Myślałam, że to tylko takie gadanie dla rozładowania emocji. Chociaż przyznam, że mu wtedy powiedziałam, że jest nów...

– Co ma do tego nów, co?

– Nieważne. Jak w lutym autobus naprawdę zniknął, no to pomyślałam, że może mój Szczepek jednak nie żartował. Trochę się wprowadziłam, że mi nic nie powiedział i to zrobił, no ale... Próbowałam do niego dzwonić, ale nie odbierał. Wtedy pomyślałam, że może to też część planu. Żeby nikt się nie domyślił, że to my. No więc po kilku dniach odważyłam się napisać ten list. I akurat wtedy wróciła Dominika. Trochę mnie to przstraszyło, ale nie wiedziałam, jak wyjąć ten list ze skrzynki Hanny.

– Dlaczego napisałaś tylko do staruchy, co?

– Tak wyszło! Początkowo myślałam, że podrzucę go każdej rodzinie. Ale potem zabrakło mi odwagi. Uznałam, że skupię się na Hannie Lorenz, bo ona jest bogata. Znaczący niby nie, ale ci wszyscy chłopcy, jak to ona ich nazywa... Oni robią dla niej różne interesy i tak naprawdę jest majętna. Jeden ma zakład pogrzebowy, inny strzelnicę i tak dalej. No i te jej tak zwane przysługi...

– Jakie przysługi? – zapytała Malwina, pobrząkując kolczykami.

Bożena Prawda wzruszyła ramionami, jakby nie zamierzała nic więcej powiedzieć.

– Słyszałaś pytanie, co? – wtrąciła się więc Kopp. Najwyraźniej pisareczka nie miała jednak dostatecznej siły przebiccia.

– Mówi się, że za odpowiednią cenę Hanna Lorenz załatwi wszystko – mruknęła z wyraźną niechęcią sklepikarka. – Nielegalne rzeczy też. Tylko że wtedy jest drożej. A człowiek nie chce jej być nic winien. Ona potrafi odebrać swoje długi... To nie jest dobra osoba... Podobno kiedyś robiła bardzo złe rzeczy.

Kopp skinęła głową. Tak właśnie oceniła staruchę. Było w niej zło. Po prostu. I nie chodziło wcale o wygląd więdzmy.

– Czemu nie poszłaś po pieniądze, co?

– Też się przestraszyłam. I nie miałam żadnych wieści od Szczepanka. Nie chciałam tego wszystkiego robić sama. Snucie takich planów przy kolacji to co innego, a wprowadzenie ich w życie – co innego. No i byłam na niego zła, że tak po prostu zaczął działać, a mnie nie zapytał. To wszystko było głupie...

– Zdecydowanie – zgodziła się Kopp. Lustrowała przez chwilę Bożenę Prawdę. Chyba tym razem kobieta nie kłamała. – Czyli nie wiesz, co z tym autobusem, co?

– Nie wiem – zarzekała się sklepikarka. – Mijały dni, potem tygodnie. Nie wiedziałam, co się dzieje. Szczepek się nie odzywał. Wtedy uznałam, że to była głupota z mojej strony myśleć, że porwał autobus bez rozmowy o tym ze mną. Z tym porwaniem autobusu to było tylko gadanie. A jemu naprawdę coś się stało!

Bożena zaczęła przejmująco łąkać. Malwina podeszła do niej i położyła jej rękę na ramieniu w pocieszającym geście. Na dłoni miała tatuaż. Teraz Kopp wiedziała już, że to runa algiz. Podobno ochronna. Pisareczka czasem zachowywała się, jakby naprawdę chciała czarować przy jej użyciu.

– Poza tym... – wydusiła Bożena Prawdą. Zakrztusiła się własnymi łzami.

– Już dobrze – szepnęła różowa. – Powiedz wszystko po kolei. Mamy czas.

Kopp uznała to za kwestię dyskusyjną. Ale! Pozwoliła Malwinie działać. Czasem trzeba było wiedzieć, kiedy przydzielać zadania. Najwyraźniej nieoczekiwanie *banda-szalonych-bab* znów działała jak dobrze naoliwiona maszyna.

– Poza tym teraz ktoś znów ukradł mi piłę – szepnęła w końcu Bożena Prawdą. – Jak wtedy.

– Co? – zapytała Weronika natychmiast.

– Jak zabili Leszka Konopkę rok temu, to ktoś ukradł nam piłę i mu odpiłował głowę.

– Wiemy. I?

– I potem kupiliśmy kolejną. Bo przecież u nas grzejemy drewnem i... No i ktoś ukradł ostatnio tę nową. Bałam się o tym powiedzieć. Boję się, co będzie. Myślicie, że ktoś komuś znów odetnie głowę?! Mam złe przeczucia! Bardzo złe przeczucia!

Przez chwilę żadna z nich nic nie mówiła. Nagle Kopp usłyszała poruszenie za swoimi plecami.

ROZDZIAŁ 33

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Niedziela, 1 listopada 2020.

Godzina 10.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Podgórski wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Oparł się o nie plecami, jakby to mogło odgradzić go od całego świata. Wyglądało na to, że po udanej akcji z pociągiem wszyscy na komendzie chcą z nim rozmawiać. Gratulowano mu, że wyciągnął medyka z samochodu i jeszcze zdążył wsiąść do micry i zjechać z torowiska. Sam nie bardzo wiedział, jak mu się to udało. Wszystko działo się tak szybko. W każdym razie nie doszło do zderzenia. Zarówno auto, jak i pociąg zostały całe. Nie mówiąc już o samym doktorze Bratkowskim. Zniszczony został tylko szlaban na przejeździe kolejowym. W sumie naprawdę dobry rezultat. Mimo to Daniel wcale nie był zadowolony.

Podobno Zjawa jechał już na komendę, żeby przesłuchać medyka. Zjawa. Policjant wcale nie był pewny, czy to jest odpowiednia osoba. Prokurator miał rozmawiać z Bratkowskim, a przecież to on powinien być obecny podczas sekcji. Jeżeli medyk mówił prawdę i autopsja się nie odbyła, to prokurator też był w to zamieszany. No i co z Ziółkowskim? Daniel niezwykle szanował szefa techników. Ale przecież i on musiał brać udział w oszustwie. Innej opcji Podgórski nie widział. A teraz podejrzany miał przesłuchiwać podejrzanego. Sytuacja wręcz groteskowa.

Daniel poczuł nacisk na plecach. To oznaczało, że ktoś próbuje otworzyć drzwi. W pierwszej chwili miał ochotę je przytrzymać. Niełatwo

przepchnąć niemal sto trzydzieści kilogramów. Miałby sporą szansę w tym starciu.

– Tato? – usłyszał za drzwiami.

Odsunął się. Łukasz. Daniel nie widział się z synem od czasu przyjazdu na komendę.

– Słyszałem, co się stało – powiedział chłopak, wchodząc do pokoju. – Pojebało cię?

Podgórski spojrział na syna zaskoczony. Łukasz zamknął za sobą drzwi i ruszył w jego stronę, jakby chciał go uderzyć. Daniel poczuł ból w żebrach. Syn nie tylko chciał go uderzyć, ale właśnie to zrobił. Przez chwilę policjantowi zabrakło oddechu.

– Co ty? – wydusił.

Łukasz stał przed nim, oddychając ciężko. Podwinął rękawy granatowego munduru. Chyba nie zamierzał przestać. Podgórski uchylił się przed kolejnym ciosem. Nie był już tak sprawny jak kiedyś, ale mimo wszystko coś tam jeszcze pamiętał z czasów patrolówki. Szamotali się nieco bezładnie. Dokumenty leżące na biurku Daniela rozsypały się po całym pokoju. Od czasu historii z Trawińskim nikt jeszcze nie zajął drugiego biurka. Szczęście w nieszczęściu. Przynajmniej nikt nie widział starcia ojca i syna. Chociaż może wtedy do bójki by nie doszło.

– Halo, młody, co się dzieje? – zapytał Podgórski, kiedy na chwilę się rozłączyli. – Zwariowałeś?

Łukasz poprawił koszulę munduru nerwowym ruchem. Daniel zupełnie nie wiedział, o co synowi chodzi. Ich relacje przecież tak bardzo się poprawiły. Spodziewał się raczej, że syn będzie mu gratulował udanej akcji na przejeździe. Jak pozostali.

– Ja zwariowałem? – warknął Łukasz. – Ty to w ogóle myślisz chociaż trochę, stary?

– O co ci chodzi, synu?

– Synu? – przeliterował niemal chłopak i zaśmiał się szyderczo. Potem twarz mu się spięła. Wyglądał, jakby miał się rozplakać. – Chyba cię pojebało!

Daniel nic nie rozumiał.

– Ale co się stało? Możesz mi z łaski swojej wyjaśnić?

– Co się kurwa stało? Wszyscy mówią, że uratowałeś człowieka, wskakując pod pociąg. Nie no, szacun. A pomyślałeś chociaż przez

moment, że to jest kurwa niebezpieczne? Mama nie żyje. Jestem sam. Nie chcę, żebyś ty się kurwa zabił.

Tego Daniel się nie spodziewał. Przez chwilę zupełnie nie wiedział, co zrobić. Stali tak, patrząc na siebie. Obaj oddychali ciężko po stoczonych właśnie bójce. Podgórski czuł, że mięśnie ma ponaciągane, a zebra obolałe. Syn zapewne szybciej się z tego wylize.

– Chciałbyś, żebym ja tak ryzykował? – warknął Łukasz.

– Przepraszam – powiedział Daniel. Wyszło to trochę sztywno. Opanowało go wzruszenie, że syn tak się o niego martwił. – Ale sam wiesz, że taką mamy robotę.

– Nie wciskaj mi kurwa kitu o robocie. Chciałbyś, żebym ja tak ryzykował? No? Co byś powiedział?

Daniel poczuł, że narasta w nim tłumiona wcześniej frustracja.

– Przede wszystkim w ogóle nie chciałem, żebyś pracował w firmie – odparł. – No ale mnie nie pytałeś o zdanie, prawda? A powiedziałbym ci to i owo.

Łukasz zaśmiał się znów gniewnie. Nie szło to w dobrą stronę. Podgórski ponownie miał wielką ochotę zapalić, żeby się uspokoić. Czuł, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, jego relacje z synem znowu chuj trafi. Ostatnie miesiące pójdą na stracenie. Tego naprawdę nie chciał. Czasem trzeba było ustąpić.

– Przepraszam – powiedział więc. – Ale nie jesteś już dzieckiem. Wiesz już mniej więcej, na czym polega służba w policji. Uważam zawsze. To znaczy na tyle, na ile się da. Tego oczekuję też od ciebie. Bez brawury, ale robimy to, co trzeba. Nie oszukujmy się, to nie jest przedszkole...

Już kiedy Daniel kończył to mówić, wiedział, że znów popełnił błąd. Dyskusje o emocjach nie były jego mocną stroną. Wydawały się dużo trudniejsze niż wskakiwanie do samochodu tuż przed pędzącym pociągiem.

– Kurwa, naprawdę? – zachnął się Łukasz.

Podgórski poczuł strach. Jeszcze chwila i dojdzie do kolejnej kłótni. Podszedł do syna i objął go niezdarnie. Trochę tak jak wtedy, kiedy po zakończeniu śledztwa w sprawie Śreżogi byli we dwóch na cmentarzu przed grobem Emilii. Pojawiła się Malwina i zwyczajnie zasugerowała, żeby nie gadał, tylko po prostu spróbował się zbliżyć do syna. Wtedy wyszło to naturalnie. Teraz Daniel czuł, że serce bije mu jak oszalałe, a ciało tężeje ze stresu. Żałował, że nie ma tu pisarki.

– Już dobrze – powiedział cicho.

Miał nadzieję, że syn nie czuje jego zdenerwowania. Objął go jeszcze mocniej. Początkowo Łukasz zdawał się równie spięty jak Podgórski. Potem nieoczekiwanie do niego przywarł. Zaciskał wokół niego ręce tak kurczowo, że Daniel miał wrażenie, że zaraz się udusi. Mimo wszystko to było chyba lepsze niż bójka sprzed chwili.

W końcu obaj opuścili ręce. Jakby umówili się, ile powinien trwać uścisk. Patrzyli na siebie, potem obaj uciekli wzrokiem speszeni. Podgórski miał ochotę przeklinać. Chyba niezbyt dobrze sobie radził z naprawianiem relacji z synem, jeśli obok nie było Malwiny.

– Spróbuję zadzwonić do Koterskiego – zaproponował, żeby przerwać ciszę. – Może on wyjaśni, jak to mogło być z tym porodem w trumnie. Na Bratkowskim polegać nie możemy.

Nie był pewny, ile Łukasz już wie o sprawie, ale nie chciało mu się tłumaczyć. Przynajmniej jeszcze nie.

– Okej – odparł syn jakby nigdy nic, jakby obaj woleli zapomnieć o tym, co się przed chwilą stało.

Jak na złość Koterski nie odbierał. Milczenie, które zapadło teraz w pokoju, było dla Daniela nie do zniesienia. Szybko jeszcze raz wybrał numer medyka sądowego. Tym razem doktor odebrał.

– Słyszałem, co się stało, Danielu. Już do mnie dzwonili – poinformował bez wstępów Koterski. Głos miał poważny. Daniel chyba pierwszy raz słyszał go w takim stanie. Medyk sądowy zawsze się uśmiechał. To było słyhać w jego głosie, nawet jak się go nie widziało. – Będę tam do was wracał. Zrobię sekcję.

– U ciebie wszystko okej? – zapytał policjant. Nie wiedział, jak to ująć. Nie wiedział nawet, kto z rodziny lekarza sądowego jest chory.

– Nie – odparł Koterski krótko. – Nic nie jest w porządku.

Podgórski bezradnie zastanawiał się nad odpowiedzią. Co powinno się powiedzieć w takiej chwili? Jakies wyrazy współczucia? Pytać dalej? Pominąć temat? Policjant poczuł, że dzisiejszy dzień zaczyna wyczerpywać jego i tak mierne umiejętności interpersonalne.

– Dominika Konopka być może urodziła w trumnie – zaczął. Chyba bezpieczniej skupić się na pracy.

– Słyszałem. Ale to nie znaczy, że wtedy żyła.

– Słucham? Jak mogła urodzić martwa?

– Jest coś takiego jak poród pośmiertny. Niezbyt częste zjawisko, ale się zdarza. Inaczej poród trumienny. Pod tą nazwą też możesz to sobie wyszukać. W literaturze anglojęzycznej występuje to pod terminem *coffin birth*. Znajdziesz więcej materiałów w tym języku.

– Miałem nadzieję, że może ty mi coś o tym powiesz – spróbował policjant, mimo że ton głosu medyka sądowego wskazywał, że Koterski nie ma ochoty na dalsze rozmowy.

Po drugiej stronie linii rozległo się westchnienie. Czuć było jednak, że jest szansa na kontynuację. Daniel przełączył rozmowę na głośnomówiącą, żeby Łukasz też słyszał, co mówi medyk.

– Jest to po prostu zjawisko fizjologiczne – wyjaśnił Koterski. – Nic nadzwyczajnego. Żadna tam historia na Halloween. Można powiedzieć, że to wydalenie martwego płodu i tyle. Wiem, że nie brzmi to najfortunniej, ale tak to można chyba najbardziej obrazowo określić.

– Ale jak to w ogóle możliwe?

– Dochodzi do tego wtedy, kiedy ciało martwej matki ma już znamiona rozkładu. Czyli po kilku dniach od śmierci. A tak właśnie chyba jest w przypadku tej waszej kobiety. Gromadzą się gazy gnilne i tworzą ciśnienie w jamie brzusznej. A potem po prostu ciało dziecka jest przez nie wypychane na zewnątrz. Tak że nie martwiłbym się, że ona żyła. Resztą będę się zajmował, jak przyjadę na miejsce.

Podgórski dopiero po chwili zorientował się, że lekarz sądowy rozłączył się bez pożegnania. To obcesowe zakończenie rozmowy zupełnie do Koterskiego nie pasowało. Najwyraźniej chora osoba, do której pojechał, dużo dla niego znaczyła.

Policjant spojrział na syna. Łukasz zaczął bez słowa zbierać rozsypane podczas ich bójkę papiery. Położył je na biurku i stanął na szeroko rozstawionych nogach z rękami splecionymi na piersi. Zniknęły łzy i moment słabości.

– Doktor Koterski zdawał się niezbyt rozmowny – zagadnął.

– Ma kogoś w rodzinie ciężko chorego na COVID i... – zaczął tłumaczyć Daniel. Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. – Proszę.

– Panie Danielu, tu pan jest.

Podgórski westchnął głośno, nie próbując ukryć niechęci. Za to Mari Carmen uśmiechnęła się szeroko, jakby naprawdę cieszyła się na jego widok. Nie miała na twarzy maseczki. Usta pomalowała na ostrą czerwień.

Kontrastowały ładnie z oliwkową cerą, którą przekazali jej przodkowie z Półwyspu Iberyjskiego.

– Jo, jestem tu. To mój pokój – odparł cierpko. – Gdzie indziej mam być?

– Mieliśmy razem pojechać do szpitala porozmawiać ze Stefanem Majchrakiem, a pan pojechał sam. Jak to tak?

Cmoknęła wymalowanymi ustami, jakby karciała niegrzecznego chłopca.

– Tak wyszło – mruknął Podgórski. Nie miał teraz ochoty na tłumaczenie się. – Bratkowski powiedział mi, że nie zrobił sekcji Dominiki Konopki-Piekarskiej. Może już pani wie.

Mari Carmen podeszła do biurka, stukając niebotycznie wysokimi obcasami. Przysiadła na blacie. Założyła nogę na nogę i zaczęła nią powoli ruszać. Mięśnie jej łydki napinały się i rozluźniały rytmicznie. Krótka spódnica podsunęła się do góry. Nie poprawiła jej.

Podgórski odwrócił wzrok. Łukasz za to wpatrywał się w nogę policjantki jak urzeczony. Mari Carmen wyglądała na zadowoloną z tego zainteresowania. Nic dziwnego. Przecież właśnie o to jej chodziło. Daniel znał już jej sztuczki.

– Przyznał się, że ktoś mu zapłacił – powiedział głośno i wyraźnie. Chciał, żeby Łukasz na niego spojrzeł. Bał się, że syn może wpaść w sidła tej wariatki.

– Wiem – ucięła Mari Carmen. Poprawiła spódnicę niedbałym ruchem. W każdym jej geście można było wyczuć seksualny podtekst. – Rozmawiałam z nim. Zabawne, podobno dał ci kluczyki od samochodu żony zamiast od swojego. Wozi je czasami, bo bywa, że nim jeździ i zapomina je wyjąć. Tak cię podobno przechytrzył. No i może cię zainteresuje, że udało mi się nawet dowiedzieć, kto mu zapłacił. Zajęło mi to z minutę. Ten Bratkowski to chłopiec, a nie facet z jajami.

Mari Carmen rzuciła spojrzenie w stronę Łukasza. Podgórski czuł, że krew zaczyna się w nim gotować. Sikora chyba zauważyła jego zdenerwowanie, bo się uśmiechnęła.

– Podobno zapłaciła mu niejaka Hanna Lorenz – oznajmiła funkcjonariuszka BSW. Zeskoczyła z biurka. – Zazdrośniku.

Podgórski przestraszył się, że złość zaraz weźmie nad nim górę. Ta kobieta wiedziała, jak go wyprowadzić z równowagi. Nawet jeśli aktualnie nie rzucała w niego fałszywymi oskarżeniami.

– Ano proszę, Hanna Lorenz! – ucieszył się Łukasz. Wyglądało to tak, jakby syn obudził się z jakiegoś transu, kiedy Mari Carmen wreszcie przestała kołysać tą cholerną nogą. – Już wcześniej wydawała nam się podejrzana. Jedziemy ją zgarnąć?

Mari Carmen cmoknęła i pokręciła głową, jakby znów mówiła do niegrzecznego dziecka.

– Najpierw jeszcze prorok zamierza przemaglować Bratkowskiego – dodała.

– No właśnie. O tym chciałem powiedzieć. – Daniel nie był do tej pory pewny, czy to dobry pomysł, ale skoro Mari Carmen już tu była, warto chyba poruszyć tę kwestię. – Przecież podczas sekcji powinien być obecny...

– Już ja to zrobiłam wcześniej, ale za specjalnym pozwoleniem pana komendanta – przerwała mu policjantka. – A wiesz dlaczego, Danielu?

Znów po imieniu. To nie zwiastowało nic dobrego. Podgórski postarał się wytrzymać jej spojrzenie. Podeszła bliżej. Stali tak blisko, że praktycznie się dotykali. Jakby mieli się przytulać albo całować. Wzdrygnął się na samą myśl.

Mari Carmen zadarła wysoko głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Wiesz dlaczego? – powtórzyła.

Początkowo nie miał nawet ochoty jej odpowiadać, ale chyba nie było wyjścia. Najwyraźniej oczekiwała jakiejś reakcji.

– Nie.

– Bo muszę sprawdzić tę twoją bohaterską akcję.

– W jakim sensie? – odparł policjant powoli.

Akcja z pociągami przyniosła mu już gratulacje połowy komendy i bójkę z synem. Co jeszcze?

– Moim zdaniem było to spore przekroczenie uprawnień służbowych – uśmiechnęła się funkcjonariuszka BSW.

– Przekroczenie uprawnień? Ojciec uratował temu dupkowi życie – obruszył się Łukasz. – Może raczej powinna się pani zająć Bratkowskim, co?

Czar Mari Carmen już chyba na niego nie działał. Wyglądał na wściekłego. Podgórski poczuł przyływ ciepła. To było nowe uczucie. Syn chyba naprawdę się o niego martwił. To znaczyło, że Daniel był dla Łukasza kimś ważnym. Czy może być coś lepszego?

– Och, owszem – przyznała Mari Carmen. – Ale to nie moja broszka. Przecież wiecie, że zajmowanie się cywilami to jest akurat zadanie dla normalnych policjantów. Ja jestem policją w policji. I ja wyłapuję takich, którzy są czarnymi owcami w naszej formacji. Przy waszym śledztwie tylko pomagam. No i obserwuję jedną z takich czarnych owiec.

Uniosła rękę i wbiła Danielowi palec wskazujący na wysokości mostka. Poczł ból. Widocznie pięść Łukasza również i tam trafiła.

– Taka szkoda – szepnęła policjantka.

Rozwarła dłoń i zjechała nią Danielowi po brzuchu. Niżej i niżej. Zatrzymała się przy pasku. Podgórski miał wrażenie, że kobieta po prostu rozepnie sprzączkę. Stali przez chwilę w martwej ciszy. Mari Carmen uśmiechała się, jakby czekała na jakąkolwiek reakcję. Czy to ze strony Daniela czy Łukasza. Wydawała się pewna siebie. Jakby zupełnie nic sobie nie robiła z tego, że tym razem przy jej sztuczkach obecny był ktoś jeszcze.

– Taka szkoda – powtórzyła. – Już mam mokro między nogami.

– Oszalała pani – powiedział Daniel. Tym razem zamierzał trzymać się formalnego tonu. Miał tego dość. Posunęła się zdecydowanie za daleko.

Mari Carmen klepnęła go po brzuchu.

– No nic. Do rzeczy – odparła, wracając do normalnego tonu. – Otóż przez ciebie, mój drogi, pan Bratkowski o mało nie zginął. Rozpocząłeś pościg, który nie został zgłoszony dyżurnemu. I do tego prywatnym samochodem. Zrobiłeś to, narażając zarówno pana Bratkowskiego, jak i ludzi wokoło. Pan Bratkowski może i dokonał fałszerstwa dokumentacji, przekroczył uprawnienia i tak dalej, ale to nie zmienia faktu, że ty również. Przynajmniej ja tak to widzę.

– Chyba tylko pani – wtrącił się wściekle Łukasz. – Tato, powinieneś ją zgłosić. To już naprawdę przechodzi wszelkie pojęcie. Mogę zeznawać jako świadek tego, co tu się właśnie stało.

Mari Carmen zaśmiała się perliście. Nie wyglądała na przestraszoną tą groźbą. Raczej na rozbawioną.

– Niestety, Łukasz, nie tylko ja sędzę, że twój ojciec się zagalopował. Pan komendant również. Już mu odpowiednio naświetliłam sprawę. Poza tym tak się składa, że mam całkiem niezły dar przekonywania. Tych, którzy są nieprzekonani, zaraz zmiękczę.

Podgórskiego ogarnęła nagle zupełna niemoc. Jej pewność siebie, nawet to, że otwarcie go uwodziła, a potem straszyla, i to w jego pokoju, w jego

jednostce, znaczyło, że uważała, że w starciu z nią nie ma żadnych szans. Co mógł zrobić? Czuła jego niezdecydowanie. Może nawet strach. Była niczym drapieżnik, który lada chwila miał dopaść swoją ofiarę.

– No, to mamy to – uśmiechnęła się, jakby właśnie zakończyli ustalanie czegoś supermiłego. Na przykład jakiegoś wspólnego wyjazdu na piknik z rodziną. – A teraz musisz się pospieszyć, bo masz być obecny na przesłuchaniu Nestora Obucha. Chyba nie chcesz, żebym jeszcze do tego wszystkiego pomyślała, że olewasz pracę?

ROZDZIAŁ 34

Las nad jeziorem Ciche.

Niedziela, 1 listopada 2020.

Godzina 10.30.

Malwina Górska

Maria wyszła spomiędzy drzew zaaferowana, kiedy właśnie rozmawiały z Bożeną Prawdą. Powtarzała, że znalazła coś w lesie. Chyba dom, o którym wspomniał ten dziwny mężczyzna. Zostawiły więc na razie temat listu z żądaniem okupu i ruszyły za nią. Faktycznie kawałek dalej w zaroślach zobaczyły drewniane budynki.

– To musi być dom tego wścacha – mruknęła Kopp pod nosem.

Wyglądała na zadowoloną. Nic dziwnego. Dopięła przecież swego. I to zupełnym przypadkiem. Gdyby Maria nie poszła za potrzebą, być może w ogóle nie odnalazłyby tego miejsca. Kierowały się w zupełnie inną stronę.

– Ostrożnie – szepnęła Weronika. – Nie wpakujmy się w jakieś kłopoty.

Gospodarstwo składało się z drewnianego domu i drugiego budynku. To mogła być stodoła albo garaż. Trudno było stwierdzić. Zarówno główny obiekt, jak i ten gospodarczy miały urocze okienka ze szprosami. Malwina lubiła taką architekturę. Sama też mieszkała w drewnianym domu. Mimo to czuło się w tym miejscu niepokój.

– Wygląda, jakby ktoś posadził te drzewa celowo – szepnęła Bożena Prawda.

– Już wcześniej miałam takie odczucie – zgodziła się Podgórska. – Jak te drzewa pojawiły się tak nagle na drodze.

Rzeczywiście gospodarstwo było obsadzone drzewami. Brakowało wolnej przestrzeni przed domem. Wyrastały tuż przed gankiem. Wolna przestrzeń widoczna była tylko kawałek za domem. Tam była jakaś droga. Na niej stała czarna terenówka. Malwina nie знаła się na markach, ale nie miała wątpliwości, że to auto poradziłoby sobie nawet z największymi wyzwaniami off-roadu.

– Nissan wąsacza – mruknęła Kopp. – Już wcześniej zwróciłam uwagę, że takim jeździ.

Malwina rozejrzała się wokoło. Skoro był samochód, musiał być też gdzieś kierowca. Pisarka się wzdrygnęła. Teraz i ona pomyślała, że nieznajomy może być groźny. Wyjęła komórkę i zerknęła jeszcze raz na ekran. Nadal brak zasięgu. Cholera. Czułaby się bezpieczniej, gdyby mogła w razie potrzeby wezwać pomoc. Albo chociaż poinformować, co planują zrobić. Wyrzucała sobie teraz w duchu, że nie napisała do Daniela albo do Zjawy, gdzie jadą.

– Znalazłam to miejsce, jak poszłam na siku – przypomniała Maria.

Jej teatralny szept zdawał się nieść kilometrami w ciszy lasu. Było tu cicho jak makiem zasiał. Jakby wszystkie dźwięki zostały wytłumione. To sprawiało niepokojące wrażenie, nawet jak człowiek mówił sobie, że to tylko odczucie. Malwina znów się wzdrygnęła.

– Naprawdę myślicie, że to dom tego typka? – zapytała Bożena Prawda.

Ona umiała szeptać prawie jak mężczyzna, którego niby tak się bała. Malwina nadal nie ufała sklepikarce. Łatwo przyznała się do napisania listu i współpracowała. Cała jej opowieść trzymała się kupy. Niby. Ale co, jeśli kryło się w tym wszystkim coś jeszcze?

Kopp ruszyła ostrożnie w stronę budynku gospodarczego. Może to nie był zły pomysł. Mogły ukryć się przy jego ścianie. Ale Klementynie chyba nie o to chodziło. Wspięła się na palce i spróbowała zajrzeć do środka przez ozdobne okienko. Była za niska. Malwina i Weronika ruszyły jednocześnie za nią. Obie były wysokie. Choć Bożena Prawda nie dorównywała im wzrostem, ale chyba też chciała coś zobaczyć. Chodziła od okienka do okienka, jakby któreś z kolejnych mogło być niżej.

– Tylko ostrożnie – szepnęła już ciszej Maria.

Malwina i Weronika zajrzały do środka niemal jednocześnie.

– Widzicie coś, co? – zapytała Kopp.

Pisarka wstrzymała oddech. Pomieszczenie, które widziała, było chyba garażem. Trafnie to odgadła. Wjazd znajdował się zapewne po drugiej stronie, od frontu budynku. Rozróżniała kształt samochodu. To chyba też była terenówka. A dalej...

– Znalazłyśmy go – szepnęła Weronika.

Najwyraźniej też zorientowała się, na co patrzą.

– Spoko. Ale! Co?

– Autobus – powiedziała Malwina.

– Cisza – syknęła nagle Kopp. – Tam.

Spojrzały tam gdzie ona. Z tego miejsca za budynkiem gospodarczym widziały ganek drewnianego domu. Przy drzwiach stał niziutki łysy mężczyzna z wąsami. A więc naprawdę dotarły do domu, o którym im wspomniał.

Malwina widziała, jak nieznajomy manipuluje przy drzwiach. Chyba otwierał je kluczem. Już miał nacisnąć klamkę, ale nagle odwrócił się, jakby dostrzegł jakiś ruch. Wpatrywał się pomiędzy drzewami prosto w ich stronę.

W tym momencie nastąpił wybuch.

ROZDZIAŁ 35

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Niedziela, 1 listopada 2020.

Godzina 11.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Tak, to ja podłożyłem bombę u Majchrzaka – powtórzył kolejny raz Nestor Obuch. – Należało się gościowi i żałuję, że go nie zabiło. Może choć jeden trybik opresyjnego systemu przestałby działać.

Podgórski zastanowił się, czy Obuch przyznaje się tak ochoczo, bo liczy, że sąd uzna to za współpracę i zasądzi mniejszy wyrok za usiłowanie zabójstwa, czy może po prostu się chwalił. Im dłużej trwało przesłuchanie, tym bardziej policjant był przekonany, że chodzi o to drugie. Nestor uważał, że spełnia misję.

Tacy byli najgorsi. Pieprzeni misjonarze. Daniel nie miał już do tego cierpliwości. Nie dziś. Zwłaszcza po kolejnej potyczce z Mari Carmen. Chce się dobrze, a potem i tak wychodzi jak zwykle. Najlepiej było najwidoczniej siedzieć w tej robocie cicho i nie wykazywać się inicjatywą. Po co się starać, skoro później ma się same kłopoty.

Cały czas brzmiały mu w uszach słowa Mari Carmen. *No, to mamy to.* Jakby była pewna, że ostatecznie i definitywnie rozprawi się z Danielem. Już miał to przed oczami. Przesłuchanie z uprzedzeniem z artykułu sto osiemdziesiątego trzeciego kodeksu postępowania karnego. Zarzuty, zawieszenie w prawach policjanta, sprawa w sądzie...

Szczerze mówiąc, Podgórski nie mógł się skupić na tym, co działo się w salce przesłuchań. Pocieszała go myśl, że jak na razie nikt, oprócz Mari

Carmen, nie wspomniał o tym, żeby coś mu groziło. Wręcz przeciwnie. Na korytarzach wszyscy go chwalili za uratowanie Bratkowskiego.

– Sprawdźcie sami, jakie ten facet robił przekręty – ciągnął Nestor Obuch w najlepsze. – Na grube miliony! Jakby nie starczało, że i tak ma nabita kabzę. Burzuj pierdolony.

Podgórski skinął mimowolnie głową. Nie dlatego, że miał coś do Stefana Majchrzaka, ale dlatego że jego kolega z PG¹¹ już zajął się sprawdzeniem tej sprawy. Jeżeli kardiochirurg faktycznie dokonał oszustw, o których mówił Nestor Obuch, odpowie za to. Jeżeli zamordował żonę i resztę pasażerów autobusu, tym bardziej. Daniel nie zamierzał porzucić tego tropu. Ale Nestor też odpowie za swoje czyny. Nawet jeżeli ze zniknięciem autobusu oraz śmiercią Dominiki i Leszka nie miał nic wspólnego.

– Co pan powie o liście? – zapytał Zjawa, wyciągając w stronę Nestora kopię notatki z żądaniem okupu, którą dostała Hanna Lorenz.

Daniel nie zdążył porozmawiać z prokuratorem przed rozpoczęciem przesłuchania. Gryzło go to. Mimo frustracji po scysji z Mari Sikorą chciał wyjaśnić, jak to możliwe, że Zjawa nie wiedział, że sekcja Dominiki się nie odbyła. Zresztą Ziółkowski też. W co oni wszyscy grali?

– Co to za świstek? – zapytał Nestor Obuch, bawiąc się warkoczykiem na brodzie.

– Niech pan przeczyta – poprosił Zjawa.

Nestor studiował przez chwilę list z żądaniem okupu.

– Co to jest? – zapytał ponownie.

– Napisał pan to? – chciał wiedzieć prokurator.

– Oczywiście, że nie. To jakaś bzdura.

– Jest tam mowa o wysadzeniu – wtrącił się Daniel. – A pan się sam przyznał, że wysadził garaż Stefana Majchrzaka, by go zabić.

– Jo. Ale czy tylko ja mam licencję na materiały wybuchowe? – zaśmiał się Nestor. – Bombę domowej roboty można stosunkowo łatwo przygotować. Oczywiście jeżeli ktoś wie jak. A to można bez trudu znaleźć w Internecie. Składniki też są dostępne. Dla chcącego nic trudnego. Odpowiedni wyzwalacz, źródło energii, zapalnik, materiał wybuchowy, a jak chce się narobić więcej szkód, to jeszcze coś, co posłuży za odłamki. I już. Nie przypisujcie mi tego tylko dlatego, że chciałem zabić Majchrzaka. Sorry, nie będę odpowiadał za jakiś durny list, którego nie napisałem. Ja się na to nie zgadzam. Jestem za prawdą. Dlatego nie ukrywam moich intencji

wobec tego jebanego krezusa i takich jak on. No ale wy nie jesteście za prawdą. Jak to zwykle. Wy zawsze kłamiecie. Psy.

Podgórski z reguły irytował się, słysząc takie słowa. Ale co mógłby teraz powiedzieć, skoro sam miał podobne myśli? Zerknął na prokuratora. Błada twarz Zjawy była biała jak zawsze. Nie widać było na niej żadnych emocji. Policjant odniósł jednak wrażenie, że prokurator unika jego spojrzenia.

– Ten list to jest jakaś ściema – dodał jeszcze ze śmiechem Nestor. – Brzmi jak jakiś żart napisany przez nastolatka. Nie widzicie?

Przez dwadzieścia lat służby Podgórski widział już bardzo różne rzeczy. Nieraz były bardzo głupie, ale miały niestety niezwykle poważne konsekwencje. To, że coś wydawało się przesadne albo brzmiało głupio, nie oznaczało, że dla kogoś było głupotą. Zbrodnie popełnia się z najróżniejszych przyczyn. Nawet bardzo błahych. Tak samo samobójstwo. Nie należało lekceważyć niczego.

Z drugiej strony Daniel już wcześniej podejrzewał, że Hanna Lorenz mogła sama napisać ten list. A teraz Mari Carmen odkryła, że być może to właśnie Lorenz zapłaciła medykowi sądowemu, żeby nie przeprowadził sekcji. Jaki Hanna miała w tym cel? Naprawdę chciała pochować Dominikę żywcem? Choć trzeba pamiętać, że Koterski stwierdził, że równie dobrze to mógł być tak zwany poród trumienny i Dominika oraz jej dziecko byli całkiem, ale to całkiem martwi.

– Brał pan udział w uprowadzeniu autobusu? – nie ustępował Zjawa.

– Nie, nie i jeszcze raz nie – podniósł głos Nestor. – Przecież w autobusie był mój brat. Wie pan cokolwiek o więzi łączącej braci bliźniaków? Nie? To wyjaśnię panu. Jesteśmy jak dwie połówki tej samej osoby. Mogliśmy w różnych sprawach się nie zgadzać. Na przykład z tą działką i cholerną kaplicą. Jeszcze Szczepan tam mącił. Ale byliśmy braćmi. Nigdy bym go nie skrzywdził. Kocham Modesta jak nikogo innego. Bardziej niż siebie. A to największy rodzaj miłości.

– A może wymyśliliście to wszystko razem z ukochanym bratem. – Podgórski nie mógł się powstrzymać, żeby nie podkreślić tego słowa. – Może on porwał autobus, a pan działa na zewnątrz.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! To brednie.

Policjant przejechał ręką po brodzie w zamyśleniu. Tym razem zapomniał o cholernej maseczce. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Nie mógł rozgryźć Nestora. No bo skoro mężczyzna przyznał się do podłożenia bomby

u Stefana Majchrzaka, to dlaczego by ukrywał, że porwał autobus? Podgórski czuł, że w tej kwestii Nestor mówi prawdę. Nie wiedział, co się stało ani z autobusem, ani z jego pasażerami. Policjant uznał, że w takim razie spróbuje zastosować inną taktykę.

– Wie pan, kto mógłby to zrobić? – zapytał spokojnie, już nie oskarżycielsko. Jakby prosił o radę.

– Porwać autobus?

– Jo.

– Nie...

Czy mu się tylko wydawało, czy Daniel usłyszał jednak wahanie w głosie Nestora Obucha?

– Nie? – spróbował pociągnąć temat.

– Tak się zastanawiam... Skoro mówicie o wybuchach... – Nestor uniósł kopię listu. – Dziwne, bo w Rarogach ostatnio był Ciszyciel.

– Ciszyciel? – zapytał Zjawa. – Kto to jest?

– To taki gość. Zna się na wybuchach. Dlatego mówię. Najpierw go spotkałem, jak poszedłem się przejść. Chyba w poniedziałek. Ale mogę się mylić. Szczerze mówiąc, dał mi kilka wskazówek, jak ulepszyć moją bombę dla Majchrzaka. No a potem zjawił się na pogrzebie Dominiki. No i jak Alina Konopka rozkopywała grób razem ze Zbigniewem, też go widziałem. Rozmawiał z Klementyną Kopp i tą jej resztą. No generalnie kręcił się po wsi. Może go pan widział. Taki niski gość. Nie wiem, z metr pięćdziesiąt. Łysy. Z wąsami. Podkręcone do góry na jakąś pomadę czy coś w tym stylu. Wygląda bardzo charakterystycznie, więc nie da się go nie zauważyć. Chociaż chyba wycofał się, jak miała przyjechać policja. To mogliście go nie widzieć.

– Kto to jest? – zapytał Daniel.

– Nie wiem, jak się naprawdę nazywa. Znam go z takiego squatu, w którym kiedyś mieszkałem. Tu w Brodnicy. To było lata temu. Gość walczył kiedyś z naziolami. Podobno sporo dobrego wtedy zrobił, szkodząc im. To było w latach osiemdziesiątych. Ja oczywiście go poznałem później. Jakoś w dwa tysiące czwartym czy coś takiego. Potem odszedł już z tego squatu. Gdzieś się podobno zaszył czy coś. Nie wiem. No i kilkanaście lat go nie widziałem i nagle teraz się pojawia pod Rarogami. Nie wiem, o co chodziło. Ale że akurat chciałem wysadzić Majchrzaka, to się przydał. No a co do tego listu. Nie wiem. Może on coś zrobił z autobusem. Sam pan

widzi, że jestem prawdomówny. Wręcz patologicznie prawdomówny. Rzygam ściemami.

Zanim Podgórski zdążył zadać kolejne pytanie, drzwi do salki przesłuchań otworzyły się. Do środka zajrzała Fijałkowska i pokazała głową, żeby podszedł. Daniel wyszedł z szefową na korytarz. Skoro naczelniczka przerywała przesłuchanie, to musiało się zdarzyć coś ważnego. No chyba że chodziło o kolejne działania Mari Carmen, przebiegło policjantowi przez myśl. Wszystkie mięśnie natychmiast mu stężały.

– Chyba ktoś jeszcze nie żyje – poinformowała Fijałkowska bez wstępów.

Na te słowa paradoksalnie poczuł ulgę. Przynajmniej jeszcze przez moment nikt się nie będzie go czepiał.

– Kto? – zapytał.

11 Przestępczość gospodarcza.

ROZDZIAŁ 36

Las nad jeziorem Ciche.

Niedziela, 1 listopada 2020.

Godzina 11.00.

Klementyna Kopp

Kopp otworzyła oczy zdezorientowana. Miała wrażenie, że obudziła się z głębokiego snu. Wokół unosiły się tumany kurzu. Albo tylko jej się wydawało...

Dopiero po chwili zauważyła, że ma przed sobą brudną od piachu twarz Malwiny Górskiej.

– Klementyna! – powtarzała pisareczka. – Klementyna!

– O co tyle hałasu, co? – zapytała Kopp.

Spróbowała usiąść. Wokół był las. Przed nią pozostałości jakichś drewnianych budynków. Wtedy zrozumiała.

Wąsacz!

Doszło do niej w jednym momencie. Jakby nagle odzyskała jasność umysłu.

Wybuch.

Spojrzała w stronę drewnianego domu. Po części zapadł się po wybuchu, po części nadal trzymał się na drewnianych legarach. Sam ganek stał niemal nietknięty. Łysego mikrusa nigdzie nie było widać.

– Jak dobrze, że nic się nie stało – powiedziała gorączkowo Malwina. – Ale Maria i Bożena... Zwłaszcza Bożena... Ona...

Kopp rozejrzała się wokoło. Zobaczyła Weronikę. Kucała nad Marią i chyba próbowała ją dobudzić, jak przed chwilą pisareczka Klementynę.

Emerytowana policjantka spojrzała w drugą stronę. Tam, gdzie ostatnio widziała sklepikarkę z Rarogów. Jedna ściana budynku gospodarczego właściwie przestała istnieć. Materiał wybuchowy musiał być chyba gdzieś tam ukryty. A przynajmniej jego część, bo Kopp podejrzewała, że ładunków było tu więcej. Autobus stał teraz dobrze widoczny, nieco zniszczony. Ale! odsłonięty.

Natomiast Bożena Prawda...

– Ona... – wydusiła znów Malwina.

Wtedy Kopp zobaczyła ciało sklepikarki. Nawet z tej odległości widać było, że kobieta nie żyła. Ciało było porozrywane. Był to makabryczny widok. Szczerze mówiąc, jeden z gorszych, jakie Klementyna widziała w swojej policyjnej karierze.

– Co z Marią, co? – zapytała, próbując wstać.

Kręciło jej się w głowie. Ale! Dała radę. Były momenty, kiedy człowiek zdecydowanie nie mógł pozwolić sobie na rozczulanie się nad sobą.

– Chyba żyje, ale nie możemy jej dobudzić – wyjaśniła Malwina.

Obie spojrzały na Podgóorską. Przemawiała do byłej teściowej i starała się robić coś, co chyba miało ją ocucić.

– Zostaw ją – rzuciła Kopp do Weroniki. – Musimy zadzwonić po lekarza. Jeszcze jej zaszkodzisz, jak będziesz nią tak potrząsać. Nie wiadomo, jakie ma obrażenia!

Ruda natychmiast przestała. Odwróciła się do Klementyny.

– Myślisz, że nie próbowałyśmy dzwonić?! – zawołała gniewnie. – Zapomniałaś chyba, że telefony nie mają tu zasięgu.

– Tam stał samochód, ale teraz go nie ma – dodała Malwina Górską, pokazując dróżkę koło zniszczonego domu. – Czyli facet odjechał.

– Kurwa – wyrwało się Klementynie.

Rzadko przeklinała. Nie dlatego, że szczególnie ją to raziło. Po prostu nie miała takiego zwyczaju ani nie czuła potrzeby. Do teraz. Były *gdzieś-w-lesie*. Wszystkie mniej lub bardziej ranne. Maria była chyba w ciężkim stanie. A sklepikarka... wiadomo.

A co więcej, gdzieś wśród drzew czaił się ten mały popierdolony wąż. To, że samochodu nie było, nie znaczyło, że zupełnie się zmył. Wcale nie musiał odjechać daleko. Może je obserwował.

Facet ukrywał autobus w swojej szopie. Raczej na pewno pozbył się jego pasażerów. A teraz usiłował wysadzić je w powietrze. Najwyraźniej więc

był zdolny do wszystkiego. Jeżeli sytuacja, w której się znalazły, nie zasługiwała na krótkie, acz dosadne kurwa, to Kopp nie wiedziała, co by mogło na to zasługiwać.

ROZDZIAŁ 37

Dom Konopków w Rarogach.

Niedziela, 1 listopada 2020.

Godzina 11.40.

Aspirant Daniel Podgórski

W środku – poinformował Łukasz.

Kiedy Daniel dojechał na miejsce, syn i jego kolega z patrolu już tam byli. Widocznie dyżurny wysłał ich na miejsce od razu, żeby wszystkiego pilnowali. Kawałek dalej zaparkował van techników. Świetnie, a więc Ziółkowski już był. Doskonała okazja, żeby zamienić z nim chociaż kilka słów na temat sekcji zwłok, która się nie odbyła.

– No i podobno doktor Koterski już jest blisko – dodał Łukasz. – Dyżurny mówi, że do tego czasu mamy sobie radzić sami.

– A co tam mamy? – zapytała Mari Carmen.

Nowy komendant zdecydował, że to ona przyjedzie na miejsce z Danielem. Fijałkowska nie wyglądała na zachwyconą, ale nie miała chyba nic do gadania. Z drugiej strony może cieszyła się, że nie będzie musiała oglądać kolejnego trupa. Wyrobiła już chyba normę na długi czas.

Mari Carmen o dziwo zachowała się całkiem profesjonalnie. Zmieniła spódnicę na spodnie, a szpilki na służbowe buty. Włosy zaplotła w gruby warkocz. Gdyby nie ostry makijaż, Podgórski chybaby jej nie poznał.

– Zobaczycie w środku – mruknął syn.

– Co za miejsce – powiedziała policjantka, rozglądając się po Rarogach. – Jak z horroru. W pozostałych domach nikt nie mieszka?

Zatoczyła ręką po opuszczonych drewnianych domostwach. Wieś duchów. Tak wszyscy o tym miejscu mówili. Nawet sami mieszkańcy.

– Chyba tylko pięć chałup jest zamieszkanym – wyjaśnił Podgórski. – Nie pamiętam dokładnie. W tym ta. Tu mieszkają rodzice Dominiki i Leszka Konopków.

– Idealne miejsce, żeby dokonać zbrodni – podsumowała Mari Carmen w zamyśleniu. – Oboje rodzice nie żyją?

– Zobaczycie w środku – mruknął znów syn.

– Idźcie przodem – powiedział Daniel. – Zaraz dołączę.

Chciał koniecznie zamienić choć dwa słowa z szefem techników, zanim przejdą do oględzin. Potem może już nie być okazji. Poczekał, aż Mari Carmen i Łukasz wejdą do domu Konopków. Potem ruszył szybko w stronę vana. Szef techników właśnie wysiadał.

– Co tam? – zapytał, wyjmując teczkę ze sprzętem z bagażnika. – Słyszałem, że niezłą akcję dziś wywinąłeś.

– Byłeś na sekcji zwłok Dominiki Konopki? – rzucił Daniel prosto z mostu.

– Jest dokumentacja fotograficzna – odparł Ziółkowski.

Brzmiało to sztywno i dziwnie. Wymijająco.

– Pytam, czy byłeś tam?

– A ja odpowiadam, że jest dokumentacja fotograficzna – odparł twardo Ziółkowski. – A teraz przepraszam, Danielu, bo muszę iść na miejsce zbrodni.

Zabrzmiało to właściwie dokładnie tak jak wcześniejsze uniki doktora Bratkowskiego. Podgórski nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo szef techników już wchodził szybko do domu zajmowanego przez rodzinę Konopków.

Policjant odetchnął głębiej, żeby się uspokoić. W powietrzu czuć było zapach jeziora. Nic dziwnego. Mroczna wieś przycupnęła tuż na jego skraju. Podgórski chętnie by zszedł na plażę i zamoczył dłonie w wodzie. Może przemył twarz. Nie był pewny, co zrobić. Kogo miał po swojej stronie, a kogo nie?

Ziółkowski zawsze wydawał się w porządku, ale teraz? Ta jego wymijająca odpowiedź... Dokumentację oczywiście trzeba będzie przejrzeć, ale mogła być sfałszowana. Ba! Na pewno była. Doktor Bratkowski nie zrobił sekcji, ale to wydało się dopiero dziś. To oznacza, że jakaś dokumentacja musiała zostać przygotowana. Sfałszowana dokumentacja. Kurwa. Kurwa. Kurwa!

– Zapraszamy, Danielu – powiedziała Mari Carmen, wychylając się przez drzwi domostwa.

Drewniany próg zaskrzypiał, kiedy Podgórski na nim stanął. Cały dom zdawał się jęczeć, jakby opłakiwał mieszkańców. Policjant przeszedł przez sień. Znalazł się w sporej izbie, choć zdecydowanie mniejszej niż ta w domu Hanny Lorenz. Pomieszczenie pełniło chyba funkcję salonu. W rogu na szafce przykrytej dzierganą serwetką stał telewizor. Przed nim stolik przyozdobiony podobnym obrusikiem. Za nim widać było sofę, a na niej...

– Niezłe Halloween tu mamy – burknęła Mari Carmen.

Na kanapie przed telewizorem ktoś siedział. Ciało przykryto prześcieradłem, w którym wycięto dwa otwory na oczy. Na kolanach rozsypano cukierki.

– Chyba mimo cukierków był też psikus – mruknął Łukasz.

– Spodziewałem się dwóch trupów – powiedział Daniel. – Zagłądaliście do pozostałych pokoi?

– Jeszcze nie – powiedział Łukasz.

– Są cyce, to pewnie baba – powiedziała Mari Carmen bez zażenowania.

Żadnego onieśmienia czy zakłopotania Daniel się po niej nie spodziewał. Nie po tym, co zaprezentowała mu dziś. No i miała rację. Na wysokości piersi widać było wzgórki. Poza tym postać była zdecydowanie za mała jak na barczystego Zbigniewa Konopkę. To musiała być Alina.

– Muszę najpierw wszystko zabezpieczyć, zanim zdejmemy to prześcieradło – oznajmił technik. – Dajcie mi chwilę. Nie pracuję po łebkach.

Normalnie Daniel by przytaknął, ale w obliczu tego, co się działo, miał ochotę po prostu zerwać prześcieradło z trupa i nie bawić się w ceregiele. Skoro i tak mogli sfałszować wszystko, to po co udawać. Frustracja narastała w policjancie coraz bardziej.

Stali w ciszy, obserwując poczynania Ziółkowskiego.

– Kto znalazł ciało? – zapytała Mari Carmen w końcu.

– Hanna Lorenz – oznajmił Łukasz, zerkając na Daniela wymownie. Jakby chciał przypomnieć ojcu, że już dawno podejrzewali Lorenz. – Jak przyjechałem, to powiedziała mi, że wyszła na spacer i tu zajrzała, bo drzwi były otwarte. Chciałem, żeby poczekała na wasz przyjazd, ale poszła do

domu. Nie mogliśmy jej zatrzymać, bo nas było tylko dwóch, a ona z całym tym swoim stadem goryli. Wolałem nie robić afery.

– Goryli? – zapytała Mari Carmen.

Podgórski nie miał ochoty tłumaczyć Sikorze, że staruszce zawsze towarzyszą łysi osiłkowie. Sama się przekona.

– Można ściągać prześcieradło – poinformował Ziółkowski.

– No to może pani będzie czynić honory, pani podinspektor – zaproponował Podgórski złośliwie.

Mari Carmen dała znak technikowi, żeby to on usunął prześcieradło. Pod nim faktycznie ukryte było ciało Aliny Konopki. To nie była niespodzianka.

Natomiast Podgórski zupełnie nie spodziewał się widoku tego, co z trupem zrobiono.

CZEŚĆ 6
CISZYCIEL

ROZDZIAŁ 38

Squat Wolność.

Sobota, 27 marca 2004.

Godzina 17.40.

Ciszyciel

Kiedy zamknięto Kwiatowy Raj, a jego matka trafiła do więzienia za rozmaite grzeszki, Ciszyciela zabrano do sierocińca nazywanego szumnie domem dziecka. Nie przypominał domu.

On nigdy nie mieszkał w prawdziwym domu, ale to jedno wiedział na pewno.

Tak nie powinno być.

Chował się pod łóżko w poszukiwaniu swojego zaginionego świata i bezpieczeństwa. Piwnicy już przecież nie było.

– Co tam robisz, mały? – usłyszał któregoś razu.

Potem więksi mieszkańcy domu wyciągnęli go spod łóżka.

Siłą.

Szarpali go i bili.

Czasem kazali się rozbierać.

A kiedy mieli dobry humor, wkładali mu głowę do kibla i spuszczaali wodę.

Po jakimś czasie to stało się codziennym rytuałem.

Ciszyciel nie miał siły się bronić. Byli więksi od niego. Raz próbował rozmawiać z siostrą przełożoną, ale odprawiła go z kwitkiem. A wieczorem dostał jeszcze większe lanie. Wtedy obiecał sobie, że nigdy już nie zaufa władzy.

Trzymał się tego postanowienia do teraz, mimo że minęło tyle lat.

Był sam dla siebie i zamierzał żyć według własnych zasad i własnej moralności.

Wtedy w sierocińcu zrozumiał, że jedynym sposobem, żeby zostawiono go w spokoju, było sprawienie, żeby się go bano.

Jeżeli ludzie się ciebie boją, to nie ma znaczenia, czy jesteś niski, czy wysoki.

Ani ile lat miała twoja matka, kiedy cię urodziła.

Ani jak bardzo była wtedy naćpana.

Strach to był sprzymierzeniec.

Przyjaciel, którego Ciszyciel w swoim krótkim życiu nigdy dotąd nie miał.

CZEŚĆ 7

TERAZ

ROZDZIAŁ 39

Lipowo.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 7.30.

Malwina Górską

Malwina wybrała się na trening, mimo że po wczorajszych wydarzeniach była poobijana i obolała. Nie stosowała taryfy ulgowej praktycznie nigdy. A teraz tym bardziej. Bieganie pozwalało jej zebrać myśli i wyciszyć emocje. Słońce wstało przed siódmą. Niedługo przyjdzie zima i o tej porze będzie jeszcze ciemno. Będzie musiała wychodzić później.

Prawdę mówiąc, nie lubiła wcześniej wstawać. Wieczorem najlepiej jej się myślało. Najczęściej jednak bywało tak, że kładła się późno i wstawała wcześniej, żeby podołać wszystkim zobowiązaniom. Postanowiła, że dziś da sobie na luz i dłużej pośpi, ale obudziła się nawet bez budzika.

Leżała jakiś czas, wpatrując się w sufit. To nie był najlepszy pomysł, bo powróciło wspomnienie wczorajszych wydarzeń. Mały łysy mężczyzna musiał się tam na nie zacząć i uruchomić ładunki wybuchowe, kiedy zbliżyły się do jego domostwa. Teraz wiadomo już było, że ten człowiek nazywany był Ciszycielem.

Pisarka nie mogła pozbyć się wrażenia, że w uszach ciągle piszczy jej po wybuchu. Tym razem eksplozja była potężna, nie taka jak przed domem Majchrzaka. Malwina, Weronika i Klementyna miały szczęście i skończyły się na siniakach. Maria została ranna i trafiła do szpitala, a Bożena Prawda... Poszarpane kawałki ciała... Pisarka usiłowała o tym nie myśleć. Dlatego włożyła strój do biegania i ruszyła na trening.

Tym razem biegła przez Lipowo, chociaż na ogół wybierała ścieżki przez las. Mieszkała tu już ponad pół roku i zdążyła poznać większość leśnych szlaków. Lubiła eksplorować nowe, więc mapa lasu w głowie robiła się coraz większa. Bieganie wśród drzew było wspaniałe. Lubiła słuchać ich szumu i pełną piersią wdychać ich zapach. To było coś zupełnie innego niż treningi w mieście.

Ale nie dziś. Nie po tym, co wydarzyło się wczoraj. Dziś wolą być wśród ludzi. Buty stuknęły miarowo o asfalt. Dopiero po chwili zorientowała się, że biegnie właśnie obok domu Podgórskich. Jakby nogi same ją tu przyniosły. Serce zabiło szybciej. Co ona wyprawia? To było igranie z własnym sercem. I z przyjaciółmi, które tu zbudowała. Tą z Danielem. I tą z Weroniką.

W oknach sutereny, którą zajmował Podgórski, paliło się światło, mimo że dzień zrobił się już jasny. W nisko położonych pomieszczeniach pewnie nadal panował mrok. Na wszelki wypadek Malwina przyspieszyła kroku. Czuła ból we wszystkich mięśniach. Całe ciało miała poobijane po wczorajszych wydarzeniach i zwiększenie tempa spotęgowało ból. Mimo to biegła. Oby policjant nie wyjrzał.

– Malwina!

Zatrzymała się. Daniel wyglądał przez otwarte okno swojego mieszkania.

– Hej! – zawołała. Starła się, żeby zabrzmiało to naturalnie. Nie mógł przecież wiedzieć, co ją tu tak naprawdę przywiodło. Tym bardziej że sama nie była tego do końca pewna.

– Dajesz radę biegać? – zdziwił się.

Oczy miał podkrążone. Pewnie do późna siedział w szpitalu u matki. Wczoraj proponował Malwinie, że dotrzyma jej towarzystwa. Ona z całej ich trójki mieszkała sama. Weronika mieszkała przecież z obecnym partnerem, córeczką i psem. A Klementyna z wnuczkiem i jego matką. Pisarka odmówiła. Choć musiała przyznać sama przed sobą, że przyszło jej to z trudem. Nie tylko dlatego, że naprawdę się bała.

– Jak się czuje Maria? – zapytała.

– Stan już jest ustabilizowany. Nadal ciężki, ale lekarze są optymistami.

– Całe szczęście.

– Pewnie dziś będzie sekcja zwłok Bożeny Prawdy. Szukamy tego Ciszyciela. Wczoraj wieczorem już trochę działałem. Dziś będę jeszcze raz rozmawiał z Nestorem Obuchem. Sprawdzimy działkę, na której stoi ta

chata. Dowiemy się, do kogo należy. Może w ten sposób ustalimy jego tożsamość, jeżeli nie uda się inaczej. Znajdziemy go. Odpowie za to wszystko. Nie martw się.

Pisarka skinęła głową, choć niezbyt przekonana. Wydawało jej się, że Ciszyciel doskonale umie sobie radzić w życiu. Może jest już bardzo, bardzo daleko. A może wręcz przeciwnie, przebiegło jej przez myśl. Może jest gdzieś blisko. Rozejrzała się nerwowo. Zaraz jednak skarciła się w duchu. Wcale nie chciała żyć w strachu. Chciała oddychać pełną piersią. Biegać lasami. Nie ukrywać się.

– Dobrze, że ten człowiek usłyszał wybuch – mruknęła.

Były tam same. Z nieaktywnymi telefonami. Nie mogły wezwać pomocy. Okazało się jednak, że ktoś usłyszał wybuch i zadzwonił pod numer alarmowy. Pomoc nie nadjechała od razu, bo zawiadamiający nie umiał sprecyzować, gdzie doszło do wybuchu.

– To był jakiś staruszek, który przeżył wojnę – wyjaśnił Daniel. – Doskonale wiedział, jak brzmi bomba. Tłumaczył, że przypomniało mu to młodość. Może gdybyśmy byli wcześniej w Rarogach, też byśmy usłyszeli. Ale wtedy było już po sprawie.

– Dobrze, że został potraktowany poważnie.

– Jo. No ale po bombie u Majchrzaka już nikt nie lekceważy możliwości, że i u nas takie rzeczy mogą się dziać. Nie powinnyście być znów ryzykować.

Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło.

– To ja już pój...

– Wejdiesz na chwilę?

Zaczęli mówić w tym samym momencie.

– Wymienilibyśmy się informacjami – dodał, widząc chyba jej wahanie.

– Dobrze.

Odpowiedź padła, nim Malwina zdołała się powstrzymać. Minęła błękitne subaru zaparkowane przed domem i zeszła po schodach do sutereny. Była tu już kilka razy. Nie tylko na górze u Marii. U Daniela też. Dobrze się z Podgórskim dogadywali. Byli przyjaciółmi. Nie powinna tego psuć tylko dlatego, że czuła się przy nim dobrze i bezpiecznie. Od tego miała Zjawę. Prokurator był zawsze gotów ją pocieszać. Choć wczoraj był milczący. Kiedy zadzwoniła, zdawał się pogrążony w myślach. Nie nalegała więc na spotkanie.

– A jak ty się czujesz? – zapytała, kiedy Daniel otworzył drzwi. Bądź co bądź jego matka była w szpitalu.

– W porządku.

– Jadłeś coś?

– A co? Jesteś moją mamą? – zaśmiał się.

Wydawał się rozbawiony, ale Malwina miała wrażenie, że on też jest speszony. Czowała, że lepiej unikać ciszy. Nie wiadomo, do czego mogłaby doprowadzić. Zaczęła więc opowiadać, czego dowiedziały się wczoraj. Temat śledztwa pozwalał uniknąć potencjalnie niebezpiecznych sytuacji. A wczoraj tyle się działo, że nie zdążyły mu nawet opowiedzieć, jak Bożena Prawda przyznała się do napisania listu. Ani o tym, że choć sklepikarka mówiła, że Ciszyciela nikt w Rarogach nie znał, to on najwyraźniej się tam z jakiegoś powodu kręcił.

Podgórski zrewanżował się, opowiadając jej o rozmowie ze Stefanem Majchrzakiem i o tym, że zadecydowano wieczorem, że kardiochirurg dziś ma zostać zatrzymany do wyjaśnienia w sprawie ewentualnych oszustw.

Najbardziej przerażające było jednak to, co powiedział Podgórski potem. Sekcji zwłok Dominiki Konopki-Piekarskiej nie wykonano. Hanna Lorenz najprawdopodobniej zapłaciła młodemu medykowi sądowemu, żeby tego nie zrobił. Rola Zjawy i szefa techników była więc w związku z tym niejasna.

To wyjaśniało, czemu prokurator nie był wczoraj rozmowny, gdy Malwina do niego zadzwoniła. Nie chciała nawet dopuścić do siebie myśli, że Zjawa mógł się w coś wplątać. Widziała, że Daniel jest tym faktem poruszony, ale ze względu na jej znajomość ze Zjawą stara się mówić neutralnym tonem.

– Powinieneś zjeść śniadanie – powiedziała w nagłym przypiływie czułości.

Ludzie często uważali, że jest odważną, samodzielną kobietą. Ale ona bardzo chciała móc się kimś zaopiekować. Może dlatego wytatuowała sobie runę ochronną na rękę. Sama dla siebie nie była ważna. Liczyli się inni.

– Przestań – zaśmiał się Podgórski. – Chodź, usiądziemy. Dokończę ci o trupach w Rarogach.

Do tej pory stali w niewielkim korytarzyku. Poszła za nim do pokoju, który był jednocześnie sypialnią. Kanapa nadal była rozłożona. Zajmowała dużą część pomieszczenia. Mieszkanko było wielkości małej kawalerki

w Warszawie. Daniel wyjaśnił jej kiedyś, że przerobiono je z piwnicy i garażu. Miało być przystanią na chwilę, ale Podgórski ostatecznie został w rodzinnym domu na stałe. Poza krótkim epizodem małżeństwa z Weroniką, dodała w duchu Malwina. No właśnie. Weronika. Chociażby ze względu na nią powinna pilnować, żeby znajomość z Danielem nie wykroczyła poza przyjaźń. Była żona policjanta patrzyła na pisarkę niechętnie. Górka nie miała już siły na utarczki z kolejną wściekłą babą. Za dużo ją to kosztowało za pierwszym razem.

– Najpierw znaleźliśmy Alinę Konopkę. Była przykryta prześcieradłem – wyjaśnił Daniel. – Najwyraźniej ktoś przebrał ją za ducha.

– Ojciec Dominiki też nie żyje?

– Jo. Był w sypialni. Też usadzony i tak samo przebrany za ducha. Prześcieradło. Otwory na oczy. Cukierki. Jakby je zbierali na Halloween. Natomiast najgorsze było, jak podnieśliśmy te prześcieradła.

W jego tonie było coś takiego, że Górka natychmiast poczuła, że mięśnie tężeją jej z niepokoju.

– Opowiadać dalej? – zapytał Daniel. Chyba zauważył, że się zdenerwowała.

– Tak. Jasne.

– Wycięto im serca. Najprawdopodobniej wypłowiano piłą mechaniczną. Leżała obok. Koterski tłumaczył mi, że ciężko jest wyjąć serce ot tak. Trzeba przepiłować mostek i żebra. Serca wsadzono do garnka i zostawiono w kuchni.

– Bożena wspomniała, że ukradziono jej piłę...

– To może być istotna informacja – zauważył Daniel. – W każdym razie prawdopodobnie zrobiono to wszystko w sypialni. Tam jest najwięcej krwi. Było też dużo alkoholu. Wygląda na to, że Zbigniew zapijał smutki.

– Nie ufam alkoholikom – wyrwało jej się.

W jej rodzinie było dużo picia. Dlatego sama nigdy nie tknęła alkoholu. Wiedziała, jak to się może skończyć. Nienawidziła nawet samego zapachu. Z reguły nikomu o tym nie mówiła. Przy Podgórskim stawała się chyba aż nazbyt szczerą. Musiała się opamiętać, zanim będzie tego żałowała.

– Ale wspomniałaś, że ciało Aliny było w salonie – powiedziała szybko, żeby nie chciał rozwijać tematu. Nie była na to gotowa.

– Jo. Jej ciało zostało przeniesione do salonu. No i co ciekawe, prześcieradła były czyste. Czyli musiał poczekać, aż krew zaschnie, żeby

ich nie zabrudzić.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Nikt nie usłyszał piły?

– Wiesz, jak wyglądają Rarogi.

Malwina skinęła głową. Wieś duchów. Zresztą nawet jeżeli ktoś słyszał piłę, mógł pomyśleć, że ktoś tnie drewno.

– Zrobiono to umiejętnie?

– Koterski jeszcze nie przeprowadził sekcji, jak z nim wieczorem rozmawiałem. Wspomniał, że to była robota na szybko.

– Pytam, bo przecież Stefan Majchrzak jest kardiochirurgiem. Kto jak nie on zna się na sercach... I ich wycinaniu.

– Masz rację.

– Mógł to zrobić?

– Teoretycznie tak – przyznał Podgórski, przejeżdżając ręką po brodzie. – Wczoraj rano byłem u niego w szpitalu, ale wieczorem go wypisano. A dopiero dziś ma być zatrzymany. To znaczy muszę dokładnie wypytać Koterskiego, kiedy Konopkowie zginęli. Choć na moje oko wyglądali świeżo... Chyba zginęli niedługo przed tym, jak ich znaleziono.

– Znaleziono – powtórzyła za nim Malwina. – I znów Hanna Lorenz?

– No właśnie. Twierdzi, że była na spacerze i zajrzała sprawdzić, czy wszystko okej.

– Cóż za zbieg okoliczności – mruknęła pisarka.

– Z ust mi to wyjął – zaśmiał się Podgórski.

Przez chwilę stali w milczeniu. A milczenia Malwina za wszelką cenę chciała uniknąć. Daniel zrobił krok w jej stronę. Bezwiednie powtórzyła jego ruch. Uniosła ręce i objęła jego twarz.

– Malwina... – zaczął, zanim zdążyła go pocałować.

Ton jego głosu się zmienił.

– Przepraszam. Muszę już iść – powiedziała szybko. – Przepraszam.

Nie chciała usłyszeć tego, co miał do powiedzenia. Bez względu na to, co to mogło być: kurtuazyjne stwierdzenie, że są tylko przyjaciółmi, czy coś wręcz przeciwnego. Lepiej, żeby pewne rzeczy pozostały niewypowiedziane.

ROZDZIAŁ 40

Dworek Weroniki w Lipowie.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 8.20.

Klementyna Kopp

Kopp była zła. Nienawidziła, kiedy ktoś sobie z nią pogrywał. A jeszcze bardziej nienawidziła, kiedy robił to skutecznie. A w ogóle nie mogła tego zaakceptować, kiedy ten ktoś krzywdził osoby, na których jej zależało. Maria może i była *irytującą-starszą-panią*. Ale! Była jej *irytującą-starszą-panią*. Kopp nie zamierzała tego tak zostawić. O nie.

– Gdzie pisareczka, co? – zapytała, kiedy weszła do dworku Weroniki.

Ruda otworzyła drzwi z córeczką na rękach. Twarz miała rozpromienioną, zupełnie jakby nic się wczoraj nie stało. *Zupełnie-nic*. Klementyna uznała, że chyba nie ma co z nią gadać. Skupiona była na czymś innym, a Kopp chciała działać. Dlatego zapytała o Malwinę. Nie można było zostawić sprawy swojemu biegowi. Policja prowadzi swoje poszukiwania. Ale! One mogą prowadzić swoje. I będą. A przynajmniej ona będzie.

– Jedziemy do Rarogów – dodała Kopp, zanim Weronika odpowiedziała.

– Ale Mariusz poszedł na spacer z Bajką. Nie mam z kim zostawić Emilki i...

– Okej. No dobra. Zostajesz – przerwała jej Klementyna. – Ale! Gdzie różowa, co?

– A skąd mogę wiedzieć? – zapytała Weronika defensywnie. – Wydaje mi się, że widziałam, jak wychodziła biegać. Ale co zamierzasz? Chyba pamiętasz, jak to się wczoraj skończyło.

– Przecież powiedziałam, co zamierzam. Po pierwsze trzeba wrócić do Rarogów i pogadać sobie z kimś, kto może znać tego typu. Tego Ciszyciela, jak go nazywają.

– Bożena Prawda mówiła, że on był tam obcy.

– Jeżeli się tam kręcił, to już obcy nie był. Za mało tam ludzi, żeby z kimś nie pogadał. Jestem pewna, że ktoś coś wie.

To było coś, co przyszło jej do głowy w nocy. A teraz postanowiła sprawdzić ten trop. Tylko musi na nowo zebrać swoją skromną ekipę. Zaczęły to razem, skończą to razem. A ten cały Ciszyciel pożałuje, że z nimi zadarł.

ROZDZIAŁ 41

Squat Wolność w Brodnicy.
Poniedziałek, 2 listopada 2020.
Godzina 9.20.
Aspirant Daniel Podgórski

Podgórski zatrzymał subaru przed opuszczonym budynkiem przy ulicy Przykop. Przekręcił kluczyk i wyłączył silnik. Był zły na siebie za to, co stało się rano. Malwina uciekła. Niepotrzebnie zaczął gadać, zamiast po prostu ją pocałować. Ale to, co powiedziała o alkoholikach, wytrąciło go z równowagi.

Znów poczuł palący wstyd. Pisarka nie wiedziała chyba, jaką miał przeszłość. Nie zdawała sobie sprawy, że w jego małym mieszkanku jeszcze niedawno wały się puste butelki. Które potem układał w równe rzędy w jakimś masochistycznym planie policzenia, jak dużo wypił. I jak nisko upadł. Ogarnęła go chęć wymazania przeszłości. A na pewno nie chciał, żeby Górka się o tym dowiedziała. To pewnie przekreśliłoby jego szanse na cokolwiek. Nie żeby chciał. Bo przecież łączyła ich tylko przyjaźń, ale...

– Wygląda jak ruina – powiedziała Mari Carmen, wrywając go z zamyślenia.

Niestety tym razem nie udało mu się wyłgać i była tu razem z nim. Sto razy wolałby być tu sam. Zerknął w jej stronę. Lustrowała starą kamienicę od góry do dołu. Budynek wydawał się pusty, ale w mieście wszyscy wiedzieli, że mieszka tu grupa młodzieży. To był squat w starym stylu. Nazywał się Wolność. Ktoś nawet namalował nazwę nad wejściem. Napis

zdążył już wyblaknąć. To było dawno. Może jeszcze w czasach, kiedy Daniel tu wpadał.

Kiedyś był buntowniczym nastolatkiem. Ojciec był policjantem i chyba dlatego Podgórski koniecznie chciał pokazać, że jest inny. Poza tym był zafascynowany tym stylem. Nosił długie włosy, glany, skórzane kurtki. Miłość do ciężkiej muzyki została do dziś. Ojciec zginął podczas jednej z akcji. Nigdy nie doczekał momentu, kiedy Daniel włożył mundur. Pewnie byłby dumny. Podgórski westchnął. Naprawdę wierzył kiedyś w to wszystko. Teraz pozostały chyba jedynie gorycz i frustracja.

– Budynek zaanektowano jeszcze w latach osiemdziesiątych – wyjaśnił, żeby nie popadać w niezbyt przyjemne myśli. – Pamiętam, że potem właściciel miał trudności z pozbyciem się dzikich lokatorów. A co działo się z tym miejscem później, to już nie wiem. Przedtem tu była jakaś komuna, ale to jeszcze dawniejsze dzieje. W każdym razie z tego, co wiem, nie było żadnych dalszych skarg. Przynajmniej w czasie, kiedy pracowałem już w policji.

Przyjechali tu po kolejnym przesłuchaniu Nestora Obucha. Mężczyzna twierdził, że Ciszyciel kiedyś mieszkał w squacie. Być może ktoś tu zna jego prawdziwą tożsamość albo ma jakieś informacje na jego temat. Może nawet Ciszyciel tu wrócił. Ale Daniel w to wątpił. To chyba byłoby za wielkie szczęście dla śledczych.

– No to zobaczymy, co tam mamy – odparła Mari Carmen.

Wysiadła z samochodu i roztrzepała gęste włosy palcami. Maski oczywiście nie nałożyła. Pewnie uważała, że jest ponad to i nawet gdyby ktoś się przyczepił, to wystarczy, że machnie legitymacją. Kiedyś może Daniel też by tak się zachowywał, teraz nie chciał. Westchnął, nasuwając komin na twarz.

Patrzył, jak Sikora idzie do drzwi. Oczywiście na niego nie czekała. Pasowała do tego miejsca jak pięść do nosa. Schowała już robocze ubranie z wczoraj. Wróciły szpilki, obcisła elegancka sukienka, kremowy płaszcz. Była synonimem tego, czego mieszkający tu ludzie nie lubili.

Zapukała mocno do drzwi. Słyszał to nawet w samochodzie. Nie sądził, żeby mieszkańcy squatu dbali o kurtuazję. Przynajmniej kiedyś tu się zwyczajnie naciskało klamkę i wchodziło.

– Może po prostu wejdziemy? – mruknął, wysiadając z auta.

– Chyba niezbyt nas tu lubią. – Mari Carmen uśmiechnęła się.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, co miała na myśli. Kiwnęła w stronę dość obscenicznego napisu na drzwiach, nieco zakrytego kolorowymi wlepkami. Dało się jednak odczytać: *jebać psy*. Daniel poczuł nagle, jakby blacha¹², którą miał w kieszeni, ważyła całe tony. Był zmęczony. Bardzo zmęczony.

Zerknął znów na Mari Carmen. Teraz niby współpracowali. Dziś ani razu nie wspomniała o pościgu i przekroczeniu uprawnień. Ale Podgórski nie zapominał, z kim ma do czynienia. Uśmiechy i praca nad ustaleniem tożsamości Ciszyciela to było jedno. Jak tylko Sikora uzna, że znów chce Podgórskiego zaatakować, zrobi to. Miał po prostu ochotę zostawić wszystko i gdzieś wyjechać. Niczym się nie martwić. Być tylko sam ze sobą.

Drzwi otworzyły się nieoczekiwanie, kiedy policjant sięgał do klamki.

– No heja – powitał ich jakiś chłopak.

Miał sporego irokeza i spodnie w kratkę. Wyglądał trochę jak punkowiec z dawnych czasów, choć mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat i na pewno nie pamiętał tamtych dni.

– Szukamy Trzeciego – poinformował Daniel, zanim Mari Carmen zdążyła się odezwać.

Nestor Obuch poradził im, żeby pomówili z mężczyzną o ksywce Trzeci. Podobno był kimś w rodzaju mentora squatu. Jego założycielem czy coś takiego. Być może właśnie on będzie coś wiedział na temat Ciszyciela. Z drugiej strony wątpliwe, czy będzie chciał współpracować.

Punkowiec zlustrował ich od góry do dołu.

– Ty jesteś psem – powiedział, kiwając w stronę Daniela. – Kojarzę cię, mimo że się chowasz za tą śmieszna maską. Psów nie wpuszczamy.

Podgórski westchnął w duchu. Tego też mógł się spodziewać. Ich miasto było małe, a on był dość charakterystyczny. Większość osób, która miała jakiegokolwiek kłopoty z policją, wcześniej czy później poznawała załogę z komendy. Przynajmniej z widzenia. Nic dziwnego. On sam miał wrażenie, że zna większość mieszkańców Brodnicy. A jego matka na pewno znała. Umiała wyrecytować wszelkie powiązania i znajomości.

– Spierdalać – dodał jeszcze chłopak.

[12](#) Slang. Odznaka.

ROZDZIAŁ 42

Rarogi.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 9.20.

Weronika Podgórska

Weronika zaparkowała przed plebanią w Rarogach. Naprawdę wcale nie chciała wychodzić z domu. Woląca zostać z Emilką. Korciło ją bardzo, żeby wysłać do dalszych działań Klementynę z Malwiną, bo tuż po tym, jak Kopp się zjawiała, zobaczyły przez okno, że pisarka biegiem wraca do domu. Skończyła trening akurat w porę.

Wszystko właściwie zaplanowała była policjantka. Miały pojechać skodą Klementyny we dwie. Malwina poszła się umyć. W tym czasie Weronika poczuła wyrzuty sumienia. Maria była ranna. Bożena Prawda nie żyła. Niby nie musiały nic robić. Wręcz nie powinny się znów narażać. Chociażby po to, żeby nie przeszkadzać w czynnościach policji. Ale czuła, że nie może tego tak zostawić. Ani puścić ich dwóch samych. Przynajmniej jako głos rozsądku powinna z nimi być.

Poczekwały, aż Mariusz wrócił ze spaceru z Bajką, żeby mógł przejąć opiekę nad Emilką, i pojechały we trzy.

– Działamy metodycznie – powiedziała Kopp. Jej głos zdawał się zachrypnięty. – Rozmawiamy z każdym i sprawdzamy, czy wie coś o Ciszycielu.

Tak naprawdę nie zostało wielu rozmówców, pomyślała Weronika, rozglądając się po wiosce duchów. Teraz Rarogi naprawdę zasługiwały na to miano. W ostatnich dniach opustoszały jeszcze bardziej, kiedy zginęła Bożena Prawda, Konopkowie zostali zamordowani, a Nestor Obuch

siedział w areszcie, zamieszkana była już tylko plebania i dom Lorenzów. Reszta domostw stała pusta.

Wysiadły z samochodu. Pomiędzy chatami pędził jesienny wiatr, niosąc kolorowe liście. Szeleściły złowieszczo. Podgórska się wzdrygnęła. Ołowiane chmury pogłębiały mrok panujący w opuszczonej wsi. Weronika rozejrzała się niespokojnie po pustych domach wokół plebanii, jakby w którymś z nich mógł ukryć się Ciszyciel. Może znów na nie czekał ze swoimi bombami?

Nagle coś skrzypnęło. Weronika skuliła się w pierwszej chwili. Potem z ulgą zobaczyła, że to tylko drzwi plebanii się otworzyły. Chudy ksiądz stał w progu. Obejmował się rękoma, jakby było mu bardzo zimno.

– To panie! O jak dobrze... Może wreszcie uzyskam jakieś informacje. Czy coś wiadomo?

– Spoko. Ale! Właśnie ciebie chcemy o to zapytać – oznajmiła Kopp, przepychając się do środka.

Ksiądz Rokowski spojrział na Weronikę pytająco, ale ona tylko wzruszyła ramionami. Co niby mogła powiedzieć. Zachowania Kopp nie dało się ot tak racjonalnie wytłumaczyć. W nosie miała konwenanse. To jeszcze można było zaakceptować, ale to, że nie liczyła się z czyimiś uczuciami, już mniej.

Weszli do środka. Kapłan zamknął za nimi drzwi na zamek.

– Dotąd nie zamykałem – wyjaśnił przepraszająco. – Ale teraz się boję. Wszyscy nie żyją... Wejźmy.

Przeszli korytarzem w głąb plebanii. Ogień płonął w niewielkiej kozie w rogu izby, dodając pomieszczeniu przytulności. Weronika przypomniała sobie, jak pierwszy raz przyjechała do Lipowa i nie umiała jeszcze rozpałić ognia. Całe życie mieszkała w bloku i rozpałka wydawała się czarną magią. Trochę trwało, zanim przystosowała się do życia na wsi. Teraz nie wyobrażała już sobie powrotu do Warszawy. Mimo wszystkich zawirowań, które się zdarzyły w międzyczasie.

– O co panie chcą pytać? Ja wiem tylko tyle, co ludzie piszą w Internecie – powiedział ksiądz. Sięgnął po leżący na stoliku telefon. – Czytam nowe doniesienia. Co chwilę sprawdzam. Mam wrażenie, że stoję na progu szaleństwa. No i Bożena Prawda... Jestem księdzem od kilkudziesięciu lat. Różne rzeczy widziałem. Zarówno podczas posługi tu w naszym maleńkim kościółku, jak i kiedy jeżdżę pomagać do innych parafii. Ale to, co się teraz

dzieje... Nie wiem. To... jest chyba jakiś armagedon. I ten człowiek, o którym wszyscy mówią. On mówił właśnie o apokalipsie i armagedonie.

– Znasz tego wścacha, co? – zapytała natychmiast Kopp.

– Nie. To znaczy był tu u nas we wsi. Rozmawiałem z nim. Wydawał się zupełnie niegroźny. Wręcz go polubiłem, bo był religijny. Cytował Biblię. Właśnie o apokalipsie. Ale wtedy nie wziąłem tego na poważnie. Po prostu myślałem, że zna dobrze Pismo Święte. A on już to wszystko musiał szykować.

– Jak ksiądz go poznał? – odezwała się Malwina. – Zjawił się tu tak po prostu?

Weronika stłumiła napływającą irytację, słysząc znów tę brzęczącą biżuterię. Łudziła się, że Górska dziś z niej zrezygnuje, ale oczywiście obwiesiła się kolczykami i bransoletkami jak zwykle.

– To było dziwne – powiedział kapłan. – Na pogrzebie Dominiki on miał nieść trumnę. Myślałem, że może jest z zakładu pogrzebowego, ale potem któryś z chłopców Hanny powiedział coś takiego, że pomyślałem, że chyba jednak go nie znają. Już nie pamiętam, jak to ujął. Bo ktoś tam nie przyjechał i zabrakło jednej osoby. On chyba sam zaoferował pomoc. Ale ostatecznie poradzili sobie bez niego.

– Czyli pierwszy raz pojawił się na pogrzebie, co? – uściśliła Kopp.

– Wtedy ja go pierwszy raz widziałem. Nie wiem, czy był tu wcześniej. Strasznie jest taki... Nie wiem, umie się skradać. I ten szept...

Weronika się wzdrygnęła. Ją też ten szept przyprawiał o dreszcze. Wołała go sobie nie przypominać.

– W każdym razie po pogrzebie do mnie zagadał. No i wtedy rozmawialiśmy. Tak, tamtego dnia jeszcze wydawał mi się w porządku. Co prawda kiedy poprosił o mój numer, trochę się zawahałem...

– Poprosił o księdza numer? – zdziwiła się Weronika.

– Tak... Wytłumaczył to tym, że może będzie potrzebował rozmowy albo rozgrzeszenia. Przyznam, że mi to sprawiło przyjemność... Powiedział to tak, że poczułem się ważny. Ależ byłem głupi. Słuchanie pochlebstw to grzech. A ja mu uległem. No i on podał mi swój numer. Zadzwoiłem do niego następnego dnia.

– Czekał. Stop. Po co? – wtrąciła się Klementyna.

– On mówił, że zawsze pomoże, jak będzie trzeba. Takie tam. Wydawał mi się porządnym człowiekiem. No i jak Alina zaczęła rozkopywać grób, to

w przypląwie jakiejś głupoty zadzwoniłem. Chyba przez to, że tak ze mną złapał kontakt dzień wcześniej. Miał w sobie coś... Nie wiem, jak to nazwać... Pociągającego. Chociaż to słowo brzmi tak lubieżnie. Jak teraz patrzę na to z perspektywy czasu, to był... namolny. Tak to mogę chyba określić.

– Namolny, co? – powtórzyła za nim Kopp. – W jakim sensie, co?

– Wypytywał.

– O co? – włączyła się Malwina.

– Na przykład o ziemię, którą współdziedziczyli Szczepan Prawda i bracia Obuchowie. Tę, na której stoi ta stara kaplica... O, i coś jeszcze mi się przypomniało.

– Czekaj. Stop. Najpierw jedna sprawa. Potem opowiesz dalej. Powiedziałaś właśnie, że masz jego numer, co?

– No mam – potwierdził ksiądz.

– Podaj go – rozkazała Kopp.

– Co chcesz zrobić? – zapytała Weronika. Czuła, że serce zaczyna bić jej szybciej.

– Zadzwoń, rzecz jasna – odparła emerytowana policjantka.

– Trzeba wysłać ten numer Danielowi – powiedziała Malwina.

Weronika zerknęła na pisarkę spod oka.

– Zgadzam się – powiedziała niechętnie. – Zresztą ksiądz powinien był o tym powiedzieć policji już wcześniej.

– Od wczoraj nie było tu u mnie nikogo. Nie miałem komu powiedzieć. A wcześniej nie wiedziałem, że ten człowiek jest niebezpieczny.

– Spoko. Ale! Ja i tak zamierzam zadzwonić. Dawaj ten numer, co?

Ksiądz odblokował ekran komórki i wyszukał numer Ciszyciela.

– Przedstawił się jakoś? – zapytała Weronika.

– Marcin Ciszewski.

No proszę, uśmiechnęła się Podgórska. Naprawdę dobrze im szło. Tę informację też trzeba było natychmiast wysłać Danielowi. Odkryły tożsamość sprawcy. I to jak szybko. Weronika poczuła dawną satysfakcję z poszukiwań. Kiedyś wszystko ją ciekawiło. Teraz miała ochotę zajmować się córeczką i nie wychodzić. Może uda jej się to zrównoważyć?

– Dawaj numer i dzwonimy.

– Chyba nie sądzisz, że odbierze – powiedziała Malwina.

– Kto wie – uśmiechnęła się krzywo Kopp. – Mojego numeru przecież nie zna. Warto spróbować.

Ksiądz podyktował numer Ciszyciela Klementynie. Emerytowana policjantka wybrała go i włączyła od razu opcję rozmowy głośnomówiącej, żeby wszyscy mogli słyszeć. Czekali w napięciu, kiedy po drugiej stronie linii rozległ się sygnał połączenia.

– Halo? – odezwał się męski głos.

ROZDZIAŁ 43

Squat Wolność w Brodnicy.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 9.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Punkowiec najwyraźniej chciał zatrzasnąć im drzwi przed nosem. Podgórski już szykował się, żeby chwycić za klamkę. Sam nie był pewny, co chce w ten sposób uzyskać. Jeżeli mieszkańcy squatu nie zechcą z nimi rozmawiać, to nie będą. Nic im nie powiedzą na temat Ciszyciela. A przecież Daniel i Mari Carmen nie wydobędą z nich tego siłą.

– ¡Joder! ¡Hijo de puta! Ja mam niby być psem?! Chyba żartujesz sobie – zupełnie nieoczekiwanie zawołała Sikora. Jej głos się zmienił. Mówiła teraz z wyraźnym hiszpańskim akcentem, nawet kiedy przeszła już na polski. – Jestem ze strajku kobiet. Ten... *gilipollas*... Zwinął mnie stamtąd. Przyjechałam do Polski specjalnie, żeby manifestować z waszymi kobietami. Koleżanka mi mówi, że Trzeci za mnie poręczy i jestem wolna. ¿*Es verdad?* Wyciągnie mnie z tego?

Podgórski starał się nie wyglądać na zaskoczonego. Nie rozumiał ani słowa po hiszpańsku, ale z tonu można było się domyślić, że nie były to rzeczy miłe. Reszta to jakieś brednie, bo gdyby nawet została zatrzymana podczas strajku, nie jechałby z nią tu, ale Mari Carmen mówiła tak pewnym głosem, że chyba sam by jej uwierzył.

W każdym razie punkowiec wyglądał na przekonanego.

– Właźcie – powiedział. – A ty, gościu, byś się wstydził, że łapiesz kobiety. Przepróś matkę za mundur!

Podgórski nie zareagował na zaczepkę. A już na pewno nie zamierzał tłumaczyć, że jego matka całe życie przepracowała jako cywilny pracownik policji.

– Wow! – zawołała Mari Carmen entuzjastycznie, kiedy weszli do środka.
– ¡*Esta casa está de puta madre!* Jaki macie tu styl!

Klatka schodowa starej kamienicy pokryta była napisami, a między nimi wisiały rozmaite plakaty. Niektóre z zespołami. Inne z hasłami. Z tego, co Daniel widział, przeważały anarchistyczne, feministyczne i związane z ochroną zwierząt. Wszystko dobre w zamierzeniu. Ale czy właśnie stąd wywodził się Ciszyciel? Człowiek, który być może miał na sumieniu pasażerów autobusu? Kutas, który niemalże wysadził matkę Daniela w powietrze? Skutecznie zrobił to z Bożeną Prawdą. I kto wie, co jeszcze.

– Dzięki – odparł punkowiec. – Robota całej naszej ekipy.

– No – powiedziała Sikora. – Super.

Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła przypinkę z czerwoną błyskawicą. Symbol strajku kobiet. Przyczepiła ją sobie do kłapy płaszcza. Podgórski był coraz bardziej zaskoczony.

– Trzeci jest u siebie – poinformował punkowiec zupełnie udobruchany tym widokiem. – Na górze. Znajdziecie.

– *Muchísimas gracias* – zawołała Mari Carmen wesoło.

Ruszyli po schodach.

– Skąd to masz? – szepnął Daniel. Nie mógł się powstrzymać.

– A co? To niby towar trudno dostępny? – odparła równie cicho.

– Naprawdę byłaś na strajku?

– A niby czemu nie? Najpierw jestem babą, a potem policjantką. Nie pozwolę, żeby ktoś decydował o mojej macicy, a tym bardziej cipie. Jak wiesz, lubię się pierdolić.

Policjant nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie przebierała w słowach, ale do tego powinien już chyba się przyzwyczaić.

– A teraz stul pysk, bo wszystko popsujesz – dodała. – Tam ktoś jest.

Na półpiętrze siedziała dziewczyna. W uszach miała słuchawki. Malowała coś w skupieniu na oblażącej z farby ścianie. Skinęła im głową, kiedy ją mijali. Spojrzenie miała nieco rozmyte. Podgórski podejrzewał, że pomogła sobie jakimiś środkami. Ale nie po to tu był, żeby pozbawić ich tych kilku gramów zielonego¹³.

– ¡*Hola!* – zawołała Mari Carmen, wchodząc znów w swoją rolę.

Dziewczyna nie odpowiedziała, więc policjantka ruszyła dalej. Wspinała się żwawo po schodach na niebotycznie wysokich obcasach. Poruszała się tak pewnie. Danielowi wyglądało to na mocno ekwilibrystyczne zadanie. Nie wyobrażał sobie, że mógłby w nich zrobić chociaż jeden krok. A co dopiero wchodzić po stromych schodach.

– Uwaga, stopień poluzowany – rzuciła od niechcienia dziewczyna w słuchawkach.

W tym momencie Daniel, jak w zwolnionym tempie, zobaczył, że Mari Carmen stawia stopę na chwiejnym stopniu. Deska trzasnęła. Niewiele myśląc, wyciągnął ręce, żeby złapać koleżankę. Wylądowała prosto w jego ramionach. Zdawała się ważyć tyle co nic. Pachniała mydłem. Dopiero teraz to poczuł. Z reguły roztaczała wokół siebie chmurę perfum. Pewnie drogich. Ten zapach był swojski i znajomy.

– Wszystko okej? – zapytał.

Mari Carmen patrzyła na niego wściekle. Jakby wcale jej nie pomógł, tylko zastawił na nią pułapkę.

– Puść mnie, kurwa – warknęła.

Daniel po raz pierwszy widział, że Mari Carmen traci nad sobą kontrolę. Zawsze zachowywała całkowity spokój, zwłaszcza w robieniu innym na złość. W lęku innych znajdowała chyba radość. Teraz jakby straciła trochę swojej siły. Przynajmniej na moment.

– Nie chciałem, żebyś upadła – wyjaśnił.

– Radzę sobie.

Niemal przeliterowała te dwa słowa. Pomógł jej stanąć na kolejnym stopniu. Poprawiła ubranie. Jasny płaszcz zabrudził się o odłazący ze ściany tynk, a obcas jednego buta był złamany. Zdjęła drugą szpilkę i odłamała obcas z wyrazem irytacji na twarzy. Przypominało mu to starą reklamę cukierków. Nie pamiętał jakich.

– Chodźmy – syknęła. – Mamy do pogadania z Trzecim.

Ruszyła schodami w górę. Prowizoryczne baletki musiały być mocno niewygodne, mimo to głowę trzymała wysoko i wydawała się niewzruszona.

Wspięli się na piętro. Było tu dwoje drzwi. Kiedyś pewnie do oddzielnych mieszkań, teraz zajętych przez dzikich lokatorów. Na tych po prawej ktoś namalował wielką trójkę. Wydawało się to dość czytelnym znakiem, że pomieszczenie było zajmowane przez mężczyznę ukrywającego się pod

pseudonimem Trzeci. Policjant nie był pewien, czy to dobry znak. Jeżeli szło za łatwo, to pewnie zaraz będzie gorzej. A może nie. Może on po prostu zaczynał być pesymistą.

– Tak? – rozległo się zza drzwi.

– Trzeci? – zapytała Mari Carmen.

– Jo. O co chodzi?

– Możemy wejść? – zapytał Daniel.

– Toć jo.

Weszli do zadymionego pomieszczenia. To był dym papierosowy. Nic więcej. Żadne zielsko. Mari Carmen się zakrztusiła. Podgórski odetchnął głębiej i zaraz też się zakrztusił. Nie palił już tak długo. Ostatnio często miał ochotę to zrobić, ale dziś i jemu dym przeszkadzał. Było go tak dużo, że trudno było oddychać. Daniel miał ochotę podejść do okna i otworzyć je szeroko.

– Okno nie działa – poinformował mężczyzna z długimi dreadami.

Siedział na podniszczonej kanapie w rogu pomieszczenia i przyglądał im się zza ćmiącego się papierosa. Mógł mieć koło sześćdziesiątki. Chyba że był młodszy, ale życie ciężko się z nim obeszło. Daniel myślał, że być może wiele lat temu, jak tu przychodził, widział już tego człowieka. Burza dreadów była dość charakterystyczna. Ciekaw był, czy Trzeci jego pamięta. Pewnie nie, bo był tylko jednym z przewijających się tu młodych ludzi, spragnionych koncertów i rockowego sznytu. Takich jak Daniel pewnie było tu wielu.

– Czytałem w necie, że coś wybuchło i podejrzewacie Ciszyciela, a przynajmniej go szukacie – oznajmił Trzeci. – Tak, wiem, że jesteście psami. To się wie na pierwszy rzut oka. Mojego Piotrusia może i zwiedliście, że was wpuścił, ale mnie nie. Obserwowałem przez ono, jak przyjechaliście... Ale wracając do rzeczy. Cały Internet huczy o tym, co się stało. A skoro jesteście tu, to zgaduję, że o to chodzi. No cóż, Ciszyciel zawsze miał swoje za uszami.

– Nie dziwi pana, że zrobił coś takiego? – zapytał Daniel.

– A co ma mnie dziwić? – zaśmiał się Trzeci. – I nie panuj mi tu, chłopcze, bo mnie to wkurwia. Całe życie jestem z ludźmi po imieniu. Nie będę teraz nagle dla nikogo panem. Panem to każą się nazywać ci, którzy mają chęć na władzę. Ja uważam, że wszyscy jesteśmy równi. Zawsze tak uważałem. Zresztą Ciszyciel też. Dlatego dobrze się dogadywaliśmy. Było

nas wtedy trzech, bo jeszcze Witkacy. No a teraz zostałem tylko ja. Cóż, normalność jednak wszystkich dopada, jak się człowiek nie pilnuje. Ciebie też pamiętam, chłopaku. I co zrobiłeś ze sobą?

Podgórski nie był pewny, czy Trzeciemu chodzi o jego zawód, czy może wygląd. Poprawił starą ramoneskę boleśnie świadom, że nie zapiąłby jej, nawet gdyby bardzo chciał.

– No ale skoro pytasz – podjął Trzeci, nie czekając na odpowiedź – to mnie te wybuchy nie dziwią. Ciszyciel zawsze lubił bomby. Poznaliśmy się jeszcze w liceum. Już wtedy był beznadziejny ze wszystkich przedmiotów, ale na chemii uważał. Nie na tyle, żeby zaliczać klasówki, ale na tyle, żeby potem bawić się w wybuchy. Jak się spotykaliśmy po szkole, to nie było dnia, kiedy czegoś tam nie zmajstrował. Zna się na tym jak mało kto. Wie, ile czego trzeba, żeby osiągnąć konkretny efekt. Ja nigdy tego nie potrafiłem. Z tym trzeba się urodzić. No i nasza młodość była burzliwa. Nie będę oszukiwał. Tłukliśmy się na przykład z naziolami. Nikt z nas nie potrafił zdzierżyć tego ich bełkotu o czystości rasy. Zwykły bullshit.

Trzeci przerwał. Z dołu słychać było muzykę. Daniel od razu rozpoznał *Jabol punk* grupy KSU. Widać młodzież słuchała tu też klasyków. Kiedyś też darł się na całe gardło na koncercie, że metodą na wszystko jest napicie się, tak jak śpiewał wokalista zespołu. Teraz Podgórski wiedział już, że zaprowadziło go to donikąd. Znowu poczuł wstyd. Tak jak dzisiejszego poranka z Malwiną.

– Potrzebujemy imienia i nazwiska twojego kolegi – powiedziała Mari Carmen. – Jego bomba zabiła jedną osobę i poważnie raniła matkę mojego kolegi.

Pokazała głową Daniela.

– Nie byłby to pierwszy raz, kiedy komuś coś zrobił. Chociaż myślałem, szczerze mówiąc, że się uspokoił. Bo niby się zakochał. A tu proszę. Ale dobra. Dam wam jego dane, bo nic mu nie jestem winien. Odszedł stąd i latami się nie pojawiał. A teraz wrócił i myślał, że go przyjmę jak starego znajomego. A gdzie był, jak go potrzebowaliśmy?

Trzeci wydawał się rozgoryczony i zły na dawnego kolegę. Podgórski uśmiechnął się w duchu. Dobrze.

– Tylko ja zostałem, żeby pomagać tym dzieciakom. Zbuntowane młode dusze. Sam kiedyś taki byłem. A co najśmieszniejsze w tym wszystkim, ci młodzi potrzebują myśleć, że się buntują. To im pomaga. Ale nic by z tego

nie było, jakby nas stąd eksmitowali. A by to zrobili. Musiałem wykupić ten budynek. To nie było wiele warte, bo to ruina. Ale jednak. I co? Witkacy dał kasę, a Ciszyciel nic. Mówił, że ma swoje wydatki. Nie chciał nawet pożyczyć. To niech kurwa spierdala. Dupa nie przyjaciel. Teraz niedawno przyjechał. Znaczą chyba w zeszłym roku. Mówił, że jest chory.

– Chory? – zapytał policjant. Pomyślał o łysej czaszce Ciszyciela. Czy to możliwe, że po chemioterapii?

– Chyba rak – odparł Trzeci zgodnie z przypuszczeniami Daniela. – Czy coś takiego. Tak twierdził. Niby się zegnał. Rozdawał swoje rzeczy i tak dalej. I nawet mówił, że da pieniądze. Tylko że rychło w czas, skoro budynek już dawno jest mój. Potem chyba mu się poprawiło. Był tu z jakąś dziewczyną. Pielęgniarką. Zdaje się, że ona pracuje w szpitalu i tak się poznali. Jak on był na jakichś badaniach czy coś. No więc w każdym razie budynek jest mój. Ale jak mówię, dzieciaki o tym nie wiedzą. Myślą, że nadal się użeramy z właścicielem. Że żyją tu dla buntu. To już nie te czasy co kiedyś. Tacy jak wy by nas stąd wykurzyli. I gdzie byśmy poszli?

Daniel nie odpowiedział. Głównie dlatego, że nie znał odpowiedzi. Natomiast przynajmniej jedna kwestia się wyjaśniła. Ze squatem nie było już problemów, bo de facto nie był już squatem, ale prywatnym budynkiem Trzeciego.

– A co z jego danymi? – zapytała Mari Carmen. Nie wyglądała na szczególnie przejętą wywodem Trzeciego.

– Nazywa się Marcin Ciszewski – poinformował po prostu Trzeci. – Stąd Ciszyciel. Znam też nazwisko jego kobiety. Chcecie? Pielęgniarka. Kiedyś pracowała z jakimś kardiologiem czy tam kimś. Tak zrozumiałem. W każdym razie z jakimś bogatym gościem.

[13](#) Slang. Marihuana.

ROZDZIAŁ 44

U Ciszyciela.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 9.40.

Aspirant Aleksander Ziółkowski

Ziółkowski zerknął na zegarek. Dochodziła czternasta, ale dzień był ponury i ciemny. A między drzewami w dziwnej bazie mężczyzny nazywanego Ciszycielem zdawał się jeszcze mroczniejszy. Technik wyjął telefon. Bardzo niechętnie.

Przed chwilą znaleźli sprzęt, który blokował połączenia. O dziwo, urządzenie przetrwało wybuchy. Jeden z chłopaków z ekipy wiedział, co to jest. Zagłuszacz sygnałów telefonów komórkowych 2G/3G/4G/5G. Prócz tego, zdaje się, też wi-fi. To wyjaśniało, dlaczego nie dało się stąd zadzwonić. Ciszyciel najwyraźniej zadbał o to, żeby kontrolować dosłownie wszystko w obrębie swojej bazy. Tak było dotąd, lecz teraz komórka szefa techników pokazywała wszystkie kreski zasięgu.

Nie cieszyło go to szczególnie, bo nie miał ochoty rozmawiać z Podgórskim. Nie po wczorajszym śpięciu. Niestety Daniel nadal oficjalnie prowadził śledztwo i Fijałkowska kazała raportować do niego. Ziółkowski nie miał wyjścia.

Zawsze dość lubił Podgórskiego. Ale dziś Ziółkowski wolałby, żeby kolega nie odebrał. A najlepiej, żeby w ogóle zniknął. Widać było, że Daniel nie zamierza zrezygnować z wyjaśnienia, dlaczego nie było sekcji zwłok.

Technik przeklął w duchu. Uważał się za osobę krystaliczną. Można było na nim polegać. W swoim fachu był najlepszy. I przez wszystkie lata

kariery w policji bardzo dbał, żeby nikt nie mógł mu niczego zarzucić. Dopiero teraz popełnił błąd. Jedyny raz. W dziewiętnastym roku służby. Nie chodziło wcale o korzyści materialne, jak być może myślał Daniel. Ziółkowski ten jeden jedyny raz pozwolił sobie odpuścić. Gruby błąd. Teraz pozostawało tylko pluć sobie w brodę. I starać się załatać dziury.

Odpuścił. To słowo wręcz go mierziło. Odpuścił i nie poszedł na sekcję zwłok Dominiki Konopki-Piekarskiej. Doktor Bratkowski obiecał, że sam porobi zdjęcia. Potem nawet trochę ich wysłał do obróbki. Ziółkowski nie przyglądał im się z lupą. Skąd mógł kurwa wiedzieć, że medyk sądowy coś kombinuje?! To były zdjęcia pokrojonego trupa. Tylko najwyraźniej nie tego, co trzeba. Dopiero wczoraj wieczorem Ziółkowski zaczął przyglądać się szczegółom. Trzeba było zrobić to bardzo wnikliwie, żeby zauważyć, że coś jest nie tak. Gdyby nie węszenie Podgórskiego, nikt by się nie zorientował. To musiały być zdjęcia z sekcji innej dziewczyny. Mieli tu jedną uduszoną jakiś czas temu. Medyk powybierał fotografie, których nie użyli wtedy. Sprytnie. Twarz zachował Dominiki. Kurwa. To była naprawdę świetna robota, jak na kogoś pokroju Bratkowskiego.

Chociaż może Ziółkowski mylnie go oceniał. Młody medyk sądowy wyglądał na kujona w tych swoich okularkach. Kujona i życiowego nieudacznika. Najwyraźniej jednak posiadał jakieś umiejętności. Nie tylko w fałszowaniu dokumentacji. Międzyludzkie też.

Ziółkowski przyszedł na planowaną sekcję. Zjawy oczywiście nie było. Czekali na niego z Bratkowskim. Doktor był wyjątkowo rozmowny. Szefowi techników chyba się to udzieliło. Tym bardziej że wcześniej pokłócił się ze swoją Elą.

To była jedyna kobieta, która akceptowała jego grymasy zamiast uśmiechu. Jego absolutny brak poczucia humoru. Jego łysiejącą czaszkę. I szereg innych mankamentów i dziwactw. Zawsze patrzyła na niego życzliwie. Do końca nie umiała tylko zaakceptować jego pracy. Ela miała już dosyć jego ciągłych tłumaczeń, że musi robić na dwa powiaty. Że roboty jest coraz więcej. Że nie wolno odpuszczać. Postawiła ultimatum. Albo się coś zmieni, albo ona się wyprowadzi.

Tamtego dnia zaplanowali iść razem na obiad. Ale ktoś udusił Dominikę Konopkę i trzeba było pojechać dokumentować sekcję zwłok. Ziółkowski zadzwonił, żeby przełożyć spotkanie z Elą na później. To chyba przelało

czarę goryczy. Powiedziała, że albo Ziółek będzie w domu o umówionej godzinie, albo ona pakuje rzeczy.

Opowiedział o tym Bratkowskiemu, kiedy czekali na Zjawę. Młody medyk zaproponował po przyjacielsku, że on udokumentuje sekcję, a Ziółek niech leci do ukochanej ratować swój związek. Wyszło to bardzo naturalnie. No i wszystko wskazywało na to, że prokurator się nie zjawi. Tajemnicą poliszynela było, jak bardzo Zjawa nie lubi swojej pracy. Naprawdę robił wszystko, żeby się z niej wyłgać. Z reguły skutecznie. Wolał siedzieć i czytać książki. Taki właśnie był Bastian Krajewski. Sekcje opuszczał notorycznie. Dlatego Ziółkowski ochoczo podpisał pakt z diabłem i odpuścił. Skąd miał kurwa wiedzieć, że Bratkowski tylko czeka, aż on sobie pójdzie, bo zapłacono mu, żeby sekcji nie było?!

A teraz Podgórski zaczął węszyć. W tej sytuacji coś trzeba było wymyślić. Ziółkowski westchnął. Miał już nawet pomysł. Skoro raz już zaprzedał duszę diabłu, to równie dobrze mógł to zrobić drugi raz. Trzeba usunąć Daniela z obrazka i tyle. A okazja się znalazła. Ale najpierw jakby nigdy nic zadzwoni do kolegi, żeby mu opowiedzieć, co tu znaleźli.

Technik ruszył pomiędzy ruinami zabudowań. Chciał odejść kawałek, żeby się uspokoić. Strażacy zrobili tu swoje, niestety niszcząc mu miejsce zbrodni. No ale musieli się upewnić, że po wybuchu nie dojdzie do pożaru lasu.

Technik minął drewniany dom Ciszyciela. A właściwie to, co z niego zostało. W powietrzu nadal unosił się ostry zapach pogorzeliśka. Poszedł jeszcze dalej pomiędzy drzewami. Nagle usłyszał dzwonek telefonu. W pierwszej chwili myślał, że to jego komórka, ale ekran był czarny. Nie wybrał jeszcze numeru Daniela. Mimo to dzwonił jakiś telefon.

Ziółkowski odwrócił się twarzą do gospodarstwa Ciszyciela. Chłopaki pracowały tam wytrwale. Ale to nie był telefon żadnego z nich. Dzwonek dochodził spomiędzy drzew. Szef techników ruszył w kierunku, który wydawał mu się słuszny, od czasu do czasu nasłuchując. W końcu zobaczył na mchu leżący telefon. Ekran był rozświetlony. Widać było na nim numer. Ziółkowski znał go na pamięć, mimo że już od kilku lat nie musiał odbierać połączeń od tej wariatki. To ona groziła mu ze służbowej broni. Cholerna Klementyna Kopp.

W pierwszej chwili chciał zignorować połączenie. Jakby z opóźnieniem dotarło do niego, że dość zaskakujące jest, że Kopp dzwoni na telefon

leżący w lesie. Technik włożył rękawiczki. Dopiero wtedy podniósł nieznaną komórkę.

– Halo – powiedział, odbierając połączenie.

Po drugiej stronie linii przez chwilę panowało milczenie.

– Ciszyciel, co? – zapytała Kopp. W jej głosie nie słyhać było przekonania. Może rozpoznała Ziółkowskiego.

– Nie, tu Aleksander Ziółkowski – przedstawił się technik oficjalnym tonem. – Co to za telefon?

Pytanie było dość idiotyczne, ale samo jakoś padło.

– Podobno należy do Ciszyciela – wyjaśniła Klementyna.

– Znalazłem go w lesie blisko jego bazy, więc może to prawda.

– Spoko. Wiesz, co masz z nim zrobić – odparła Klementyna i rozłączyła się.

Oczywiście, że Ziółkowski wiedział. Miał w rękach potencjalnie ważny dowód przeciwko sprawcy. Ciszyciel chyba nawet nie podejrzewał, że wokół niego zacieśnia się pętla.

ROZDZIAŁ 45

Na plebanii w Rarogach.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 9.50.

Malwina Górska

W izbie czuć było niemal unoszące się w powietrzu rozczarowanie. Z jednej strony dodzwonienie się do Ciszyciela wydawało się mało realne. Z drugiej chyba wszyscy mieli podświadomą nadzieję, że to się uda. Malwina wątpiła, żeby Kopp miała plan, co zrobić, gdyby tak się faktycznie stało. Choć trzeba było przyznać, że emerytowana policjantka była mistrzynią improwizacji. No ale teraz nie było to potrzebne, bo komórkę odebrał technik kryminalistyki z komendy. Pisarka poznała go przelotnie, kiedy była tam ostatnio. Wydawał się trochę dziwny, ale ogólnie przyjazny. Daniel wspomniał, że był mistrzem w swoim fachu. Na pewno będzie więc wiedział, co dalej robić z odnalezioną komórką.

Daniel. Górska miała wrażenie, że poczerwieniała na twarzy. Poprawiła kosmyk różowych włosów nerwowym ruchem. Bransoletki zabrzęczały uspokajająco. Od razu poczuła się lepiej. Sama nie wiedziała, dlaczego ten dźwięk tak na nią działał. Był jak kołysanka. Może dlatego nie rozstawała się z tą biżuterią. Nosiła ją nawet w domu.

– Okej. No dobra. Mamy niewypał. Ale! Mówiłeś, że coś jeszcze sobie przypomniałeś – powiedziała Kopp do księdza. – O co chodziło, co?

Kapłan wyglądał, jakby nie wiedział, o co chodzi. Potem uderzył się chudą dłonią w czoło.

– Ano właśnie! – zawołał niemal. – Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie... Ale wspomniałem, że ten Ciszyciel wypytywał mnie o działkę

z kaplicą. Tę, o którą Modest kłócił się ze Szczepanem Prawdą, bo Obuchowie i Prawda dziedziczyli ją we trzech.

– Do rzeczy, co? – ponagliła księdza Klementyna.

Malwina miała ochotę położyć jej rękę na ramieniu, żeby Kopp się uspokoiła. Czasem była taka nerwowa. Łatwo było jednak przewidzieć, jak to by się skończyło. Klementyna nie byłaby zachwycona tą poufałością.

– Już, już. Chciałem tylko wyjaśnić, dlaczego o tym mówię. To było jakiś czas temu. Właściwie dość dawno, bo jeszcze żył Leszek Konopka. Czyli to musiała być jesień zeszłego roku. Leszek miał różne problemy. Poczynając od tego, że nie akceptowano go z powodu orientacji seksualnej. Modest Obuch chciał dodać mu pewności siebie, więc namówił go na naukę strzelania. Chodzili razem, bo znajomy Hanny Lorenz jest właścicielem. Załatwiła im zniżkę. No ale i Tomasz Lorenz lubił sobie postrzelać... Albo lubi. Straszne, że zaczynam już mówić o nich wszystkich w czasie przeszłym.

Ksiądz się przeżegnał.

– No i raz wyciągnął nawet mnie.

– Kto? – zapytała Weronika.

– No właśnie Tomasz. On często przychodził na msze i generalnie był... jest wzorowym członkiem naszej społeczności.

– Chyba nie takim wzorowym, skoro prześladował Leszka – mruknęła Malwina. Nie mogła się powstrzymać.

Kapłan skinął delikatnie głową.

– U nas nie wolno mówić źle o rodzinie Lorenzów – szepnął.

– Spoko. Ale! Zdaje się, że staruchy z nami tu nie ma. Gadaj normalnie.

– Ściany mają uszy – mruknął ksiądz. – No nic. W każdym razie poszedłem z Tomaszem na strzelnicę i akurat był tam Modest z Leszkiem. Na innym torze. Pamiętam, że wtedy pomyślałem, że Tomasz specjalnie chciał tam pójść, żeby się na nich natknąć. Ucieszyłem się, że tam jestem, mogłem łagodzić sytuację. Bo oczywiście nie obeszło się bez wyzwisk i tak dalej.

Kapłan rozejrzał się po izbie, jakby naprawdę bał się, że ktoś od Hanny Lorenz ukrywa się gdzieś w kącie gotowy go zaatakować.

– Ale do czego zmierzam... Strzelaliśmy. Mnie nie szło za dobrze, ale pozostali chyba chcieli się przed sobą popisać. Dokupywali naboje. Bo tam się płaciło za nabój. Był z nami człowiek ze strzelnicy. Taki instruktor. I on

w pewnym momencie wyszedł. A zamiast niego przyszedł Szczepan Prawda... Zupełnie się go tam nie spodziewałem. Nawet nie wiedziałem, że on też strzela, ale okazało się, że właściciel jest też jego znajomym. Nie tylko Hanny Lorenz. No i właściwie to nie wiem, czemu mnie to tak zaskoczyło. Przecież on jest myśliwym.

Malwina skinęła głową. Głównie po to, żeby usłyszeć brzęknięcie kolczyków. A więc sporo osób umiało strzelać. A przecież Dominika Konopka wspomniała w wiadomości nagranej na pocztę głosową Marii, że kogoś w autobusie zastrzelono.

– W każdym razie Szczepan strasznie nagabywał Modesta, żeby sprzedali tę działkę z kaplicą. Chyba cieszyła go moja obecność, bo próbował zaangażować w to mnie. Żebym powiedział, że ta stara kaplica to już nie jest miejsce święte, bo mamy nasz kościółek w centrum wsi. Faktycznie nikt z nas tam raczej nie chodzi. Bo podobno tam już nie ma domu Bożego, tylko...

Kapłan nie dokończył. Jego słowa zabrzmiały złowieszczo. Malwina była pewna, że gdyby Maria była tu z nimi, nie tylko zaproponowałyby coś do jedzenia, ale natychmiast by się przeżegnała. Ale Maria była w szpitalu. A one szukały tego, kto ją zranił.

– Tylko? – zapytała Weronika. Wyglądała na zasłuchaną.

– Nie wiem. Różnie się mówi... No raczej unikamy tego miejsca. A teraz nagle ma być tam budowane spa. Ale podobno ludzie lubią takie rzeczy. No i to jest tak blisko jeziora. Pewnie idealne miejsce... Ja tam nie wiem. No i nie chciałem brać udziału w tym sporze. Nie stanąłem więc po żadnej ze stron. Wtedy wtrącił się Leszek. Powiedział, że i tak potrzebowaliby zgody Nestora. Bo wtedy Nestor był jeszcze w więzieniu. Wyglądało to bardziej na rozgrywkę pomiędzy Modestem a Szczepanem. A słowa Leszka zabrzmiały, nie wiem... Jakby znał temat. Tak to odebrałem. Pamiętam, że byłem zaskoczony.

Malwina znów skinęła głową. Wiedziały już, że Leszek i Nestor widzieli się w więzieniu. Konopka poszedł do Obucha w sprawie przekrętu dokonanego przez Stefana Majchrzaka. Wyglądało na to, że rozmawiali również o działce. Nestor im o tym jednak nie wspomniał.

– Ale to nie wszystko. Tomasz również włączył się do rozmowy. I to tak, jakby był jedną ze stron. Wyglądało mi na to, że oni wszyscy już o tym

wcześniej rozmawiali. Może nawet to spotkanie na strzelnicy było zaplanowane.

– Czekaj. Stop. Dlaczego na strzelnicy, co? Nie można było porozmawiać tu we wsi? Na brak pustych i odosobnionych miejsc nie możecie narzekać.

– Mówiłem, że tu ściany mają uszy...

– Naprawdę tak się wszyscy boicie tej staruchy, co? – naciskała Kopp.

– Tak – odparł ksiądz po prostu. – Bo ona jest zła. Radziłbym tego nie ignorować.

– Daleka jestem od ignorowania – zapewniła Klementyna. Po jej pomarszczonych ustach przemknął krzywy uśmiezek.

– W każdym razie Tomasz poparł Modesta. To znaczy najpierw.

– Potem zmienił zdanie? – zdziwiła się Malwina.

– Nie do końca.

ROZDZIAŁ 46

Szpital w Brodnicy.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 10.20.

Aspirant Daniel Podgórski

Daniel i Mari Carmen weszli do salki, do której skierowała ich jedna z pielęgniarek. Podobno tam miała być Ewa Skrzetuska. Według Trzeciego dziewczyna Ciszyciela. I do tego była pracownica Stefana Majchrzaka.

Nawiasem mówiąc, Podgórski przed chwilą dostał wiadomość od dyżurnego, że kardiochirurga zatrzymano, kiedy opuszczał szpital. Czyli wszystko poszło według planu. Kolega z przestępczości gospodarczej rozpracowywał jego ewentualny przekręt. Było uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa, więc artykuł dwieście czterdziesty czwarty kodeksu postępowania karnego pozwalał policji dokonać zatrzymania. Z kolei w sprawie morderstw Stefan nie był podejrzany. Ścigali Ciszyciela.

– Pani Ewa Skrzetuska? – zapytała Mari Carmen.

Pielęgniarka odwróciła się. Na głowie miała przyłbicę. Była uniesiona, nie zasłaniała twarzy. Kobieta nie bała się chyba zarażenia. Zresztą była tu sama.

– Tak. A państwo to kto?

Daniel jej nie kojarzył, mimo że zdarzało mu się bywać w szpitalu wiele razy, kiedy trzeba było tu przywieźć na badanie zatrzymanego. Znał większość lekarzy, ratowników medycznych i pielęgniarek. Przynajmniej ze starej gwardii. Ewa Skrzetuska była chyba nowa. Mogła mieć koło pięćdziesiątki. Miała kręcone brązowe włosy i pociągłą twarz. Sprawiała

miłe wrażenie. W squacie poszło im wyjątkowo dobrze, policjant miał nadzieję, że tu będzie tak samo.

– Policja – odparła Mari Carmen, błyskając blachą.

Byli nieumundurowani, więc faktycznie mieli obowiązek się wylegitymować.

– Czy Marcinowi coś się stało? – zapytała Skrzetuska z przestraczem.

– Wie pani, gdzie on jest? – zapytał Daniel zamiast odpowiedzi.

Starał się mówić delikatnym tonem, żeby jej nie spłoszyć. Trudno było mu uwierzyć, że pielęgniarka nie zdawała sobie sprawy, że jej narzeczony jest poszukiwany. Dziś wszystkie media pokazywały jego portret pamięciowy.

Udało im się też ustalić jego adres zameldowania. Pojechał tam umundurowany patrol, ale chłopaki dały znać, że w domu na Wojska Polskiego nikogo nie ma. Mieli obserwować to mieszkanie.

– Nie mam pojęcia – powiedziała pielęgniarka. – Przez całą noc byłam na dyżurze. Dopiero niedawno skończyłam. Powinien być w domu.

– Nie ma go – odparła Mari Carmen.

– To nie wiem, gdzie jest!

– Ma jakąś rodzinę?

– Nie. Tylko mnie. Wychowywał się w komunie. Jego matka była narkomanką, zmarła z przedawkowania. Stanowimy małą rodzinę.

– Kiedy ostatnio państwo rozmawiali? – zapytał Daniel.

– Wczoraj. Pojechał na starą działkę. Choroba wróciła i chciał się pożegnać z ulubionymi miejscami.

– W jakim jest stanie? – zapytał policjant. To mógł być potencjalnie ważny szczegół.

Ewa Skrzetuska wyglądała, jakby miała się rozpłakać. Potem zebrała się w sobie.

– Niewiele mu zostało – wyjaśniła. – Mamy bardzo bliską więź, więc to dla nas bardzo trudne. Ja... ja wiem, po co państwo tu są... Ale on nic nie zrobił. On by nie skrzywdził muchy. To dobry, kochający człowiek. Mimo wszystkiego, co go spotkało.

Teraz kobieta miała ni to gniewną, ni to płaczącą minę.

– Prawdopodobnie zabił niejedną osobę – odparła z uśmiechem Mari Carmen, jakby mówiła o czymś przyjemnym. Zniknęły gdzieś takt

i umiejętności aktorskie, które zaprezentowała w squacie. Wróciła stara Sikora.

– Nikogo nie zabił! Popelniacie błąd! Zresztą mam prawo nie odpowiadać na żadne pytania. Nie pamiętam numerka tego artykułu. Ale jeżeli cokolwiek mogłoby zagrozić najbliższej osobie, to mogę się uchylić. Mam rację?

– Tak – przyznał Daniel.

Artykuł sto siedemdziesiąty siódmy kodeksu postępowania karnego nakładał obowiązek stawienia się na osoby wezwane w charakterze świadka. Tylko że od tego było kilka wyjątków. Jeden z nich dotyczył osoby najbliższej. Ewa Skrzetuska pozostawała z Ciszycielem we wspólnym pożyciu, czyli zaliczała się do tego grona. A artykuł, którego nie pamiętała, miał numer sto osiemdziesiąt dwa, ale tego Daniel nie zamierzał jej mówić. Nie było sensu.

– I co mi zrobicie? – zapytała pielęgniarka defensywnie.

– To zależy, czy brała pani udział w tych morderstwach – powiedziała Mari Carmen lekko.

– Ja?! Mówię, że Marcin nic nikomu nie zrobił! Ile razy mam powtarzać. To chory człowiek! Zostawcie go w spokoju! Wszystko, co mu zostało, to pożegnanie się. Nic więcej nie chciał.

– Jeżeli wysadził tyle osób, to faktycznie jest chory – podsumowała Mari Carmen. – Tyle że psychicznie.

Podgórski westchnął. Ten komentarz był nie na miejscu. Ewa Skrzetuska była chyba tego samego zdania.

– Spierdalajcie! – warknęła.

To by było na tyle, jeśli chodzi o kolejne sukcesy.

– Było jeszcze jakieś miejsce oprócz tego gospodarstwa w lesie, gdzie mógł pojechać? – zapytał mimo to policjant. Ciszyciela nie było w miejscu zameldowania. Ale miał przecież bazę. Może było jeszcze jakieś miejsce, gdzie mógł się ukrywać. – Gdzieś, gdzie czułby się bezpieczny? Sama pani mówi, że on jest chory. Nie może pozostawać bez opieki.

– Nie będę odpowiadać na żadne pytania! – zawołała Skrzetuska.

Nie chciała mówić, ale Podgórski czuł, że być może była jeszcze jakaś kolejna kryjówka. Tylko gdzie?

ROZDZIAŁ 47

U Ciszyciela.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 10.30.

Aspirant Aleksander Ziółkowski

Ziółkowski wybrał numer Daniela. Teraz już bez oporów, bo po pierwsze miał pomysł, jak go unieszkodliwić. Po drugie zaś miał komórkę Ciszyciela. Trzeba będzie oczywiście spędzić nad nią trochę więcej czasu. Na szybko technik nie znalazł żadnych w oczywisty sposób obciążających dowodów, na przykład zdjęć ofiar. Ale też trudno było oczekiwać, żeby mężczyzna trzymał je w telefonie. Wyglądało na to, że to była komórka, którą posługiwał się na co dzień. Dlatego szef techników dość łatwo ustalił jego imię i nazwisko. A przynajmniej to, pod którym występował na Facebooku. Marcin Ciszewski nie był wylogowany ze swojego konta, więc wystarczyło zajrzeć do aplikacji. Oznaczona tam była też jego dziewczyna i...

– Halo? – odezwał się Podgórski, wrywając Ziółkowskiego z zamyślenia. Słysząc było, że kolega jedzie samochodem.

Na technika zadziało to jak płachta na byka. I wcale nie próbował hamować gniewu. Daniel nie miał przecież wypasionej fury, w której radio łączy się z telefonem i tak dalej. Gadał sobie po prostu ot tak z telefonem przy uchu. A przecież za to była kara: zdaje się, dwieście złotych oraz pięć punktów karnych. Oczywiście o ile Ziółkowski dobrze pamiętał. Wszystko jedno. Ważniejsze, że to było niebezpieczne. Kierowca rozmawiający przez telefon, wybierający numer albo czytający wiadomość zwiększał aż dwukrotnie prawdopodobieństwo kolizji.

I co? Podgórski mógł łamać przepisy? A Ziółkowskiemu zdarzyło się to raz. Raz. Nie, nie da sobie odebrać wszystkiego, na co zapracował przez te lata. Nie przez jeden głupi błąd. Ziółkowski miał nadzieję, że razem ze Zjawą jakoś wyjdą obronną ręką, jeśli tylko Daniel nie będzie robił kłopotów. Nagle się wojownik o sprawiedliwość znalazł. Ale to nie potrwa długo...

– Mam tożsamość tego gościa – powiedział szybko szef techników. – Marcin Ciszewski.

– Już to wiemy – odpowiedział Podgórski.

Szef techników poczuł zawód. Oczekiwał, że zostanie bardziej doceniony. To spotęgowało jego niechęć do Podgórskiego. Mimo to streścił koledze, jak doszło do znalezienia komórki. Starał się mówić normalnym tonem.

– A co tam macie w tej bazie? – zapytał Daniel.

– Masa tego jest. Był sprzęt do zagłuszania zasięgu telefonów. Musiałem to odłączyć. Dużo rzeczy jest w zadziwiająco dobrym stanie, zważywszy na to, co tu się stało. Głównie chodzi o pomieszczenia pod domem. Pewnie dlatego przetrwały. Tam był pokój z łańcuchami.

– Więzienie?

– Tak to wygląda. Musimy pracować bardzo ostrożnie. Są tam rzeczy wskazujące, że ktoś tam mieszkał. Więcej niż jedna osoba. Nie chcę wyciągać za daleko idących wniosków, ale może faktycznie ten pojeb przetrzymywał pasażerów autobusu. Przynajmniej jakiś czas.

– Kurwa.

– No ale nie ma tu tych ludzi.

– Szczątki?

– Nie ma. Przecież mówię!

Ziółkowski miał ochotę ugryźć się w język za ten wybuch.

– Wszystko okej? – zapytał Daniel.

– Jo – zapewnił szybko. – Nie wierzę, że tu byli, kiedy nastąpił wybuch, bo jednak cokolwiek by po nich zostało. W tej szopie oprócz autobusu był jeszcze nissan patrol. Czarny. Jest trochę zniszczony, ale oczywiście też go obejrzymy. Zabierzemy go do siebie, żeby było łatwiej.

– Malwina Górka widziała jakąś terenówkę. Po drugiej stronie na drodze. Sprawdzaliście tam ślady?

Ziółkowski spojrzał w tamtą stronę. To było trochę dalej między drzewami. Może Ciszyciel wyrzucił komórkę, jak uciekał do samochodu,

albo mu wypadła. Miejsce, gdzie telefon leżał, pasowało do takiego scenariusza. Technik nie miał ochoty mówić tego Danielowi. Niech sam sobie to wymyśli.

– Jo. Znaleźliśmy tam ślady opon. No i trochę brunatnych plam. Być może krew.

– Czyli gość mógł ucierpieć podczas wybuchu?

– Nie wykluczałbym tego.

– Ale niemożliwe, żeby samochód, który znalazłeś w szopie, był tym, który widziały kobiety na zewnątrz?

– Nie. No coś ty. Raczej nie wstawiłby go tam szybko. Musiał mieć dwa. Może nawet takie same, bo opony by pasowały do patrola. Może jeden samochód trzymał tu na wszelki wypadek, a drugim jeździł? Mnie się wydaje, że ten facet to jakiś prepers¹⁴. Miał całe pomieszczenie wypełnione puszkowanym jedzeniem, wodą w baniakach i tak dalej. No chyba że to były zapasy dla więźniów. Ale to by znaczyło, że porwanie dawno zaplanował. Bo musiał gromadzić to jakiś czas. Niektóre z puszek są przeterminowane. A wiesz, że na puszkach data ważności raczej krótka nie jest. Musiały być kupione kilka lat temu. Gość naprawdę jest pojebany.

– Sprawdzę, jakie samochody zarejestrował na siebie, jak wrócę na komendę – poinformował Daniel. – Skoro już mamy jego nazwisko, to będzie łatwiej. Jak przywieziesz ten telefon, też się mu przyjrzymy. Może coś na nim jest.

– Na przykład nazwisko jego dziewczyny. Ewa Skrzetuska. Charakterystyczne...

– To też już wiemy. Pielęgniarka – przerwał mu Daniel. – Byliśmy z Mari Carmen u niej w szpitalu. Nie była zbyt rozmowna.

– Super – odparł Ziółkowski cierpko. – Przyślijcie tu w takim razie przewodnika z psem. Może pies złapie trop przy tej brunatnej plamie. Może pokombinuj z tą narzeczoną albo z kimś z rodziny? Może ktoś da ci jakiś jego przedmiot?

Pies musi zacząć swoją pracę od miejsca, gdzie poszukiwany ostatnio stał. Zaciąga molekuły zapachowe i może działać. Przedmiot należący do Ciszyciela mógłby stanowić wzmocnienie zapachu. Tyle Ziółkowski wiedział, choć nie był ekspertem w kynologii. Oczywiście pies może nie podjąć tropu, bo jeżeli Ciszyciel wsiadł do samochodu, to pies będzie się bezradnie kręcił w kółko.

– Mówię ci, że z tym może być trudno. Skrzetuska nie chce współpracować. Znalazłeś może piłę mechaniczną? To by nam wszystkie elementy połączyło w całość.

– Nie. Przecież piła była na polanie. Może tam ją porzucił. Po co by ją trzymał tu. Zresztą piła była u Konopków. Chyba wystarczy mu jedna.

– Jo.

Ziółkowski ruszył pomiędzy krzakami, oddalając się jeszcze trochę od zniszczonego domostwa. Wydawało mu się, że tu jest ścieżka. Wolał to sprawdzić. Technik zatrzymał się w pół kroku. No proszę. Chyba miał rację, że tu wszedł. Za to znalezisko to już będą musieli go docenić.

– Mam chyba coś jeszcze – powiedział do Podgórskiego.

[14](#) Człowiek przygotowany na wszelkie zagrożenia.

ROZDZIAŁ 48

Rarogi.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 10.30.

Klementyna Kopp

Klementyna, Malwina i Weronika przedzierały się ścieżką, którą wskazał im klecha. On sam upewnił się, że dobrze idą, po czym biegiem wrócił na plebanię. Chciał się tam zamknąć w obawie przed ewentualnym atakiem Ciszyciela. Kopp właściwie mu się nie dziwiła. Niewielu rzeczy się bała. Ale! Wiedziała, że zupełny brak obaw to głupota. Człowiek nie może być odważny, jeżeli nie czuje lęku. Pokonywanie strachu to czasem największa odwaga.

– To chyba tam – szepnęła ruda.

Klementyna faktycznie zobaczyła niewielką kaplicę. W przeciwieństwie do pozostałych budynków w Rarogach była murowana. Wiekowe cegły w wielu miejscach zmurszały. Zaprawę porastał mech. Stare drzwi były zamknięte. Też pokrywała je zielona poświata. Roślinność brała chyba to miejsce w swoje władanie. Gałęzie okolicznych drzew poprzezbijały stare witraże, jakby próbowały sięgnąć do środka.

– Raczej tu ponuro – stwierdziła różowa.

– Co ty nie powiesz. Rarogi to też nie jest oaza wesołości – mruknęła Kopp. – Ale! Z jakiegoś powodu Szczepan Prawda i Modest Obuch bardzo walczyli o to miejsce. A właściwie nie z jakiegoś. Prawdopodobnie chodziło o pieniądze. Jak zawsze. Może byli w to jakoś zaangażowani Leszek Konopka i Tomasz Lorenz.

Księżulo przypomniał sobie spotkanie na strzelnicy. I to, że Tomasz najpierw wspierał Modesta, który uważał, że nie powinno się tego miejsca sprzedawać, a potem oznajmił, że ma na nie kupca.

– Myślicie, że mogło chodzić o Ciszyciela? – zapytała Weronika, jakby odgadła, o czym pomyślała Klementyna. – To on chciał to kupić? Ksiądz mówił, że wypytywał o tę działkę, kiedy się tu pojawił.

– Możliwe – powiedziała Kopp, wzruszając ramionami. – Ale! Pewności mieć nie możemy. Szkoda, że klecha nie wiedział, kto był tym inwestorem, który chciał zbudować tu spa. Nie wiem, co trzeba mieć w głowie, żeby wpaść na taki pomysł.

Klementyna w każdym razie nigdy nie połączyłaby tej dość upiornej kaplicy nad brzegiem jeziora z miejscem, w którym jakieś bogate kobiety będą likwidowały cellulit. Może po prostu nie umiała się dostosować do dzisiejszych realiów. Jej w każdym razie nigdy nie przyszłoby do głowy usuwać cellulitu. Sięgnęła po colę do plecaka. Upiła kilka łyków. Tyle się działo, że zapomniała nawet o ulubionym napoju. Choć ten, kto chciał tu budować kurort, pewnie odradzałby jego picie. Albo zaproponował zabiegi niwelujące efekty spożywania dużych ilości cukru.

– W sumie nie jest to aż takie dziwne – powiedziała Malwina. Choć nie wyglądała na szczególnie przekonaną do własnych słów. – Spójrzcie, jak blisko jest do jeziora. Jeżeli ten ktoś dostałby pozwolenie na budowę, to miałyby idealne miejsce.

Faktycznie działka, na której stała kaplica, dochodziła do brzegów jeziora Robotno. Jego ciemna tafla połyskiwała, mimo że słońce skrywało się dziś za gęstymi chmurami. Robiło to wrażenie, jakby jezioro żyło własnym życiem, nic sobie nie robiąc ze świata wokół.

– Po co właściwie tu przyszliśmy? – zapytała Weronika. W jej głosie pobrzmiwała irytacja. Pewnie znów wróciła jej niechęć do działania w terenie. Kopp żałowała, że ją tu wzięła. – Skoro porozmawialiśmy z księdzem, to chyba powinniśmy pójść teraz do Hanny Lorenz. Taki był plan.

– Tak. Ale! Chcę przekonać się, o co ta cała walka.

– No to widzisz o co. – Ruda skinęła głową w stronę demonicznej kaplicy.
– Wracajmy do wsi.

– Zwróćcie uwagę na jedno – odezwała się Malwina, pobrzękując kolczykami. – Nestor Obuch jest teraz jedyną osobą, która dysponuje

prawami do dziedziczenia tej działki. Skoro Modest i Szczepan zniknęli. Leszka i Tomasz też nie ma. Więc może jednak powinniśmy skupić się na nim.

– Tylko co ma do tego Dominika i jej śmierć? – zapytała Weronika. – Ona przecież nie uczestniczyła w rozmowie na strzelnicy. I co z autobusem?

Zamilkły. Kopp ruszyła do kaplicy. Skoro były już na miejscu, to zamierzała zajrzeć do środka. Pociągnęła za ciężkie drewniane drzwi. Otworzyły się niespodziewanie lekko.

Tak jakby ktoś pchnął je od środka.

No i dokładnie tak było.

Ktoś wyskoczył na zewnątrz i pchnął byłą policjantkę na ziemię.

ROZDZIAŁ 49

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 11.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Czyli jedną zaginioną osobę już mamy – stwierdziła Fijałkowska.

Zebrali się w jej pokoju na krótką odprawę. Rozmawiali właśnie o tym, co przypadkiem Ziółkowski odkrył niedaleko bazy Ciszyciela. Szef techników miał dziś zdecydowanie dobrą passę. Najpierw znalazł telefon Ciszyciela, a potem, kawałek dalej, rozkopany częściowo grób.

Szkoda, że nie trafił na żadne ślady, które mogłyby sugerować, gdzie Ciszyciel miał kolejną kryjówkę. Podgórski nie mógł zapomnieć wyrazu twarzy Ewy Skrzetuskiej. Było takie miejsce. Policjant był tego pewien. Ale tej informacji nie mogli wyciągnąć z pielęgniarki siłą.

Dom Ciszyciela i Skrzetuskiej wciąż był pod obserwacją. Nikt tam nie wrócił. Pielęgniarka najwyraźniej siedziała nadal w pracy. Daniel poprosił zaufanego ratownika medycznego, żeby dał mu znać, gdyby wychodziła. Nie było to standardowe działanie, ale nie mieli tylu ludzi, żeby zostawić kogoś, żeby ją obserwował. Kolega miał być jeszcze w szpitalu jakiś czas. Potem trzeba będzie wymyślić coś mniej prowizorycznego.

– Widzieliście już pierwsze zdjęcia? – zapytała naczelniczka.

Daniel skinął głową. Ekipa, która była na miejscu, za ruinami bazy zaczęła odsłaniać grób. Oczywiście bardzo ostrożnie. Ludzie z sanepidu byli już w drodze.

– Ciało nie wyglądało najlepiej – dodała Mari Carmen. – Pokazywałaś je lekarzowi sądowemu?

– Jo. Doktor Koterski widział już zdjęcia. Podjedzie tam oczywiście. Ale mówi, że biorąc pod uwagę stan rozkładu, nie może wykluczyć, że to ktoś z autobusu. Bardzo możliwe, że zwłoki znajdują się w ziemi co najmniej od kilku miesięcy. Może nawet od czasu, kiedy zniknął autobus. No ale nasz doktor wypowie się ostatecznie, dopiero jak zobaczy ciało na swoim stole. Zawsze tak jest.

Daniel znów skinął głową. Koterski nie lubił rzucać słów na wiatr. Dobrze, że wrócił.

– To może trzeba zapytać tego młodego doktora – zaproponowała Mari Carmen lekkim tonem.

Zupełnie jakby Bratkowski nie sfałszował dokumentacji z sekcji Dominiki Konopki. Fijałkowska odchrząknęła. Nie wiedziała chyba, co ma odpowiedzieć. Podgórski pokręcił głową. Brakowało mu już słów na to wszystko.

– Tylko jak to się łączy z pomieszczeniem z łańcuchami, które tam odkryto? – zastanawiała się głośno Mari Carmen, jakby zupełnie nie zauważyła ich zakłopotania. – No i dlaczego ktoś rozkopał ten grób? Jeżeli ciało spoczywało tam od dłuższego czasu, to po co? Coś sporo kopania w grobach w tej okolicy.

– Mieliśmy pomysł, że w tym pomieszczeniu Ciszyciel przetrzymywał tę czwórkę z autobusu – powiedział Daniel. – Ale wygląda na to, że jeżeli nawet ktoś był tam przetrzymywany, to maksimum trzy osoby.

Nikt nie wymieniał imienia i nazwiska Modesta Obucha, ale resztki ciała i ubrania pozwalały domniemywać, że to właśnie jego szczątki mogły spoczywać w rozkopanym grobie. Tylko w takim razie co się stało z pozostałą trójką? Edytą Majchrzak, Tomaszem Lorenzem i Szczepanem Prawdą? Co zrobił z nimi Ciszyciel? No i co oznaczał dziwny powrót Dominiki Konopki-Piekarskiej? Uciekła mordercy, a on dopadł ją dopiero teraz? Czy ma to coś wspólnego ze śmiercią jej brata Leszka? Dlaczego Ciszyciel zabił również ich rodziców?

– Trzeba kopać – powiedziała Mari Carmen. – Może pozostali są pod spodem.

– Będziemy oczywiście kopać – mruknęła Fijałkowska, jakby nie podobał jej się władczy ton Sikory. – Ale wstępnie wygląda na to, że tam jest tylko jedna osoba.

– Wstępnie to możemy tylko narobić błędów – oznajmiła Mari Carmen. – Nie lubię błędów.

Nadal była chyba wściekła po stracie szpilek w squacie. Po przyjeździe ze szpitala od Skrzetuskiej Mari Carmen wyciągnęła skądś z powrotem swoje służbowe buty i przed odprawą przebrała się w roboczy strój. Daniel podejrzewał, że trzymała te rzeczy w gabinecie komendanta. Przecież byli przyjaciółmi od serca, pomyślał z goryczą.

– A od błędów, a właściwie ich znajdowania, jestem specjalistką, rozumiemy się? – dodała.

– Zauważyliśmy – odparła cierpko Fijałkowska.

Zerknęła na Daniela jakby w geście solidarności. Policjant nie miał jednak wątpliwości, że gdyby trzeba było, szefowa sprzedałaby go Sikorze w jednej chwili. Kto wie, czy do tego nie dojdzie. Fijałkowska na pewno coś by na niego znalazła, jakby chciała. Był prawie pewny, że do tej pory Mari Carmen brała z sufitu swoje oskarżenia i donosy. Gdyby znalazła kogokolwiek gotowego zeznawać, prawdziwą osobę, już by się z nim rozprawiła.

Westchnął z irytacją. Naprawdę był zmęczony i sfrustrowany. Tęsknił za niewinnymi czasami na posterunku w Lipowie. Proste sprawy. Kłótnie o płot, drobne kradzieże. Takie tam. Nic się nie działo. Mógł tam przesiedzieć czas służby aż do emerytury. Tymczasem on pchał się do wydziału kryminalnego do miasta. Po co mu to było?

– No właśnie. Skoro o błędach mowa, to co z tą nieprzeprowadzoną przez Bratkowskiego sekcją zwłok? – zapytał. Jednak nie wytrzymał. Nie mógł tak po prostu milczeć na ten temat. – Ziółkowskiego i Zjawy nie było na miejscu. A powinni być. Nie uważacie, że powinni zostać odsunięci od sprawy? Bardzo lubię i cenię Ziółkowskiego, ale mamy też innych techników. W prokuraturze też mają innych ludzi.

– Zjawa omówił to już z komendantem – odparła powoli Fijałkowska. – Wszystko zostało wyjaśnione.

Podgórski poczuł, że robi mu się niedobrze. A więc naprawdę postanowili sprawę zatuszować.

– Co z Bratkowskim? – zapytał powoli. – Nie odpowie za to, że de facto sfalszował dokumentację?

Innej możliwości policjant nie widział. Nie mogli przecież ukarać Bratkowskiego, a jednocześnie kryć Zjawę i Ziółkowskiego. A więc będą

udawać, że nic się nie stało.

– Nie twój interes – powiedziała Fijałkowska. – Nie gadaj o tym wszystkim dookoła. Skup się na Ciszycielu. Na razie jakoś go nie złapałeś.

O dziwo, w jej tonie nieoczekiwanie pobrzmiwała delikatna nuta. Chyba jej też się to nie podobało. Mimo to Podgórski nie wiedział, co odpowiedzieć. Miał ochotę wyjść.

– Ty tego słuchasz i nic? – rzucił w stronę Mari Carmen.

Hiszpanka wpatrywała się w niego bez słowa. Jej oliwkowa cera zdawała się jakby nieco bledsza niż zazwyczaj, ale na jej twarzy nie widać było absolutnie żadnych emocji. Podgórski nie spotkał chyba jeszcze nikogo, kto miałby tak pokerowe oblicze.

– Co dalej? – zapytała Fijałkowska ostrzej. – Załóżmy, że mamy ciało Modesta Obucha, ale nie mamy reszty. Co to oznacza?

– Że albo też są gdzieś pochowani, albo są cali i zdrowi – powiedziała Mari Carmen. – A jeżeli są cali i zdrowi, to rodzi kolejne pytanie. Czy współpracują z Ciszycielem, czy trzymał ich zamkniętych w tej bazie, a potem z jakiegoś powodu przeniósł do innego miejsca. Wtedy nasuwa się pytanie, jak to zrobił i gdzie teraz są. Warto chyba skupić się na znalezionym telefonie. Może nas gdzieś zaprowadzi? Pan Ziółkowski chyba nic tam nie znalazł, ale miał niewiele czasu. Może są jakieś zdjęcia. A może trzeba sprawdzić historię logowania, żeby zobaczyć, gdzie ten człowiek bywał. Nie podoba mi się, że nic nie wyciągnęliśmy z jego dziewczyny. No ale tego można było się spodziewać. Kryje go.

– Albo faktycznie nic nie wie – powiedziała Fijałkowska. – Gość mógł prowadzić podwójne życie.

– Możliwe – zgodziła się Mari Carmen.

– Tak czy inaczej, wysłałam tam przewodnika z psem. Tak jak prosił Ziółtek. Może wystartuje z tego miejsca z plamą krwi. Jeżeli Ciszyciel odjechał samochodem, to nic nam to nie da. Ale przynajmniej spróbujmy. Komendant powiedział, żeby zaangażować wszystkie siły i środki, więc nie oszczędzamy. Dobrze, że tak szybko ustaliliście tożsamość Ciszyciela. Ja w międzyczasie jeszcze ją potwierdziłam, bo udało mi się zaangażować znajomego znajomego i zajrzał do ksiąg wieczystych. Działka z bazą Ciszyciela też jest zapisana na Marcina Ciszewskiego. Przylega do lasu. Część była zalesiona, więc sprawiała wrażenie, jakby stanowiła część lasu. Nie uzyskał pozwolenia na budowę. Ale najwyraźniej się tym nie

przejmował. Dokonał też samodzielnego zalesienia kolejnych swoich terenów.

– Nikt nie zwrócił na to uwagi? – zapytała Mari Carmen.

Fijałkowska wzruszyła ramionami.

– Widocznie nie. Ten znajomy powiedział mi, że nikt nie sprawdza tej części lasu. Strach przed upiorem jest silniejszy. I jeszcze myśl, że tam była zaraza... W czasie obecnej pandemii to ludzie już zupełnie się tam nie zapuszczają. Wybrał sobie idealny moment i miejsce, żeby ich tam przetrzymywać. Jeżeli oczywiście ich od razu nie zabił. W każdym razie widać, że ze swoją tożsamością się nie kryje. Dlatego mówię o podwójnym życiu. W dzień Marcin Ciszewski. W nocy Ciszyciel. Doktor Jekyll i pan Hyde.

– Sprawdziłem zarejestrowane na niego samochody – poinformował Podgórski. – Faktycznie posiada dwa nissany patrol. Jeden jest w ruinach domu gospodarczego w bazie. Drugi zniknął. Czyli prawdopodobnie to ten, który widziała pisarka.

Szefowa skinęła głową. Podgórski czuł... Sam nie był pewny co. Emocje zaczynały narastać. Podyktował im z pamięci numery nissanów Ciszyciela. Nie musiał ich nawet zapisywać. Miał dobrą głowę do takich rzeczy. Zboczenie zawodowe. Człowiek miał oczy wokół głowy i zawsze zwracał uwagę na blachy aut.

Mari Carmen wyciągnęła telefon i zaczęła czytać jakąś wiadomość.

– Weź Łukasza i pojedź jeszcze raz do szpitala – powiedziała, kończąc czytać. – Spróbuj pogadać z tą babą Ciszyciela pod pretekstem odwiedzin u twojej matki. Może lepiej pójdzie. Powiedzmy, że to będzie działanie operacyjne. Jak w tym obleśnym squacie. Tylko beze mnie. Ja pojedę do bazy pokierować czynnościami na miejscu. Dużo tam się dzieje i nie chcemy popełnić błędów, prawda?

– Mam jechać sam? – zapytał Podgórski zdziwiony.

Dotąd nie odstępowała go na krok. Zgadzał się oczywiście, że warto do szpitala pojechać. Nawet po to, żeby poobserwować, co ma zamiar zrobić pielęgniarka. Ale nagła zmiana planów Mari Carmen wydała mu się dziwna.

– A co? Nie poradzisz sobie beze mnie, chłopaku? – mrugnęła do niego funkcjonariuszka BSW. – Jak ci się to nie powiedzie, to trzeba będzie się zwrócić do komendy wojewódzkiej. Wydział techniki operacyjnej może

trochę nas wesprze na szybko. Bo jeżeli chcielibyśmy podsłuchiwać tę babę, czy nie gada z Ciszycielem, to prokurator musiałby złożyć do operatora jej telefonu papiery o zwolnienie z tajemnicy telekomunikacyjnej. Moglibyśmy zacząć, jak sąd okręgowy udzieliłby zgody. Strasznie by nam się to przeciągnęło w czasie. Lepiej, żebyś użył uroku osobistego. Ty albo ten twój syn przystojniak, i żebyście coś z niej wyciągnęli.

– Dobrze – powiedział Podgórski, mimo że zaczynał mieć złe przeczucia.

Sam nie wiedział dlaczego. Spojrzał na Mari Carmen. Uśmiechała się nieprzyjemnie. Może właśnie dlatego.

ROZDZIAŁ 50

Rarogi.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 11.00.

Weronika Podgórska

Weronika pomogła Klementynie wstać. Emerytowana policjantka otrzepała skórzany żakiet z leśnego runa. Twarz miała podrapaną, po policzku spływało kilka kropel krwi. Upadając, musiała uderzyć we fragment murku, wystający z paproci. Pewnie element dawnego kościoła. Roztarła to wszystko po twarzy i wyglądała teraz, jakby przywdziała barwy wojenne.

– Nic ci nie jest? – zapytała Malwina.

– To nie był on – oznajmiła Kopp, ignorując pytanie. Swoim zwyczajem wypluwała słowa jak z karabinu maszynowego. A teraz może jeszcze szybciej. Ciężko było ją zrozumieć. – Widziałyście go, co? Gość był łyśy, ale to nie był wąsacz.

Przed chwilą z kaplicy wybiegł człowiek i pchnął Klementynę na ziemię. Weronika też była zdania, że to nie Ciszyciel. Był znacznie wyższy i młodszy.

– Może to był jeden z ekipy Hanny Lorenz? – zasugerowała. – Wyglądał na pseudokibica.

– Możliwe – zgodziła się pisarka.

Żadna z nich nie ucierpiała. Mężczyzna wystrzelił ze starej kaplicy jak z procy. Nie chciał chyba zaatakować Klementyny. Po prostu pchnął ją, bo stała na jego drodze. Weronikę i Malwinę zupełnie zignorował.

– Biegniemy za nim? – zapytała Podgórska. Bez większego przekonania. Nieznajomy zniknął już pomiędzy opuszczonymi chatami Rarogów.

– Spoko. Ale! Nie ma sensu. I tak go nie dogonimy. A jeśli to jeden z tych łysoli, to i tak będzie w domu u staruchy. Zajrzyjmy lepiej do środka. Tylko ostrożnie. Trzeba się upewnić, czy nie ma tam kogoś jeszcze.

Spojrzały w stronę uchylonych drewnianych drzwi. Były kute i ciężkie. Omszałe deski idealnie pasowały do zmurszałej cegły budynku. Ze środka dochodził zapach zgnilizny i nie zachęcał do zaglądania do wnętrza. Wręcz przeciwnie. No i ta ciemność. Ktoś faktycznie mógł się tam czaić. Może nawet Ciszyciel.

Kopp mruknęła coś pod nosem i ruszyła przodem. Weronika chciała przestrzec ją, żeby uważała. Dała sobie spokój. Doskonale wiedziała, że to i tak nic nie da. Klementyna zrobi, co zechce.

Malwina poszła za Klementyną. Bardzo dobrze. Rozsądek podpowiadał Podgórskiej, żeby trzymać się z tyłu. Ze względu na córeczkę nie powinna ryzykować. Kiedyś wszędzie pchała się pierwsza i nie zawsze dobrze się to kończyło. Teraz nie mogła sobie na to pozwolić. Nie była jak cholerna Emilia, która przez brak rozsądku straciła dziecko. Jak Daniel mógł kochać kogoś takiego? Weronika wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

Kopp uchyliła szerzej drzwi. Skrzypnęły złowieszczo. Ze środka wyleciał tuman kurzu.

– Zaświećcie no – nakazała.

Pisarka wyciągnęła nieodłączny telefon i włączyła latarkę. Ich oczom ukazało się stosunkowo niewielkie pomieszczenie, gdzie chyba kiedyś odbywały się msze. Weronika spodziewała się, że wnętrze kaplicy będzie większe. Może było tu jeszcze jedno pomieszczenie? Tym bardziej trzeba uważać.

Rozejrzała się. Z tyłu stał drewniany krzyż. Pośrodku widać było resztki klęczników i starych ławek. Były porozbijane. Nie nadgryzione zębem czasu jak wszystko tu. Po prostu zniszczone. Brutalnie i celowo. Możliwe nawet, że całkiem niedawno, bo drewno w miejscu pęknięć było jasne.

– Niezła demolka – podsumowała Kopp.

– Tam są jeszcze jedne drzwi – powiedziała Weronika. Z zewnątrz kaplica wydawała się większa. Musiało tu być coś jeszcze. I było. – Może to zakrystia.

– Poczekajcie – syknęła Kopp.

Nie chciała ich narażać. Trochę ponieważ, przebiegło Weronice przez myśl. Nadal trzymała się z tyłu. Dlatego ostatnia zobaczyła, co namalowano

na ścianach pomieszczenia za starym ołtarzem.

ROZDZIAŁ 51

Szpital w Brodnicy.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 11.40.

Aspirant Daniel Podgórski

Jak myślisz, co szykuje ta wiedźma? – zapytał Łukasz, kiedy podjeżdżali pod szpital.

Określenie wiedźma doskonale pasowało do Mari Carmen.

– Nie wiem, ale nie podobało mi się, że była taka zadowolona z siebie.

Podgórski zaparkował subaru na jedynym wolnym miejscu. Wysiedli.

– Poczekaj, tylko zapalę – oznajmił Łukasz.

Daniel niemal się zakrztusił.

– Ty palisz?

– A nie mogę? – zaśmiał się syn.

Podgórski miał ochotę powiedzieć Łukaszowi, że nie wolno, ale przecież to by była hipokryzja. Sam palił kiedyś jak smok. Nie mówiąc o picciu. Jakie miał prawo pouczać kogokolwiek w tych kwestiach? Znowu poczuł wstyd na myśl o dzisiejszym ranku z Malwiną. Powiedziała, że nie ufa alkoholikom. Chyba tak to ujęła. Naprawdę nie chciał, żeby się dowiedziała o jego przeszłości. Po co w ogóle wspomniał o alkoholu, który był w sypialni Konopków. To był nieistotny szczegół.

– Potem trudno rzucić – mruknął tylko.

– Spoko. Wiem. Żarty sobie robię – zaśmiał się znowu Łukasz. – Nie palę. To przeszkadza w treningach. Powinieneś być zobaczyć swoją minę, stary.

– Stary?

– A co, nie? Czterdziecha to nie lada wiek.

Podgórski pokręcił głową z rozbawieniem. Wtedy zobaczył nissana patrola stojącego kilka samochodów dalej.

– Poczekaj – rzucił ostrzej.

Z twarzy Łukasza zniknął uśmiech.

– Co?

– Ciszyciel ma dwa patrole. To może być ten drugi. Może przyjechał do Skrzetuskiej.

To wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. Morderca musiał spodziewać się, że go szukają. Nie zjawiałby się chyba u narzeczonej w pracy, i to w biały dzień. Trzeba było jednak sprawdzić. Podgórski naciągnął komin na twarz i wysiadł z samochodu. Podszedł szybkim krokiem do terenowego nissana.

– I co? – zapytał Łukasz, idąc za nim.

– Nie te blachy.

Mimo wszystko Daniel nie odczuł ulgi. Szkoda, że Ciszyciel tu nie przyjechał. Może niedługo byłoby po sprawie. A tak mogą go jeszcze długo szukać.

– Chodźmy do babci – powiedział, odrzucając ponure myśli. Skoro tu już byli, to mogli zajrzeć do Marii i sprawdzić, jak się czuje.

– Naprawdę będziemy udawać przed tą pielęgniarką, że to zwykła wizyta? – zapytał Łukasz.

Podgórski wzruszył ramionami. Takie dostał rozkazy. Co prawda nie od Fijałkowskiej, lecz od Mari Carmen, ale naczelniczka nie oponowała. Niech więc i tak będzie. Zrobią, co mają zrobić. Najważniejsze, że pielęgniarka była jeszcze w środku. Znajomy ratownik nie informował, żeby wychodziła.

– Potem może jeszcze chociaż chwilę pogadamy z Koterskim – zaproponował. – Też powinien być tu na miejscu. Teraz tu robią sekcje.

– Wiem.

Swoją drogą ciekawe, jak wytłumaczą w komendzie, że Koterski dostanie niepokrojonego trupa Dominiki Konopki, pomyślał Podgórski. Jego też przekupią, żeby nie powiedział, że to pierwsza sekcja na tym ciele? No i co z cholerną Hanną Lorenz, która zapłaciła medykowi? Wszyscy o niej zapomnieli?

Daniel spojrzał na syna. Z pustym pagonem posterunkowego wyglądał tak niewinnie. I chyba wierzył jeszcze, że to, co tu robią, ma sens. Ciekawe, co

by pomyślał, jakby dowiedział się, że sprawa nieprzeprowadzonej sekcji zwłok zostanie prawdopodobnie zamieciona pod dywan. Podgórski nie miał serca tego teraz Łukaszowi mówić. Niech syn chociaż jeszcze chwilę trwa w nieświadomości.

Weszli do budynku. Nikt ich nie zatrzymywał. Wdrapali się na piętro, gdzie leżała Maria. I od razu bingo. Korytarzem akurat szła Skrzetuska. No to jednak mieli szczęście.

– Pani Ewo! – zawołał.

– Proszę zostawić mnie w spokoju! – krzyknęła. – Nie mam obowiązku nic mówić. To jest nękanie!

Jej spojrzenie było zimne. Nagle Podgórskiemu przyszło coś do głowy. Serca. Przecież Ewa Skrzetuska pracowała ze Stefanem Majchrzakiem. On był kardiochirurgiem. Jeżeli uczestniczyła w jego operacjach, to też musiała wiedzieć, jak wyjmuje się serca z klatki piersiowej. Może podzieliła się tą wiedzą z Ciszycielem, kiedy zabijał Alinę i Zbigniewa Konopków? A może nawet tam była i mu pomagała?

ROZDZIAŁ 52

Rarogi.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 11.40.

Malwina Górska

Ściany zakrystii pokryte były malunkami. Malwina rozejrzała się wokół. W mroku starego pomieszczenia widziała swastyki i inne hitlerowskie znaki. Pisarka się wzdrygnęła. Nienawidziła tych symboli. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, jak ktoś pochodzący z Polski, znający historię drugiej wojny światowej mógł odnajdywać się w czymś takim. Chciała stąd wyjść jak najszybciej. Już z zewnątrz budynek wyglądał jak wyjęty z opowieści o wampirach. Ale zawsze bardziej przerażało ją, co człowiek może zrobić człowiekowi.

– To już chyba możemy mieć pewność, kto tu bywa – mruknęła Kopp.

– Może ci neonaziści się tu spotykają? – zastanawiała się Weronika, wchodząc. – Tomasz Lorenz początkowo był przeciwny sprzedaży kaplicy, pamiętacie? Chociaż potem zmienił zdanie. Tyle że sprzedał ją nie pierwszemu chętnemu na spa, ale Ciszycielowi. Rozumiecie coś z tego?

– Przeszukajmy pomieszczenie – zarządziła Kopp zamiast odpowiedzi. – Może tu jest jakaś krypta. Jeżeli wąsacz się tu ukrywa, to może sam nam to wyjaśni.

Zaczęły przeczesywać zakrystię metr po metrze. Nie było tu wiele, więc szło to szybko. Stare meble. Niektóre w lepszym stanie niż te w głównej sali. Być może stały tu wcześniej szafy na rzeczy potrzebne podczas liturgii. Nie znalazły nic podejrzanego.

– Sprawdźmy dokładnie to pierwsze pomieszczenie – powiedziała Klementyna. – Nie wychodzimy stąd, póki nie upewnimy się, że Ciszyciela tu nie ma.

– Chyba miałyśmy dziś rozmawiać z Hanną Lorenz – przypomniała Weronika. – Teraz chyba tym bardziej powinnyśmy.

Podgórska skinęła głową w stronę upiornych malunków na ścianach. Swastyki przyprawiały Malwinę o ciarki. Wróciła do pierwszego pomieszczenia. Było równie ponure, ale i tak wydawało jej się, że kamień spadł jej z serca.

– Porozmawiamy. Ale! Najpierw wszystko tu sprawdzimy – upierała się Klementyna.

Malwina ruszyła w kierunku niewielkiego ołtarza. Przypomniała sobie, że kiedyś grzebano zmarłych pod ołtarzem albo koło niego. A może coś pomyliła? Ale może tu była jakaś krypta, gdzie można się było schować. Przykucnęła i zaczęła przejeżdzać ręką po podłodze w poszukiwaniu jakichś nierówności.

Wtedy zobaczyła niewielki napis tuż pod drewnianym krzyżem ołtarza. Można go było zauważyć, klęcząc. To były staranne, niemal dziecinne litery. Trochę takie, jak kiedyś kaligrafowało się w zeszycie w trzy linie.

Martwiec.

ROZDZIAŁ 53

Szpital w Brodnicy.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 12.00.

Aspirant Daniel Podgórski

Alina i Zbigniew Konopkowie zostali najpierw uduszeni – oznajmił doktor Koterski. – Dopiero potem wyjęto im serca. Stawiałbym, że wszystko to się stało w sobotę wieczorem.

– Znaczący wypitowano? – upewnił się Daniel.

Znów pomyślał o Ewie Skrzetuskiej. Czyżby podzieliła się wiedzą z Ciszycielem? Albo nawet uczestniczyła w morderstwach. Na razie to były tylko przypuszczenia, ale policjant cieszył się, że znajomy ratownik medyczny nadal ma na nią oko. Dobrze by było, gdyby przydzielono jej ogon. Skoro nowy komendant chciał angażować wszystkie siły i środki, to powinien się na to zgodzić.

Tymczasem Daniel i Łukasz przyszli pomówić z Koterskim o śmierci rodziców Dominiki.

– Tak. Stawiałbym na piłę mechaniczną – uściślił medyk sądowy.

Na jego wesołej zazwyczaj twarz dziś nie gościł uśmiech. Podgórski czuł się przez to nieswojo. Jakby Koterski chciał już ich spławić.

– Trochę za dużo tych pił mechanicznych w Rarogach – wtrącił się Łukasz.

Nie wyglądał na poruszonego widokiem leżącego na stole sekcyjnym ciała. To był Zbigniew Konopka. Ojciec Dominiki stracił niemal swoje rysy. Wyglądał jak woskowa kukła. Pocięta woskowa kukła, poprawił się w duchu policjant. A teraz jeszcze poddana pracy lekarza.

– Właśnie skończyłem sekcję Zbigniewa – oznajmił Koterski, pokazując trupa. – Alinę robiłem przedtem. Był jakiś inny technik, bo zdaje się, że Ziółkowski jest w terenie?

– Jo – potwierdził Podgórski. – Jest w bazie Ciszyciela.

– Prokurator wpadł, ale też już wyszedł. Minęliście się.

Daniel zerknął na Łukasza. Miał ochotę zapytać Koterskiego, co myśli o Bratkowskim, Ziółkowskim i Zjawie, ale nadal nie był pewny, czy chce odzierać syna ze złudzeń. Z drugiej strony chłopak i tak wcześniej czy później będzie musiał zmierzyć się z faktem, że w firmie nie wszystko przebiegało zgodnie z prawem. Poza tym Daniel czuł gniew. I chciał go wykrzyczeć.

– Widziałeś już ciało Dominiki Konopki? – zagadnął więc. Na początek ogłędnie.

– Tak. Nadal stawiałbym na poród trumienny. Będę robił drugą sekcję, ale to już pewnie jutro. Nie ucieknie.

– Drugą sekcję? – powtórzył Daniel. – Jakąś już na niej zrobiłeś?

– Nie. Ale przecież zrobił to Bratkowski.

Podgórski spojrział na Koterskiego z niedowierzaniem. Po wszystkich spodziewałby się udziału w zмовie, ale nie po nim. Daniel czuł się, jakby został sam na świecie. Chciało mu się płakać. Odchrząknął. No do płaczu to go nie doprowadzą. Bez przesady. Za stary był na takie rzeczy.

– Tej sekcji nie było – powiedział twardo.

Medyk sądowy westchnął głośno.

– Nie wiem, co tu się wydarzyło, ale ja dostałem ciało, które ktoś już kroił... – oznajmił w końcu. – Daniel, jeżeli tam coś było... Ja bym na twoim miejscu to zostawił. Umieję człowiekowi narobić kłopotów.

– Ale co się dzieje? – zainteresował się Łukasz.

– Chcą zamieść sprawę pod dywan – powiedział Daniel. Już trudno, niech Łukasz się dowie. – Pewnie kazali Bratkowskiemu zrobić sekcję po przywiezieniu Dominiki z powrotem tu i dopiero potem dostałeś ciało.

– Bardzo możliwe – przyznał Koterski.

– Kurwa – warknął Daniel. – Kurwa, kurwa, kurwa.

– I co z tym robimy? – zapytał Łukasz. – To nie może tak być! Ta cholerna Mari Carmen tu węszy i co, pozwala na taki przekręt? Przecież oni powinni zostać pociągnięci do odpowiedzialności. Kurwa.

– Ja osobiście nie mam teraz ochoty bawić się w rycerza moralności. Mam ważniejsze sprawy na głowie – mruknął Koterski. – Wam też nie radzę być szeryfami, bo was zniszczą, jeśli będą chcieli. A to i tak nic nie da. Dominika nie żyła. Nie urodziła dziecka w grobie. To był poród trumienny. Już mówiłem. Przedtem ją uduszono. A właściwie to było zadzierzgnięcie, jeżeli mamy trzymać się nomenklatury. Bratkowski trafnie to ocenił.

– Ale może gdyby wykonał sekcję, to wiedzielibyśmy, kto ją udusił, zadzierzgnął czy jak to tam zwał!

Podgórski czuł, że narasta w nim furia.

– Może tak, może nie – odparł Koterski, wzruszając ramionami. – Zdaje się, że Bratkowski pobrał wszystko, co się dało, z zewnątrz...

– Nie wierzę, że go bronisz.

– Nie bronię go. Mówię o mniejszym złu.

Daniel pokręcił głową. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Po głowie chodził mu cytat na temat mniejszego zła. Pochodził z książki Sapkowskiego. Nie potrafił go zacytować z pamięci, ale chodziło tam mniej więcej o to, że czy zło jest mniejsze czy większe, nadal jest złem. Policjant się z tym zgadzał.

– No ale może posłuchaj, co odkryłem na temat rodziców Dominiki. Czy to cię nie interesuje?

ROZDZIAŁ 54

Dom Hanny Lorenz w Rarogach.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 12.00.

Malwina Górską

Gdzie jest twój wnuk, co? – zapytała ostro Kopp.

Malwina dziwiła się, że staruszka wpuściła je do domu. Może wynikało to z tego, że Hanna Lorenz nie czuła się zagrożona obecnością trzech kobiet. Zwłaszcza że, jak zwykle, towarzyszyła jej świta łysych wyrostków. Jeden z nich być może był niedawno w starej kaplicy. Jak to stwierdzić, skoro wszyscy wyglądali prawie tak samo. Ogolone na łyso głowy i bluzy z pseudopatriotycznymi hasłami. Pisarka widziała tamtego człowieka za krótko, żeby móc wskazać, który to z nich.

Stara kaplica. Powiedzieć, że miejsce było ponure, to za mało. Już z zewnątrz wyglądało jak wyjęte z opowieści o wampirach. Ukryty wśród zarośli stary budynek skrywał jeszcze jedną tajemnicę. W głównym pomieszczeniu królował kurz, ale w czymś w rodzaju zakrystii znalazły chyba miejsce spotkań neonazistów Hanny. I jeszcze jedno. Przed ołtarzem odkryły słowo, które przyprawiało Malwinę o ciarki. Martwiec.

Żadna z nich nie wiedziała, co oznacza, więc Górską wpisała słowo w wyszukiwarkę. Pierwsze, co się pojawiło, to było hasło w Wikipedii. W kulturze ludowej martwiec oznaczał upiora lub wampira. To niewiele wyjaśniało. A już na pewno nie uspokajało. Postanowiły więc trzymać się pierwotnego planu i porozmawiać z Hanną Lorenz. Malwina zrobiła kilka fotografii napisu. Na wszelki wypadek. Mógł nie znaczyć nic, a mógł okazać się ważny.

– Nie wiem, gdzie jest mój wnuk – oznajmiła Hanna Lorenz.

Powiodła po nich wzrokiem. Najpierw spojrzała na Kopp, potem na Weronikę, a na koniec na Malwinę. Górska miała wrażenie, że jej Hanna Lorenz przyglądała się najdłużej. Ale może to było tylko złudzenie. Jej oczy wydawały się przeszywać na wylot. Pisarka miała irracjonalne wrażenie, że chodzi o zdjęcie dziwnego napisu, który miała w telefonie. Ale przecież Hanna nie mogła o tym wiedzieć.

– Opatrzmy tę ranę – zdecydowała Hanna nieoczekiwanie i głową wskazała pokrytą krwią twarz Klementyny. – Chodźcie.

Odprawiła swoich ludzi i zaprowadziła je w głąb domu, stukając rzeźbioną laską o podłogę.

– Niech panie usiądą – bardziej zarządziła niż zaprosiła.

Weszły do czegoś w rodzaj saloniku czy też może jadalni. Pośrodku pomieszczenia stał ciężki dębowy stół. Mimo zaproszenia gospodyni żadna z nich nie zajęła miejsca. Malwina czuła się, jakby miały zostać tu zamknięte. Ale może atmosfera starej kaplicy i samych Rarogów zaczynała po prostu robić swoje.

– To prawda, że Ciszyciel ich przetrzymywał? – zapytała Hanna. – Wszędzie teraz o tym piszą. To chyba jakaś nowa informacja. Że tam było pomieszczenie z łańcuchami.

– Gdzie jest twój wnuk, co? – naciskała Kopp. Jeszcze bardziej rozmazała krew po twarzy.

– Gdybym wiedziała, mogłabym spać zdecydowanie spokojniej – odparła Hanna. Tym razem w jej głosie pojawiły się emocje. – Przemycję to.

– Spoko. Ale! Nie trzeba – warknęła Klementyna. – Gdzie jest twój wnuk?

– Nie wiem! Kocham mojego Tomasza. I też chcę wiedzieć, gdzie jest.

Klementyna przyglądała się Hannie. Malwina miała wrażenie, jakby dwie kobiety toczyły pojedynek spojrzeń zrozumiały tylko dla nich dwóch.

– Jak przestaniez nas oszukiwać, to może go znajdziemy – odparła wreszcie emerytowana policjantka. Tym razem w jej głosie pobrzmiwała delikatniejsza nuta. Najwyraźniej zmieniła taktykę. – Też mam wnuka. Wiem, jak to jest. Gdyby zniknął, szalałabym z niepokoju. Pomóż nam go znaleźć. Z całym szacunkiem. Ale! Te twoje chłopaki to niezbyt się przydadzą. Nie są od główkowania. Chyba sama dobrze wiesz.

Hanna Lorenz wyglądała, jakby ze sobą walczyła. Marszczyła haczykowaty nos. W końcu odetchnęła.

– Macie jakieś tropy? – zapytała. Najwyraźniej zdecydowała się współpracować.

– Na początek powiedz, czego tak naprawdę szukaliście w domu Konopków, kiedy znaleźliście ich ciała. Zabiłaś ich, co?

– Myślisz, że bym się przyznała, gdybym to zrobiła? – zapytała Hanna. Jej śmiech zabrzmiał jak skrzek.

– Myślę, że naprawdę nie wiesz, gdzie jest twój wnuk – powiedziała Klementyna. – Ale! Myślę też, że nie mówisz nam wszystkiego.

– Ich śmierć w ogóle nie była po mojej myśli. Chciałam, żeby dali mi pierwszą transzę pieniędzy. A tak dostanę wielkie zero.

– Jakich pieniędzy? – zapytała Weronika. – Chodzi o list z żądaniem okupu?

Hanna Lorenz spojrzała na Podgóorską z wyrazem politowania na pomarszczonej twarzy.

– Załatwiłam im, żeby Dominika nie miała sekcji zwłok po tym, jak ją uduszono.

– Czekaj. Stop. Dlaczego nie chcieli sekcji, co?

– Konopkowie po prostu nie chcieli, żeby ją krojono. Byli wierzący i sekcję uważali za świętokradztwo. Jak rok temu trzeba było kroić Leszka, to bardzo przeżywali. I jeszcze pochowano go bez głowy... Krojenie trupa jest nie po chrześcijańsku. Leszek może i był ciotą, a tego nie toleruję pod żadnym pozorem. Oni zresztą też ciężko to przeżyli, jak im powiedział. Ale był ich synem. I okropnie się przejęli, że musiał być krojony. Zamiast spokojnie pochowany w grobie jak chrześcijanin. A teraz miało to samo być z Dominiką. A że ja mam swoje dojścia, to tak właśnie zrobiłam. Załatwiłam im to. Dogadałam się z tym nieopierzonym medykiem sądowym. Znam go trochę przez dalekich znajomych, więc mogłam do tego taktownie podejść. Dom pogrzebowy należy do moich chłopaków, więc i oni nie powiedzieli, że sekcji nie było. Udało się bez problemów. Jak wszystko, co załatwiam ludziom. Ale nie za darmo. W życiu nie ma nic za darmo. To tyle. No więc poszłam do nich, żeby mi zapłacili. A znalazłam to... to prześcieradło.

Malwina wiedziała o tej inscenizacji tylko z opowieści Daniela, ale i tak się wzdrygnęła. Tu w Rarogach myśl o ciałach Konopków przebranych za

duchy, z wyciętymi sercami, wydawała się jeszcze bardziej przerażająca.

Przez chwilę żadna z nich nic nie mówiła.

– Zniknięcie Tomasza to moja wina – odezwała się nieoczekiwanie cicho Hanna. Teraz Malwinie zdawało się, jakby trzęsąca wioską duchów kobieta miała się rozpląkać. Podobno każdy ma czuły punkt. Hanna najwyraźniej też.

– Dlaczego? – zapytała natychmiast Weronika.

– Bo to ja wysłałam go tym autobusem. Jechał po lek dla mnie. Chłopcy akurat wzięli samochód, a ja powiedziałam, że nie chcę czekać. Że chcę dostać leki natychmiast. I on powiedział, że pojedzie autobusem, a potem chłopaki go zgarną w Nowym Mieście, jak będą wracać z zakładu pogrzebowego. To było oczywiście bez sensu, bo równie dobrze mogli przywieźć leki. Ale wtedy nie myślałam jasno. Czasem miewam migreny. Starość... No i Tomasz chciał koniecznie mnie uspokoić, dlatego pojechał. Gdyby nie pojechał tym autobusem, może by tu teraz był.

Kopp nawiązała chyba z gospodynią nic porozumienia, ale Malwina zastanawiała się, czy powinny wierzyć Hannie. Staruszka niby wyglądała na przejętą losem wnuka, ale to równie dobrze mogła być gra.

No i była jeszcze kaplica. Te wszystkie swastyki jednoznacznie wskazywały na to, kto tam bywał. Nawet gdyby jeden z łysych nie wyskoczył stamtąd prosto na nie.

– Co pani... – pisarka szukała odpowiedniego słowa – podopieczni robią w kaplicy za wsią?

– Spotykają się tam. To ciche, spokojne miejsce. Pewnie dlatego Majchrzak chciał tam urządzić spa.

Malwina zamierzała właśnie zapytać o dziwne słowo, które budziło w niej tyle niepokoju, ale wtedy doszło do niej, co właśnie usłyszała.

– Czekał. Stop. Majchrzak, co? – podchwyciła Klementyna. – To on chce zrobić tu spa, co?

Dopiero próbowały ustalić, kto chciał kupić tę działkę. Teraz już wiedziały kto. Widocznie Stefan Majchrzak chciał dogadać się ze Szczepanem Prawdą. W tym czasie pojawił się na scenie Ciszyciel, który też interesował się tym miejscem. Leszek pojechał do Nestora na widzenie, żeby mu powiedzieć o ewentualnych przekrętach kardiochirurga. Te zdarzenia się ze sobą łączyły czy były tylko zbiegiem okoliczności?

– Tak. Ten lekarz. Od tej zaginionej Edyty – uściśliła Hanna Lorenz. – Co jesteście takie zaskoczone? Niewielu wiedziało, że to on jest kupcem. Wolał pozostać incognito i zdaje się z Obuchami i Prawdą kontaktował się jakiś jego asystent. Ale ja swoje wiem.

Daniel mówił Malwinie, że Stefan Majchrzak zostanie zatrzymany. Być może już to się stało. Na wszelki wypadek Górską wysłała policjantowi esemesa z nową informacją. Po namyśle wysłała mu też zdjęcia zrobione w kaplicy. Martwiec. To słowo mogło nie mieć żadnego znaczenia, ale wywoływało w niej niepokój. Wolała, żeby Daniel je zobaczył.

Emerytowana policjantka odwróciła się do Hanny Lorenz.

– Skoro tak wszystko wiesz o wszystkich, to co powiesz nam o Ciszycielu, co?

Hanna spojrzała na Klementynę. Jej pokryte bielmem oko zdawało się teraz błyszczeć.

– Podobno też interesowała go kaplica – wtrąciła się Weronika.

– A to nie wiedziałam. Ale swoją drogą nie tylko Konopkowie chcieli pochować córkę jak najszybciej – powiedziała bez związku staruszka. – Jeszcze komuś bardzo na tym zależało.

ROZDZIAŁ 55

Szpital w Brodnicy.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 12.20.

Aspirant Daniel Podgórski

No ale może posłuchaj, co odkryłem na temat rodziców Dominiki – powiedział doktor Koterski. – Czy to cię nie interesuje?

– Interesuje mnie.

– Dobrze. Bo mamy pewien schemat. W przypadku Konopków też doszło do zadzierzgnięcia. Czyli cała trójka de facto zginęła w podobny sposób. Tyle że Dominice nie usunięto serca.

– A Leszek Konopka? – zapytał Łukasz. – On też był uduszony, zanim odcięto mu głowę?

– Teraz czekamy na informację, czy został postrzelony w głowę – przypomniał medyk sądowy.

– Jedno chyba nie wyklucza drugiego – uparł się Łukasz.

Daniel pozwolił mu na chwilę przejąć kontrolę nad dyskusją. Musiał się wyciszyć. Nie chciał kłótni z medykiem, a wszystko zaczynało do tego prowadzić. Szczerze mówiąc, spodziewał się czegoś więcej po Koterskim. Ale lekarz zdawał się zmęczony. Oczy miał podkrążone, a pulchne zazwyczaj policzki zapadnięte. Choroba członka rodziny odbiła się również na nim. Daniel nadal nie wiedział, o kogo dokładnie chodzi. Najwyraźniej jednak to musiał być ktoś bliski, skoro Koterski tak bardzo to przeżywał.

– To prawda, chłopcze. Niestety dekapitacji dokonano w taki sposób, że nie mogłem tego stwierdzić. Pamiętam to dokładnie.

Przez chwilę żaden z nich nic nie mówił. Trup na stole sekcyjnym zdawał się bardziej rozmowny niż ich trójka. Wszyscy pograżyli się w swoich myślach. Nagle Daniel poczuł, że telefon wibruje mu w kieszeni. Wyciągnął go i zerknął na wyświetlacz. Wiadomość od Malwiny. Zdjęcie słowa, jakby napisanego przez dziecko. Martwiec. Dziwne. Poza tym Górską napisała, że Majchrzak chciał kupić teren w Rarogach. Ciszyciel być może też. Chodziło o tę kaplicę, o którą walczyli bracia Obuchowie i Szczepan Prawda.

Podgórskiemu błysnęła nagle myśl, że coś przeoczył. Nie mógł jednak jej uchwycić.

– Zastanawiam się, dlaczego Ciszyciel włożył serca do garnka – odezwał się Łukasz, przerywając ciszę. – Myślałem, że seryjni mordercy zabierają trofea.

– Nie wiemy nawet, czy on jest seryjnym mordercą – powiedział Daniel.

– Według definicji seryjny to ktoś, kto zabił co najmniej trzy osoby – przypomniał syn profesorskim tonem. – Ciszyciel ma ich więcej na koncie. To jak byś go inaczej nazwał?

– Chodziło mi raczej o to, że niekoniecznie to musi być osoba, która zabija ot tak. A pewnie z tym kojarzysz seryjnego. W jego działaniu może być jakiś motyw, którego nie widzimy.

– Seryjny też ma motyw.

– Jo. Ale chyba dobrze wiesz, o co mi chodzi, co, młody?

Podgórski tracił cierpliwość. Odetchnął głębiej. W sali sekcyjnej nie był to najlepszy pomysł. Policjant nie był szczególnie wrażliwy na zapachy, ale i tak zrobiło mu się niedobrze. Chciał właśnie powiedzieć, żeby wyszli na korytarz, kiedy rozległ się sygnał wiadomości. Policjant sięgnął po telefon. To był kolega ratownik. Napisał, że na chwilę stracił z oczu Ewę Skrzetuską, a w tym czasie pielęgniarka gdzieś wyszła. Nie było jej w szpitalu.

– Kurwa – mruknął Daniel.

To by było na tyle, jeśli chodzi o nieprofesjonalną obserwację. Teraz nie było sensu biegać i jej szukać. Narzeczona Ciszyciela mogła być gdziekolwiek. Jeżeli wróci do domu, to zauważą ją obserwujący budynek koledzy z patrolówki. Jeżeli nie, trudno będzie ją zlokalizować.

– Co się stało? – zapytał Łukasz.

– Skrzetuska wyszła. Nieważne. Nie zakładaj z góry, że Ciszyciel zabił te osoby z autobusu. Klementyna dałaby ci w łapy. Jeszcze nie wiemy, co się z nimi stało.

– Z całym szacunkiem dla tej twojej Klementyny, ale to jest stara szkoła – zaśmiał się syn. – Teraz mamy dużo nowych kursów i zamierzam zapisać się na najwięcej, jak się da. Teraz działa się inaczej niż za jej czasów.

Daniel zobaczył, że po twarzy Koterskiego przebiega uśmiech. Chyba po raz pierwszy tego dnia. Podgórski też miał ochotę się uśmiechnąć. Z lekkim pobłażaniem, ale też może z zazdrością. Tyle było zapału w młodym policjancie. A tak mało jeszcze frustracji, z którą Daniel teraz się mierzył. Chciał poczuć to samo co kiedyś. Ekscytację, kiedy tropi się sprawcę. I absolutną satysfakcję, kiedy wszystkie elementy układanki wskazują już na swoje miejsca i do siebie pasują.

– Jeden z nich na pewno nie żyje – dodał Łukasz. – Przecież wszyscy mówią, że Ziółtek znalazł ciało w bazie. I że to pewnie ten katecheta, Modest Obuch. Jeszcze go pan nie oglądał, prawda?

– Spokojnie, chłopcze – zaśmiał się po staremu Koterski. – Doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny. A przy okazji pamiętaj, że wiedza z kursu to jedno, a wiedza zdobyta przez doświadczenie to drugie. Nie odrzucaj starej szkoły, tylko z niej czerp. A potem dokładaj swoje cegiełki. Wracając do Konopków. Nie widziałem żadnych śladów, żeby się bronili. Jakby spali, kiedy ich zaatakowano.

– Ziółkowski mówi, że zrobiono to w sypialni – powiedział Daniel.

– Tak. Ale czekam jeszcze na wyniki toksykologii. Bo mimo wszystko wydaje mi się, że któreś z nich by się obudziło, jak drugie było mordowane obok. No nie wiem.

– Dlaczego akurat serca? – zapytał Łukasz. Wydawał się podekscytowany.
– I dlaczego akurat piłą mechaniczną?

– Dziewczyny dowiedziały się wczoraj, że Bożena Prawda skarżyła się, że ukradziono jej nową piłę – powiedział Daniel. – Przy założeniu, że...

– Przy założeniu? – zapytał syn, uśmiechając się chytrze.

– Ty nie bądź za mądry, młody – rzucił Podgórski, uśmiechając się znowu. – Przy założeniu, że nie kłamała, Ciszyciel zabrał piłę. Być może teraz i wtedy, kiedy zginął Leszek. Czyli stosuje to samo narzędzie. Zastanawiam się, dlaczego akurat piłę. Czy to ma jakieś znaczenie, czy

może chodzi po prostu o łatwość, z jaką przecina ciało. No chyba że sklepikarka kłamała.

– Bożena Prawda nic nam już nie powie, a ja z jej ciała akurat tego nie wyczytam – powiedział Koterski. – Przyczyna jej zgonu jest bardzo łatwa do ustalenia. Zginęła od wybuchu. Będziesz miał wszystko w protokole.

Medyk sądowy znów zrobił się ponury i najwyraźniej nie miał ochoty rozwijać tematu. Podgórski uznał, że nie będzie wypytywać. Śmierć Bożeny Prawdy była oczywista. Miał na to świadków, którym ufał.

– Wracając do tego seryjnego, czy też nie seryjnego – poprawił się Łukasz. – Teraz sobie pomyślałem, że właściwie cała rodzina Konopków nie żyje. Jakby z jakiegoś powodu Ciszyciel wziął się właśnie na nich. Więc może masz rację, że to nie jest typowy seryjny, który atakuje nieznane sobie osoby. Autobus też mógł porwać dlatego, że jechała nim Dominika Konopka. Może już wtedy chciał się z nią policzyć. Ale mu uciekła.

Syn miał rację. Faktycznie cała rodzina Konopków nie żyła. Leszek zginął rok temu. Odcięto mu głowę piłą, a wcześniej prawdopodobnie zastrzelono. Dominika została uduszona przed kilkoma dniami. A ich rodzice uduszeni i potraktowani również piłą mechaniczną. A do tego przebrani za duchy. Modus operandi jednak nieco inny, ale fakt pozostawał faktem. Wszyscy Konopkowie nie żyli.

– Tylko dlaczego czekał od lutego, żeby ją zabić? – głośno myślał Daniel.

– Przecież wiedział, gdzie jej szukać. O jej powrocie też było głośno.

– Może przez kilka miesięcy był zajęty czymś innym – zasugerował Koterski. – Albo może czekał, aż dziecko będzie większe.

Podgórski spojrzał na doktora Koterskiego zaskoczony. O takim rozwiązaniu zupełnie nie pomyślał. A teraz wpadł mu do głowy szalony pomysł. Majchrzak zeznał, że ojcem dziecka Dominiki mógł być Szczepan Prawda lub Modest Obuch. A jeśli to Ciszyciel był ojcem?

– Albo zaczęła sobie coś przypominać – zasugerował Łukasz. – Nagrała się przecież babci. Może myślał, że ona nic nie pamięta, i chciał ją oszczędzić.

Daniel skinął głową. Ta teoria brzmiała przekonująco. Według niej nie dziwiło nawet to, że Ciszyciel zjawiał się na pogrzebie. Może chciał pożegnać swojego potomka. Nie, chyba jednak te teorie szły za daleko...

A może rację miał Koterski, mówiąc, że Ciszyciel był czymś zajęty. Ewa Skrzetuska powiedziała, że jej narzeczony jest chory na raka i że ostatnio

mu się pogorszyło. Może przez kilka miesięcy po prostu nie był w stanie zająć się Dominiką. Może dopiero teraz poczuł się lepiej i zaczął działać.

Ale co się stało z pasażerami autobusu? Nie było ich w pomieszczeniu z łańcuchami. Był za to jeden częściowo odkopany trup nieopodal bazy. Dlaczego Ciszyciel go rozkopał? Może chciał tam pochować kolejną osobę? Jeżeli tak, to chyba nie zdążył.

– Seryjni mordercy miewają epizody wyciszenia – wyrecytował znów Łukasz, wrywając Daniela z rozważań. Najwyraźniej ostatnio się o tym uczył, bo wyglądał na wykutego na blachę. – Może o to chodzi. Może trzymał ich jak w spiżarni. Przychodziła mu ochota zabijać, to zabijał.

Nagle po raz kolejny Daniel poczuł wibracje w kieszeni. Sięgnął po telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko szefa techników. Niechętnie odebrał.

– Co tam? – zapytał Ziółkowskiego. Starał się, żeby jego głos brzmiał neutralnie.

– Pies złapał trop. Ale nie od razu – odparł bez przywitania Ziółek. – Najpierw się tylko kręcił, bo pewnie gość wsiadł do samochodu. Potem przewodnik poszedł się z nim przejść, żeby trochę odetchnąć, i wtedy nieoczekiwanie złapał trop. Zgadnij, gdzie poprowadził.

Podgórski nie miał teraz ochoty na zgadywanki.

– Gdzie?

– Do domku myśliwskiego Stefana Majchrzaka. Mari Carmen mówi, żebyście przyjechali z Łukaszem jako wsparcie. Będziemy tam wchodzić.

CZEŚĆ 8
CISZYCIEL

ROZDZIAŁ 56

Squat Wolność.

Sobota, 27 marca 2004.

Godzina 17.45.

Ciszyciel

Ciszyciel usiadł ciężko na kanapie w pokoju Trzeciego. Okno ciągle się psuło i nie mogli przewietrzyć pomieszczenia. Normalnie przeszkadzałoby mu to, ale nie dziś. Nie mógł zapomnieć oczu tej dziewczyny. Budziły w nim emocje. Mnóstwo emocji. I powodowały, że nie mógł przestać myśleć o przeszłości.

*

W końcu został adoptowany.

Niezbyt mu się to podobało, bo w tamtym czasie akurat wypracował sobie w sierocińcu jaką taką pozycję. Nie wierzył też, że w nowym domu spotka go cokolwiek lepszego niż dotychczas.

Nie pomylił się.

Adopcyjni rodzice marzyli tak naprawdę o własnym dziecku. On stanowił tylko zastępstwo. I to nie takie, jakiego chcieli. Zgłosili się po dziewczynkę, ale nie było żadnej, a nie chcieli czekać. Potem żalowali.

Nowy ojciec lubił powtarzać to Ciszycielowi co wieczór.

Jak bardzo przypominało mu to biologiczną matkę.

– Nigdy nic z ciebie nie będzie – mówił, podkreślając wąsy.

Ciszyciel patrzył na nie z zazdrością. Zdawały mu się synonimem siły i mocy. Nigdy nie miał ojca. I może ten, nawet najgorszy, wydawał się tak

pożądany. Może dlatego Ciszyciel przez całe życie potem nosił wąsy. Na cześć mężczyzny, który tak naprawdę go nienawdził.

Jakiż w tym paradoks.

*

Wraz ze zmianą miejsca zamieszkania pojawiła się też szkoła.

To było kolejne miejsce, gdzie mogło spotkać Ciszyciela coś złego. Życie nauczyło go, że trzeba zaatakować, zanim zaatakują ciebie.

To właśnie robił.

A miał już swoje sposoby.

Poza tym nieoczekiwanie odkrył, że przyciąga do siebie ludzi.

Odrzuconych i skrzywdzonych.

Jak on sam.

Dokładnie wiedział, w jaką strunę uderzyć, bo przecież wszyscy oni czuli to samo. Ich historie mogły być inne, ale czuli to samo.

Byli niechciani.

Dopóki nie znaleźli siebie nawzajem.

I razem mogli przeciwstawić się całemu światu.

Najpierw Ciszyciel poznał Witka. Nazwał go Witkacym, bo przecież nie mogli tak po prostu nazywać go Witkiem. Tak jak Ciszyciel nigdy nie używał imienia, które dała mu matka. Przyjaciel musiał mieć nadane nowe. Kiedyś Ciszyciel sam siebie ochrzcił w ciemnej, bezpiecznej piwnicy Kwiatowego Raju.

Później dołączył do nich trzeci kolega. Nie mieli pomysłu na jego imię, więc nazwali go zwyczajnie Trzecim. Chyba się nie gniewał. Akceptował wszystko, byle go do siebie dopuścili. Nawet to, że zawsze był w cieniu. Na ostatnim miejscu. Choć Ciszyciel zawsze się starał go dowartościować. No i z nich wszystkich tylko on pozostanie na warcie.

Byli wtedy wyrzutkami i muszkietierami w jednym.

Ciszyciel zaczytywał się książkami, które kiedyś kochała jego biologiczna matka. Potem odnajdywał kolejne pozycje. Aż zrozumiał, w co wierzy.

Wtedy przekazał to pozostałym.

Mieli już kierunek, w którym szli.

Mieli cel.

Mieli też powód, żeby walczyć.

Ciszyciel pamiętał, jak bardzo był wtedy szczęśliwy.

Ale jeszcze szczęśliwszy się stał, kiedy odkrył wybuchy.

Szkoła niezbyt go interesowała. Większość nauczycieli uważała chyba nawet, że jest trochę niedorozwinięty.

Nie prostował.

Tak było łatwiej.

Już wiedział, kiedy należy pokazać swoje prawdziwe oblicze, a kiedy lepiej nie.

Większość przedmiotów faktycznie ignorował. Interesowała go tylko chemia i fizyka. Zaczęło się od tego, że na jednej z lekcji nauczycielowi doświadczenie nie wyszło i przypadkiem zainicjował niewielki wybuch. Próbował przykryć tę wpadkę pełnym zażenowania śmiechem. Większość klasy rechotała, widząc jego nadpalone jak w komiksie brwi.

Ale Ciszyciel siedział cicho.

Wybuch.

To było coś pięknego...

Jeszcze nie za bardzo rozumiał, ale podświadomie czuł, że wybuch to kwintesencja ciszy.

Był w każdym razie pewny, że po lekcjach będzie musiał spróbować.

I spróbował.

Raz i kolejny.

Wkrótce osiągnął perfekcję.

Witkacy i Trzeci też próbowali, ale nigdy nie byli tak dobrzy jak on.

Wkrótce okazało się, że wybuchy można wykorzystać przeciwko swoim przeciwnikom. Dobry wybuch potrafił zmazać pełne zadowolenia uśmieшки nazistowskich śmieci.

Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy straciło zupełnie na znaczeniu.

Poza tym w przypadku wybuchu nieważne, ile wzrostu ma twórca bomby.

Ważne, jak bardzo jego dzieło potrafi zranić.

Nie wiedział nawet, jak ogarnął go martwiec.

CZEŚĆ 9

AUTOBUS

ROZDZIAŁ 57

Rarogi.

Poniedziałek, 26 października 2020.

Godzina 18.00.

Dominika Konopka-Piekarska

Dominika obierała kolejny ziemniak. Robiła to niezbyt dokładnie, ale bolały ją plecy i zupełnie, ale to zupełnie nie mogła się skupić. Nawet na najprostszych i automatycznych czynnościach. Cięża przebiegała prawidłowo. Ból pleców był jedną z nielicznych dolegliwości, które odczuwała. Jakby dziecko nie chciało robić jej kłopotów po tym, jak zostało poczęte.

Dominika wzdrygnęła się na wspomnienie twarzy Szczepana Prawdy tuż nad swoją. Kierowca był kolegą jej męża. Czasem do nich wpadał. To stało się, kiedy mąż leżał pijany. Nawet się nie obudził, kiedy Szczepan ją gwałcił.

– Ależ dzisiaj mgła – powiedziała matka, wyrywając ją z zamyślenia.

Alina siedziała na drugim stołku i też obierała ziemniaki. Robiła to znacznie szybciej i zręczniejsz niż córka. Nóż dosłownie fruwał w jej spracowanych dłoniach. Czasem budziło to niepokojące myśli. Dominika znów się wzdrygnęła. Co jeszcze matka mogłaby takim nożem zrobić?

– Dawno takiej nie było – dodała jeszcze Alina.

– Tak – mruknęła Dominika w odpowiedzi i wyjrzała przez okno.

Mgła.

Mgła! Nagły przeblysłk świadomości. Dominika nie pamiętała praktycznie nic z dnia, kiedy zniknął autobus. A teraz wpatrywała się w mgłę za oknem i miała poczucie, że zaraz sobie coś przypomni. Jeszcze chwila i będzie

wiedziała, co się wtedy zdarzyło. To uczucie było jak słowo, które ma się na końcu języka.

– Uważaj no trochę – upomniała ją Alina.

Dominika dopiero teraz poczuła, że zraniła się w palec. Nagły powrót pamięci sprawił, że przestała uważać. Krew ściekała na obrane ziemniaki.

– Ale jestem nieuważna...

Nie chciała, żeby matka pytała o coś więcej. Tym bardziej że ojciec siedział przy stole i czytał gazetę. Dominika nie ufała ani Alinie, ani Zbigniewowi. Pamięć cały czas ją zawodziła i nie wiedziała dlaczego. Uczucie było jednak na tyle silne, że nie potrafiła się przemóc. Coś było z nimi nie tak.

A już na pewno nie chciała im mówić, że teraz pojawił jej się przed oczami zamglony las. Biegła. Biegła na oślep przez mgłę. Teraz pamiętała. I to, że ktoś strzelał. Chyba to widziała. Nie była w stanie przypomnieć sobie ani kto, ani do kogo. Ale była pewna, że huk w jej głowie to nie był wymysł. Tam był martwy człowiek. I wcale nie chodziło o upiora z opowieści. Ktoś został zabity! Była tego teraz pewna.

– Wszystko w porządku? – zapytał ojciec znad gazety.

Jego spojrzenie. Zbigniew czegoś od niej chciał czy tylko się zmartwił? Dominika nie potrafiła powiedzieć.

– Tak – zapewniła szybko.

Teraz jeszcze coś wpadło jej do głowy. Zgubili się. Tak to było. Od tego się zaczęło!

– Na pewno? – zapytał Zbigniew podejrzliwie. – Wygląda, jakbyś zobaczyła ducha.

– Przypomniałam sobie, że autobus pojechał nie tą drogą, co trzeba – rzuciła.

Sama nie pamiętała dlaczego. Nie powinna nic im mówić, zanim nie przypomni sobie wszystkiego. Trzeba się najpierw zorientować, kto jest po jej stronie, a kto nie. Przede wszystkim musi milczeć na temat strzelania. Musi. Nie jest przecież pewna, kto trzymał broń. Skoro ten ktoś nic jej dotąd nie zrobił, to pewnie myślał, że ona nic nie widziała albo nie pamięta. Lepiej, żeby tak zostało.

– Pamiętasz coś jeszcze? – zapytała matka gorączkowo. – Dominiczko? Pamiętasz?

Dominice zdawało się, że w oczach matki czai się coś dziwnego. Ale może tylko sobie wyobraziła.

– Nie. Zupełnie nic – skłamała. – Tylko mgła mi przypomniała, że zmyliliśmy drogę. Nie pojechaliśmy tą, co trzeba. To wszystko.

Ojciec złożył gazetę na pół. Zawsze tak robił, kiedy kończył czytać. A może nigdy jej nie czytał, tylko przeglądał zdjęcia. Nie kupował przecież prasy najwyższych lotów. To były brukowce, które donosiły o jakichś niestworzonych historiach.

Kiedyś nawet takich gazet nie kupował. To akurat pamiętała. Zaczął dopiero po jej powrocie. Zbierał wycinki na temat tego zdarzenia. Przerazało ją to. Pewnego dnia wszystkie spaliła. Wściekł się.

– Pójdę opatrzeć ranę – powiedziała.

Ruszyła do łazienki. Rodzicom wprawdzie nie zamierzała nic mówić, ale były osoby, co do których miała przeczucie, że może im zaufać. To były osoby spoza Rarogów, które na pewno nie miały z tym wszystkim nic a nic wspólnego. Klementyna Kopp, Maria Podgórska, Weronika Podgórska i jeszcze ta pisarka, Malwina Górka.

Próbowały dowiedzieć się, co się stało. Przyjeżdżały tu wiosną. Potem coraz rzadziej, bo sprawa zdawała się nie do wyjaśnienia. Nie udało się znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Ale Dominika nadal miała zapisany w telefonie numer do Marii. Ją polubiła najbardziej. Była taka ciepła, dobra i miękka. Taka jak powinna być mama albo babcia. Dawała poczucie bezpieczeństwa. Nie to, co Alina.

Dominika zamknęła się na zasuwkę. Kiedyś w ich domu w ogóle nie było łazienki. Chodziło się do wychodka, a kąpało w sporej balii w kuchni. Dominika jeszcze to pamiętała. Leszek był młodszy, więc już nie. Ojciec dobudował łazienkę i szambo po jego urodzeniu, żeby rodzinie było łatwiej. Ale pewnie nie zrobiliby tego nawet wtedy, gdyby Hanna Lorenz nie zarządziła delikatnej modernizacji ich wsi. Tylko od niej mogły wychodzić wszelkie inicjatywy. Samemu nie można było robić nic. Była jak królowa tego miejsca.

Dominika odkręciła kran. Skrzypnął i poleciała z niego woda. Przemyla rękę.

Mgła.

Mgła.

Mgła.

Strzelanie.

Powtarzała sobie te słowa w głowie w nadziei, że przypomni sobie coś więcej, zanim zadzwoni do Marii. Okręciła palec papierem toaletowym. Plaster nawet nie był potrzebny. Krew zaraz przestanie ciec.

Wyciągnęła telefon z kieszeni i wybrała numer Marii. Zaraz to wszystko opowie. Czekwała chwilę na połączenie. Starsza pani nie odbierała. Dominika już miała się rozłączyć.

– Dzień dobry, tu Maria Podgórska. Proszę zostawić wiadomość... – rozległo się w telefonie. A potem nieco ciszej: – To już się nagrało...?

Jakby Maria nie była pewna, czy udało jej się ustawić powitanie w poczcie głosowej. To było rozczulające. Dominika uśmiechnęła się. Naprawdę lubiła Marię.

– Dzień dobry, pani Mario – powiedziała po sygnale, który oznaczał, że można już się nagrywać. – Dziś jest mgła i tak sobie przypominałam... Bo wtedy też była mgła. Tam kogoś zastrzelono. I telefony nie działały.

Telefony nie działały. To Dominika przypominała sobie, kiedy już zaczęła mówić. Najwyraźniej pamięć stopniowo zaczynała wracać.

Mgła.

Mgła.

Mgła.

Strzelanie.

Niedziałające telefony.

Rozmowa o tym martwym... o upiorze...

Modest Obuch!, przypominała sobie nagle Dominika.

Modest Obuch. To on nie żył! To jego zastrzelono! Teraz była pewna. Kochała go. Pewnie dlatego przeżyła taki szok. Nie mogła uwierzyć, że on po prostu nie żyje, jak go zobaczyła. Był martwy. Martwy.

Zacząła wtedy po prostu biec. A każdy człowiek to było niebezpieczeństwo. Potencjalny agresor. Tak zadziałał jej spanikowany umysł. I to chyba sprawiło, że błąkała się po lasach, unikając ludzi, aż w końcu wyczerpana wyszła w okolicach Tamy Brodzkiej.

Modest Obuch nie żył! Teraz to wiedziała.

Oczywiście do niczego nigdy pomiędzy nimi nie doszło. Czowała palący wstyd na myśl o tym, jak bardzo się zdenerwowała, kiedy powiedział, że jedzie spotkać się z jakąś dziewczyną z Internetu. To świadczyło, że Dominiki nie brał pod uwagę. Niby to wiedziała, ale mimo wszystko łudziła

się nadzieją. Może dlatego, że Modest był zupełnie innym mężczyzną niż jej mąż. Dobrym. O ileż piękniejsze byłoby jej życie, gdyby właśnie z nim mogła być. To, jak pomagał Leszkowi, kiedy go wszyscy wyśmiewali i gnębili...

Policyjny psychiatra, z którym rozmawiała po powrocie, powiedział, że spotkało ją tak traumatyczne wydarzenie, że amnezja stała się jej formą ucieczki. Teraz te słowa miały sens. Widziała, jak ktoś zamordował Modesta. Mężczyznę, na którym tak jej zależało.

Już miała nagrać to Marii, kiedy usłyszała jakieś poruszenie za drzwiami łazienki. Ktoś tam był? Podsłuchiwał?

ROZDZIAŁ 58

U Ciszyciela.

Poniedziałek, 26 października 2020.

Godzina 18.00.

Tomasz Lorenz

Tomasz Lorenz starał się usiąść na tyle wygodnie, na ile to było możliwe. Wcale nie było to takie łatwe, kiedy do ręki miało się przyczepiony łańcuch. Przyzwyczyił się już trochę do jego ciężaru. Choć nie był nawet pewny, jak długo są w tym pierdolonym więzieniu. Wydawało mu się, że całe lata. A na pewno kilka miesięcy. Zarówno on, jak i Szczepan mieli już pokaźny zarost.

Ich całym światem było teraz pomieszczenie wielkości pokoju, który Tomasz zajmował w domu swojej babci w Rarogach. Do ściany przymocowane były uchwyty z łańcuchami. Na tyle mocno, że nie dało się ich wyrwać. A próbował niejednokrotnie. To było na początku ich zamknięcia tu. Potem przestał, bo uznał, że nie warto tracić sił i ranić sobie skóry. Nie tędy droga.

Podrapał się po ręce. Bywały dni, kiedy skóra go piekła, nawet jeśli nie walczył z łańcuchem. Niektóre rany nie goiły się przez długi czas. Choć pierdolony popapraniec, który ich tu trzymał, dawał im co jakiś czas środki medyczne do ich opatrzenia. No i środki higieny, takie jak papier toaletowy czy podpaski dla Edyty. Kiedyś Tomasz wzdrygnąłby się na widok podpasek. Teraz były mu obojętne. I tak wszystko robili wspólnie. Srali, sikali i jedli. Pierdolona pucha.

Kiedy Ciszyciel był w dobrym nastroju, zostawiał ich w spokoju. Jeżeli czymś mu podpadli... O, wtedy pierdzielony sukinsyn pokazywał drugie

oblicze. Tomasz nie był pewny, czy kiedykolwiek odrosną mu niektóre paznokcie. A poprzypalane rany na rękach na pewno zostawią trwałe blizny. Podtapianie i inne takie... Nie, wolał już nie wyliczać, co ten chory umysłowo człowiek im zrobił przez ten czas, kiedy tu byli.

– Jak myślicie, jak długo już tu jesteśmy? – zapytała Edyta Majchrzak, jakby myślała o tym samym co Tomasz.

Lorenz i Prawda wyglądali jak rozbitkowie z bezludnej wyspy z potarganymi brodami i za długimi włosami. Ale ona też nie przypominała dawnej siebie. Po eleganckiej kobiecie w czerwonym płaszczu, która wsiadła do autobusu tamtego dnia, nie pozostał ślad. Twarz miała opuchniętą. Oczy podkrążone. Makijaż dawno się zmył. Ciszyciel wyrwał jej kępy włosów, kiedy ostatnio mu się stawiała. Miała więc wzbudzające dziwny niepokój łyse placki na głowie.

Obciął im też racje żywnościowe, więc wszyscy wychudli. Tomasz nie pamiętał, kiedy ostatnio jedli. Był tak głodny, że aż głodu nie czuł. To był dziwny paradoks.

– Nie wiem – mruknął Szczepan Prawda. – Zupełnie straciłem rachubę.

Kierowca autobusu już od dłuższego czasu wyglądał na człowieka, który się poddał. Każdy inaczej traktował zamknięcie. Tomasz już na początku obiecał sobie, że nie skapituluje. Kurwa, nie zrobi tego. A to dlatego, że obiecał kiedyś Leszkowi, że zawsze będzie walczył do końca.

Leszek był chyba jedyną osobą, która kiedykolwiek Tomasza rozumiała. To był jego pomysł, żeby udawali to kurewskie prześladowanie. Nie chciał, żeby babcia kazała jakoś ukarać Tomasza. Nienawidziła gejów. Nie potrafiłaby zaakceptować, że ktokolwiek w jej rodzinie może nim być. A już na pewno nie jej jedyny wnuk.

No więc musieli z Leszkiem się ukrywać. Tomasz nienawidził każdego pierdolonego słowa, które rzucał do Leszka przy ludziach. Oszczerstwa, wyzwiska. To było straszne. Czuł się wtedy jak pierdolony tchórz. Co z tego, że to był pomysł Leszka. Tomasz był tchórzem, że nie umiał się przeciwstawić babci i jej ludziom.

Ale jak Leszek został zamordowany, Tomasz obiecał sobie, że z tym koniec. Tylko że chuj z tego wyszedł. Jak zwykle. Próbował porozmawiać z babcią. Wybrał najgorszy możliwy moment, bo była u niej akurat Dominika i zajrzał Modest Obuch. Chyba usłyszeli, co mówił. Babcia była wściekła. Absolutnie wkurwiona. Uważała, że to hańba. Tomasz musiał

przyznać, że się jej przestraszył. No i znów milczał. Był kurwa pierdolonym tchórzem.

Ale kiedy trafili do tego obleśnego więzienia i okazało się, że trzyma ich tu jakiś nienormalny typ o kurewsko idiotycznym przydomku Ciszyciel, Tomasz uznał, że koniec ze strachem. Nigdy więcej nie pozwoli się zastraszyć. Nie człowiekowi, który łązi w worku na głowie z otworami wyciętymi na oczy. Jak jakiś pierdolony Scarecrow z *Batmana*. To było czyste szaleństwo.

A jednak siedzieli w jego więzieniu już tak długo. I najwyraźniej nikt ich nie szukał. Bo jak to możliwe, że jeszcze nie zostali znalezieni? Leszek zawsze powtarzał, że nie wolno na nikim polegać. Tylko na sobie. Można szukać pomocy. Jak na przykład on szukał u Edyty. Ale nic poza tym.

Trzeba polegać na sobie. I tego Tomasz zamierzał się trzymać.

– Myślicie, że naprawdę jesteśmy w okolicach Cichego? – zapytał.

– A co to ma za znaczenie? – mruknął Szczepan.

– Dziwi mnie, że nikt nas nie znalazł, jeżeli jesteśmy tak blisko.

– Może gdzieś nas przeniósł – powiedziała Edyta. – To, że nas złapał w okolicach Cichego, nie oznacza, że nie jesteśmy na przykład w Bieszczadach albo gdziekolwiek.

Tę rozmowę prowadzili już tysiące razy. Zapadło milczenie. Jak zwykle.

– Masz jeszcze trochę wody? – zapytała Edyta, przerywając ciszę. – Strasznie chce mi się pić.

Usta faktycznie miała spieczone.

– Trzeba było zostawić sobie na zaś – warknął Tomasz. – Wiesz, że on ostatnio jest tu rzadziej. Powinnaś kurwa rozsądniej planować.

Mimo to podsunął w jej kierunku pojemnik ze swoją wodą. Można polegać tylko na sobie, ale byli w tym więzieniu zależni od siebie. Tomasz zdawał sobie sprawę, że sam stąd nie wyjdzie. Potrzebował współpracy Edyty i Szczepana, żeby poradzić sobie z tym zjebem Ciszycielem. A przynajmniej potrzebował, żeby ta dwójka nie robiła głupot.

Tomasz spojrzał na lampę nad drzwiami. To była świetlówka w rodzaju takich jak w szpitalach. Zwykle było na nich napisane *Badanie trwa*. Na tej było jedno słowo. Cisza. Nie było jej tu od samego początku. Pojeb zainstalował ją jakiś czas po tym, jak ich tu zamknął. Wyjaśnił, że mają siedzieć cicho i nigdy pod żadnym pozorem nie podnosić głosu. Sam

zawsze szeptał spod tej swojej maski z worka. Tomasz nie mógł nic na to poradzić, ale ilekroć słyszał ten nienaturalny głos, przechodził go dreszcz.

– Lampa będzie się zapalać, jak będziecie za głośno – poinformował któregoś razu Ciszyciel i poszedł sobie, zamykając za sobą drzwi.

Nie wyjaśnił, jakie miało to mieć konsekwencje. To wkrótce się okazało. Edyta krzyczała o pomoc. Wtedy lampa się zapaliła. Szczepan do niej dołączył. Jakby żadne z nich nie przewidziało, co się może stać. Tomasz nic nie mówił. Był wychowankiem babci i wiedział, że czasem warto słuchać rozkazów.

Miał rację. Ciszyciel wszedł do pomieszczenia i po raz pierwszy potraktował ich według swoich zasad. Tomasza też, mimo że ten milczał. Wtedy chłopak zrozumiał, że współpraca ich trójki jest nieodzowna. Nawet jeżeli on będzie cicho, i tak zostanie ukarany torturami, jeżeli oni złamią zasady. To wymuszało współpracę. Dlatego potrzebował Szczepana i Edyty, póki się nie wydostaną z tego pomieszczenia. Choć może później też. Nie wiedział przecież, co go tam czeka.

Bezpośrednio za drzwiami był chyba jakiś korytarz. Tomasz zobaczył go kiedyś, jak Ciszyciel do nich zajrzał i zostawił drzwi nieco za bardzo uchylone. Później pojeb chyba zorientował się, że popełnił błąd, bo zamontował podpórkę, która uniemożliwiała otworzenie się drzwi za szeroko. Najwyraźniej więc było tam coś, czego nie chciał im pokazać. A może po prostu cenił sobie nieujawnianie informacji. Informacja to była przecież karta przetargowa. Skoro chował twarz i posługiwał się tą ksywą zamiast imienia, to nie chciał, żeby znali jego tożsamość. W sumie nic dziwnego. Trudno, żeby się z nią obnosił.

Niekiedy Tomasz myślał, że to dobrze. Skoro Ciszyciel tak się przed nimi chował, to może obawiał się, żeby go nie rozpoznali i nie wskazali policji. To z kolei oznaczało, że ucieczka stąd nie była nierealna. Gdyby pojeb był całkiem pewny siebie, to chodziłby z odsłoniętą twarzą. Choć może miał po prostu taki kaprys?

Lampa to nie była jedyna rzecz, która została zamontowana z czasem. Pojeb wprowadzał sporo ulepszeń w ich więzieniu. W pewnym momencie na przykład dołączył głośniki, z których dobywał się jego świszczący szept. Niektóre z jego wypowiedzi były nagrane. Tak podejrzewał Tomasz. A to mogło oznaczać, że Ciszyciel nie zawsze tu jest. A jeżeli nie zawsze tu jest, to mogło to znaczyć, że da się stąd jakoś wydostać, kiedy go nie będzie.

– Mam dosyć tej śmierdzącej dziury – mruknął Szczepan. – Nigdy stąd nie wyjdziemy.

– A ja kurwa uwielbiam to urocze miejsce – zachnął się Tomasz. Naprawdę miał dość tego fatalistycznego nastroju. – Skoro tak nie chcemy tu być, to trzeba coś zrobić, żeby stąd wyjść, nie uważasz kurwa jego mać?

– Jak on nas tu w ogóle przyciągnął? – marudził dalej kierowca.

To faktycznie było dobre pytanie. Tomasz podejrzewał, że pojeb ich jakoś uśpił. Kiedy się tu obudzili, Tomasz czuł się jak naćpany. Miał zamęt w głowie. Pamiętał, że rozeszli się po okolicy, żeby szukać pomocy, kiedy autobus utknął w lesie. Lorenz był wkurwiony, bo strasznie chciał dojechać do Nowego Miasta. Babcia miała bóle i obiecał jej kupić leki. Nie chciała czekać, aż chłopaki wrócą samochodem, i kazała mu jechać autobusem. Nie sprzeciwił się, bo wiedział, że naprawdę cierpiała. Starość jej nie służyła.

– Bardziej to kurwa chciałbym wiedzieć, kto z was miał broń – warknął Tomasz.

Oprócz wędrówki po lesie przypomniał sobie również, że Modest Obuch został zamordowany. Najpierw ktoś go zastrzelił, a potem rozpiardolił mu głowę gaśnicą z autobusu. Tomasa najbardziej niepokoiła kwestia pistoletu. Wiedział, że chłopaki babci załatwiały czasem ludziom nielegalnie gnaty¹⁵. Wiedział, że babcia patrzy na to przez palce. Miał dziwne poczucie, że to jest właśnie jedna z takich klamek¹⁶. On nie miał broni przy sobie. A więc albo Szczepan, albo Edyta.

– Nikt nie miał – warknęła Edyta. Potem upiła kilka łyków wody. Na tyle łapczywie, że część rozlała.

– Uważaj no kurwa – skarcił ją Tomasz. – Oddawaj to już.

– To Ciszyciel zastrzelił Modesta – powiedziała i podała mu wodę.

Było to możliwe. Tomasz nie mógł tego wykluczyć. Po tym pojebie można było się spodziewać absolutnie wszystkiego.

– Albo Dominika – dodał Szczepan. – Przecież jej tu nie ma. Może z nim współpracuje.

Tego też nie można było wykluczyć. W busie byli w piątkę. Została ich trójka. Modest nie żył. A Dominiki nie było. Mogła być równie martwa jak Obuch. Ale mogła też być gdzieś za tymi drzwiami.

Tomasz znów spojrzął na drzwi, które dzieliły ich od korytarza. Łańcuch pozwalał im dojść do kibla i do umywalki. Pozwalał też zbliżyć się mniej więcej do środka pomieszczenia. Tam Ciszyciel kładł im tace z jedzeniem

i piciem. Do drzwi żadne z nich dosięgnąć nie mogło. Tak, jakby pojeb akurat to doskonale wyliczył. Choć inne rzeczy musiał poprawiać i zmieniać w razie konieczności.

– Może to ona strzelała – dodała Edyta.

Tomasz usłyszał dwa strzały w ciemności. Nie miał wątpliwości, co to było, bo regularnie bywał na strzelnicy. Wtedy zawrócił. Jak dobiegł na miejsce, Modest Obuch już nie żył. Obok ciała leżał pistolet. Stary walther. Być może kiedyś policyjny. A katecheta miał dodatkowo rozbitą głowę. Gaśnica leżała porzucona obok ciała. Tak jak klamka. Jakby ten, kto zabił, zupełnie się nie przejmował.

Zanim Tomasz zdążył zastanowić się, co robić, nadbiegła reszta. To znaczy Szczepan i Edyta. Bo Dominika zniknęła, a Modest leżał martwy. Wspólnie zdecydowali, że wezmą broń i poczekają w autobusie, aż przynajmniej trochę opadnie mgła. Wszyscy byli zdenerwowani, a przez cały czas mieli dziwne poczucie, że ktoś im się przygląda. Ten martwy, jak mówiła Dominika? Wtedy wydawało się, że nawet upiory istnieją. No i do pewnego stopnia istniały. Byli przecież tu. Tylko że pojeb był człowiekiem w masce, nie martwym mieszkańcem wsi ogarniętej zarazą.

Siedzieli jakiś czas w autobusie. Potem chyba zasnęli, a obudzili się tu. Ciszyciel musiał ich czymś uspić. Nie było innej możliwości. Przynajmniej Tomasz jej nie widział. Potem chyba jeszcze kilkakrotnie stosował tę metodę. Kiedy byli już tu.

Tomasz znów spojrzał na pieprzoną lampę. Cisza. Najpierw jak lampa się zapalała, Ciszyciel przychodził i ich torturował. Potem rzadko już im się zdarzało krzyczeć głośno, ale jeżeli ktoś tracił nad sobą panowanie i lampa znów się świeciła, to niekiedy po prostu budzili się po jakimś czasie. Tomasz podejrzewał, że Ciszyciel musiał wmontować tu coś, co wpuszczało do pomieszczenia gaz usypiający. Nie znał się na tym, ale pewnie nie było problemem coś takiego zrobić.

– Dominika strzelała? – zaśmiał się nagle Szczepan. Teraz dla odmiany wydawał się pobudzony. – Ona strzelała? Przecież to ty kurwa miałaś broń w torebce. Widziałem ją, jak grzebałaś, szukając drobnych.

Tomasz spojrzał na Szczepana zaskoczony. Siedzieli tu tyle czasu, a ten dopiero teraz to mówi? Lorenz odwrócił się w stronę Edyty.

– To prawda kurwa?

– On kłamie – zapewniła Edyta. – To musiał być pistolet Ciszyciela.

Tomasza nie przekonały jej słowa. Jeżeli Ciszyciel zastrzelił Modesta Obucha i potem jeszcze rozwalił mu łeb gaśnicą, to po co ich tu trzymał, a nie zabił, jak Modesta? Czego chciał? Jak nie wiadomo, o co chodzi, to zwykle chodzi o pieniądze. Mąż Edyty był bogaty, babcia też miała kasę. Tylko Bożena Prawda nie mogłaby zapłacić. Ale co? Pozostali nie wyrównaliby kwoty, której brakowało?

– Doprawdy? – zaśmiał się histerycznie Szczepan. – Widziałem pistolet w twojej torebce!

– Bądź kurwa cicho – upomniał go Tomasz. Nie chciał teraz zasypiać, nie chciał kolejnego bólu, jeżeli pojeb był na miejscu. – Chyba nie chcesz, żeby zapaliła się lampa.

– Pierdolę lampę! – zawołał Szczepan. – W dupie ją mam! Kurwa! Mam cię w dupie, Ciszycielu!

Wszyscy spojrzeli na świetlówkę. Nawet Szczepan wydawał się przerażony swoim wybuchem. Lampa mignęła, ale zaraz zgasła. Czekali teraz w absolutnej ciszy, co się stanie. Zazwyczaj po prostu się paliła. A po jakimś czasie przychodził Ciszyciel i potrafił zgotować im piekło. Albo budzili się być może z uśpienia.

Co teraz się stanie, skoro tylko mignęła? Popsuła się? Tomasz poczuł, że serce bije mu szybciej. Czyżby właśnie nadszedł ten moment?

[15](#) Slang. Pistolet.

[16](#) Slang. Pistolet.

ROZDZIAŁ 59

Rarogi.

Poniedziałek, 26 października 2020.

Godzina 19.00.

Dominika Konopka-Piekarska

Dominika zamknęła za sobą drzwi domu i ruszyła w mrok. O tej porze jesienią było zupełnie ciemno. Zwiastowało to długie zimowe noce. A wśród październikowych drzew wydawało się jeszcze ciemniej, mimo że księżyc rósł. Za kilka dni miała być pełnia.

– Dokąd idziesz?

Odwróciła się. Ojciec stał w drzwiach i się jej przyglądał. Wyglądało jednak na to, że nie wyszedł z domu, tylko był na dworze. A jeżeli tak, to nie on stał przed chwilą pod drzwiami łazienki. Czyżby matka ją podsłuchiwała? Z ich dwójki Dominika bardziej ufała Alinie. Może się myliła?

– Muszę się trochę przewietrzyć – wyjaśniła szybko.

To była prawda. Zresztą ostatnio regularnie spacerowała wieczorami. To łagodziło bóle pleców i uspokajało dziecko przed snem. Przejechała ręką po brzuchu, żeby ojciec wiedział, o co chodzi.

– Uważaj na siebie – rzucił.

– Oczywiście. Tym bardziej że uważam teraz za dwoje.

Miała nadzieję, że udawana wesołość w jej głosie udobrucha Zbigniewa. Nigdy się nie pogodził z tym, że to nie jest dziecko jej męża. Ojciec miał tradycyjne podejście do tych spraw. Uważał, że to ona sprowokowała Szczepana do gwałtu. Może dlatego nie potrafiła Zbigniewowi zaufać. Jak można mówić córce, że to ona jest winna gwałtu dokonanego na niej? Jaki

ojciec tak robi? Nie powinien chcieć ją pomścić, zamiast mówić jej, że sama tego chciała?

Ruszyła pomiędzy pustymi domami. Ich dawni mieszkańcy zdawali się ciągle tam być, mimo że ich serca od dawna już nie wybijały swojego rytmu. Byli martwi jak te domy. Jak ta wieś. Dominika przyspieszyła kroku. Teraz minie cmentarz i znajdzie się na leśnej drodze. Tam czuła się bezpieczniej niż na terenie Rarogów. Tam były tylko zwierzęta. Duchy nie zapuszczały się aż tak daleko. Przynajmniej tak jej się wydawało.

– Kogo my tu mamy?

Zatrzymała się w pół kroku. Wcale nie miała ochoty się odwracać.

– Hanna kazała ci przypomnieć, że dobra pamięć to nic dobrego.

Dominika już wiedziała, kto za nią stoi. To był jeden z przydupasów cholernej Hanny Lorenz. Odwróciła się. Tak. Ten nazywał się chyba Michał. Opanowało ją dziwne wrażenie, jakby starucha mogła czytać w jej myślach i wiedziała już, że Dominika sobie coś przypomniała. Ale to przecież niemożliwe. Musiało jej chodzić o to, co wtedy usłyszała z Modestem, kiedy byli u Lorenzów. Weszli akurat, kiedy Tomasz chciał wytłumaczyć babci, że jest homoseksualistą. Hanna była wściekła, że ktokolwiek to usłyszał. Do tego stopnia, że Dominika bała się, że nie wyjdą z tamtego domu żywi.

Dominika bywała tam regularnie, bo podupadająca na zdrowiu Hanna Lorenz potrzebowała pomocy. Modest Obuch wpadał w jakichś sprawach związanych ze strzelnicą, a tak naprawdę chodziło mu chyba o ratowanie od zła tych młodych neonazistów. Niedoczekanie. Żaden z nich nie chciał pomocy ani zmiany. Ale Dominice imponowało, że Modest i tak próbował.

Ani ona, ani katecheta nie chcieli usłyszeć wyznań Tomasza. Zbyt wiele wiedzy nigdy dobre nie było. Zwłaszcza jak się wiedziało coś nieodpowiedniego o nieodpowiednich osobach. Tak pomyślała w pierwszej chwili. Później, kiedy wreszcie opuścili dom Hanny, okazało się, że Modest już wcześniej o tym wiedział. Leszek mu powiedział. Dominika była zazdrosna, że brat zwierzył się nie jej, tylko Modestowi. Zawsze tak bardzo chciała, żeby brat ją kochał, a on wołał Modesta.

– Możesz uspokoić Hannę – powiedziała do łysego zbira.

– Panią Hannę – podkreślił łysy.

– Tak. Oczywiście, panią Hannę – zapewniła szybko, byle zostawił ją w spokoju.

Miała nadzieję, że starucha kazała mu ją postraszyć jedynie słowami. Hanna Lorenz była zdolna do wszystkiego. A chodziły plotki, że w młodości jeszcze bardziej. A Dominika naprawdę musiała teraz uważać za dwoje. Znów pogładziła się po pękającym brzuchu.

– Dobrze – odparł.

Rzucił jej jeszcze jedno złe spojrzenie i wycofał się z powrotem do wsi. Dominika odetchnęła. Ruszyła dalej leśną drogą. Jeszcze kilka kroków i będzie mogła z niej zejść na nieco węższą i bardziej ustronną. Biegła prawie równoległe do głównej. Przynajmniej początkowo. Potem skręcała w las i prowadziła aż do polany, gdzie mieszkańcy Rarogów lubili zbierać grzyby.

Dominika weszła pomiędzy drzewa i od razu poczuła się lepiej. Była bezpieczna. Jakby las zapewniał jej opiekę. Zwolniła kroku, żeby uspokoić oddech. Cięża była już zaawansowana, więc dyszała coraz ciężiej przy każdym większym wysiłku.

Już dawno zdecydowała, że się postara nie winić tego dziecka za to, w jaki sposób zostało poczęte. Nie była pewna, czy jej się to uda. Ale obiecała sobie, że przynajmniej spróbuje. Ojciec zakazał jej nawet myśleć o usunięciu ciąży. A ona była zbyt wyniszczona dziwnymi przejściami z autobusem, żeby przyszło jej do głowy się sprzeciwić. Zresztą chyba i tak by tego nie zrobiła. No a teraz dokonała wyboru i będzie musiała z tym żyć. Ona i dziecko.

Dominika postanowiła sobie, że nigdy nie będzie taka jak jej rodzice. Nie będzie temu dziecku niczego narzucać. Ani światopoglądu, ani wiary, ani niczego. Niech wybierze samo...

Nagle usłyszała jakiś hałas. To był chyba dźwięk silnika. Zwolniła kroku i wyrzała ostrożnie między drzewami. Miała rację. Na leśnej drodze stało auto. Reflektory zdawały się rzucać niesamowicie ostre światło w ciemności, ale była pewna, że jest niewidoczna w swoim ukryciu na bocznej ścieżce.

– Jak duży zasięg będzie miał wtedy wybuch?

To był Nestor Obuch. Nie dało się go pomylić z nikim innym. Długie włosy i charakterystyczne warkoczyki na brodzie. Ale z kim on rozmawiał? Zrobiła mały krok do przodu. Przy samochodzie stał jakiś niziutki mężczyzna. Był łysy. Miał za to bardzo pokaźne podkręcone wąsy. Nigdy przedtem go nie widziała. Przecież kogoś takiego na pewno by zapamiętała.

Nie dosłyszała jego odpowiedzi. Ale była prawie pewna, że Nestor i ten obcy rozmawiają o jakichś bombach. Skąd taki temat? Obuch co prawda miał swoje za uszami; Leszek wspomniał jej kiedyś, że robił koktajle Mołotowa na jakąś demonstrację. Ale tu, zdaje się, była mowa o prawdziwej bombie i...

Zaraz, czy Nestor nie wspomniał przed chwilą Leszka? Ledwie się powstrzymała, by nie wyjść z ciemności i zapytać, o co chodzi. Ale to nie wchodziło w grę. Czekwała bez ruchu. W końcu mężczyzna z wąsami wsiadł do samochodu i pojechał.

– Możesz już wyjść – oznajmił głośno i wyraźnie Nestor.

Zadrżała.

– Mówię, że możesz już wyjść, Dominika.

Jak ją zauważył? Co powinna teraz zrobić? Na te pytania nie było już czasu. Wiedział, że ona tu jest. Nie było sensu udawać, że nie. Odetchnęła. Nie chciała wyglądać na przestraszoną.

– Kto to? – zapytała, przedzierając się pomiędzy drzewami na główną drogę.

– Taki jeden gość.

Nie wyglądało na to, żeby Nestor chciał rozwijać temat.

– Rozmawialiście o Leszku? – zapytała mimo to. – Skąd on go zna?

– Moim zdaniem powinnaś pomścić brata – oznajmił Nestor bez związku.

– Ja ci w tym pomogę. Załatwię to i nie będzie już dłużej nierówności społecznych, rozumiesz?

Miała ochotę powiedzieć mu, że żadnej pomocy od niego nie chce. Ale ton jego głosu sugerował, że nie jest chyba w pełni władz umysłowych. Różne rzeczy się swojego czasu o nim mówiło, a ona zawsze uważała, że to złośliwości, bo miał inne poglądy niż większość. Większość, czyli cholerna starucha z laską i jej świta. Ale teraz Dominika miała wrażenie, że jest niebezpieczny.

– Tak – mruknęła więc w nadziei, że Nestor sobie pójdzie tak jak przed chwilą przydupas cholernej Hanny.

– Ogień cię oczyści – dodał Nestor. – Ciszyciel dobrze o tym wie.

ROZDZIAŁ 60

U Ciszyciela.

Poniedziałek, 26 października 2020.

Godzina 19.20.

Tomasz Lorenz

Po prostu zgasła – powiedziała Edyta.

Nadal czekali, co się stanie. Nie stało się nic. Kompletnie nic. Świetlówka z napisem *Cisza*, której tak bardzo się bali, zwyczajnie zamigotała i zgasła. Jakby to była zwyczajna lampa. Tomasz odchrząknął. Nie chciał robić sobie zbyt wielkich nadziei, ale mimo wszystko czuł przypływ optymizmu. Ciszyciel popełniał błędy i on zamierzał to wykorzystać. Ale najpierw wyjaśni sobie wszystko z tą dwójką.

– Po co ci była broń? – zapytał Edytę z nową mocą.

– A chuj z tym wszystkim – mruknęła Majchrzak. – I tak tu zgnijemy. Proszę bardzo. Strzeliłam do tego cholernego Modesta, ale tak naprawdę pistolet miałyśmy na ciebie, Szczepanku!

Zdrobnienie, którym Bożena często nazywała męża, zabrzmiało w ustach Edyty wyjątkowo sarkastycznie.

– Chciałyśmy cię postraszyć za to, że zgwałciłeś Dominikę – dodała. – Ale wyszło inaczej, bo dowiedziałam się, że Modest to Modest.

– Możesz kurwa jaśniej? – warknął Tomasz. Na razie niewiele rozumiał. Nie podobało mu się to. Zanim podejmie dalsze działania, chciał wiedzieć, na czym stoi.

– Ten typ zgwałcił Dominikę. – Edyta kiwnęła w stronę Szczepana. – Nie wiem, czy to robi na tobie jakieś wrażenie, Lorenz, chociaż z tego, co mówił mi Leszek, jesteś bardziej miękki, niż się wydaje.

Była w tym drwina. W dawnym życiu Tomasz być może miałby ochotę jej za to przyłożyć. Teraz latało mu koło chuja, co ona o nim myślała. Chciał tylko stąd wyjść. I naprawdę miał dosyć chowania głowy w piasek. Był gejem i już, a do tego się zapewne odnosiła. Był kurwa gejem. Nikomu nic do tego.

– Co dalej? – zapytał.

– Ja też zostałam zgwałcona. W latach osiemdziesiątych. Więc wiem, jak to jest. Mieszkałam wtedy w takim squacie. Nazywał się Wolność. Było tam dwóch braci. Modest i Nestor. To zrobił mi ten cholerny Modest. Ale nie poznałam go, kiedy wsiadłam do autobusu. Wyglądał zupełnie inaczej. Nie miał brody ani długich włosów jak kiedyś. Dwóch szefów squatu nade mną deliberowało. Nie pamiętam, jak się nazywali, bo byłam tam krótko. Ale zachowywali się jak sędziowie. Uciekłam stamtąd, jak zrozumiałam, że mi nie pomogą.

– Nasz świątobliwy Modest zgwałcił kobietę? – mruknął Szczepan.

– Nie wtrącaj się kurwa – polecił Tomasz. Nie chciał teraz tracić czasu. Gardził gwałcicielami. Nie było sensu poświęcać im czasu. A ze Szczepanem to się policzy, jak przyjdzie czas, żeby Szczepan zobaczył, jak to jest. Modest nie żył, więc rachunki były wyrównane.

– No więc jak ruszyliśmy po pomoc, to zawróciłam, bo wydawało mi się, że ktoś tam jest. Teraz już wiemy, że to był ten cholerny Ciszyciel. Ale wtedy myślałam, że upiór. Przez to durne gadanie. W każdym razie wydawało mi się, że ktoś tam jest, i strzeliłam. To był ten pierwszy strzał, który słyszeliście. Wtedy z ciemności wyszedł on. Znaczy Modest. Choć wtedy nie wiedziałam jeszcze, kto to, i miałam go za jakiegoś tam okularnika. Do tego źle ostrzyżonego. Ale on mnie rozpoznał. Powiedział, że nadal czuje mój zapach.

Edyta Majchrzak wyraźnie się wzdrygnęła.

– I? – zapytał Tomasz delikatniej.

– I przyznał się, kim jest. Przeprosił. Powiedział, że odnalazł Boga. – Zaśmiała się gorzko. – Odnalazł Boga? Dobre sobie! A mnie zniszczył życie! Po prostu strzeliłam do niego. To był drugi strzał. Broń rzuciłam na ziemię. Nie myślałam logicznie. To się stało szybko. Później udawałam, że wracam na miejsce, jak już wy podeszliście. To są te dwa strzały. Ale głowy mu nie rozwaliałam. To zrobił albo Ciszyciel, albo Dominika, albo któryś

z was. I tak tu siedzimy, więc możecie powiedzieć, czy to wy. Ja powiedziałam już wszystko.

Tomasz odwrócił się do Szczepana. Brzęknął łańcuch.

– Ty to zrobiłeś, chujku – oznajmił. – Jak przyszedłem, on już nie żył i miał pęknięty łeb.

– No i co kurwa z tego? – burknął kierowca autobusu. – Tak. Przywaliłem mu tą gaśnicą. Żałujesz go? Jak usłyszałem strzały, to pobiegłem z powrotem. Zobaczyłem, że Modest umiera, ale kurwa jeszcze dychał. A naprawdę nie był mi do szczęścia potrzebny. Chciałem sprzedać tę ziemię z kaplicą, a wiedziałem, że Nestora jakoś ugadam. No to skoro już prawie nie żył, to go dobiłem. Zadowoleni?

Nieoczekiwanie tyle rewelacji. Niedziałająca lampa. Błąd systemu. No i te wyznania. Tomasz nie był pewny swoich uczuć. Nigdy nie był szczególnie związany z Modestem. Choć może? Przecież katecheta pomagał Leszkowi. Wspierał go, mimo że nikt w Rarogach nie akceptował homoseksualizmu chłopaka. Nawet jego rodzice. A Modest zawsze mówił, że Bóg stworzył nas wszystkich i każdemu należy się szacunek. Może i Modest odleciał z tą wiarą, pomyślał Tomasz, ale zawsze był dobry. Nie zasługiwał jednak na śmierć, chociaż był kurwa gwałcicielem.

– Leszka też zabiłeś? – zapytał Tomasz powoli.

– Co? Jasne, że nie.

– To była twoja piła mechaniczna.

– Mówię, że to nie ja – wrzasnął Szczepan.

Świetlówka znów zamigotała. Potem zapaliła się na dobre. Niepozorny napis *Cisza* był wyraźnie widoczny.

ROZDZIAŁ 61

Rarogi.

Poniedziałek, 26 października 2020.

Godzina 19.45.

Dominika Konopka-Piekarska

Ogień cię oczyści, powtarzała sobie Dominika, idąc z powrotem do wsi. Straciła zupełnie ochotę na spacerowanie po lesie, skoro Nestor cały czas się tam kręcił. Jego słowa brzmiały dziwnie i niepokojąco. Chciała o nich zapomnieć, ale nie mogła. Wracali i wracali.

Ogień cię oczyści.

Ogień cię oczyści.

– No i proszę!

Przy jednym z opuszczonych domów stała Bożena Prawda. Dominika się wzdrygnęła. Co sklepikarka tu robiła? Po co łąziła po nocy? Czy wszyscy dziś się zmówili, żeby ją nękać?

– Wyszłam się przewietrzyć i kogo spotykam? – kontynuowała Bożena, jakby odgadła myśli Dominiki. – Kogo, jak nie tę kurewkę?

– Słucham?

– Dobrze słyszałaś.

– Nie rozumiem – powiedziała Dominika bezradnie. Ten wieczór obfitował w tyle emocji, że czuła, że aż za wiele.

– Myślisz, że nie wiem, czyje to dzieciątko? – zapytała Bożena, zdrabiając po swojemu. Mimo to słowa zabrzmiały ostro i groźnie. – Uwiodłaś Szczepka. Chciałaś mi go odebrać. Niedoczekanie.

– Twój mąż mnie zgwałcił – wydusiła Dominika. – Czy nikt nie może tego przyjąć do wiadomości?! Czemu wszyscy mnie winią?!

Czuła, że zaraz się rozpłacze.

– Kłamiesz, dziwko.

Stały tu we dwie w ciemności pomiędzy domami duchów. A gdzieś w lesie czaił się Nestor. Nie było gdzie uciekać.

– Nie kłamię! – zawołała Dominika. Może rodzice usłyszą i pomogą? – Twój mąż mnie zgwałcił, kiedy mój był pijany. Niczego od niego nie chciałam. Żyłam sobie spokojnie i pilnowałam swojego nosa.

– Kłamiesz, dziwko. I pożałujesz tego! Ty i twój bękart!

– Nie kłamię. Szczepan mnie zgwałcił.

Już kiedy to mówiła, Dominika poczuła, że pamięć znów zaczyna wracać. Zaplanowały z Edytą, że postraszą Szczepana. Po to wsiadły do autobusu. Już teraz pamiętała. Miały jechać do ostatniego przystanku i jak wszyscy wysiądą, zająć się kierowcą! Ale nigdzie nie dojechali, bo zgubili się we mgle. A potem strzały. I martwy Modest. A potem Dominika uciekła.

– Pożałujesz – zagrzmiała znów Bożena.

Dominika odwróciła się i zaczęła biec drogą z powrotem w stronę lasu. Zupełnie jak wtedy. Nie chciała tego słuchać. Pragnęła spokoju, aby sobie wszystko przypomnieć. Znów oddychała ciężko. Bieganie w zaawansowanej ciąży nie było łatwym zadaniem. Zwolniła. Bała się, że potknie się o korzeń i upadnie. I mogłaby zaszkodzić dziecku. Na samą myśl oblał ją zimny pot. Może dziecko było z gwałtu, ale je kochała. Chciała go. Teraz już tak.

Zaczęła iść przez ciemność, próbując uspokoić oddech. Wtedy zobaczyła, że na rozstaju dróg stoi ciemna terenówka. To był samochód tego niskiego mężczyzny, z którym rozmawiał niedawno Nestor. Jak on go nazwał? Ciszyciel? Coś takiego. W każdym razie na pewno coś związanego z ciszą. A więc ten człowiek nie odjechał. Co tu robił w ciemnościach?

CZĘŚĆ 10
CISZYCIEL

ROZDZIAŁ 62

Squat Wolność.

Sobota, 27 marca 2004.

Godzina 17.50.

Ciszyciel

Zastanawiasz się czasem, co u Baby-Jagi? – zapytał Trzeci, wyrywając Ciszyciela z zamyślenia.

– Czasem.

Teraz Ciszyciel bardziej był ciekaw, jak Trzeci zareaguje na jego decyzję. A już ją podjął. Będą musieli się rozdzielić. Ciszyciel miał już pomysł, w którą stronę pójdzie. Co zrobi Trzeci, to jego sprawa. Tu zagnieździł się martwiec.

Baza.

Ciszyciel myślał o tym od jakiego czasu. Układał sobie w głowie, co będzie w środku.

Tymczasem jego myśli znów wróciły do starych czasów.

*

W okresie młodości toczyli walki z nazistami Baby-Jagi. To była długowłosa kobieta o haczykowatym nosie. Nic dziwnego, że zaczęto ją w ten sposób nazywać. Ciszyciel już nawet nie pamiętał, kto pierwszy.

A może zawsze ją tak nazywano.

Ona najpierw się wściekała, że tak się o niej na mieście mówi. Potem chciała to przeciwko nim wykorzystać. Zaczęła stosować tę swoją metodę. W stosunku do ludzi, których złapała w nazistowskie pajęczne sieci.

– Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy – oznajmiała i dawała im szansę na ucieczkę.

Teoretycznie.

W praktyce wszyscy ci kolorowi, pełni wolności ludzie nie mieli szansy. Świta Baby-Jagi zawsze ich dopadała.

Ciszyciel postanowił ją zniszczyć.

Chciał, żeby jego miasto było wolne od uprzedzeń.

Dobre.

Najpierw jednak zło trzeba było zwalczać złem. Nie było wyjścia. Dlatego kiedyś dopadli jednego z jej nazioli.

To było w osiemdziesiątym czwartym...

I fiołkowe oczy tego typu zdradzały już tylko strach...

Dopadli go, nie tylko używając środków wybuchowych. Ciszycielowi udało się zdobyć chloroform. Bardzo go fascynowało, czy da się z niego skorzystać tak, jak to pokazywano w filmach czy opisywano w książkach.

Dało się.

Od tamtego czasu radzenie sobie z ludźmi Baby-Jagi było jeszcze łatwiejsze.

Zwłaszcza jeżeli przeciwnik był znacznie większy. Trzeba było korzystać z każdej metody.

Najpierw się ich usypiało, a potem atakowało już bezbronnego...

Ogarnął ich martwiec.

*

Ciszyciel odetchnął.

Raz jeszcze spojrzął w bezbronne fiołkowe oczy zgwałconej dziewczyny.

Pełne bólu.

Pełne cierpienia.

Bezbronne.

Dreszcz przeszedł mu po całym ciele.

CZEŚĆ 11

TERAZ

ROZDZIAŁ 63

Przed domkiem myśliwskim Stefana Majchrzaka.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 12.30.

Aspirant Daniel Podgórski

Podgórski widział wyraźnie, że ktoś jest w środku. Ktoś chodził po domku myśliwskim Majchrzaka. Przez niewielkie okienka nie dało się jednak stwierdzić kto. To było raczej poruszenie niż wyraźna sylwetka. Podgórski jeszcze go nie widział, ale podobno niedaleko w lesie stał nissan patrol. Nie było więc raczej wątpliwości, że to Ciszyciel czai się w środku.

Przewodnik psa znalazł to miejsce przypadkiem. Jego podopieczny zgubił trop, ale jego pan uznał, że chociaż pochodzi z nim po lesie. Kawałek dalej pies chwycił trop i na nowo podjął poszukiwanie.

Do Podgórskiego dotarło wreszcie to, co umykało jego uwadze przedtem. Ukryta w lesie baza była o rzut beretem od rezydencji Majchrzaków! A teraz okazało się, że zarówno kardiochirurg, jak i Ciszyciel byli zainteresowani kupnem kaplicy w okolicach Rarogów. Czyżby ta dwójka ze sobą współpracowała? Chociażby przez osobę Ewy Skrzetuskiej. Majchrzak już został zatrzymany. Teraz pora na Ciszyciela.

– Tam – szepnęła niemal bezgłośnie Mari Carmen.

Poruszała się zwinnie pomiędzy pniami drzew. Jej niski wzrost był niezaprzeczalnym atutem. Podgórski skinął głową, chociaż Sikora na niego nie patrzyła. Też to zobaczył. Kolejne poruszenie wewnątrz domku. Nie mogli stwierdzić, czy Ciszyciel wie, że domek jest otoczony przez policję. Oczywiście lepiej byłoby go zaskoczyć.

Zbliżali się od strony lasu, bo tu mogli się ukryć. Drewniany budynek stał niemal przy brzegu jeziora Ciche. Podgórski szedł, ostrożnie stawiając stopy. Znając Ciszyciela, można było obawiać się najgorszego. Równie dobrze i tu mogły na nich czekać wybuchowe pułapki. Coś takiego jak wcześniej w bazie.

Kiedy dojechali z Łukaszem na miejsce, Mari Carmen, Ziółkowski i przewodnik psa czekali gotowi do akcji. Sikora stwierdziła, że taka grupa wystarczy. Wykorzystają element zaskoczenia. Podgórski się z nią zgadzał. Poradzą sobie. Jeżeli za długo czekali by na większe wsparcie, morderca mógłby im się wywinąć. Trzeba było zaryzykować.

Po raz pierwszy od dawna poczuł przypływ adrenaliny. Chciał wejść do tego domku i złapać Ciszyciela. Po prostu jak dawniej. Może Łukasz zaraził go młodzieńczym entuzjazmem.

Zbliżali się powoli.

Jeszcze kilka kroków.

Mari Carmen kiwnęła Podgórskiemu głową, żeby to on otworzył drzwi.

Policjant zrobił krok i nacisnął klamkę.

Drzwi skrzypnęły, uchylając się.

Daniel zacisnął dłonie na służbowym glocku. Lubił strzelać, ale tylko na strzelnicy, zawsze miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał tego robić na służbie. Niestety się zdarzyło. Oby nie dziś. W domku mogła być broń. A nawet na pewno była, skoro Majchrzak był myśliwym. Podgórski podświadomie oczekiwał, że coś się wydarzy, ale nie. Przyroda jakby zastygła. Wokół nich panowała absolutna cisza, nawet wiatr nie szeleścił jesiennymi liśćmi.

Podgórski dziwnie się czuł, wiedząc, że to Sikora go ubezpiecza, ale wolał wejść pierwszy, niż gdyby miał to robić Łukasz. Nie dało się wyłączyć ojcowskiej chęci chronienia syna, nawet jeżeli Daniel starał się pamiętać, że Łukasz jest już dorosły i że jest równoprawnym, choć niedoświadczonym policjantem.

– Marcin? – rozległo się nieoczekiwane ze środka. – To ty?

ROZDZIAŁ 64

Cmentarz w Rarogach.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 12.30.

Klementyna Kopp

Może powinniśmy pójść na plebanię pogadać z księdzem? – zasugerowała Weronika. – Po co idziemy na cmentarz?

– To po drodze – mruknęła Kopp. – Do kaplicy już nie idziemy. Nie martw się.

Wcale nie dziwiła się niechęci rudej. Rarogi jak zawsze robiły ponure wrażenie. Ale! Cmentarz na skraju wsi jeszcze gorsze. Stare omszałe groby wyrastały tu i ówdzie z leśnej darni. Rzeźby aniołów i świętych zdawały ci się przyglądać, kiedy się je mijało. Podobne wrażenie Klementyna miała kiedyś w Utopcach. Takie niezbyt przyjemne uczucie déjà vu. A teraz jeszcze doszły do tego wspomnienia z soboty, kiedy Konopkowie rozkopywali grób Dominiki. No i wizyta w ponurej kaplicy, która znajdowała się za cmentarzem.

Starucha powiedziała im, że to ona załatwiła sprawę szybkiego pochówku Dominiki na życzenie Konopków, którzy podobno nie chcieli, żeby córka została pokrojona na stole sekcyjnym, bo to nie po chrześcijańsku. Cóż, tej wersji już nie sprawdzą, bo Alina i Zbigniew sami leżeli na stole. Hanna Lorenz dodała jednak na koniec, że również ksiądz Rokowski proponował szybki pogrzeb. Być może to właśnie on wpłynął na rodziców zamordowanej dziewczyny. No i proszę, sam nic na ten temat nie wspomniał, kiedy były u niego, więc Kopp zamierzała dokładnie go o to wypytać.

A jeszcze dokładniej o to, co starucha powiedziała, kiedy wychodziły. Jakby dopiero na samiuteńki koniec zdecydowała się o tym napomknąć. Albo jakby to... wymyśliła. Wizyta w kaplicy rzuciła nieco światła. Może nie wprost, ale dzięki temu poznały kolejne fakty. Być może tak samo będzie teraz na cmentarzu. Mimo że były tu zarówno w sobotę, jak i w piątek.

– Myślicie, że ksiądz naprawdę był tu w nocy z łopata? – zapytała Malwina. Najwidoczniej pomyślała dokładnie o tym samym. O kolejnej rewelacji zdradzonej im przez Hannę.

– Nie wiem, czy możemy wierzyć tej Lorenz. Ale! Kto powiedział, że możemy też ufać księżulowi – mruknęła Kopp. – Dlatego właśnie chcę najpierw się rozejrzeć i sprawdzić, czy same czegoś tu nie znajdziemy. A dopiero potem pójść do niego i zapytać.

Klementyna machnęła ręką w stronę plebanii, mimo że nie było jej stąd widać. Zasłaniały ją puste domy.

– Ale czego właściwie szukamy? – zapytała Weronika.

To było dobre pytanie. Hanna Lorenz twierdziła, że jeden z jej chłopców widział, jak ksiądz opuszcza teren cmentarza z łopata w ręku. To było w nocy z czwartku na piątek, czyli przed pogrzebem Dominiki.

– Jeżeli ksiądz miał łopata, to najwyraźniej kopał – wtrąciła się Malwina. – To dość oczywiste założenie.

Kopp wolałaby, żeby pisareczka zdjęła tę tonę żelastwa, którą miała w uszach i na rękach. Brzęczenie już z daleka zapowiadało ich nadejście. Niezbyt pasowało do policyjnej roboty. A tak to właśnie widziała. Może i była cywilem. Ale! Nadal wykonywała policyjną robotę. Dlatego nie można było zapominać o podstawach. Dyskrecja, dyskrecja i jeszcze raz dyskrecja.

– Założenie oczywiste nie znaczy, że najlepsze – poczuła się w obowiązku uściślić Kopp. Bardzo nie lubiła zakładać czegoś z góry. Nawet jeżeli coś wydawało się oczywiste, mogło być zupełnie czymś innym. – Ale! Na dobry początek założmy, że tak. Szukamy więc miejsca, gdzie tu kopano.

Rozejrzały się po terenie. Stare groby zdawały się zajmować ogromną przestrzeń.

– Rozdzielmy się, będzie szybciej – zaproponowała Weronika. – Jestem za rozwagą, ale tu chyba nic nam nie grozi. Cały cmentarz widać jak na

dłoni. Ciszyciel musiałby kucać za jakimś nagrobkiem, żeby się ukryć. A chyba nie możemy popadać w paranoję, że on czai się wszędzie...

Ostatnie zdanie zabrzmiało niepewnie. Kopp rozważała to przez chwilę. Pomiędzy drzewami panował półmrok, mimo że dopiero minęło południe. Wcale nie była pewna, czy powinny się rozdzielać. Z drugiej strony chyba wolą szukać sama. Lepiej można było się skupić na szczegółach. Ruda i różowa były dorosłe. Poradzą sobie bez jej opieki.

– Okej. No dobra. Rozdzielimy się. Startujemy tu i potem wszystkie tu wracamy. Powiedzmy za pięć minut. Sprawdzamy, czy wszystko jest okej, i działamy dalej. Zrozumiano, co? Żadnych wycieczek poza cmentarz. I żadnej samowolki. Działamy razem.

Stały nad grobem Dominiki Konopki. Ziała tu głęboka dziura, bo trumnę wyjęto, kiedy ciało zabrano do Koterskiego. To był dobry punkt zbiorczy, bo wszystkie dobrze go znały.

– I kto to mówi – mruknęła Weronika.

Kopp widziała, że Malwina uśmiechnęła się półgębkiem. Klementyna machnęła ręką. Niech się śmieją. Ruszyła pomiędzy grobami, szukając rozkopanej świeżo ziemi.

Zatrzymała się w pół kroku. Ależ była głupia. *Głupia-stara-baba*. Rozwiązanie miała przecież tuż przed sobą. Przed chwilą. Zawróciła.

– Wracajcie! – zawołała. Nie dbała o zachowanie ciszy i dyskrecji. Zresztą drzewa i niskie chmury zdawały się tłumić jej głos.

– Co ty robisz? – zawołała Malwina, podbiegając.

Weronika wyglądała na równie zaskoczoną, gdy spostrzegła, że Kopp wskoczyła do pustego grobu Dominiki.

– Mamy tu miejsce, gdzie świeżo kopano – uśmiechnęła się krzywo Klementyna. – Od tego powinniśmy zacząć.

– No ale ten łysy od Hanny widział księdza w czwartek w nocy – przypomniała ruda. – A Alina i Zbigniew kopali tu w sobotę rano.

– Ale grób musiał być przygotowany przed pogrzebem – wtrąciła się Malwina. W jej głosie słychać było napięcie. – Tylko że to nie ksiądz kopie grób. A wiemy już, że ludzie Hanny mają zakład pogrzebowy. Może to była ściema, że ksiądz chodził tu z łopata? Choćby po to, żeby ukryć fakt, że oni tu byli. Bo przecież jej koleś też był tu w nocy, skoro niby widział tu księdza. Tylko po co ten łysy tu był? Grobu raczej w nocy nie kopał?

– Sprawdzimy – odparła Kopp.

Rozglądała się za czymś, czego można by użyć jako łopaty. Nic przydatnego nie rzuciło jej się w oczy. Podwinęła przykrótkie rękawy skórzanego żakietu. Nie było innego wyjścia. Zaczęła rozgarniać ziemię gołymi rękoma. Tak jak wcześniej robiła to Alina Konopka. Ciekawa była, czy ma tak samo szaleństwo w oczach jak matka Dominiki wtedy.

– Chyba nie powinnyśmy... – zaczęła Weronika.

– Pomóżcie mi – ucięła Kopp. Nie miała ochoty na dyskusje.

Niestety żadna z nich nie kwapiła się, żeby wskoczyć do grobu i jej pomóc. Emerytowana policjantka kopała więc zawzięcie dalej. Sama.

– Klementyna, to chyba za wiele – włączyła się pisareczka.

Kopp słyszała te słowa w swoim życiu wielokrotnie. *To-za-wiele*. Na ogół w kontekście, że Klementyna w jakiejś sprawie przesadza. A raczej: robi coś inaczej niż trzeba. *Za-bardzo*. Nigdy się tym nie przejmowała i po prostu postępowała po swojemu. Zwykle prowadziło to...

Nagle poczuła pod palcami coś więcej niż wilgotną ziemię. Zaczęła odgarniać ją intensywniej. Wkrótce odsłoniła kawałek sportowej torby z widocznym przybrudzonym logo popularnego producenta. To była duża torba. Taka, jaką zabierali młodzi mężczyźni, żeby spakować potrzebne rzeczy na siłownię. Może nawet większa. Jeszcze chwila i przekonają się, dlaczego ktoś zakopał torbę pod trumną.

Sądząc jednak po zapachu, Kopp nie miała wątpliwości.

ROZDZIAŁ 65

Przed plebanią w Rarogach.
Poniedziałek, 2 listopada 2020.
Godzina 12.30.
Ciszyciel

Ciszyciel wysiadł ostrożnie z samochodu.

Ostatni kawałek musiał przejść pieszo. Nie dało się inaczej.

Kręciło mu się w głowie.

Może to z upływu krwi. Od wczoraj stracił jej sporo.

A może przez chorobę, która trawiła jego ciało.

Nie zamierzał odpuścić. O nie. Miał w sobie wystarczająco dużo siły, żeby zapomnieć o ranach i dotrzeć z powrotem do Rarogów.

Nie odpuści.

Nie on.

Ewie zostawił list, w którym wyjaśnił wszystko, co najważniejsze. Wiedział, że ona zrozumie.

Ścisnął w rękę nóż.

To nie była broń idealna. Wolałby doprowadzić do wybuchu. Zakończyć to raz, a dobrze. Ale kto wie? Może tak będzie lepiej? Kolejna strużka krwi, którą będzie obserwował. Ciekawe, czy będzie wsiąkała w deski tak szybko jak te wiele lat temu w beton.

Wtedy wszystko się zaczęło.

Narodził się martwiec.

Dziś wszystko się skończy.

W ciszy.

Choć cisza brzmiała najpiękniej po wybuchu. Kiedy pierwszy raz zrozumiał, że musi nauczyć się konstruować bomby, wtedy po nieudanym szkolnym eksperymencie, nie wiedział jeszcze, jak to działa. Potem dowiedział się, że różnicę ciśnień towarzyszącą detonacji, a właściwie drastyczne obniżenie ciśnienia, można porównać do próżni.

Gdzież może być ciszej niż w próżni?

Po wybuchu...

To taka mała przestrzeń kosmiczna. Tylko dla niego. Przez krótki moment, mniej niż dziesiąte sekundy, panowała cisza idealna.

Jego cisza.

Cisza, którą kontrolował.

Ale dziś tego nie będzie. Nie tym razem. Nie było czasu ani siły, ani materiałów, żeby coś przygotować. Ciszyciel nie mógł wrócić do bazy po wszystko, czego potrzebował. Tam mogła czekać policja. Miejsce było spalone.

W przerośni i dosłownie.

Dziś będzie musiał polegać na obcej ciszy.

To go nie powstrzyma.

Ani to, że choroba brała nad nim górę. Wracała i odchodziła. Ale teraz był pewny, że przyszła ostatecznie.

Musiał się spieszyć.

Wziął nóż. Broni palnej nienawidził. Brzydził się nią. Za bardzo kojarzyła mu się z autorytetem, z policją, z siłą większości. Dlatego zignorował cały arsenał Majchrzaka.

Nóż to była brudna robota.

I o to czasem chodziło. Żeby poczuć pierwotną siłę zadawania bólu. Jego życie w ostatnim czasie stało się bólem. Czas, żeby i on go zadał.

Ruszył chwiejnym krokiem w stronę plebanii.

Jeszcze kilka kroków i dotrze do budynku. Zaraz będzie po wszystkim.

Ciszyciel uśmiechnął się pod nosem.

Zaraz będzie po wszystkim.

ROZDZIAŁ 66

Domek myśliwski Stefana Majchrzaka.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 12.50.

Aspirant Daniel Podgórski

Proszę dokładnie wyjaśnić, co pani tu robi – rozkazała Mari Carmen.

Kilka minut, a tak duża zmiana nastroju. Opadły emocje. Podgórski i Sikora stali przed wyraźnie przerażoną Ewą Skrzetuską. Zniknęła gdzieś złość i pewność siebie, którą przejawiała pielęgniarka, kiedy policjant próbował rozmawiać z nią w szpitalu. Zaciskała w spoconych dłoniach zmiętą kartkę papieru.

– Ja... – Kobieta objęła się ramionami, jakby było jej zimno.

Zdecydowali się rozmawiać z nią na zewnątrz, bo Ziółkowski i Łukasz robili wstępne przeszukanie w środku. Nie można było wykluczyć, że Ciszyciel jednak gdzieś tam się czaił. Daniel zdążył sprawdzić nissana patrola. To był ten sprzed szpitala. Nie ten Marcina Ciszewskiego, choć marka i model były te same.

– To pani samochód stoi tam w lesie? – zapytał policjant.

– Jo – przyznała pielęgniarka. – Prezent od Marcina. Ma dojścia do dealera czy coś takiego. Mamy takie same. Albo mieliśmy...

Po twarzy pielęgniarki spłynęły łzy.

– Co pani ma na myśli? – podchwyciła Mari Carmen.

Pielęgniarka uniosła pognieciony świstek papieru. Podgórski włożył rękawiczki i wziął od niej karteczkę. *Kocham Cię, Ewcia.*

Tyle. Ale za to pismo było znajome. Dziecinne i dokładne. Takie samo jak na zdjęciu, które Malwina wysłała Danielowi.

To samo, którym napisano złowieszcze słowo *Martwiec*.

– Od kogo jest ten liścik? – zapytał Podgórski, choć podejrzewał, że zna odpowiedź.

– Od Marcina – wyjąkała pielęgniarka.

Daniel skinął głową. A więc to było pismo Ciszyciela. Dlaczego zapisał coś w kaplicy w Rarogach? Skąd to dziwne słowo? *Martwiec*.

– Pokaż – rozkazała Mari Carmen. Podgórski podał jej świstek. – Przecież to wyznanie miłosne. Czemu pani ryczy?

– Bo to jest pożegnanie. Pani nie zrozumie. Ja czuję, że Marcin nie napisałby tak, gdyby się ze mną nie żegnał. Znam go doskonale.

– Po kolei – poprosił Daniel delikatniej. – Proszę wszystko opowiedzieć. Zobaczymy, co da się zrobić.

– A niby co da się zrobić? – zawołała Ewa Skrzetuska. – Wy go szukacie z powodu morderstwa! A on chyba sam jest ranny.

Skinęła głową w stronę domku myśliwskiego. Daniel widział na podłodze zakrwawione bandaże. Wyglądało na to, że Ciszyciel ucierpiał, detonując ładunki wybuchowe. Przeliczył się chyba. Z takimi rzeczami nie należało igrać.

– On potrzebuje pomocy medycznej, a nie aresztu – zawołała pielęgniarka. Wrócił gniewny ton.

– Uzyska ją, jak tylko go znajdziemy – odparła spokojnie Mari Carmen. – Proszę więc nam pomóc, bo w ten sposób pomoże pani jemu. Gramy do jednej bramki. Przynajmniej w tym wypadku.

Ewa Skrzetuska przyglądała się Hiszpance spod oka.

– Przyjechałam od razu po tym, jak on mnie nagabywał w szpitalu – pokazała głowę Daniela. – Musiałam sprawdzić, czy Marcin tu jest.

– Podobno nie wiedziała pani, gdzie go szukać – mruknął Podgórski. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien, ale nie mógł się powstrzymać.

Mari Carmen rzuciła mu karcące spojrzenie. Najwyraźniej zamierzała grać rolę dobrej policjantki. W jej wypadku brzmiało to jak oksymoron, ale pielęgniarka chyba dała się na to nabrać. Sikora objęła ją ramieniem i przywołała na twarz ciepły uśmiech.

– Martwi się pani o narzeczonego, prawda? – zapytała słodko.

– Strasznie – przyznała Ewa Skrzetuska.

– Dlaczego akurat tu go pani szukała?

– To było ustalone miejsce. W razie jakiegoś armagedonu – zaśmiała się smutno Skrzetuska.

– Armagedonu? – powtórzył za nią Daniel.

Znów nie mógł się powstrzymać. Różne rzeczy już w życiu słyszał, ale chyba pierwszy raz ktoś miał ustalone miejsce spotkania na wypadek armagedonu.

– Tak, armagedonu – rzuciła wściekle w jego stronę pielęgniarka. Najwidoczniej jego sympatią nie darzyła. Zapomniała już chyba, że za pierwszym razem byli u niej razem z Mari Carmen i tylko w nim widziała wroga. – W każdym znaczeniu tego słowa. Czy to mowa o tym biblijnym. Czy o uderzeniu komety, czy nagłej klęsce żywiołowej. Wszystko, co może się kryć pod określeniem armagedon. Używamy tego słowa roboczo, żeby było wiadomo, o co chodzi. Jesteśmy z Marcinem prepersami. Lubimy być przygotowani na wszystko. Dlatego właśnie jeździmy samochodami terenowymi. Można się dostać w każde miejsce. Ja mam jeden, a Marcin aż dwa. Bo drugi zawsze stał w bazie. Moja przyjaciółka Alicja się z nas śmiała, że wszystko mamy takie samo. Ale to ma sens. Bo ja mogę prowadzić jego samochód, a on mój i od razu wszystko staje się automatyczne i wyćwiczone. Odruchy dopracowane do perfekcji. Nie traci się czasu, nawet chwili, na przyzwyczajanie się do nowego auta. Czasem sekundy się liczą.

Daniel i Mari Carmen wymienili spojrzenia.

– No dobrze, ale dlaczego tu? – zapytała funkcjonariuszka BSW.

– To było miejsce numer dwa. Na wypadek gdyby baza nie była dostępna – wyjaśniła pielęgniarka. – Z oczywistych względów jest niedostępna. I on tu był. Te bandaże... ten list...

– Nie ma trzeciego miejsca spotkania? – zapytał Daniel.

– Proszę nie kpić.

– Nie miałem zamiaru.

Policjant naprawdę nie miał ochoty się śmiać. Myślał o kaplicy i o dziwnym słowie napisanym przez Ciszyciela pod krzyżem. Może tam też było miejsce zbiórki tej dziwnej pary.

– Nie, nie było trzeciego miejsca – powiedziała Ewa Skrzetuska.

Podgórski nie był pewny, czy może jej wierzyć. Najwyraźniej nie przeszkadzało jej, że kocha mordercę. Daniel czytał kiedyś obszerny artykuł o kobietach, które wychodziły za mąż nawet za seryjnych

morderców. Opisywane wydarzenia miały miejsce w Stanach Zjednoczonych i nazwano to hybristofilią. Dlaczego coś takiego nie mogłoby mieć miejsca w Polsce? Ludzie są wszędzie tacy sami. Nawet jeżeli mówią innymi językami albo inaczej wyglądają. Ich potrzeby i tęsknoty się nie zmieniają. Te dobre i te złe.

– Jemu coś się stanie! Mówiłam, że on jest bardzo chory!

– Już dobrze – pocieszała ją Mari Carmen. Oczy Sikory błyszczały. Chyba świetnie się bawiła w nowej roli.

Zanim pielęgniarka zdążyła odpowiedzieć, z domku wyszedł Łukasz. Kiwnął głową do Daniela nagle. Policjant ruszył do środka, zostawiając Ewę Skrzetuską Mari Carmen.

– Co jest? – zapytał syna.

Tak jak się spodziewał, w pomieszczeniu pełno było rozmaitych akcesoriów myśliwskich. Była też szafa z bronią. Zamknięta.

– Raczej czego nie ma – powiedział Łukasz. – Patrz tam...

Syn pokazał ścianę po lewej stronie. Była tam imponująca kolekcja noży. Jednego bardzo wymownie brakowało.

Nagle rozdzwonił się telefon Łukasza.

– Klementyna? – zdziwił się syn.

Słuchał, co Kopp mówi. Potem wyciągnął komórkę w stronę Daniela.

– Mógłbyś odbierać swój telefon, co? – zapytała Klementyna bez wstępów.

Podgórski chciał jej powiedzieć, że wyciszył głos i wibracje na czas akcji, ale nie zdążył, bo emerytowana policjantka już strzelała słowami swoim zwyczajem:

– W grobie Dominiki zakopano pocięte ciała. Są w sportowych torbach. Przyjdźcie po nie.

Daniel znów nie zdążył nic powiedzieć, bo Kopp się rozłączyła.

ROZDZIAŁ 67

Rarogi.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 12.50.

Weronika Podgórska

Weronika nie zamierzała już nawet próbować przemawiać Klementynie do rozumu, chociaż wszystko w niej krzyczało, że nie powinny robić nic same. Powinny poczekać na Daniela i ekipę. Dobrze, że Kopp zgodziła się zawiadomić policjanta o tym, co znalazły.

Podgórska wzdrygnęła się, pędząc za emerytowaną komisarz. Nadal miała przed oczami moment, kiedy Klementyna odkopała pierwszą torbę i odsunęła zabrudzony ziemią suwak. Szczątki ludzkiego ciała. Nie kości. Nadal całe ręce i nogi... To było straszne.

Ktoś najwyraźniej zakopał świeże trupy w świeżym grobie Dominiki, zanim spoczęła tam trumna. Czyżby zrobił to ksiądz Rokowski? Weronika nie wyobrażała sobie chudego mężczyzny z łopatą rozkopującego mogiłę. Znacznie bardziej pasowało to do osiłków Hanny. Klementyna zarządziła jednak szybki powrót na plebanię, by sobie to i owo z księdzem wyjaśnić. Ewentualnie później wrócić do Lorenz.

Kopp kazała Malwinie zostać przy grobie i pilnować ciał do przyjazdu Daniela. Z dwojga złego Weronika wolała chyba iść na plebanię niż patrzeć na pocięte szczątki kogoś, kto najwyraźniej jeszcze niedawno żył.

– Poczekaj – szepnęła Weronika. – Popatrz tam!

Na drodze stał ciemny samochód terenowy. O ile dobrze pamiętała, Ciszyciel jeździł nissanem patrolem.

– Ciszyciel – mruknęła Kopp, najwyraźniej myśląc o tym samym.

Podgórska przypomniała sobie, jak bardzo ksiądz bał się ataku mordercy. Czy coś mu naprawdę groziło? Kiedy się rozstawali, miał wrócić na plebanie i zamknąć się w środku...

Minęły samochód i wyszły przed budynek plebanii. Drzwi były otwarte na oścież.

ROZDZIAŁ 68

W drodze do Rarogów.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 13.20.

Aspirant Daniel Podgórski

Podgórski przyspieszył na dłuższym prostym odcinku leśnej drogi. Silnik subaru zawył, ale tym razem nie chodziło przecież o skradanie się, ale o szybkość. Przypominało mu to dawne czasy, kiedy z młodszym kolegą z posterunku w Lipowie urządzali wyścigi po lesie. Nie było to oczywiście dozwolone, ale się tym wtedy nie przejmowali. Bo kto mógłby im coś zrobić. To oni byli stróżami prawa. Daniel westchnął. Oceniał Zjawę, Ziółkowskiego i resztę, a może wcale nie był lepszy? Sam nie raz nawet nieświadomie korzystał z tego, że był policjantem.

– No i proszę, mamy zagubione ciała – powiedział Łukasz z tylnej kanapy.

Miejsce z przodu zajmowała Mari Carmen. Jak tylko usłyszała, że są kolejne ciała, straciła zainteresowanie Ewą Skrzetuską. Może uznała, że nic już z pielęgniarce nie da się wyciągnąć. Kobieta została pod opieką chłopaków, którzy pracowali w bazie Ciszyciela. Ziółkowski i Koterski mieli też niedługo pojechać do Rarogów. Zaraz znów wszyscy zbiorą się we wsi duchów.

Podgórski jeszcze przyspieszył. Minął zrobiony z delikatnych klepek krzyż oznaczający miejsce, gdzie rok temu znaleziono ciało Leszka Konopki. Niedaleko zginęła Dominika. Byli już prawie w Rarogach.

– To pewnie ci ludzie z autobusu są w tych torbach – zastanawiał się syn.
– Bo kto? Może wreszcie zbliży nas to do rozwiązania.

Daniel zauważył kątem oka, że Mari Carmen się uśmiecha. Ten uśmiech. Podgórski pamiętał doskonale. Jakby wrócili do momentu, kiedy wpadło jej coś do głowy. Coś, co na pewno się Danielowi nie spodoba.

– Fajnie nam się układa współpraca, prawda? – zapytała Mari Carmen, poprawiając gęste ciemne włosy z nowo zrobionymi pasemkami.

Podgórski tym razem przyhamował. Może wcale nie trzeba się tak spieszyć. Trupy przecież nie uciekną z tych toreb. Klementynie, Weronice i Malwinie chyba też nic nie groziło. Przynajmniej chciał w to wierzyć. Poczł, że musi sobie kilka spraw z Mari Carmen wyjaśnić.

– Skąd bierzesz te wszystkie rzeczy, które rzekomo na mnie masz? – zapytał Podgórski, jakby ten jej słodki ton przelał czarę goryczy. To był absolutnie nieodpowiedni moment, ale za późno było, żeby cofnąć słowa. – Sama to wymyślasz? Rzeczy z tej twojej teczki?

Patrzył intensywnie na leśną drogę przed sobą. Mimo to czuł na sobie jej pełne pobłażania spojrzenie. Stawała się tym silniejsza, im on był słabszy. A przed chwilą niepotrzebnie okazał słabość. Po co w ogóle poruszył ten temat? I to właśnie teraz, kiedy zajęci byli czymś zupełnie innym. Niestety złość i rozgoryczenie wygrały. A nie były nigdy dobrym doradcą. Kurwa, przeklął Podgórski w myślach. Kurwa. Kurwa. Kurwa.

– Zabawne, że pytasz. Bo przecież mamy ten twój feralny pościg za Bratkowskim. Tego nie wymyśliłam. Ale nie tylko – oznajmiła funkcjonariuszka BSW. – Bo właśnie dziś odbyłam bardzo ciekawą rozmowę, która zostanie utrwalona na piśmie. Zresztą dlatego nie pojechałam z tobą wcześniej...

– Podobno pozostałe też były utrwalone na piśmie – zaśmiał się Podgórski, ale bez przekonania.

W jej głosie słycać było całkowitą pewność siebie. Stało się najgorsze. Policjant domyślił się, że tym razem ktoś naprawdę z nią rozmawiał. Tylko kto? I o czym?

– Życzliwy kolega martwi się, że możesz stanowić niebezpieczeństwo dla jednostki – powiedziała, znów cmokając jak na niegrzeczne dziecko.

– W jakim sensie?

– W takim, że pijesz. Również na służbie.

Ze wszystkich rzeczy, o które Mari Carmen dotąd go oskarżała, ta jedna była prawdziwa. Daniel pił. Co gorsza, faktycznie zdarzyło mu się być na

służbie pod wpływem alkoholu. Ale to było dawno. Bardzo dawno. I się nie powtórzyło.

Daniel poczuł, że robi mu się gorąco. Bardzo gorąco. To był wstyd. Wstyd osoby, która kupowała kolejne butelki w różnych sklepach i na różnych stacjach benzynowych, żeby nikt nie mógł zobaczyć, jak dużo ich było. To był wstyd osoby, która potem metodycznie układała je w równe rzędkie w domu. To był wstyd osoby, która nie potrafiła wygrać sama ze sobą. To był wstyd osoby, która za późno przyznała przed sobą, że ma problem. To był wstyd osoby, która dziś rano usłyszała, że Malwina nie ufa alkoholikom. Pod żadnym pozorem nie chciał, żeby się dowiedziała. To przekreślałoby wszystko. Choć przecież nic miało nie być. Ale...

– Ojciec nie pije od dawna – włączył się do rozmowy Łukasz. Jego głos pełen był wściekłości.

– Ale pił – oznajmiła Mari Carmen z satysfakcją. Jakby tylko czekała na takie potwierdzenie. – Przyjście do takiej pracy jak nasza pod wpływem alkoholu jest absolutnie niedopuszczalne.

– Kto to powiedział? – zapytał Daniel powoli.

– Takie są zasady ustalone przez...

– Wiesz, o co mi chodzi. Kto donosi?

– A czy to ważne kto? – zapytała Sikora spokojnie. – Zresztą wiesz, że nie mogę powiedzieć.

Miała rację, ponieważ nie było ważne, kto na niego doniósł.

– I robisz mi to tylko dlatego, że nie chciałem się z tobą pieprzyć w łazience? – zapytał policjant. – To jest pojebane.

– Dla mnie bardziej pojebane jest, że przychodziłeś nachlany do roboty – odparła. Tym razem jej ton był całkiem zwyczajny. Bez sztucznej słodyczy albo udawanego spokoju. – Są rzeczy, których nie toleruję. Jedną z nich jest alkohol w robocie. Druga to kiedy ktoś mi odmawia. Cóż. Taka już jestem. A ty akurat masz pecha, że załapałeś się do obu kategorii.

Zaśmiała się rozbawiona. W milczeniu wjechali pomiędzy opuszczone chaty Rarogów. Podgórski zaparkował przed bramą cmentarza. Była otwarta.

– Idę przodem – oznajmił Łukasz i wyskoczył z samochodu, nie czekając na nich.

Wydawał się zakłopotany sytuacją. Może jemu też było wstyd. Wstyd, że ma takiego ojca. Daniel się wzdrygnął.

– Bardzo dużo entuzjazmu ma twój syn – powiedziała Mari Carmen.

Znów z tym swoim psychodelicznym uśmiechem. Podgórski czuł, że zaraz się dowie, co planowała, zanim zdobyła zeznania kogoś z komendy.

– Polubiłam go.

– Trzymaj się od niego z daleka – warknął Daniel.

– Ależ właśnie zamierzam coś zupełnie odwrotnego – szepnęła Mari Carmen konspiracyjnie. – Wiem, kiedy komuś na kimś zależy. To jest najsłabszy punkt tej osoby. Obserwuję was. Twój syn jest twoim najsłabszym punktem, więc w niego uderzę. To w połączeniu z zeznaniami na temat twojego alkoholizmu... No, no, no.

Podgórski poczuł, że brakuje mu tchu. Mówiła to tak po prostu. Zwyczajnie, jakby rozmawiali o czymś zupełnie błahym. Daniel nie mógł już tego znieść. Miał ochotę ją uderzyć. To była wściekła bezsilność.

– Od Łukasza się odpierdol. Zrozumiałaś?

– A co mi zrobisz, Danielu? – zapytała Mari Carmen, jakby naprawdę była zainteresowana.

Policjant starał się oddychać spokojniej. Nie mógł dać się ponieść nerwom. Mogła mieć przy sobie włączony dyktafon. Cokolwiek. Musi się uspokoić, a nie działać w emocjach. Już i tak powiedział zdecydowanie za dużo.

– Czego ty właściwie chcesz? – zapytał.

– Zniszczyć cię – oznajmiła po prostu. – Dobrze nam się współpracuje, przyznaję. Podobasz mi się. Chętnie bym się z tobą przespała, to prawda. Ale nie lubię niedokończonych zadań. A takie zadanie sobie ustaliłam w lutym. Zniszczyć ciebie. I zamierzam doprowadzić sprawę do końca. Bardzo lubię przesadę.

– Jesteś chora.

– Nie, całkiem zdrowa. Wręcz okazowo. O COVID się nie musisz martwić. Już przechodziłam. Całe szczęście bezobjawowo. Jak to mówią: złe złęgo się nie ima. Czy złęgo diabli nie biorą.

Daniel otworzył drzwi i wysiadł z subaru. Czuł, że przebywanie z Mari Carmen w zamkniętej przestrzeni samochodu nieuchronnie prowadzi do tego, że zupełnie traci nad sobą kontrolę. A ona na to czekała.

– Masz Zjawę, Ziółkowskiego i Bratkowskiego. Wiesz, że popełnili przestępstwo, a ja...

– Jakie przestępstwo? – przerwała mu, zatraskując drzwi. – Nic nie wiem o żadnym przestępstwie. Jeśli chodzi o te twoje brednie, że nie było sekcji... cóż. Może jeszcze wypadłoby cię zbadać u psychiatry, czy to nie jest schizofrenia. Tyle lat służby i stresu. Zrozumiałe, że to cię zjadło od środka. Ale nie możemy tego tolerować.

Mari Carmen uśmiechnęła się z wyraźną satysfakcją. Podgórski znów poczuł, że się dusi. Wziął głęboki oddech. Z cmentarza dochodził zapach zgnilizny. Albo mu się wydawało.

– Nie ma tam nic!

Oboje odwrócili się w stronę bramy cmentarza. Biegł do nich zdyszany Łukasz.

– Kopp mówiła, że torby z ciałami są w grobie, prawda? – zapytał. – Nie ma tam niczego. No i nie ma ani Klementyny, ani nikogo.

Jeszcze tego brakowało! Podgórski pobiegł do grobu Dominiki Konopki. Mogiła faktycznie była bardziej rozkopana niż wcześniej. W powietrzu czuć było zapach świeżej wilgotnej ziemi. Klementyna wyraźnie mówiła, że wykopała jedną torbę z fragmentami ciała. Odsłoniła też kawałek drugiej, ale jej nie otwierała. Można było jednak podejrzewać, że w środku była podobna zawartość. Tymczasem grób był pusty.

Emerytowanej policjantki też tu nie było.

Ani Weroniki.

Ani Malwiny.

ROZDZIAŁ 69

Plebania w Rarogach.

Poniedziałek, 2 listopada 2020.

Godzina 13.20.

Klementyna Kopp

Kopp pobiegła do otwartych drzwi plebanii. W środku panował nieład, jakby przed chwilą odbyła się tu bójka. Gdzieś z głębi drewnianego domostwa dochodziły jakieś trzaski. Słysząc było dwa męskie głosy. Popędziła w tamtą stronę. Za sobą słyszała stukanie butów Weroniki. Brakowało tylko brzęczenia kolczyków i bransoletek Malwiny. Ale! Kopp zostawiła pisareczkę przy grobie, żeby pilnowała ciał.

Emerytowana policjantka wbiegła do izby z tyłu budynku akurat w chwili, kiedy ksiądz potknął się o krzesło i upadł na ziemię. Zbliżał się do niego niziutki łysy mężczyzna z wąsami. Ciszyciel. W prawej ręce ścisnął nóż.

– Stój! Policja! – zawołała Kopp.

Dawne przyzwyczajenie, którego nigdy się nie wyzbyła. Mimo wielu lat na emeryturze. Często działało. Choć coś jej mówiło, że Ciszyciel niezbyt się nim przejmie.

– Nie zbliżaj się – szepnął tym irytująco cichym głosem.

– Spoko. Ale! Nie umiesz mówić normalnie, co? To szeptanie jest równie pretensjonalne jak twoje podkreśnione wąsy. Sztuczne są, co?

Ciszyciel zrobił się cały czerwony na twarzy.

– Uważaj – szepnął ksiądz.

Wyglądał na przerażonego, że Klementyna drwi z niziutkiego mężczyzny. Ale! Kopp wiedziała, co robi. Po minie wąsacza zobaczyła, że trafiła

w czuły punkt. Nie lubił, kiedy ktoś się z niego śmiał. Chciał zapewne budzić respekt. I strach. Pewnie lubił widzieć lęk w twarzach ofiar. Być może to go podniecało.

– Podejdz od tamtej strony – szepnęła Kopp do Weroniki.

Ruda nie była idealną pomocnicą. Ale! Jedyłą, jaką obecnie dysponowała Klementyna. Człowieka z nożem bardzo trudno obezwładnić, jeżeli nie ma się broni. Mimo to musiały spróbować. We dwie miały jakieś szanse powodzenia.

– Tak, tak – powiedziała głośniej do Ciszyciela. – Śmieszne wąsy, śmieszny mały nożyk. I co chcesz z nim zrobić, co?

Ciszyciel nie zdążył nic odpowiedzieć, bo rozległo się nagle brzęczenie. Do izby wpadła Malwina.

– Co tu się dzieje? – zawołała.

– Miałaś pilnować ciał – krzyknęła do niej Weronika.

– Przecież nie wstaną i nie odejdą – zachnęła się pisarka. – Nie chciałam was zostawić samych.

Kopp poczuła, że moment uzyskanej przewagi bezpowrotnie minął. Z twarzy Ciszyciela zniknęła złość. Był tam grymas, ale to nie była już słabość. Znow był gotowy do działania. Rzucił się w stronę księdza.

Czas było na plan B. Kopp chwyciła krzesło i zaatakowała. To była jedyna broń, którą dysponowała. Na Malwinę i Weronikę nie mogła liczyć. Poczowała ból w nadgarstkach, kiedy krzesło uderzyło w ciało Ciszyciela. Mężczyzna poleciał na ścianę. Nóż wypadł mu z dłoni i brzęknął o podłogę. Kopp liczyła na to, że ruda albo różowa będą miały chociaż na tyle oleju w głowie, żeby go podnieść. Skoro już udało się pozbawić szaleńca broni, nie należało ryzykować, że ją odzyska. Tymczasem pchała mężczyznę dalej. Z każdym krokiem opierał się mniej. Nagle jego twarz zrobiła się blada. Upadł na ziemię. Oddychał ciężko.

– Coś z nim nie tak! – zawołał ksiądz przejęty, jakby wąsacz nie próbował go przed chwilą zabić.

Nie dało się ukryć, że miał rację. Ciszyciel leżał na ziemi i oddychał ciężko. Wręcz spazmatycznie łapał powietrze. Zrobił się blady na twarzy. Kopp zobaczyła na jego ubraniu krew. Nie uderzyła go aż tak mocno, żeby go zranić. Chyba że to były rany, które odniósł podczas wybuchu. Może teraz na nowo się otworzyły.

– Wezwijcie pogotowie – zarządziła. – Jeszcze nam tu zejdzcie. A najpierw trzeba go sprawiedliwie osądzić.

Czekała, aż Weronika wybierze numer alarmowy. Nie puszczała krzesła. Bo Ciszyciel mógł przecież udawać. No chyba nie bardzo. Ale! Jednak.

– Ty zadzwoń do Daniela – rozkazała Malwinie. – Co tu się stało, co?

Ostatnie pytanie rzuciła w stronę księdza, który właśnie dźwigał swoje pająkowane ciało z podłogi. Skoro i tak czekały, nie było co tracić czasu. Można było zacząć ustalać fakty.

– Ja... on... Ja go znam – wydusił ksiądz. – Dlatego chciał mnie zabić.

– Czekaj. Stop. O czym ty gadasz, co? Cały czas wiedziałeś, kogo my szukamy, co? Oszukałeś nas, co? Jak nam opowiadałeś o tym, jak on się tu znalazł?

– Tak – przyznał ksiądz. – Przepraszam... Ja... Ja się bałem... On powiedział, że mnie zabije.

Cóż. Najwyraźniej Ciszyciel zamierzał dotrzymać słowa, pomyślała Klementyna.

– Gadaj teraz jak na spowiedzi, co?

– Znamy się z dawnych czasów – wydusił w końcu ksiądz. – Jeszcze zanim przyjąłem święcenia. Mieszkałem w komunie. Nazywano mnie wtedy Witkacy. Razem z Ciszycielem i Trzecim robiliśmy różne głupie rzeczy. No i ja w końcu się nawróciłem. Odszedłem od nich i przyjąłem święcenia. Chyba żaden z nich mi tego nie wybaczył. Przepraszam, że nic nie powiedziałem... Bałem się. I... To jeszcze nie wszystko...

CZĘŚĆ 12
CISZYCIEL

ROZDZIAŁ 70

Baza. Okolice jeziora Ciche.

Sobota, 19 czerwca 2010.

Godzina 20.00.

Ciszyciel

Ciszyciel odetchnął. Powietrze pachniało rozgrzanym lasem.

Czuł, że dla jego celów to miejsce było wręcz idealne.

Z wielu względów.

Nie tylko dlatego, że znajdowało się nomen omen nad jeziorem Ciche. Cóż bardziej pasującego do niego niż to? W tym miejscu wszystko będzie po jego myśli.

Miał dość ich wszystkich.

Trzeciego, Witkacego...

Wszystkich.

Wszyscy go zawiedli.

Tu będzie, jak on chce. Nie mogło być inaczej.

Po prostu nie mogło być inaczej.

Po pierwsze działka, którą kupił, przylegała do gęstego boru i była już częściowo zalesiona. Dosadził jeszcze trochę drzew, żeby granice zupełnie się zatarły. Nawet trochę zasadził w poprzek drogi. Już na swoim terenie. Były niczym zamknięta brama.

Do jego świata.

Miejscowi wierzyli, że las jest w tej okolicy nawiedzony.

Chodziło o legendę o starej osadzie, którą strawiła zaraza. Teraz nikt się tu nie zapuszczał.

Ciszyciel dziwił się, że ludzie są tak przesądni. Od zawsze wiedział, że duchy i straszdyła nie istnieją. To znaczy istnieją, poprawił się.

Czają się w nas samych.

Martwiec był w każdym.

O tym doskonale wiedział z własnego doświadczenia.

Właściciel tej ziemi był chyba innego zdania i wierzył w ulotnego upiora chowającego się wśród drzew. Sprzedał działkę za półdarmo. Cały czas wyglądał na zdziwionego, że ktokolwiek chce ją od niego odkupić.

To był kolejny plus tej transakcji.

Pieniądze.

Pieniądze z biznesu, który Ciszyciel rozkręcił po odejściu ze squatu i nawet niezbyt o niego dbał, wystarczą jeszcze na zbudowanie załączka bazy.

Trzeci kilkakrotnie prosił go o wsparcie, ale Ciszyciel odmówił. Miał teraz jeden cel.

Baza.

Potem będzie ją rozbudowywać. A właściwie jej początek.

Najważniejsze już miał.

Pomieszczenie z łańcuchami.

W myślach nazywał je Aresztem.

CZĘŚĆ 13

TERAZ

ROZDZIAŁ 71

Komenda Powiatowa Policji w Brodnicy.

Wtorek, 3 listopada 2020.

Godzina 12.25.

Aspirant Daniel Podgórski

Proszę jeszcze raz opowiedzieć wszystko po kolei – poprosił Podgórski.

Byli w trakcie przesłuchania księdza Rokowskiego z Rarogów. Już wczoraj kapłan rzucił trochę światła na okoliczności, ale potrzebowali jego zeznań na papierze. Mari Carmen i Zjawa siedzieli po obu stronach Daniela. Policjant czuł się, jakby to on był podejrzanym, choć Sikora nie wspomniała ani słowem o ich rozmowie w samochodzie. Zastanawiał się, czy powinien się z tego cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

– Marcin Ciszewski miał ksywę Ciszyciel – wyjaśnił ksiądz cierpliwie. – Na mnie mówiono Witkacy, Trzeci to był... no Trzeci. Tak się przyjęło, bo dołączył do naszej ekipy ostatni. Poznaliśmy się w liceum. Ciszyciel był naszym nieformalnym przywódcą. Nazywaliśmy go tak ze względu na nazwisko, ale też dlatego, że strasznie lubił ciszę. On sam się tak ochrzcił i nie mieliśmy nic do gadania. Wychował się w komunie i dosyć miał tego, co tam się działo. Zresztą matka wiecznie go uciszała. Była narkomanką i alkoholijką. To były hipisowskie czasy... Moja rodzina też lepsza nie była. Chociaż przynajmniej wychowywałem się w domu, a nie wśród naćpanej młodzieży. Te wspólne doświadczenia chyba nas wtedy do siebie zbliżyły. Byliśmy buntownikami. Ciszyciel i Trzeci wierzyli w tamte anarchistyczne ideały. Ja chyba wtedy też. No ale potem poczułem, że coraz bardziej się od nich oddalam. Nie podobało mi się na przykład, że walczyli z neonazystami.

– Dlaczego? Podziela pan ich poglądy? – zapytał Zjawa, poprawiając okulary.

– Nie, oczywiście, że nie. Jeżeli w ogóle wie pan cokolwiek na temat wiary katolickiej, to powinien pan wiedzieć, że to, w co wierzę, to zupełna odwrotność takich poglądów, jakie głosi nazizm. Chodziło mi o sposób walki. Miałem poczucie, że chłopaki się trochę zatracili. Jakby coś ich opętało. To było... Po tym, jak prawie zabili jednego ze skinheadów. W osiemdziesiątym czwartym. Moim zdaniem cel nigdy nie powinien uświęcać środków... Bo nagle z walki z tymi nazistowskimi potworami sami też zmienialiśmy się w potwory. To zadziało na mnie jak kubeł zimnej wody. No i po tamtej akcji powiedziałem im, że odchodzę. Ciszyciel i Trzeci nie przyjęli tego najlepiej. Mówili, że zdradziłem ideały. A jak jeszcze się dowiedzieli, że poszedłem do seminarium, to już w ogóle. Atakowali mnie, kiedy tylko spotkali mnie w mieście. Wtedy co prawda tylko werbalnie. Nie mogłem sobie z tym poradzić i w końcu poczułem ulgę, bo skierowano mnie do parafii w Rarogach. Nikt nie chciał tam pracować, bo... No sami państwo wiedzą, jak wygląda nasza wieś. Ale dla mnie to była ulga, bo mogłem uciec przed dawnymi kolegami. Mimo że... mimo że tu była Hanna Lorenz. Już ją wołałem. W każdym razie bardzo się starałem, żeby się nie dowiedzieli, gdzie się przenoszę. Albo jakoś szczególnie nie szukali, albo mi odpuścili. W każdym razie mijały lata i nic się nie działo. Zacząłem spać spokojnie. Wszystko zmieniło się teraz. W zeszły poniedziałek Ciszyciel zjawił się w Rarogach po raz pierwszy.

Daniel skinął głową. To zgadzało się z wcześniejszymi zeznaniami Nestora Obucha. Obuch powiedział, że Ciszyciel udzielił mu rad, jak ma wysadzić Stefana Majchrzaka. Sam Nestor oczywiście trafi przed sąd za atak na Majchrzaka. Kardiochirurg z kolei znalazł się pod lupą PG.

– Po co przyjechał? – zapytała Mari Carmen. – Wyjaśnił?

– Oznajmił mi, że potrzebuje grobu. Świeżego grobu. Wyobrażają sobie państwo? Nie widziałem go od lat osiemdziesiątych, a on zjawia się nagle i mówi coś takiego?

– Dlaczego przyjechał z tym do księdza? – chciał wiedzieć Zjawa.

– Powiedział, że mnie podlega cmentarz, to powinienem mu to łatwo załatwić. Odniosłem wrażenie, że chodzi mu o oddanie przysługi. Ponieważ minęło tyle lat, to już tak się go nie bałem jak kiedyś. Teraz wydawał się

śmiesznym, małym człowieczkiem z wąsami. – Ksiądz się wzdrygnął. – Nigdy nie wolno nie doceniać Ciszyciela. Mam za swoje...

– Co z tym grobem? – podsunął prokurator.

Daniel nawet nie spojrzął w jego stronę. Mari Carmen jasno dała wczoraj do zrozumienia, że decyzja została już podjęta. Zamiatali to zdarzenie pod dywan.

Na nią Daniel też nie miał ochoty patrzeć. Zwłaszcza że już wiedział, jaki jest jej plan. Chciała uderzyć w Łukasza, tylko po to, żeby zemścić się na Podgórskim. Obiecał sobie, że nigdy do tego nie dopuści. Sikora była szalona. To nie ulegało wątpliwości. I ogarnięta żądzą zemsty. Kto wie, może w taki sam chory sposób jak Ciszyciel. Jedyna różnica polegała na tym, że nie dopuściła się morderstwa.

– No więc Ciszyciel mówi do mnie, że mam mu załatwić świeży grób. A właściwie inaczej to ujął. Pogrzeb. Mam mu załatwić pogrzeb. A ja mu na to, że niby jak mam to zrobić. Przecież nikt nie umarł. Wtedy naprawdę jeszcze byłem bardziej zaskoczony niż przestraszony. Ciszyciel jest taki niepozorny. Teraz jeszcze chory. Bo powiedział mi, że ma raka. Pomyślałem więc, że to o jego własny pogrzeb mu chodzi.

Być może właśnie ta straszna choroba, na którą cierpiał morderca, paradoksalnie uratowała księdza, przebiegło Danielowi przez głowę. Bo sprawiła, że Ciszyciel nie miał siły dokończyć swojego planu, zanim zjawily się kobiety.

Sam Ciszyciel leżał obecnie w szpitalu w dość ciężkim stanie. Klementyna jakoś szczególnie go nie poturbowała. Wybuch zranił go jednak na tyle, że mężczyzna nie mógł opatrzyć sobie ran sam. Uderzenie krzesłem otworzyło je na nowo. Choroba dokończyła dzieła. Być może gdyby nie to, Ciszyciel zabiłby księdza.

– No i co dalej? – dociekała Mari Carmen. – Zapytał o świeży grób czy też o pogrzeb, a ksiądz mu powiedział, że nie ma. Co on na to?

– Nic. Zostawił mi swój numer i poszedł. Jakby oczekiwał, że zadzwonię, kiedy będzie ktoś umierał. Ale następnego dnia... Następnego dnia została znaleziona Dominika Konopka. Uduszona. – Ksiądz się przeżegnał. – Czyli nagle był świeży trup... To nie mógł być przypadek. Tak pomyślałem. Ale bałem się cokolwiek zrobić... Przepraszam...

– Ciszyciel wrócił do księdza? – zapytał Daniel. – Czy może ksiądz do niego dzwonił?

Podgórski nie mógł się powstrzymać od sarkazmu. Sprawdzili już połączenia w telefonie Ciszyciela. Zwrócili się do operatora o billingi, ale nawet nie były potrzebne. Faktycznie pomiędzy księdzem a Ciszycielem była wymiana połączeń. Ale z tego, co Daniel pamiętał, nie w poniedziałek ani wtorek.

– Nie... – Ksiądz pokręcił głową. – On wrócił... Wrócił i zapytał, czy mam świeży grób. Tak jakby nigdy nic. Jak w poniedziałek.

– Mówił, że zabił Dominikę Konopkę? – zapytał Zjawa.

– Nie. No ale to było oczywiste. Chciał mieć kogoś pochowanego. Nie było trupa, to go... stworzył.

Ksiądz wyraźnie się wzdrygnął, wymawiając ostatnie słowo.

– Po co był mu pogrzeb? – zapytał Zjawa.

– No właśnie chodziło o świeży grób – powiedział ksiądz. – Chciał zakopać pod spodem ciała. Pod trumną. Żeby nikt nie domyślił się, że ktoś tam jest. Kto by szukał ciał w świeżym grobie?

To, co ksiądz powiedział, zgadzało się z wczorajszym znaleziskiem Klementyny, Weroniki i Malwiny. Kłopot był taki, że torby z ciałami zniknęły. Jakby rozplynęły się w powietrzu. Mari Carmen twierdziła nawet przez chwilę, że kobiety je wymyśliły. Podgórski pomyślał z satysfakcją, że teraz dzięki zeznaniom księdza Sikora przynajmniej ma czarno na białym i do protokołu, że kobiety nie kłamały. Tylko co się stało ze szczątkami?

Nawet jeżeli Ewa Skrzetuska pomagała Ciszycielowi dokonać morderstw, a zaprzeczała, żeby to robiła, to na pewno nie mogła zabrać toreb. Kiedy zniknęły, ona była pod opieką policji po zatrzymaniu jej w domku myśliwskim Stefana Majchrzaka. Ciekawe, czy odpowie za zatajenie informacji na temat miejsca spotkania z mordercą. Daniel uważał, że powinna. Była świadkiem i składała fałszywe zeznania. Faktem jest, że miała prawo ich odmówić. Ale kłamać mógł tylko podejrzany. Świadek nigdy.

Jeśli chodzi o samego kardiochirurga – bo jego udział w tych zbrodniach nadal nie był całkowicie wykluczony – to on też nie mógł zabrać toreb. Siedział w pudle, aby nie mógł mataczyć oskarżony o ewentualne oszustwa medyczne.

Kolejna czarna owca – Nestor Obuch. Również był zatrzymany. Tak naprawdę zostawała więc tylko Hanna Lorenz i jej świta. Ona oczywiście wszystkiemu zaprzeczała. Wczoraj wieczorem przeszukali jej dom i jego

okolice. Bezowocnie. Tylko co z tego, skoro Rarogi aż roiły się od miejsc, gdzie można było ukryć torby. O ile nie pozbyto się ich w inny sposób. Tylko dlaczego Hanna miałyby to robić?

– Ciszyciel zamordowałby Dominikę, żeby zamaskować pozostałe zbrodnie? – zdziwiła się Mari Carmen. – Po co? Przecież skoro zabił kolejną osobę, żeby ukryć ciała pasażerów autobusu, jak mniemam, to znów ryzykował.

Daniel pomyślał, że to akurat dobre pytanie. No i ten rozkopany grób przy bazie nad jeziorem Ciche. Dlaczego Ciszyciel grzebał w szczątkach Modesta Obucha? Czyżby najpierw chciał ukryć pozostałe ciała w grobie katechety? Z jakiegoś powodu mu się to nie udało i dlatego zamordował Dominikę?

– Nie wiem – przyznał ksiądz. – Nie tłumaczył mi się. Zapytał, czy jest pogrzeb. Ja odpowiedziałem, że będzie po weekendzie. On na to, że musi być szybciej. I ja mam się o to postarać. Powiedział to tak, że wiedziałem, że nie mam wyboru... Traf chciał, że szybkiego pogrzebu domagała się też Hanna Lorenz. Trochę przeze mnie. Zacząłem namawiać Konopków, że to powinno być jak najszybciej. Że Dominika powinna leżeć w świętej ziemi i takie tam... Oni poszli z tym do Hanny. A ona umie załatwiać takie sprawy. A ponieważ ogłoszono zamknięcie cmentarzy na Wszystkich Świętych, wszystko wyglądało w miarę naturalnie. No i Ciszyciel miał swój pogrzeb...

A więc kolejny element układanki wskoczył na swoje miejsce. Malwina powiedziała Danielowi wieczorem o przebiegu spotkania z Hanną. Znów rozmawiali. Wyglądało na to, że ostatnio nie ma wieczoru ani poranka, żeby tego nie robili.

Podgórski ponownie pomyślał o wczorajszych groźbach Mari Carmen. Tak bardzo nie chciał, żeby jego uzależnienie wyszło na jaw. Nie dlatego, że bał się konsekwencji w pracy, tylko dlatego że paraliżował go strach, że jak pisarka dowie się, że pił, zerwie z nim znajomość. Nie chciał tego. Teraz uzmysłowił sobie, jak bardzo mu na niej zależało.

– Nie było go aż do nocy przed pogrzebem – kontynuował ksiądz. – Widziałem go przez okno, jak podjechał tą swoją terenówką. Wtedy wyszedłem, żeby zobaczyć, co robi. Liczyłem na to, że w nocy mnie nie dojrzy. Sutanna jest czarna. Noc mi sprzyjała. No i zobaczyłem, że niesie torby.

– Jakie to były torby? – zapytał Zjawa.

– Dosyć duże. Wydaje mi się, że sportowe. Nie widziałem dokładnie. Nie potrafię podać marki ani nic. Nie skupiałem się na tym.

– Nieważne. – Mari Carmen machnęła ręką. – Co było dalej?

– Ludzie z zakładu pogrzebowego przygotowali grób już w czwartek, więc faktycznie był świeży. No i Ciszyciel... on zaczął zakopywać tam te torby. Ja jeszcze nie wiedziałem wtedy, co jest w środku... Ale... ale on mnie zauważył pomiędzy pomnikami... Żaden ze mnie tajniak...

– Co wtedy? – zapytał Zjawa.

Ksiądz zadrzał.

– Wściekł się. Miał nóż. Tak jak wczoraj... Powiedział, że mnie zabije, jak coś chlapnę. I... Nie pamiętam, jak to ujął. Ale brzmiało to tak, że chodzi o ludzi z autobusu... Nie mogłem uwierzyć, że mógł kogokolwiek zmieścić w tych torbach, ale najwyraźniej to zrobił. Zakopał... ich... Mnie wcisnął w ręce łopatę i powiedział, że odpowiem za współudział, jeżeli ktoś się dowie, bo na łopacie będą moje odciski... I odjechał. Ja... Nie wiedziałem, co robić... Miałem różne szalone pomysły. Żeby pozbyć się łopaty, wymyć ją, cokolwiek.

– A nie przyszedł księdzu do głowy szalony pomysł, żeby zawiadomić policję? – zapytała złośliwie Mari Carmen.

– Byłem spanikowany i naprawdę myślałem, że ktoś może pomyśleć, że jestem sprawcą. W końcu uznałem, że nie zrobię nic... Wziąłem tylko łopatę i zasypałem ich ziemią. Zrobiłem im pogrzeb. To znaczy po prostu odprawiłem taką małą uroczystość... Nikt nie zasługuje, żeby nie mieć pogrzebu...

Daniel po raz kolejny skinął głową. To zgadzało się z tym, co powiedziała Hanna Lorenz Klementynie, Malwinie i Weronice. Jeden z chłopców widział księdza z łopatą. Wszystko zaczynało się układać w całość. Brakowało jedynie ciał w sportowych torbach.

– Ciszyciel tak po prostu księdza tam zostawił? – zapytał Daniel. – W ogóle się nie bał, że ksiądz go wyda?

– Chyba wiedział, że mnie nastraszył. I zrobił to bardzo skutecznie. Czy teraz odpowiem za to, że nie zgłosiłem się z tym do państwa?

– Na razie niech pan skończy opowiadać – odparł Zjawa wymijająco.

Daniel sam był ciekawy, jak prokurator potraktuje księdza Rokowskiego i co ewentualnie zrobi sąd.

– Następnego dnia rano był pogrzeb Dominiki. Odprawiłem go tak, jakby w nocy nic się nie działo. Modliłem się, żeby nikt nie zauważył, że tam ktoś kopał... No a w sobotę już sami państwo wiedzą. Alina myślała, że usłyszała dzwoneczek, który ich rodzina umieszcza na swoich grobach. Zaczęła rozkopywać mogiłę. Ja się przestraszyłem. Nie tylko dlatego, że samo rozkopywanie grobu to przecież... – ksiądz znów się przeżegnał. – No ale wiedziałem, co jest ukryte pod trumną. I... ja... zadzwoniłem do niego.

– Do Ciszyciela? – upewnił się Daniel, mimo że wiedział o tym połączeniu ze spisu rozmów w telefonie mordercy.

– Tak. Dlatego on był tam w sobotę rano...

– Po co ksiądz do niego zadzwonił, skoro się ksiądz go bał? – zapytała Mari Carmen.

– Ja... Bałem się, że zostaną wykopane te torby i że to ja zostanę za to ukarany. Przepraszam... Przepraszam, że byłem takim tchórzem...

– Co z Aliną i Zbigniewem Konopkami? – zapytał Daniel. – Dlaczego on ich zabił? Wie ksiądz?

Kapłan pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Ale kto inny mógłby to zrobić, jeżeli nie on? Ciszyciel musiał mieć jakiś powód...

Nikt mu nie odpowiedział. Przez chwilę w pokoju przesłuchań panowała zupełna cisza.

– W każdym razie ja czekałem przerażony... Może nawet ich zabił, żeby mnie nastraszyć... Wiele razy kiedyś powtarzał, jeszcze w latach osiemdziesiątych, że jest w nim żądza krwi. Że jak jej ulegnie, to nie poprzestanie... tak to ujmował. Martwiec. Mówił, że w każdym człowieku jest martwiec. Tak Słowianie nazywali wampira. Wąpierz albo martwiec. Ciszyciel kiedyś gdzieś o tym przeczytał. Dawno temu. I od tamtej pory tak o tym mówi. Że w każdym z nas jest martwiec. Może miał rację... W nim był na pewno.

A więc i to dziwne słowo wykaligrafowane pod krzyżem zyskiwało wytłumaczenie, pomyślał Daniel. Póki Ciszyciel był nieprzytomny, nie będzie można go zapytać, ale wyglądało na to, że złożył swój podpis.

Duża część zagadek była więc rozwiązana. Nadal jednak pozostawało kilka. Dlaczego Ciszyciel zabił Konopków? Czy zabił też Leszka rok temu? A jeżeli tak, to dlaczego odpiłował mu głowę, ale najpierw

prawdopodobnie go zastrzelił? Podobno antropolog wstępnie to potwierdził. No i co stało się z ciałami w sportowych torbach?

Na pewno czekały ich długie poszukiwania. Podgórski odetchnął głębiej. Opanowało go zniechęcenie. Mari Carmen i Zjawa zadawali jeszcze księdzu jakieś pytania, ale policjant nie mógł się już skupić. Z ulgą przyjął zakończenie rozmowy. Wyszedł na korytarz jako pierwszy i ruszył szybkim krokiem do łazienki. Chciał przemyć twarz. Może chociaż trochę go to...

– No i co, Danielu? – usłyszał za swoimi plecami.

Stukanie obcasów nie ostrzegало już przed jej nadejściem, bo przecież po akcji w squacie chodziła w służbowych policyjnych butach. Zapewne jak wróci do domu do Bydgoszczy, uzupełni braki w obuwiu i na następną wizytę stawi się w nowych szpilkach. Równie niebotycznych jak te, które straciła.

Mari Carmen.

Przyglądała mu się spod oka. Potem poprawiła włosy i przesunęła kosmyk za ucho. Czy znów proponuje mu seks w łazience? Właściwie byli prawie w środku.

– No i co, Danielu? – zapytała ponownie.

– W jakim sensie?

– Znowu niedopełnienie obowiązków – odparła, uśmiechając się.

Podgórski uniósł brwi.

– Słucham?

– No to, co słyszałeś.

– O co ci kurwa znowu chodzi?

– Przez ciebie zniknęły ciała.

– Przeze mnie zniknęły ciała – powtórzył za nią głośno i wyraźnie policjant. – Dobrze. Naprawdę. Bardzo kurwa dobrze. Dopiero co twierdziłaś, że żadnych toreb z ciałami nie było. A teraz nagle znikają przeze mnie...

– Żartowałam – uśmiechnęła się policjantka. – Wiedziałam, że to ci się spodoba. Wystarczy mi to, co już na ciebie mam. Dziś będę spisywać zeznania dotyczące twojego picia na służbie. Powiem ci w sekrecie, że to twój kolega Ziółkowski je składa. Powiem, bo pewnie i tak się dowiesz. No i mam trochę planów względem Łukaszka. Bardzo byłoby szkoda. Dopiero zaczyna swoją drogę. No i tyle w nim zapału.

A więc to Ziółkowski na niego donosił... Kogo jeszcze Mari Carmen zdoła przekonać? Co ona zamierza zrobić Łukaszowi?

Daniel zrozumiał nagle, że wie już, co powinien zrobić, żeby sobie poradzić z Mari Carmen. Może już od pewnego czasu wiedział.

ROZDZIAŁ 72

Szpital w Brodnicy.
Wtorek, 3 listopada 2020.
Godzina 12.40.
Ciszyciel

Ciszyciel czuł, że powoli wypływa z bardzo gęstego bagna.

Wokół panowała lepka ciemność.

Dopiero po chwili zorientował się, że to dlatego, że ma zamknięte oczy, a jego ciało jest spocone.

Jakby oblane wodą.

Czuł zmęczenie.

Tak wielkie, że nawet otworzenie powiek wydawało się zbyt dużym wysiłkiem.

– Tłumaczyłem, że nie można wejść – usłyszał przytłumiony głos. – Zostałem wyznaczony do pilnowania tego człowieka i nie mogę nikogo tam wpuścić. To niebezpieczny morderca. Nie wolno ryzykować. Może zrobić cokolwiek.

Dochodziło to chyba zza drzwi.

Przynajmniej tak się wydawało.

Ciszyciel próbował zebrać myśli. Powoli docierało do niego, że nie jest w żadnym bagnie, tylko w szpitalu. Zapach środków dezynfekcyjnych i leków wbił mu się w pamięć podczas chemioterapii.

Wiedział już więc, gdzie jest.

Ale jak do tego doszło?

Tego nie był do końca świadomy.

Wspomnienia wracały nieprzyjemnie powoli. Jakby jego umysł chciał zapaść w stan zapomnienia, w którym znajdował się jeszcze przed chwilą.

– On ma być przeniesiony – odezwał się jakiś głos. – Proszę mnie wpuścić. Mam na to papiery.

Głos wydawał się dziwnie znajomy.

ROZDZIAŁ 73

Kaplica w Rarogach.

Wtorek, 3 listopada 2020.

Godzina 13.10.

Hanna Lorenz

Hanna Lorenz szła powolnym krokiem w stronę starej kaplicy. Dość dawno tu nie była. W jej wieku niełatwo było wyjść poza skraj wsi. Nie pamiętała już nawet, kiedy ostatnio opuszczała Rarogi. Jej oczami i uszami byli teraz chłopcy. Stała się jak pajęczycza, która siedzi w swojej sieci i wysyła młodych na zwiady. A sama czeka cierpliwie. Na ofiarę. To właśnie zamierzała dziś zrobić. Dopaść swoją ofiarę. I tak czekała długo. Za długo. Ale była cierpliwa. Wystarczająco, żeby doprowadzić sprawę do końca.

– Pomóc? – zapytał jeden z chłopców.

Nawet nie pamiętała ich imion. Nie miały znaczenia. Byli jej bezimiennym rojem. Choć rój bardziej pasował do królowej pszczoł niż do drapieżnej pajęczycy.

– Nie trzeba – zapewniła, opierając się na rzeźbionej lasce.

Nienawidziła starości. Nienawidziła tego, że trzeba było jej pomagać. O ileż piękniejsze były czasy, kiedy chodziła po mieście i biła się z punkami i hipisami. Osobiście. Za swoje ideały. Wierzyła w czystość rasy. To była jedyna słuszna droga. Nie było innej. Nie było miejsca na słabość. To, czego nie udało się zrobić kiedyś, ciągle można było jeszcze rozwinąć i wskrzesić. Jeżeli nie ona, to kolejne pokolenia. Dobrze uczyła swoich chłopców. Będą przekazywać dalej jej słowa. Tak jak ona przekazała im to, czego nauczył ją ojciec. Polak, choć wielki sympatyk nazistów.

Największe nadzieje pokładała oczywiście w Tomaszu. Był jej wnukiem. Krwią z krwi. A jej rodzina była silna. Zawsze potrafiła sobie radzić. Nawet jeżeli oznaczało to chwilowe odstępstwo od reguł. Na przykład jej ojciec. To on wydał żołnierza SS Rosjanom. Mimo że to był swój. Ale trzeba było jakoś przetrwać i ojciec to wiedział.

Nikt nie domyślił się, że to on zrobił. Do tej pory wszyscy zastanawiali się, kto wydał żołnierza i skazał Rarogi na zagładę, kiedy hitlerowcy przyszli pomścić swego. Nikt nie wiedział, że to stary Lorenz, który krzychał przecież *Heil Hitler*, kiedy tylko mógł.

Hanna dobrze wiedziała, dlaczego ojciec to zrobił. Poświęcił jednego człowieka, żeby przetrwać i móc dalej szerzyć jedyną słuszną ideologię. Rosjanie myśleli, że mają w nim sprzymierzeńca, a kiedy już zajęli te ziemie, oddali mu w zamian za przysługę dużą część starej wsi. Wzbogacił się i mógł działać. A potem przekazał to córce. Znacząca większość. Bo przecież ziemia, na której stała kaplica, do nich nie należała.

Westchnęła. Tomasz. Tomasz. Tomasz. Takie nadzieje w nim pokładała. A tak ją zawiódł. Była w nim słabość. Najpierw Hanna myślała, że to była wina tego pedała Leszka. Wstrętne odstępstwo od normalnych naturalnych porządków. Wzdrygnęła się na myśl o tym, jak zobaczyła, że jej Tomasz całuje tego ohydne... A potem próbował z nią o tym rozmawiać. Co gorsza, usłyszał to Modest i Dominika. Taka ujma na honorze! Hanna nie mogła się z tym pogodzić... Hańba! Jeszcze zanim Dominika zginęła, Lorenz wysłała do niej chłopca, żeby przypomnieli jej łagodnie, że o pewnych rzeczach pamiętać nie warto. Robiła wszystko, co się dało, żeby nikt się nie dowiedział.

W pewnym momencie zrozumiała, że to nie tylko wina Leszka. Tomasz był słaby. Sam w sobie. Nie sądziła, że coś takiego dotknie jej rodzinę. To mogło dziać się u Konopków. Oni byli plebejuszami. Nic niewartymi. Ale Tomasz? To było nieodpuszczalne. Wstrętne, wzdrygnęła się. Ohydne. Nie znajdowała na to słów.

– Przywieźliście go już? – zapytała.

– Zaraz będą. Przywiozą go z Brodnicy. Jak pani kazała.

– Dobrze.

Ostrożnie podniosła stopę nad korzeniem. Jeszcze kilka kroków i znajdzie się w starej kaplicy. Bawiło ją, że policja nie sprawdziła w tak oczywistym miejscu. Ale być może jeszcze tu zajrzą. Dlatego trzeba pozbyć się toreb.

I to szybko. Nie lubiła samowolki, ale musiała przyznać, że chłopcy mieli dobry pomysł, żeby chwilowo je tam schować. Będzie musiała pochwalić ich za inicjatywę. Choć naprawdę niezbyt lubiła, żeby mieli jakieś własne pomysły. Wolą, jak jej słuchali. Ślepo.

Ta wytatuowana baba uderzyła w czuły punkt i dlatego Hanna zdecydowała się z nią mówić prawie otwarcie. Lorenz musiała przyznać, że i ona miewała słabości, choć niezbyt je akceptowała. A największą był Tomasz. Kochała go, mimo że był przeciwieństwem tego, w co wierzyła. Ale był krwią z jej krwi i nie mogła nic na to poradzić. Zakłęła w duchu. Dobrze, że chociaż zachowała jasność umysłu i od razu wysłała za tymi babami chłopców. Jak sobie poszły, to mogli wyciągnąć torby.

Odetchnęła głębiej jesiennym powietrzem. Być może ostatni raz, jeżeli wszystko pójdzie według planu. Rozejrzała się wokół siebie. Rarogi tonęły w półmroku, mimo że był środek dnia. Dzień zrobił się ponury i ciemny. Jakby wszystko się zgrało. Tylko cmentarz zdawał się promienieć. Ale może jej się wydawało. Widziała przecież tylko na jedno oko.

Starość. Poczwała nienawiść. Jeszcze większą niż zazwyczaj. Nienawiść towarzyszyła jej całe życie. Była jej pożywką i źródłem energii. Tak właśnie będzie do końca. Dlaczego miałoby się to zmienić tylko dlatego, że człowiek dochodził do punktu zwrotnego?

Jeden z chłopców uchylił przed nią ciężkie drzwi kaplicy. Weszła do środka. Otoczyło ją zatęchłe powietrze i smród rozkładu. Jak szybko zmieniamy się w proch, przebiegło jej przez myśl. Znowu poczuła palący gniew. I ona kiedyś będzie się tak rozkładać. Nie potrafiła znieść tej myśli. Dlatego miała plan. Bardzo wybuchowy plan. Nie tylko Ciszyciel i reszta umieli wysadzać różne rzeczy. Ona też się tego nauczyła, kiedy z nimi walczyła za młodu.

Nazywano ją wtedy Baba-Jaga. Początkowo się na to wściekała. Myślała, jak to smarkula, że naśmiewają się z jej garbatego nosa. Potem znalazła w tym siłę. Była jak Baba-Jaga z mrocznej baśni. Z czasem zrobiła z tego swój znak rozpoznawczy. A wrogów traktowała rymowanką z dziecięcej zabawy. *Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy.* Póki się nie odwróciła, delikwent mógł uciekać. A potem...

Bum.

Zaśmiała się skrzekliwie na samo wspomnienie. Zawsze chłoneła wiedzę jak gąbka. A jeśli czegoś nie wiedziała, to zawsze umiała znaleźć

informację. Czasem pomagał jej ojciec. Akurat w sprawach materiałów wybuchowych był biegły. Jeszcze z czasów wojennych.

Spojrzała na torby z ciałami. Dziś to wszystko zmieni się w pył. Kaplica była zaminowana. Hanna to skończy.

ROZDZIAŁ 74

Szpital w Brodnicy.

Wtorek, 3 listopada 2020.

Godzina 13.10.

Klementyna Kopp

Maria siedziała na łóżku. Na jej pulchnych policzkach wykwitły rumieńce, kiedy słuchała opowieści o wydarzeniach ostatnich dni. Zadawała pytania o szczegóły. Najwyraźniej była zła, że wybuch ją uziemił i nie mogła prowadzić z nimi dalej śledztwa. Kopp dobrze ją rozumiała. Na jej miejscu byłaby wściekła. Nienawidziła bezczynności. Najbardziej się jej chyba bała. Bezczynność oznaczała, że człowiek zostawał sam ze sobą. A to nie zawsze dobrze się kończyło.

– Co mogło się stać z ciałami? – zapytała matka Daniela przejęta. – Przecież same nie zniknęły!

Ręka Marii powędrowała do kieszeni szlafroka narzuconego na szpitalną koszulę. Kopp miała irracjonalne wrażenie, że starsza pani wyjmie stamtąd jakiś wypiek. A przecież nie miała szansy niczego przygotować. Nie w szpitalu. Nawet ona nie dokonałaby takiego cudu.

– Mamy coś dla pani, pani Mario – oznajmiła Malwina.

Faktycznie przyszły tu z małą niespodzianką. To był pomysł pisarki i rudej. Ale! Kopp też wzięła w tym udział. Wczoraj siedziały do późna w kuchni Weroniki i piekły. Klementyna nie przypuszczała, że kiedykolwiek spędzi tyle czasu, przygotowując jedzenie. Każde gotowanie, które trwało dłużej niż pięć minut, to była strata czasu. Choć one akurat wykorzystały czas dobrze. Piekąc, dyskutowały o sprawie. Między innymi

rozważały, co mogło stać się z ciałami, które Kopp znalazła w grobie Dominiki.

– Dla mnie? – rozpromieniła się Maria.

Weronika wyszła na korytarz, gdzie zostawiły szarlotkę. Kiedy wróciła, zapach jabłek i cynamonu wypełnił sterylne szpitalne pomieszczenie. Kopp poczuła nawet pewną dumę, że do jakiegoś stopnia ona również w tym uczestniczyła.

Przeszło jej nawet nieśmiało przez myśl, że nie samymi morderstwami człowiek żyje. Mają czas. Jeszcze dowiedzą się, co się z tymi ciałami stało. Przecież torby nie wyparowały. Ktoś je stamtąd zabrał. A im więcej o tym dyskutowały, tym bardziej oczywiste stawało się, że mogła to zrobić tylko ta starucha. Lorenz przewijała się w tej sprawie wielokrotnie. Zawsze gdzieś na obrzeżach. Ale! Była tam zawsze. Czaiła się.

– Och, jak wspaniale! – zawołała matka Daniela radośnie. – Upiekłyście ciasto!

– Nie takie dobre, jak robi mama, ale starałyśmy się – powiedziała Weronika. Rumieniec pojawił się na jej piegowatej twarzy. – Chciałam przywieźć Emilkę, ale teraz w szpitalach... Wiadomo. I tak dobrze, że zrobiono dla nas wyjątek i mogłyśmy mamę odwiedzić.

Zanim Maria zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie. Uchyliły się drzwi i do środka zajrzał Daniel. Za jego plecami stał Łukasz. Na twarzy Podgórskiego malował się dziwny uśmiech.

– Macie coś nowego, co? – zapytała Kopp.

– Nie – odparł policjant lekko. Nadal uśmiechnięty. – Widzę natomiast, że mamy tu spotkanie.

– Dziewczyny upiekły dla mnie ciasto, Danielku – pochwaliła je Maria. – Trzeba pokroić. Wszyscy zjemy.

– Miejmy nadzieję, że będzie jadalne – zażartowała Malwina, podając Marii nóż, żeby pokroiła wypiek. Przywiozły ze sobą wszystko. Sztućce, talerzyki. Całe szczęście nie Klementyna musiała to pakować. Nie miała do takich rzeczy głowy.

Odwróciła się znów do Daniela.

– To czemu się tak szczerzysz, co? – zapytała. – Znaleźliście ciała, co?

– Przecież powiedziałem, że nie – odparł policjant lekko.

– Zaglądałeś do Ciszyciela, czy się obudził, co? Tam stoi jakiś młody chłopaczek z firmy i nic nie chciał powiedzieć.

– Nie, nie byłem tam. Przyszedłem od razu do was.

– Daniel, wszystko okej? – zapytała Weronika.

– Jak najbardziej.

Podgórski wziął kawałek ciasta i zaczął jeść.

– No wreszcie masz apetyt, synku – ucieszyła się Maria. – Martwiłam się, że będziesz chodził głodny. To niezdrowo.

– Bardzo dobre ciasto – pochwalił Daniel.

– Zastanawiamy się, czy zniknięcie ciał to nie sprawka Hanny Lorenz – poinformowała go Klementyna.

Podgórski wzruszył ramionami. Nadal zjadał ciasto wielkimi gryzami. Po chwili zostały tylko okruchy. Zachowywał się, jakby nie jadł co najmniej od roku.

– W ogóle cię to nie interesuje, co? – zapytała Klementyna zirytowana. – Nie sprawdzicie jej, co?

– A o to już musisz zapytać prowadzącego tę sprawę.

– Pytam właśnie.

– Mogę jeszcze ciasta? – poprosił Daniel. – Świetne upiekłyście. Chętnie jeszcze zjem kawałek.

Ta wesołość w jego tonie wydawała się Klementynie sztuczna.

– Okej. No dobra. Ale! Co tu się dzieje, co?

ROZDZIAŁ 75

Kaplica w Rarogach.

Wtorek, 3 listopada 2020.

Godzina 13.15.

Hanna Lorenz

Ciszyciel. Latami nienawidziła tej idiotycznej ksywki. To był chłopak, który bardzo załazł jej za skórę. To było właśnie wtedy, kiedy nazywano ją jeszcze Babą-Jagą. Gnój mieszkał w tej głupawej komunie. Anarchistycznej, hipisowskiej czy jakiej tam jeszcze. Ich poglądy nie interesowały Hanny Lorenz ani wtedy, ani tym bardziej teraz. Ważne było, że byli przeciwnikami. W pewnym momencie wydawało się, że Ciszyciel i jego najbliżsi przyjaciele traktowali te sprawy podobnie. Za to w końcu na chwilę ich stamtąd wyrzucono. Zaśmiała się w duchu. Dla ówczesnych przywódców komuny postępowanie Trzeciego, Witkacego i Ciszyciela było zbyt radykalne.

Swoją drogą, jak zabawnie to brzmiało. Przywódcy komuny. Pokazywało tylko ich zakłamanie. Zawsze to powtarzała. W komunie wszyscy mieli chyba być równi. A jednak potrzebowali kogoś, kto będzie podejmował decyzje.

Tak więc Ciszyciel był dla nich za ostry, za groźny. Nieokiełznany zelota, można powiedzieć. Przez pewien czas myślała nawet, że chętnie by go zwerbowała do siebie. Ale takiej możliwości nie było. Za bardzo wierzył w te swoje brednie i odrzucał jedyną słuszną ideologię czystości rasy. Nigdy tego nie rozumiała. Wiedziała jednak, że dla jej sprawy Ciszyciel jest stracony. Dlatego należało go zniszczyć. Był przeciwnikiem, który nie mógł zostać zignorowany.

Przystąpiła do realizacji planu. Bawiło ją to. Tym bardziej że w tamtym czasie, to była końcówka lat osiemdziesiątych, a może połowa, w mieście nastąpiła stagnacja. A stagnacji Hanna nie lubiła. Choć była już wtedy po pięćdziesiątce i przejęła po ojcu wszystko, co się dało. Była panią na włościach w Rarogach. Ale to nie zmieniało jej przekonań.

Szybko uznała, że będzie Ciszyciela zwalczała jego własną bronią. Uwielbiał wybuchy. I mimo tylu lat na karku i ona uczyła się wysadzać różne rzeczy. W końcu to polubiła. Tym bardziej że dawało to doskonały efekt w postaci całkowitego zatarcia śladów. Albo prawie całkowitego. Na jedno wychodziło. Bo jeżeli ktoś miał znajomości i umiał je wykorzystać, to i tak był niepokonany. A nieraz nawet własne akcje udało się podłączyć pod akcje Ciszyciela. I odpowiedzialność spadała na niego. Co za ironia losu.

Pewnego dnia na przykład Ciszyciel i jego koledzy złapali jednego z jej chłopców. Wtedy chłopcy byli bardziej zaprawieni w bojach niż teraz. A może to ona z wiekiem stała się bardziej wymagająca. Tamten był naprawdę potężnym młodym człowiekiem. Mimo to Ciszyciel, Trzeci i Witkacy go złapali. Pobili prawie na śmierć i zostawili na ulicy. Jakiś przechodzień wezwał pogotowie. Gdyby nie to, chłopiec by nie przeżył.

Nie powiedziała oczywiście policji, kto jest winny. Miała swoje zasady. Nigdy z mundurowymi nie współpracowała, choć zawsze starała się dowiedzieć jak najwięcej o tym, jak działają. Uznała, że załatwi to sama. A zemsta nigdy nie była dla niej zero-jedynkowa. Nie chodziło o to, żeby złapać Ciszyciela i go pobić. Nie. To by było za mało. Miała lepszy pomysł. Zawsze trzeba było uderzyć w najbardziej czuły punkt.

– Są już blisko? – zapytała chłopca, który stał w drzwiach kaplicy.

– Zadzwoń i sprawdź?

– Tak. Chcę go tu natychmiast.

Chłopiec wyjął telefon komórkowy i wybrał numer. To była nowa technologia. Hanna miała dziewięćdziesiąt jeden lat. Większość osób w jej wieku pewnie by tego nie opanowała. Ona nie zamierzała ulegać wiekowi. Wystarczająco wściekało ją, że ciało zaczynało odmawiać posłuszeństwa i poddawało się starości.

Dlaczego każdego czeka starość? Hanna wiedziała, że się jej nie podda. Ani postępującej starości, ani skradającej się w zakolach życia śmierci. Sama podyktuje warunki. Właśnie dziś. A przy okazji pozbędzie się tych

toreb z ciałami. Zawsze irytował ją nieporządek. W każdej dziedzinie życia. No i gdzieś w torbach był Tomasz. Nie chciała go oglądać pokrojonego. Nie będzie musiała.

Spojrzała na swojego podwładnego dyskutującego przez telefon. Tak, umiała sobie poradzić z takimi cudami techniki jak komórka. Tylko po co, skoro mogła się wyręczyć kimś innym.

– Będą za kilka minut – wyjaśnił chłopiec, rozłączając się. – Zjechali już dawno z asfaltu. Są w lesie. Edek przyciska gaz do dechy. Aż się za nimi kurzy.

– Dobrze.

Hanna Lorenz ruszyła w głąb kaplicy. Chłopcy lubili spotykać się w tym miejscu. Malować symbole na ścianach. Pozwalała im na to, choć nie lubiła chaosu i brudu. Ale wiedziała, co znaczy młodość. Młodość musiała się wyszumieć. Jak się popuściło wodzy, nie dochodziło do walki z przywódcą. Na to nie zamierzała pozwolić.

– Ogarnij mi coś, żebym usiadła.

Chłopiec pobiegł do zakrystii. Przyniósł jakąś ławeczkę. Chyba jedyną, której nie zniszczyli. Postawił ją obok ołtarza. Teraz nie paliło się tu wieczne światelko. Msze odbywały się w nowszej świątyni w centrum Rarogów, ale pamiętała jeszcze czasy, kiedy stary kościółek gromadził wiernych. Jako dziecko się go bała. Aniołowie na witrażach zdawali się przyglądać jej podejrzliwie. Jakby wiedzieli, że jej dusza jest zła.

Ona wiedziała to od dziecka. Zło. Wcale jej nie przerażało. Umiała je okiełznać. Nie wszyscy muszą być dobrzy. Ona nie była. Jej ojciec nie był. Szkoda, że Tomasz urodził się dobry. Nie pasował do nich. Nie pasował, choć tak bardzo chciał się dostosować.

Uśmiechnęła się smutno. Doskonale wiedziała o jego układzie z tym pieprzonym Leszkiem. To całe prześladowanie było udawane. Pod publiczność. Nie interweniowała. Za bardzo kochała wnuka, żeby to zrobić. Wiedziała też, że gdyby chłopcy się dowiedzieli, być może Tomka nie uratowałoby nawet to, że jest... był jej wnukiem.

Usiadła ciężko na ławeczce. Wtedy zobaczyła napis pod krzyżem. Martwiec. Zapisany tym idiotycznym, dziecinnym pismem Ciszyciela.

A więc i tu już był.

ROZDZIAŁ 76

Szpital w Brodnicy.
Wtorek, 3 listopada 2020.
Godzina 13.15.
Ciszyciel

Ciszyciel uchylił powieki.

Poszło lepiej niż przedtem.

Kiedy było przedtem?

Chyba spał albo zemdlał. Osunął się znów w bagno, ale teraz powrócił.

Zamrugął. Był już całkiem pewny, że jest w szpitalu. Ostre światło przy suficie go oślepiało.

– Spokojnie – usłyszał szept tuż koło swojego ucha. – To ja, Alicja. Ewy tu nie wpuszczą, bo na zewnątrz jest policjant, ale pomyślałyśmy, żeby cię stąd wydostać. Pod pozorem, że jesteś przeniesiony na inny oddział. Zaraz wszystko załatwimy.

– Co?... Ja?...

Słowa z trudem wydobywały się z jego ust.

Ręka automatycznie powędrowała do wąsów. Musiał je doklejać, bo jego dumę i pamiętkę po ojcu zniszczyła choroba. Nie było ich...

Ogarnął go irracjonalny lęk i wstyd. Jakby był bez nich nagi i wszyscy by na niego patrzyli. To było nieprzyjemne. Bardzo nieprzyjemne.

Czuł jednak, że pamięć wraca.

Pojechał do Rarogów, żeby odebrać klucz od bazy.

Ciszyciel miał wprawdzie drugi. Był jednak honorowy i nie chciał tam wchodzić, póki nie miał obu.

Nie wszystko jednak potoczyło się zgodnie z planem.

Właściwie to nic nie potoczyło się zgodnie z planem.

ROZDZIAŁ 77

Kaplica w Rarogach.

Wtorek, 3 listopada 2020.

Godzina 13.20.

Hanna Lorenz

Drewniane drzwi kaplicy skrzypnęły. Hanna Lorenz uniosła głowę.

– Przywieźli go, proszę pani – powiedział chłopiec.

– Wprowadźcie go.

Sutanna powiewała na jesiennym wietrze, kiedy ksiądz wchodził do kaplicy.

– Co się dzieje? – zapytał. – Twój chłopcy odebrali mnie z komendy, ale nie wiem, o co chodzi.

Kiwnęła głową w stronę toreb z ciałami.

– Chyba wiesz, co jest w środku.

– Chyba wszyscy wiedzą...

Uniosła się powoli z ławeczki. Jej ciało zdawało się skrzypieć, jak te kilka starych desek.

– Nie mam cierpliwości do takiego gadania. Co to jest?

– Torby z ciałami – powiedział ksiądz. – Ciszyciel je zakopał.

– Nie mam cierpliwości do takiego gadania – powtórzyła twardo. – Powiedziałam tym idiotkom, że chłopcy widzieli cię z łopata na cmentarzu. Ale tylko dlatego, że chciałam dać ci znać, że wiem. No i popełniłeś błąd, że sam na początku miałeś za długi język w rozmowie z policją i potem do mnie przyleźli. Rozumiem, chciałeś odsunąć podejrzenia od siebie... Ale nieważne. Moi chłopcy widzieli, jak zakopywałeś te torby. Sam. Nie wiedzieliśmy wtedy tylko, co jest w środku, a nie było czasu ich wykopać.

Poza tym nie sądziłam, że to ważne. Ale teraz już wiemy. I co jest w środku, i że to jest ważne. To jest kurwa bardzo ważne.

Rzadko przeklinała. Była wychowana w duchu wojskowego drylu. Ojciec nie akceptował brzydkich słów. Uważał, że uwłaczają kobiecie z jej pozycją. Ugruntowało jej się to przekonanie. Tym razem pozwoliła sobie pofolgować. Był powód. Domyślała się już, co się stało. I zamierzała ukarać człowieka, który zabił jej wnuka.

Ksiądz nie odpowiedział.

– Witkacy – powiedziała. Dawno go tak nie nazywała. Porzucili stare imiona. Do niej nikt nie mówił już Baba-Jaga. Do niego nikt nie mówił Witkacy. Dawno spalili za sobą mosty. Mieli nowe życia. – Bardzo, ale to bardzo mi się nie podobają wnioski, do których doszłam. Możesz mi wyjaśnić, czemu zakopywałeś te torby? Sam.

Ostatnie słowo podkreśliła. Chciała, żeby wiedział, że nie ma żartów. Ona czekała na spowiedź. Ale tym razem to ona miała być spowiednikiem, a on grzesznikiem, który do niej przyszedł.

– Któryś z tych twoich chłopców cię oszukał – powiedział ksiądz. Podszedł niedbałym krokiem do krzyża. Przejechał palcami po napisie zostawionym przez Ciszyciela, jakby chciał go zetrzeć. – Znasz mnie przecież. A oni to zwykli chuligani.

– Nikogo kurwa nie oszukaliśmy. A tym bardziej pani Hanny – warknął chłopiec. – Zakopywałeś kurwa te torby sam.

Hanna Lorenz rzuciła mu uspokajające spojrzenie.

– Poczekaj na zewnątrz – poprosiła niemal matczynym głosem.

– Na pewno, proszę pani?

– Tak. My tu sobie porozmawiamy na osobności. Wiesz, co macie robić.

Chłopiec skinął głową. Poinstruowała ich o szczegółach planu. Prawie wszystkich szczegółach. Niektórych nie zamierzała zdradzać nawet im. A zwłaszcza nadciągającego finału.

– Jo – potwierdził chłopiec i ruszył do wyjścia.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, w kaplicy zrobiło się dziwnie duszno. Jakby jej ściany zbliżały się do siebie nieuchronnie. Hanna miała nadzieję, że Witkacy też to czuje. Otoczył ich zapach rozkładu, wilgoci i pleśni. I mrok. Niewiele światła dziennego wpadało przez wąskie okna, mimo że część starych witraży była powybijana.

– Hanno, chyba mnie znasz. Nie oszukałbym cię. To jakieś nieporozumienie.

Nie odpowiedziała. Pozwoliła, żeby mrok otoczył ich jeszcze bardziej. Dopiero teraz na szczupłej twarzy księdza na dobre zagościł niepokój. Do tej pory myślał chyba, że nic mu się nie stanie. Przeliczył się.

– Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy – oznajmiła powoli.

Bardzo dawno nie wypowiadała tych słów. Chciała usłyszeć, jak brzmią po latach. Jej głos nie był już taki młodzieńczy i silny jak kiedyś. Trudno. Nadal miała w rękach władzę. Dosłownie. Wsunęła dłoń do kieszeni. Detonator tam był. Doskonale.

Witkacy wyglądał, jakby nie zrozumiał.

– Co... – zaczął.

Zobaczył chyba jej minę. Wtedy najwyraźniej do niego dotarło. Stara rymowanka, którą recytując, Hanna dawała kiedyś swoim ofiarom szansę na ucieczkę. Wiedział doskonale, jak to działa. Niedowierzenie wymalowało się na jego twarzy. Skinęła głową z satysfakcją, żeby Witkacy wiedział, że dobrze odczytał jej intencje.

Rzucił się w stronę drzwi. Próbował je pchnąć i wydostać się na zewnątrz, ale trwały zamknięte. Zaśmiała się głośno. Witkacy nie wiedział przecież, że kazała chłopcom zamknąć je od zewnątrz.

– Z tego miejsca nie ma drogi ucieczki – oznajmiła.

Nie chciał chyba w to uwierzyć, próbował wspiąć się na stare cegły i wyjść przez okno. Daremny trud. Nawet jakby mu się udało, i tak by się nie przecisnął. Był chudy, ale bez przesady. Mimo to nie przestawał się wdrapywać. Bawiło ją patrzenie, jak zrywa sobie paznokcie. Oczekwała jeszcze moment, żeby nacieszyć się tym widokiem. Zemsta. Dla niej zemsta zawsze była słodka.

Tym razem też.

ROZDZIAŁ 78

Szpital w Brodnicy.

Wtorek, 3 listopada 2020.

Godzina 13.20.

Ciszyciel

Pierwszą rzeczą, która nie poszła według planu, było spotkanie Nestora Obucha.

Ciszyciel pamiętał go jeszcze z czasów mieszkania w squacie Wolność. To był brat chłopaka, który zgwałcił tę dziewczynę, Edytę. Deliberowali nad sytuacją z Trzecim. Wierzyć jej czy Nestorowi? Była nowa, mogła kłamać. W końcu ona sama odeszła. Ciszyciel niedługo później. To mógł być rok dwa tysiące czwarty albo coś koło tego. Ciszyciel wspominał wtedy przeszłość...

Poczuł dreszcz.

Jej fiołkowe oczy.

Pełne bólu.

Cierpienia.

Bezbronności.

Chyba właśnie w tamtym momencie postanowił, że odejdzie ze squatu i zacznie nowe życie. Sam. W swoim miejscu. W domu, którego nigdy nie miał. Witkacy opuścił ich wieki temu. Trzeci był zawiedziony, że zostaje z tym wszystkim sam. Jedyne z ich trójki. Ten, który był zawsze ostatni.

Ale Ciszyciel nie mógł już tam zostać.

Męczyło go, że wszystko idzie nie tak, jak powinno. Że nawet tam załagł się martwiec. Przecież to on podpowiedział Modestowi, żeby zgwałcić.

Martwiec był w każdym, jeżeli mu się pozwoliło.

Ciszyciel po raz pierwszy poczuł to tamtego dnia, kiedy prawie zabili nazistę. W rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej, żeby podkreślić powód ataku.

Wtedy zrozumiał, że ścigając potwory, sami się nimi stają.

Zwłaszcza jeden z nich.

Gdy patrzył w oczy Witkacego, tylko jedno przychodziło mu do głowy.

Martwiec.

Gdyby Trzeci i Ciszyciel go nie powstrzymali, Witkacy zabiłby tamtego człowieka.

Z radością.

*

Ale to było dawno.

W zeszły poniedziałek Ciszyciel pojechał do Rarogów, żeby odebrać od Witkacego klucz od bazy. Dał mu go rok wcześniej. Może trochę dawniej. Choroba wtedy tak go zaatakowała, że myślał, że umiera. Chciał oddać swoje ukochane miejsce komuś, kto też je pokocha.

Mimo wszelkich jego wad, nawet mimo tego, że nie widywali się latami, Witkacy zdawał się być odpowiednią osobą. Przyjacielem od serca.

Ciszyciel walczył z chorobą. Skupiał się na Ewie. Nie myślał o swoim miejscu nad jeziorem Ciche. To było tabu. Za bardzo je kochał i za wiele emocji z nim wiązał. Niech Witkacy się nim zajmie. Dawny przyjaciel przyjął klucz.

Ale choroba trochę odpuściła i Ciszyciel zapragnął tam wrócić.

Dlatego Witkacy musiał oddać klucz. I dlatego Ciszyciel pojechał w poniedziałek do Rarogów.

*

Tylko że Ciszyciel spotkał po drodze Nestora Obucha.

Nestor pytał o materiały wybuchowe. Chciał kogoś wysadzić. Brzmiało to poważnie. Był owładnięty ideą na tyle, że zupełnie zapomniał, gdzie są granice.

Ciszycielowi przypomniało to dawne czasy.

I przeraziło go to.

Przed oczami znów stanął mu martwiec.

Nie tylko Witkacy miał w sobie upiora. Ciszycielowi też zdarzało się pójść za daleko. Wiedział o tym. I bał się, że może przekroczyć wszelkie granice.

Bał się nie tylko siebie. Bał się wszystkich ludzi. Dlatego właśnie zbudował w bazie Areszt. Gdyby ktoś zaatakował jego miejsce na ziemi, mógł zamknąć tego kogoś i znów być bezpiecznym.

Nie chciał, żeby Nestor popełnił te same błędy, co kiedyś oni. Wiedział jednak, że nie przekona go do zaniechania planu. Jediną drogą było uniknąć przelewu krwi inaczej.

Ciszyciel nienawidził policji, nie zamierzał więc ich zawiadamiać.

Pozostawało jedno.

Użyć sposobu.

Nestor doskonale wiedział, że Ciszyciel był specjalistą od materiałów wybuchowych. Znali się ze squatu.

I ufał mu.

Ciszyciel postanowił to wykorzystać. Oszukać Nestora, ale dla jego własnego dobra.

Żeby nie miał na rękach krwi. Tak jak zawsze chciał ustrzec Witkacego przed upiorem, którego ten miał w sobie.

Podał Nestorowi listę potrzebnych składników. Tamten uwierzył. Ciszyciel wiedział jednak, że bomba będzie za słaba. Pozostawało mieć nadzieję, że niedoszła ofiara będzie wystarczająco daleko i nic jej się nie stanie.

Kiedy skończyli rozmawiać o bombach, Nestor wspomniał, że trwa właśnie msza za Leszka Konopkę. Ciszyciel chciał pomówić z Witkacym, ale czuł się zmęczony. Nie miał siły czekać do końca liturgii. Zasłabł nawet i ta dziewczyna, Dominika, podeszła do jego samochodu, by zapytać, czy wszystko w porządku.

Postanowił wrócić następnego dnia.

Ale się przeliczył.

Przez kilka dni był zbyt słaby, żeby podejmować jakiegokolwiek działania. Dowiedział się, że ta dziewczyna zginęła. Właśnie miał być jej pogrzeb.

Wtedy wrócił.

I zobaczył w twarzy Witkacego to co kiedyś.

Ciszyciel znał to spojrzenie.

Martwiec.

ROZDZIAŁ 79

Kaplica w Rarogach.

Wtorek, 3 listopada 2020.

Godzina 13.25.

Hanna Lorenz

Wszystko zaczęło się od zemsty na Ciszycielu. Za to, że niemal zabili jej najlepszego człowieka. To nie była zemsta oko za oko. Hanna nikogo nie zamierzała zabijać, mimo że wcale nie miała w tej materii szczególnych oporów. Ani teraz, ani wcześniej. Po prostu to by było za łatwe i za nijakie.

Jej zemsta polegała na tym, żeby Ciszycielowi odebrać jego najlepszego człowieka. Witkacego. Trzeci nigdy się nie liczył. Dużo gadał, ale nie było w nim ognia. Mimo że to właśnie on został w komunie do dziś. Dla zabawy dawała mu nawet czasem pieniądze przez Witkacego. Bawiło ją, jak Trzeci o nie zebrał dla tych swoich brudasów. Bawiło ją też, że od niej zależało, czy będą mieszkać w tej swojej śmiesznej kamienicy czy nie.

– Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy – powtórzyła, bo Witkacy najwyraźniej tracił na sile.

Na te słowa zdarł z siebie sutannę. Został w czarnych spodniach i koszuli. Ruchy miał mniej skrępowane, więc wspinaczka do okna lepiej mu szła. Zaśmiała się znów. Był jak mucha, którą ona zaraz zgniecie. Pozwoli mu jednak jeszcze chwilę powalczyć.

Zabrała go Ciszycielowi, bo wiedziała, że to Witkacy, a nie ten cholerny karzeł ma w sobie pierwiastek, którego szukała w każdym. Pierwiastek zła. Ciszyciel myślał, że jest zły, ale nie był. Tyle razy starał się sobie udowodnić, że potrafi zrobić coś złego, ale zawsze się cofał i nie

doprowadzał spraw do końca. Witkacy był inny. Ciszyciel i Trzeci go hamowali.

Hanna widziała to, mimo że znała ich tylko z ulicznych utarczek. Ale umiała obserwować. W Witkacym widziała potencjał. Wiedziała, że Ciszyciel najwyraźniej pozostawał ślepy i uważał go za przyjaciela i stronnika w ich hipisowskich ideologiach. Najlepszą zemstą na Ciszycielu było więc przeciągnięcie Witkacego na swoją stronę. I to właśnie zrobiła. Potem go nawet polubiła, bo stał się użyteczny.

Ale najpierw zrobiła z niego księdza.

Pamiętała dzień, kiedy przekabaciła Witkacego na swoją stronę. Dobrze odgadła, że jest w nim gniew. Gniew i zło. Walczył z nazistami, ale nie dlatego, że przeszkadzała mu ich ideologia, jak Ciszycielowi i Trzeciemu. On po prostu chciał walczyć. Z kimkolwiek. A Hanna podawała mu tę możliwość jak na tacy. Bo jej chłopcy nienawidzili wszystkich i walczyli ze wszystkimi. Można było wybierać, kogo się biło. Do wyboru, do koloru. Witkacy znalazł w tym radość. Widziała to. Ale miała wobec niego jeszcze inne plany.

W tamtym czasie przejęła już schedę po ojcu. Stare pokolenie ustępowało nie tylko w rodzinie Lorenzów. Ksiądz w Rarogach też był stary i schorowany. Widziała, że jego czas się zbliżał, a nie chciała nikogo obcego na tym stanowisku. Bo ona postrzegała to jako stanowisko. A wkrótce w kościele miał powstać wakat. I tam zamierzała umieścić nowego podopiecznego.

Witkacy początkowo się opierał. Nie chciał iść do seminarium. Śmiał się z tego. Mówił, że nie jest wierzący. Dlaczego miałby być księdzem? Wytłumaczyła mu wtedy, jaką zdobędzie władzę, kiedy przywdzieje sutannę. Uderzyła w czułą nutę, bo zauważyła, jak bardzo pragnął grać pierwsze skrzypce. Bo on zawsze był dwa kroki za Ciszycielem, udając oddanego przyjaciela. Witkacy pochodził z patologicznej rodziny. Matka, zdaje się, była uzależniona, a może też niedorozwinięta. Tego Hanna do końca nie wiedziała. W każdym razie biła syna, ile wlezie. Babka też. Dwie kobiety wiecznie mieszały go z błotem. Jakby był nikim.

A Witkacy chciał lśnić. Gdzie bardziej jest się na świeczniku niż podczas odprawiania mszy w kościele? Wszystkie oczy zwrócone na ciebie. Ty jako przedstawiciel Najwyższego. Te argumenty trafiły do Witkacego. Zgodził się.

Poszedł do seminarium, tak jak chciała. Mógłby oczywiście tylko przebierać się za księdza, ale to by była droga na skróty. A skróty najczęściej wychodziły na jaw. Ona nie była partaczem. Poza tym lepiej było wkręcić go w to środowisko. Żeby miał znajomości. Żeby mógł im różne rzeczy załatwiać, jeśli będą potrzebowali.

Witkacy odnalazł się w nowej roli. Była nawet zaskoczona, jak bardzo. Podobało mu się oszukiwanie wiernych. Znajdował chyba w tym dodatkową satysfakcję.

Ciszyciel i Trzeci nie wiedzieli, że Witkacy pracuje dla niej. Myśleli idioci, że po prostu się nawrócił. Mogłaby im powiedzieć, jak bardzo się mylą, ale po co. Bawiło ją, że wie więcej od nich. To też była zemsta. Wyrafinowana zemsta, a nie idiotycznie prostackie oko za oko i ząb za ząb.

– Nie uciekniesz – poinformowała Witkacego raz jeszcze, kiedy zrezygnował ze wspinaczki na okno i znów próbował wydostać się przez drzwi.

Ksiądz odwrócił się powoli.

– Wiesz, dlaczego ten karzeł napisał pod krzyżem *Martwiec*? – zapytał.

Jego oczy błyszczały teraz czernią jak dwa węgle w palenisku. Była ciekawa, czy zaatakuje. Nie spuszczała z niego wzroku. Czekwała z dłonią na detonatorze. Chciała jeszcze wyjaśnić z nim kilka spraw, ale może nie będzie jej dane. Trudno. Ważne, że Witkacy odpowie za wszystko.

– A wiesz, że nawet byłam ciekawa.

– Tak mnie czasem nazywał. Napisał to, bo wiedział, że przychodzę tu posiedzieć w ciszy i pokontemplować. Nieopatrznie mu to zdradziłem, jak przyjechał. Chociaż tym głupim babom powiedziałem, że nikt tu nie zagląda. Myślał, że mnie nastraszy i pokaże, że się domyślił. Trochę jak ty, kiedy nasłałaś na mnie te baby. Powiedział mi o tym, kiedy tu przylazł mnie zabić. Taki szczery był. Biedaczek myślał, że wróci i mnie powstrzyma... Udawałem przed tymi babami, że się go boję, a jak przyjechał, to go wpuściłem. Otworzyłem mu drzwi. Czy mógł być dla mnie niebezpieczny?

– A jednak prawie cię zabił – zaśmiała się skrzekliwie Hanna.

– A potem od razu zwałem wszystko na niego... Mówił, że jestem jak wampir – kontynuował ksiądz, ignorując jej słowa. – Ale wolał używać starosłowiańskiego określenia. Wiesz, jaki jest pretensjonalny. *Martwiec*. Pasuje to do mnie. Pożałujesz, że ze mną zadarłaś, stara jędzo. Nie masz władzy nade mną.

– Na pewno? – zapytała Hanna z uśmiechem.

Wyciągnęła z kieszeni detonator. Uniosła go, żeby dobrze widział.

– Tak. Tak. Kaplica jest zaminowana – oznajmiła. – Nie zapomniałam dawnych czasów. Też umiem wysadzać, jeśli trzeba. Tak że niech nie przychodzą ci do głowy głupie pomysły. Rozumiemy się. Ja nie mam nic do stracenia. Ty masz jeszcze pół życia przed sobą. Chcę wiedzieć, co tu się stało. Jak Ciszyciel cię znalazł?

Z tego, co wiedziała, Ciszyciel i Trzeci wiedzieli tylko, że Witkacy poszedł do seminarium. Ale nie, że objął plebanię w Rarogach. Rozpoznała Ciszyciela na pogrzebie Dominiki, a potem kiedy Alina rozkopywała grób. Nie zmienił się ani trochę. Nie było jednak okazji z nim pomówić i dowiedzieć się, o co chodzi.

– Chyba zawsze wiedział, że tu jestem – odparł Witkacy po chwili. Jego oczy nadal błyszczały czernią.

– A wiedział, że ja tu jestem?

– Chyba go nie obchodziłaś. O tobie nie mówił, jak tu się zjawił.

Zabrzmiało to, jakby Witkacy chciał sprawić, żeby czuła się nieważna. To było zabawne. Doskonale znała swoją wartość. Była pajęczycą, która snuła swoją sieć. To ona decydowała, kto w nią wpadnie.

– Po co tu przyjechał?

– Już mówiłem. Chciał schować te ciała. Zabił pasażerów autobusu. Tylko Dominika mu uciekła. Przyjechał tu, bo chciał się ich pozbyć. Próbował już w poniedziałek do mnie dotrzeć, ale napotkał tego idiotę Nestora. Instruował go w sprawie materiałów wybuchowych. Potem odjechał, bo ja prowadziłem mszę. Wrócił następnego dnia. Zabił Dominikę ot tak, bo się akurat przechadzała po lesie, jak to ona. Potem przyszedł do mnie, żeby ukryć ciała.

Znów uniosła detonator.

– Już ci powiedziałam, że brakuje mi cierpliwości do takiego gadania. Wiem, kiedy kłamiesz. Poza tym chwilę temu gadałeś całkiem otwarcie. Martwiec i tak dalej. Skończmy więc te brednie i mów prawdę.

Witkacy mierzył ją wzrokiem. Był w tym samym wieku co ona, kiedy zwerbowała go do swojej drużyny. Po pięćdziesiątce. Górował nad nią młodością, wzrostem, siłą, ale wiedziała, że to ona wygra ten pojedynek.

Znała go za dobrze. Miał w sobie żądzę krwi. Nieopanowaną. Zło, które tliło się w niej, ona potrafiła tłumić i rozbudzać, kiedy chciała. Nie rządziło

nią. A on tracił panowanie. To był błąd. Złem trzeba było umieć kierować, ale nie należało z nim igrać, bo mogło zwieść na manowce. Tak jak jego.

– Zaczniemy od Leszka – powiedziała. – Ty go zabiłeś?

Hanna nienawidziła Leszka Konopki całym sercem, bo odbierał jej Tomasza. Zmieniał go w kogoś, kogo nigdy nie mogła tolerować. Wiedziała, że Konopkowie też najchętniej pozbyliby się syna. Byli głęboko religijni. To, że Leszek był gejem, bardzo im wadziło. Więzy krwi nie były w tym momencie ważne.

Dlatego poleciła im Edytę Majchrzak, bo to była kobieta bez skrupułów. Również zła do szpiku kości. Można powiedzieć, że Edyta była płatną morderczynią, ale z bardzo wąską specjalizacją. Jej metoda była subtelna i bardzo się Hannie podobała. Jako psychiatra Majchrzak przyjmowała wrażliwych pacjentów i doprowadzała ich skutecznymi podszeptami do samobójstwa. Wtedy ci, którzy jej płacili, byli zadowoleni, a ona miała czyste ręce, bo nikogo osobiście nie zabiła. Nikt nie wiedział, jakie słowa padały podczas rzekomej terapii.

Konopkowie faktycznie namówili syna, żeby poszedł do doktor Majchrzak. Leszek chyba uwierzył, że tak nalegali z troski o niego. Bardzo chciał, żeby tak było, bo mu zależało na akceptacji rodziców. No i Edyta miała pole do popisu. Szło jej tak dobrze, że Leszek kupił pistolet od jednego z jej chłopców. Hanna myślała, że zamierza się nim zabić. Trzymała kciuki za dalsze poczynania Edyty Majchrzak. Tylko że psychiatra nie skończyła swego dzieła, bo rok temu ktoś zamordował chłopaka i odciął mu głowę.

Hanna się cieszyła. Przecież nie chodziło o to, jak Leszek zginie, tylko o to, żeby go nie było i żeby nie miał wpływu na jej Tomasza. Ale była ciekawa, co się stało. Bo to przecież nie była metoda Edyty Majchrzak. Ktoś inny to zrobił.

Hanna próbowała popytać tu i ówdzie, ale szybko przestała. Tomek bardzo przeżywał śmierć Leszka. Nie chciała rozdrapywać tej rany. Chciała wymazać wszelką pamięć o tym tęczowym zbrodniarzu. Żeby Tomasz był znów jej. To była złudna nadzieja, ale jednak.

– Oczywiście, że go nie zabiłem – odpowiedział ksiądz.

– To kto?

– Sam się zabił.

ROZDZIAŁ 80

Szpital w Brodnicy.

Wtorek, 3 listopada 2020.

Godzina 13.25.

Ciszyciel

Martwiec.

Ciszyciel poznał to słowo przypadkiem. Dawno temu. Nie pamiętał już nawet, przy jakiej okazji. Było starosłowiańskim synonimem wampira. Wywoływało u Ciszyciela ciarki na całym ciele.

Jakby samo w sobie kryło upiorne moce.

Kiedy pierwszy raz o mało nie przekroczyli granicy, wtedy w osiemdziesiątym czwartym, zrozumiał, w czym rzecz. Mieli w sobie upiory. Czy to przez to, jak żyli, czy przez to, jakie były ich historie.

Odrzuceni.

Niechciani.

W gruncie rzeczy podobni do tej zgwałconej dziewczyny.

Pełni bólu.

Walczący ze strachem, żeby nikt ich nie dotknął.

Atakujący, żeby się bronić.

Trudno było po pewnym czasie nie ulec złu i się nie zatracić. Zło potrafi szeptać całkiem słodko. A im więcej się robiło złego, nawet mając dobre intencje, tym bardziej się mu ulegało. I tym słodsze się wydawało.

Do czasu.

Od tamtego razu, kiedy to zrozumiał, Ciszyciel starał się okiełznać tę stronę natury i u siebie, i u Witkacego. Póki się przyjaźnili, to się udawało. Choć Ciszyciel nie raz, nie dwa sam uległ złu. Potem, kiedy przyjaciel

poszedł do seminarium, a Trzeci tak bardzo się złościł, Ciszyciel się cieszył. Miał nadzieję, że martwiec już nie powróci. Że dawny przyjaciel zagłuszy go modlitwą.

Mylił się.

W dzień pogrzebu Dominiki Konopki rozmawiali z Witkacym dość długo. On wszystkiemu zaprzeczył. Opowiadał o swojej posłudze w Rarogach. Nawet o tym, że była tam słynna kiedyś Baba-Jaga.

I że jej pilnował.

Mówił też, że często chadzał do starej kaplicy, żeby się modlić. Tam podobno było dobro. Cisza. Spokój.

Ciszyciel słuchał bardzo uważnie.

Słuchał i nie wierzył w ani jedno jego słowo.

Po skończonej rozmowie sam poszedł do kaplicy, by przekonać się, co to za miejsce. Witkacy mówił o tym miejscu z taką swadą. Emanowało nie dobrem, ale złem. Nie chodziło tylko o straszne napisy, które wymalowano w zakrystii.

W tym miejscu było coś dziwnego.

Wtedy Ciszyciela ogarnęła pewność, że nie myli się co do dawnego przyjaciela.

Martwiec.

Wszyscy mówili o śmierci Dominiki Konopki. O tym, że rok wcześniej zginął jej brat. A także o zaginionym autobusie. To było za dużo przypadków jak na jedną wioskę. Wioskę, w której przebywał Witkacy.

Martwiec.

Jego przyjaciel, który igrał ze złem.

Ciszyciel zapisał pod krzyżem słowo, którym nazywał tę złą stronę człowieka. Jeśli Witkacy naprawdę się tam modlił, wszystko jedno, czy do Boga, czy do Złego, to zobaczy tę wiadomość. Może dobra strona jego natury obudzi się na ten widok.

O to Ciszyciel się modlił.

Kiedyś nie był religijny. To przyszło wraz z chorobą. Ewa śmiała się, że jak trwoga, to do Boga. I chyba właśnie tak było.

*

W sobotę wrócił do Rarogów, żeby zobaczyć, czy napis cokolwiek zmienił. Chciał też odzyskać klucze od bazy, bo w piątek się to nie udało. Uznał, że ani przez moment nie mogła już być w rękach Witkacego. Witkacy zadzwonił do niego rano i prosił o jeszcze trochę czasu. Ciszyciel nie chciał mu go dać.

Zwłaszcza jeśli to on był sprawcą.

A co do tego Ciszyciel prawie nie miał wątpliwości.

We wsi panowało zamieszanie. Rodzice Dominiki myśleli, że ona żyje, i rozkopywali grób. Ciszyciel przypatrywał się temu z boku. Wymienił nawet kilka uwag z grupą dość miłe wyglądających kobiet. Potem miała nadjechać policja, więc szybko się ulotnił.

Zawsze wywoływali w nim strach.

Od historii z siostrą przełożoną w sierocińcu nigdy nie zaufał władzom.

Zwłaszcza takim, które miały broń.

To jednak nie oznaczało, że zamierzał odpuścić.

*

Wrócił do domu i odpoczął. W niedzielę postanowił pojechać do bazy. Chciał się upewnić, czy wszystko w porządku. Już nie tylko, żeby się pożegnać. Ale im więcej o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że to miejsce w rękach Witkacego mogło zmienić się w coś, czym według jego planów miało nie być.

Żałował, że oddał mu klucz rok temu.

Zrobił to w momencie, kiedy myślał, że choroba go pokona. Potem nie miał już siły tam wracać. Chciał cieszyć się ostatnimi miesiącami z Ewą. Ale teraz nie mógł już dłużej pozostawać w bezruchu.

Musiał działać.

Podjechał samochodem prawie pod bazę. W przypiływie sentymentu uznał, że wybierze się na krótki spacer po lesie, zanim sprawdzi, co jest w środku. Po drodze spotkał te miłe kobiety, które były w Rarogach na pogrzebie i potem również następnego dnia, kiedy Alina Konopka rozkopywała grób córki.

Tyle że Ciszyciel wcale nie chciał, by kręciły się w okolicach bazy.

Nie w takim momencie.

Nie kiedy nie był pewny, co tam się dzieje.

Próbował więc je nastraszyć opowieścią o upiorach czających się w tej okolicy. Nie posłuchały go. Niestety. Choć wtedy on jeszcze o tym nie wiedział.

Kiedy próbował otworzyć drzwi, coś go tknęło.

Może to był dźwięk.

Może zapach.

I to go uratowało.

Cholerny Witkacy podłożył tam bombę. Ciszyciel próbował uciec, ale i jemu się dostało.

Ranny popędził do samochodu.

Wypadł mu telefon, ale nie zauważył tego. Zresztą wiedział, że Ewa i tak go znajdzie. Mieli ustalone dodatkowe miejsca spotkania.

Sam nie wiedział, jak udało mu się dotrzeć do domku myśliwskiego Stefana Majchrzaka. Były pracodawca Ewy ich tam kiedyś zaprosił. Chwalił się bronią. A Ciszyciel myślał o czymś zupełnie innym. Zainteresowało go zdanie, które kardiochirurg rzucił od niechcienia.

Że tak rzadko tu bywa.

Ta chata była tak blisko bazy.

Była idealnym miejscem, gdyby coś się działo.

Nestor nie powiedział mu, że właśnie o kardiochirurga chodzi, kiedy wypytywał, jak skonstruować bombę. Ciszyciel tym bardziej się ucieszył, że źle doradził Obuchowi. Majchrzak był wprawdzie oszustem, ale załatwił Ewie nową pracę. Lubiła ten publiczny szpital. Tylko jej przyjaciółka Alicja narzekała. Ale ona zawsze narzeka.

*

– Nic nie mów – szepnęła pielęgniarka, wrywając Ciszyciela z zamyślenia.

Trzeba było zostawić wspomnienia. Być tu i teraz.

– Zaraz cię stąd zabiorę – mówiła dalej. – Ten policjant, który pilnuje drzwi, mi uwierzył. Wywiozę cię stąd. Do Ewy.

Ciszyciel z trudem odwrócił się w stronę Alicji.

Wiedział, że zbliża się koniec.

Nie tylko teraz.

Już wtedy w chacie myśliwskiej.

Zostawił więc Ewie list z pożegnaniem. To było tylko krótkie *Kocham Cię, Ewcia*.

Reszta pozostała ciszą.

Był pewien, że ona zrozumie. Te słowa to było najważniejsze, co mógł jej powiedzieć. Zawierały w sobie wszystko.

Wiedział, że pewnie już się nie zobaczą, jeżeli ona nie przyjedzie do domku Majchrzaka, zanim Ciszyciel pojedzie do Witkacego.

A musiał pojechać.

Musiał go unieszkodliwić, bo oczywiste było, że martwiec się w nim obudził i nigdy się nie zatrzyma. Myślenie, że jakieś słowo zapisane pod krzyżem go powstrzyma, było tylko ułudą.

Trzeba go zabić.

Jak kiedyś zabijało się wampiry.

Nie dosłownie oczywiście. Nie osinowym kołkiem czy czym tam jeszcze. Bo Witkacy był tylko człowiekiem. Nie istotą nadprzyrodzoną.

Mimo że zaprzedał się złu.

Wystarczy nóż.

A przynajmniej tak się wydawało.

Nie udało się, pomyślał Ciszyciel z goryczą. Zawiódł.

– Zostań ze mną – nalegała Alicja. Widział łzy w jej oczach. – Zawiozę cię do Ewy.

Ciszyciel pokręcił głową.

Nie chciał.

Nie chciał, żeby Ewa widziała go umierającego.

Chciał, żeby pamiętała go takiego jak wtedy, kiedy wychodził z domu ostatnim razem.

A na pamiątkę miała liścik.

– Zostań... – mówiła Alicja.

Ale on już nie słyszał.

ROZDZIAŁ 81

Kaplica w Rarogach.

Wtorek, 3 listopada 2020.

Godzina 13.35.

Hanna Lorenz

Bzdury. Leszek sam sobie głowy nie odciął. To jak mógł sam się zabić?

– Oczywiście, że sam sobie głowy nie odciął. Zrobił to Zbigniew Konopka. Ale po tym, jak Leszek strzelił sobie w głowę. Zbigniew nie mógł znieść hańby, że jego syn popełnił samobójstwo. Leszek zabił się na polanie w lesie, a im zostawił list w domu, dlatego wiedzieli, gdzie go szukać. Uznali, że to nie po chrześcijańsku. Znaczą głównie Zbigniew, bo Alina niewiele miała do gadania.

O tym akurat Hanna wiedziała. Ona też załatwiała sprawy ze Zbigniewem. Alina była nieważna.

– Nie chciał, żeby ktoś mówił, że ma syna geja, i do tego samobójcę – kontynuował Witkacy. – Ukradł piłę Szczepanowi Prawdzie. Odciął głowę, bo była w niej dziura po kuli. Potem zakopał głowę i piłę na polanie, gdzie Konopkowie zbierali grzyby, bo uważał, że tam nikt jej nie znajdzie. To znaczą starał się zakopać, ale w końcu uznał, że po prostu schowa w jamie pod korzeniami drzewa. A pistolet wrzucił do szamba. Listy z pożegnaniem spalił. Ciało podrzucił na drogę. No i wszyscy pomyśleli, że to jakiś makabryczny zabójca. A to tylko kochający tatuś zacierał ślady.

Hanna Lorenz nie mogła powstrzymać uśmiechu. Konopkowie byli tacy rozbijający naiwni. Powiedziała im, że syn zniknie, ale nie wytłumaczyła, w jaki sposób. Nie spodziewali się chyba takiej metody. To wydawało jej się teraz strasznie zabawne.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Zbigniew powiedział mi na spowiedzi – odparł obojętnie Witkacy. – Jestem bądź co bądź księdzem.

Zaśmiała się znów głośno. Nawet nie przypuszczała, że to wszystko będzie takie zabawne. Nie należało jednak tracić z oczu powodu, dla którego tu byli. Tomasz. Tomasz i jego śmierć. To śmieszne nie było. Spojrzała na pobrudzone ziemią sportowe torby. W którejś z nich były szczątki jej wnuka. Opanował ją gniew. Tomasz może nie był taki, jak chciała, ale był jej wnukiem. Krwią z jej krwi.

– Dominika chyba się domyślała, co się stało, i im nie ufała – dodał Witkacy. – Ale wiesz, jaka była. Wycofana. Dopiero kiedy została zgwałcona przez Szczepana, zobaczyłem w jej oczach gniew.

– Dość pogaduszek – powiedziała. – Po co Ciszyciel zjawił się we wsi? Nie chcę słyszeć ani odrobiny kłamstwa.

– Umierał na raka. Chciał się pożegnać z ludźmi ze starego życia.

Tym razem czuła, że Witkacy mówi prawdę.

– Poza tym chciał pozbyć się ciał ludzi, których zabił – dodał ksiądz.

A szło tak dobrze.

– Już ci powiedziałam, że nie trawię kłamstw – warknęła i uniosła po raz kolejny detonator. – Dlaczego to ty zakopywałeś torby z ciałami? Jego tam nie było.

– Kazał mi.

– Kłamiesz. Zapomniałeś już, że przed chwilą się przyznałeś?

Witkacy wyglądał na zdezorientowanego. Powiedział o napisie pod krzyżem, kiedy myślał, że jest silny. Potem pokazała mu detonator i spuścił z tonu. Teraz było już za późno.

– Dobrze, to ja ich zabiłem – oznajmił, jakby podjął jakąś decyzję. – I twojego zбочzonego wnuczka też. Był taki sam jak Leszek. Wielka Hanna Lorenz, królowa czystej rasy panów, z wnukiem homo?

Hanna poczuła, że opanowuje ją wściekłość. Chyba też to widział, więc spróbowała się uspokoić. Emocje nie były dobrym doradcą. W tej rozgrywce to on był przez chwilę górą. Ale tylko przez chwilę.

– Jak do tego doszło? – zapytała.

Zanim to się skończy, chciała poznać prawdę. Tomasz nie żył, ale szczegóły jego śmierci mogły zapewnić jej spokój, którego od lutego tak pragnęła. Wyrzuty sumienia, że wysłała go autobusem, były prawdziwe.

Nie oszukała tych kobiet, kiedy im o tym mówiła. I wtedy pomyślała, że pomogą jej znaleźć odpowiedzi. Poniekąd tak właśnie się stało.

– Ja i Ciszyciel pierwszy raz po latach zobaczyliśmy się rok temu. Już wtedy myślał, że umrze, i przyjechał się pożegnać. Nadal myślał, że jesteśmy przyjaciółmi. Zawsze sądził, że mnie nawróci i że jest dla mnie szansa. Że może i jest we mnie martwiec, ale że da się go zwalczyć. Zabawne. Przeliczył się, bo ja jestem upiorem.

– Wróćmy do rzeczy – przypomniała mu. Wyglądało na to, że Witkacy aż za bardzo się rozochoca. To akurat jej odpowiadało, bo zapomni o ostrożności. Chciała jednak, żeby trzymał się tematu.

– Dał mi wtedy klucze od swojej bazy, bo uważał, że on nie będzie miał już siły się nią zająć. Poza tym związał się z jakąś babą i chyba odleciał z tej miłości. Chciał mieszkać z nią w mieście, a nie na odludziu. Od roku tam jeździłem, żeby odpocząć, a wam wciskałem, że jestem wolontariuszem w innej parafii. Wprowadziłem ulepszenia do tego, co Ciszyciel tam zrobił. Wciągało mnie to. Nie jestem szalonym prepersem, jak on, ale bawiło mnie montowanie różnych rzeczy, o których on by nie pomyślał. Na przykład sprzęt do wyciszenia sygnału komórkowego. To pozwalało odetchnąć od wszelkiego zgiełku. I dzięki temu byłem poza zasięgiem, żebyście mnie non stop nie nękali.

Hanna nie zauważyła nawet, kiedy Witkacy zrobił kilka kroków w jej stronę. Opowieścią uspił jej czujność. Kiedy się zorientowała, było za późno. Rzucił się na nią. Upadła z ławki na ziemię, ale ciągle ścisnęła detonator w sękatej dłoni. Wyrwał jej go jednym ruchem. Nie miała siły mu się przeciwstawić. Uśmiechnął się, klęcząc nad nią. Najwyraźniej pewien był swojej wygranej.

– I widzisz, stara jędzo? – syknął, zakrywając jej usta dłonią. – Gdzie są teraz twoje rymowanki, co? Tak, zabiłem twojego wnuka i resztę. A teraz zabiję ciebie. A z twoimi chłoptasiami też sobie poradzę. Zawsze sobie radzę. Zabiłem tylu ludzi, że jestem już panem życia i śmierci. Co, starucho?

Zobaczył chyba rozbawienie w jej oczach. Naprawdę myślał, że jest taka głupia?

– Co, starucho?!

Odsłonił jej usta, żeby mogła odpowiedzieć.

– Nie boisz się, że zawołam o pomoc? – zapytała, z trudem łapiąc oddech. Przygniatał ją silnie do brudnej posadzki. Z tego miejsca jeszcze lepiej widziała napis Martwiec.

– Mam to.

Teraz to on uniósł detonator. Zaśmiała się skrzekliwie.

– Naprawdę jesteś głupi – oznajmiła. – Myślałeś, że tak bym ryzykowała? To jest bezużyteczna kupa gówna. Wyzwalacz jest gdzieś tu. Ale nie powiem ci gdzie. A może?

To oczywiście było kłamstwo. Po tym, co usłyszała, nigdy nie zamierzała mu tego zdradzać. To, że zabił pozostałych, było jej obojętne. To, że zabił jej wnuka, to jedynie się liczyło.

– Pomóż mi wstać – rozkazała. – Nie będę tak tu leżeć. Jestem na to za stara. Opowiesz mi do końca, to powiem ci, jak rozbroić ładunek.

Witkacy uniósł jej starcze ciało z ziemi bez większego trudu. Otrzeпаła się.

– Popraw ławkę, żebym mogła usiąść.

Wahał się, ale w końcu wykonał rozkaz.

– Powiedz, jak to było, a powiem ci, gdzie jest prawdziwy detonator i jak go wyłączyć – powtórzyła. – Nie obchodzi mnie, czy zginę. Chcę wiedzieć, co stało się z moim wnukiem. Będziesz mógł mnie zabić. Tego przecież chcesz. Prawda?

Milczał.

– Prawda?

Była pewna, że tak. I że złapie go na ten haczyk.

– Którejś nocy po prostu mi się nawinęli pod rękę – powiedział Witkacy bez wstępów. – Autobus zjechał z trasy i dotarł w okolice bazy. Próbowali wyjechać, ale utknęli. Ja akurat spacerowałem sobie po lesie. I zobaczyłem to wszystko. Obserwowałem ich spomiędzy drzew. Dominika mnie chyba wyczuła albo zobaczyła. Nie chciała iść w las, ale reszta polazła szukać pomocy. Sytuacja wydawała się dynamiczna. Potem podsłuchiwałem ich, jak gadali w zamknięciu, więc wiem, o co chodziło. Dwójka się pokłóciła o sprawę z przeszłości. Edyta była wściekła, że Modest kiedyś ją zgwałcił, i strzeliła do niego. Dominika to widziała i uciekła w popłochu. Naprawdę zrobiło to na niej duże wrażenie, bo miała amnezję. Musiała chyba łązić po lasach i unikać ludzi, zanim wylazła w Tamie Brodzkiej. W każdym razie

potem przyszedł Szczepan i dobił Modesta. Chodziło o sprzedaż tej pieprzonej kaplicy.

Witkacy powiódł wzrokiem po starym budynku.

– A wiesz, że ja wcale nie chciałem ich zabić? Chciałem ich tylko tam trzymać. Ciszyciel zrobił w bazie prowizoryczne więzienie, na wypadek gdyby ktoś chciał go napaść i nie byłoby wyjścia innego niż go unieszkodliwić. Opowiadał mi o tym, kiedy pierwszy raz pokazywał mi bazę rok temu. A kiedy oni się nawinęli... Po prostu pomyślałem, że mogę to wykorzystać. Potrzebowałem tego. Tak długo się hamowałem. Kiedy zdecydowali się przenocować w autobusie, uspiłem ich. Bo Ciszyciel miał tam wszystko. Chloroform i inne takie. Być może do przeprowadzania operacji w razie zranienia.

Witkacy zaśmiał się głośno. Nie odzywała się. Chciała, żeby opowiedział wszystko.

– Nie byłem do końca pewny, jak to podziała, ale wpuściłem ten środek do autobusu. Chyba wystarczająco dużo. Bo jak po nich później wszedłem, w masce ze zbiorów naszego znajomka oczywiście, to się nie obudzili. Najpierw na wszelki wypadek ich związałem. Potem po kolei przetransportowałem nissanem do bazy i zamknąłem. A na koniec użyłem wyciągarki i wydobyłem autobus. Gdyby to był większy pojazd, sprzęt może by sobie nie poradził. Potem odwiozłem autobus do garażu. Budynek okazał się na tyle duży, że zmieścił się tam też nissan. I już ich miałem! Modesta zakopałem na terenie bazy. To było pierwsze, co przyszło mi do głowy. Całe szczęście ziemia nie była zamarznięta na tyle, żebym sobie nie poradził. Nie chciałem, żeby ktoś znalazł trupa i zniweczył moje plany. Potem policja nawet przeszukała teren dronem, ale co mogli z góry zobaczyć? Autobus ukryty, baza ukryta pomiędzy drzewami. Zresztą tam chyba nawet nie szukali. Byłem bezpieczny.

W głosie Witkacego brzmiało rozmarzenie. Znów postanowiła się nie wtrącać.

– Wytresowałem ich, żeby nie hałasowali – podjął Witkacy zgodnie z jej oczekiwaniami. – Ludzie nie kręcili się w tamtych rejonach, bo wszyscy wierzą, że tam straszy. Sama dobrze wiesz. Wątpiłem, że ktoś się zbliży, ale nie chciałem ryzykować. Dlatego nauczyłem ich być cicho. Jak psy Pawłowa. Zapalałem lampę z napisem *Cisza*, a oni wiedzieli już, czego mogą się spodziewać, jeżeli się nie zastosują.

Zaśmiał się głośno. Musiała się z całej siły powstrzymać, żeby nie dać się ponieść gniewowi.

– Ale nie mogłem być tam cały czas. Skonstruowałem więc kolejne ulepszenie. Po pierwsze nagrywałem swoje wypowiedzi i puszczałem im, żeby myśleli, że jestem w bazie cały czas. Po drugie zrobiłem czujnik hałasu, który uruchamiał pojemnik z gazem usypiającym. Jednym z tych z kolekcji naszego kochanego znajomego Ciszyciela. Po prostu ich usypiałem, jak byli za głośno, a mnie nie było, żeby ich ukarać. A wiesz, co jest najlepsze?

Nie odpowiedziała. Wiedziała, że nie musi. On chciał jej to opowiedzieć. Był nakręcony.

– Przedstawiłem im się jako Ciszyciel – zachichotał Witkacy, jakby to był najlepszy żart. – Nigdy go nie widzieli, więc nie mogli stwierdzić, że wzrost, i nie tylko, się nie zgadza. Potem wyszło na to, że Edyta mogła go znać. To mnie trochę zbiło z tropu. Ale okazało się, że mimo że go widziała, to nie wiedziała, jak jest nazywany. Byłem bezpieczny. Szeptalem jak ten mały skurwiel. Wtedy trudniej rozpoznać głos i tak mi to przyszło do głowy. Bo przecież Tomasz i Szczepan mnie znali. Nie mogłem mówić swoim głosem. Ani tym bardziej się przedstawić. Zrobiłem sobie maskę z worka. Po prostu wyciąłem otwory na oczy. Pierwszego dnia to była konieczność. A potem mi się spodobało. Wyglądałem jak duch. A przecież jesteśmy z wioski duchów, czyż nie?! Zawsze widzieli mnie w sutannie, więc w ogóle nie pomyśleli, że to mogę być ja.

Może i wmawiał sobie, że udawanie Ciszyciela przyszło mu do głowy pod wpływem chwili. Hanna wiedziała swoje. Witkacy zawsze zazdrościł dawnemu przyjacielowi. Zawsze chciał być nim. Tym pierwszym. Teraz wreszcie mógł.

– Ale przeliczyłem się, wiesz? Naprawdę nie chciałem ich zabić.

– To dlaczego to zrobiłeś? – tym razem nie mogła się powstrzymać. Musiała zapytać. Chodziło przecież o jej Tomasza.

– To był przypadek. Nie znam się na gazach usypiających. Widocznie użyłem za dużej dawki. No i coś popsuło się w lampie i czujniku. Któregoś razu, jak przyjechałem, oni po prostu nie żyli. Byli martwi. I miałem na głowie trzy trupy. Spanikowałem. Nie wiedziałem, czy ich też zakopać tam, gdzie Modesta, w ogóle co zrobić... Zacząłem rozkopywać jego grób, ale jak zobaczyłem jego ciało... było obrzydliwe. Poza tym pomyślałem, że to

może być za duże ryzyko. Ktoś może zobaczyć świeżo rozkopaną ziemię. To znaczy już była rozkopana, ale nie na tyle, żeby budzić podejrzenia. Przynajmniej tak mi się wydawało... Nie mogłem jednak się zdobyć, żeby oglądać to truchło raz jeszcze. Brzydzi mnie rozkład. Na świeżo mogłem ich pociąć piłą, ale Modesta nie mogłem znieść. Musiałem wymyślić coś innego. I we wtorek w nocy wpadłem na Dominikę. Łaziła swoim zwyczajem po lesie. Pomysł przyszedł mi do głowy w jednej chwili. Byliśmy dokładnie w miejscu, gdzie ten idiota Zbigniew podrzucił wtedy Leszka. Pomyślałem, że policja może to uznać za działanie seryjnego zabójcy, jeżeli ona będzie leżała właśnie tam. Zawsze mam ze sobą sprzęt.

Witkacy zaśmiał się głośno.

– Sprzęt. Głupio to zabrzmiało – dodał. – Kiedyś naprawiałem żelazko Alinie i jakoś tak noszę ze sobą stary kabel. Jakbym wiedział, że się przyda... Udusiłem Dominikę. Ręce ułożyłem jej na piersi. Wyglądało, jakby to była jakaś inscenizacja. Ale chyba tylko cholerny Nestor zwrócił na to uwagę. Ciało chciałem pochować pod jej trumną. Teraz policji powiedziałem, że to był plan Ciszyciela. Chyba mi uwierzyli. Tak samo jak w resztę ściem, które im wciskałem. Że zadzwoniłem do niego, by pomógł mi z Aliną, kiedy tak naprawdę chciałem zyskać na czasie z kluczami od bazy, że się go bałem i tak dalej. Mam nadzieję, że chujek zgnije w tym szpitalu zjedzony przez raka i się nigdy nie obudzi.

– Wiedział, że ich tam trzymasz? – Pokazała słowo *Martwiec*. – Dlatego to napisał?

– Nie wiedział, choć potem chyba się domyślił. Niby ryzykowałem, trzymając ich w bazie. Ale tak długo się tam nie zjawiał... No i to ja miałem klucz, a on twierdził, że to jedyny. Nie miałem powodu mu nie wierzyć... Zresztą wprowadziłem kolejne zabezpieczenie, o którym nie wiedział. Podłożyłem ładunki. Jakby próbował otworzyć drzwi, toby go zabiło. I tak się prawie stało. Nie oszczędzałem, porozkładałem je w różnych miejscach. I tak zginęła ta papla, Bożena Prawda, i o mało co te pozostałe baby. Ciszyciel się zjawiał w tym tygodniu. Najpierw w poniedziałek. Chciał ze mną gadać i zażądał klucza od bazy, bo chciał się z tym miejscem pożegnać przed śmiercią... Mówię przecież, że jest strasznie pretensjonalny. Natknął się na Nestora Obucha i Nestor mu powiedział, że odprawiam mszę. Wtedy Ciszyciel odjechał, bo nie czuł się na siłach czekać. Choroba wracała. Przyjechał potem akurat na pogrzeb

cholernej Dominiki. Wiedział, jaki jestem. Uznał to za dziwne, że w mojej wsi jest trup. Podejrzewał mnie. Gadał ze mną...

Witkacy splunął.

– Nieopatrznie powiedziałem mu, że to jest moje miejsce kontemplacji, i nawet tu przylazł, żeby zostawić mi ostrzeżenie – wyjaśnił, kiwając w stronę napisu. – I co z tego? Ja zaprzeczałem. On chciał klucz od bazy. Ja powiedziałem, że oddam mu po weekendzie. Naprawdę miałem taki plan. Musiałem tylko zatrzeć ślady w bazie, bo nie miałem czasu, żeby to zrobić. A tymczasem on wrócił znów w sobotę i naciskał. Akurat wtedy rozpętała się afera z Aliną, która niby usłyszała ten cholerny dzwoneczek. Co za bzdury. Znów go spławiłem. A ponieważ przyjechała policja, więc nie było to trudne, bo on policji nie lubi, jak wiesz. Ale potem pojechał do bazy sam. Miał jednak drugi klucz, chujek. Wtedy zadziałał mój ładunek. I prawie go zlikwidował. Niestety nie uszkodził go wystarczająco. Chyba się zorientował, co się dzieje. Zna się na tym jak mało kto, sama wiesz. I zaczął uciekać. Potem schronił się w chacie Majchrzaka. No i wrócił, żeby mnie zabić, bo chciał mnie powstrzymać. Martwiec miał zginąć. Niedoczekanie. Resztę znasz. Gadałem teraz z policją. Połowa z tego, co im powiedziałem, to kłamstwo. Na przykład że Ciszyciel chciał kupić kaplicę i był w tej kwestii namolny, wypytywał. Albo że już wcześniej zaatakował mnie nożem. Albo że to on wziął mój numer, bo wiedziałem, że mogą znaleźć jakieś powiązania pomiędzy nami. A tak to byłem usprawiedliwiony. Łykali to bez mrugnięcia okiem. Uwierzyli mi.

– A co z Konopkami?

Witkacy zaśmiał się rozochocony.

– Przyznam, że to był mój kaprys. Chyba udzielił mi się nastrój Halloween. No i chciałem podtrzymać wersję z szalonym seryjnym mordercą. Zrobiłem bardzo filmową inscenizację. Już przedtem ukradłem piłę z domu Bożeny Prawdy, żeby pociąć ciała. Teraz mogła się jeszcze raz przydać. Nadal ją miałem. To pasowało do historii z Leszkiem. Zostawiłem ją na miejscu, bo nie była mi już potrzebna. Miała być kolejnym śladem. Początkowo planowałem oboje usadzić w salonie, żeby to robiło większe wrażenie, ale Zbigniew był cholernie ciężki, więc zostawiłem go w sypialni. I tak nieźle to wyglądało. Zwłaszcza że odczekałem, aż krew zastygnie, i prześcieradła były śnieżnobiałe. Alina całe życie o to dbała i proszę, jak się przydało. Wyciąłem dziurki na oczy, rozsypałem słodycze.

Mieli tego sporo w domu, więc nie musiałem nic przynosić. Serca włożyłem do garnka, ot taka niespodzianka. A żeby było łatwiej, najpierw ich uśpiłem jak tamtych w autobusie. Nawet miałem nadzieję, że znów źle dobiorę dawkę. No ale tym razem nie. A oni i tak byli źli. Jaki rodzic chce śmierci swojego dziecka? Chyba tylko taki bez serca... No i sama wiesz, co im zrobiłem.

Witkacy uważał chyba, że to, że wyciął serca, jest szczególnie zabawne. Jego twarz cała aż się rozpromieniła.

– Po prostu chciałeś ich zabić. Chciałeś krwi – szepnęła Hanna.

– Może. Zabicie Dominiki faktycznie było całkiem przyjemne. Chciałem to powtórzyć. Wciągnęło mnie to. I co z tego? Chyba ty mnie nie będziesz w tym względzie pouczać? Jesteś zła do szpiku kości. Całe twoje życie to szkodzenie innym. I ja jestem zły. Cóż, nie każdy musi być dobry. Możesz analizować moją przeszłość. Znasz ją. Nieszczęśliwe dzieciństwo i tak dalej. Może. Ale mnie to bawi. I tyle. Jestem zły. Bo tak. Jestem martwiec. Ciszyciel ma rację.

Wyglądało na to, że wypowiedzenie tych słów wprost i na głos sprawia Witkacemu jakąś ulgę. Jakby się temu poddał i nie musiał już walczyć ze sobą. Hanna Lorenz uśmiechnęła się do siebie. Tak jak myślała, był słaby. Dał się opętać złu. Nie potrafił go kontrolować. Ponościło go. Nie był jak ona. Ona potrafiła krzywdzić subtelnie i po swojemu. Była w tym mistrzynią.

Szkoda tracić mistrza, przeszło jej przez myśl. Początkowo chciała wysadzić i jego, i siebie. Odejść z godnością, by nie walczyć ze starością, która ją nękała. Ale nie mogła być słaba. Nie mogła się poddać. Pozbędzie się Witkacego, ale sama pożyje, ile jeszcze się da. Nikt jej nie podejrzewał. A nawet jeśli, to co? Wyłga się.

Z drugiej strony, przebiegło jej przez myśl, czy ten rok albo dwa były warte popadania w coraz większą zależność od innych? Powinna trzymać się planu i odejść w chwale. Z trudem zajęła z powrotem miejsce na ławeczce.

– Usiądź obok mnie.

– Zwariowałaś? – zachnął się Witkacy. – Gdzie jest zapalnik?

Uśmiechnęła się. Było w niej zło. Od bardzo dawna. I od bardzo dawna umiała balansować na jego granicy, żeby nie pochłonęło jej do końca.

Witkacy pozwolił dać się porwać. Okazał się zbyt słaby i za to teraz odpowie. Nikt nie miał prawa zabić Tomka.

– Jak chcesz – mruknęła. Usłyszała ciche kliknięcie. Zagadali się. Ale to był czas. – Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy.

Zdążyła jeszcze zobaczyć przerażenie na twarzy Witkacego. Mogła umrzeć szczęśliwa. Diabły już pewnie na nią czekały.

Na niego też.

ROZDZIAŁ 82

Szpital w Brodnicy.

Wtorek, 3 listopada 2020.

Godzina 13.35.

Malwina Górska

Okej. No dobra. Ale! Co tu się dzieje, co? – zapytała Klementyna, podciągając rękawy przykrótkiego skórzanego żakietu. Malwina miała wrażenie, że była policjantka nigdy go nie zdejmuje. Był jak jej uniform. – Czemu tak się szczerzysz, Daniel, co?

Łukasz odwrócił się do Podgórskiego.

– Mogę powiedzieć, co zrobiłeś, tato? – zapytał. Teraz na jego twarzy też pojawił się uśmiech.

Policjant wzruszył ramionami. Pisarka nie wiedziała, czego się spodziewać. Odkąd Daniel wszedł do szpitalnego pokoju, cały czas się uśmiechał. Jednak wydawało jej się, że jest spięty. Jakby uśmiech to była tylko gra. Jakby sam siebie chciał przekonać. Nie tylko je wszystkie.

– Powinnyście były to zobaczyć – powiedział Łukasz. – Ja właśnie przechodziłem korytarzem, kiedy ojciec wyszedł z Mari Carmen z kibla. Od razu pomyślałem, że może... No wiecie.

Malwina wiedziała o rozgrywkach z Mari Carmen. Poczowała ukłucie zazdrości. Zerknęła na Weronikę. Podgórska też nie wyglądała na zachwyconą. Pisarka odwróciła się szybko. No właśnie. Chociażby dlatego wszystko powinno pozostać tak, jak jest.

– Przeleciałeś wewnętrzną i masz spokój, co? – walnęła Kopp prosto z mostu.

Na te słowa Maria zrobiła się cała czerwona na twarzy.

– Nie, oczywiście, że nie – zapewnił Podgórski natychmiast.

– No w każdym razie ojciec mówi do niej, żeby poszli razem do komendanta – kontynuował Łukasz wyraźnie ubawiony ich reakcją. Malwina miała wrażenie, że syn Daniela lubi wkładać kij w mrowisko. – Ja sobie myślę: No to niezłe jaja. I idę za nimi. Do gabinetu nie wchodziłem, bo wiadomo. Ale widziałem z korytarza. Zresztą zebrało się kilka osób, więc była publiczność. Ojciec wyjął szmatę i walnął nią o biurko starego¹⁷.

– Oddałeś legitymację? – zapytała Malwina powoli.

Doskonale wiedziała, że dla żadnego policjanta przejście na emeryturę nie jest łatwe. Mogło się tak wydawać, póki człowiek tego nie zrobił. Znikała nagle ogromna część życia. Część życia, na którą mundurowi tak często narzekali, ale którą tak naprawdę kochali.

– No mówię. Były niezłe jaja – zaśmiał się Łukasz. – Ale ogólnie to sztos. To było jak w filmie, czaicie?

– Bez przesady – zaśmiał się Daniel. – Będę musiał napisać raport i tak dalej, ale faktycznie nie mogłem się powstrzymać przed odrobiną dramatu na koniec. Można powiedzieć, że już prawie jestem cywilem.

Tym razem Maria zrobiła się biała na twarzy.

– Ale jak to, synku? – zapytała.

W jej głosie słyhać było coś, co chyba najlepiej można było określić jako przerażenie, choć Malwina nie była do końca pewna. Matka Daniela była żoną policjanta. Wiedziała, jak to jest. Może tego się bała. A może nie wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy jej syn zostanie już tylko cywilem.

– Normalnie, mamó. Odchodzę i tyle.

– A te zaginione ciała, co? – zapytała Kopp. – Musimy ustalić, gdzie są.

– Jakbyście sobie beze mnie nie radziły. – Daniel się zaśmiał. – Moje odejście z firmy raczej was nie powstrzyma przed dalszym grzebaniem. A jeśli chodzi o oficjalne śledztwo, to niech inni je dokończą. Mają Zjawę, Fijałkowską, Mari Carmen, Ziółka. Niech się kiszą we własnym sosie. Ja mam dosyć.

– Czekaj. Stop. A to nie jest przypadkiem tak, że trochę uciekasz, co? Zanim Hiszpanka ci obrobi tyłek.

Kopp też nie wyglądała na zachwyconą decyzją Daniela. Malwina wielokrotnie słyszała, jak Klementyna narzeka na bycie cywilem. Nie znała dokładnie historii byłej komisarz, ale słyszała o jakichś aferach. Może Kopp nie odeszła z własnej woli. Pewien policjant powiedział kiedyś

Malwinie, że ci, którzy odchodzili nagle, nieprzygotowani psychicznie, radzili sobie z tym gorzej. Pisarka nie wiedziała, czy to prawda. Jej policjant zostawił ją, zanim przeszedł na emeryturę.

– Może i trochę tak – przyznał Daniel. – Ale co z tego? Nie mam ochoty babrać się z postępowaniami. Zwłaszcza wymyślonymi przez Mari Carmen, żeby się na mnie odegrać. Zresztą to już nie jest policja, w którą ja wierzyłem. Nie chcę w tym dalej uczestniczyć. Dwie dekady w firmie najzupełniej mi wystarczą. Chcę pójść swoją drogą. Chcę być wolny.

Malwina poczuła, że kąciki jej ust unoszą się do góry. Sama nie wiedziała dlaczego. Miała ochotę podejść do Daniela i położyć mu rękę na ramieniu. Powstrzymała się. Nie przy wszystkich zgromadzonych tu osobach. Mogłoby to zostać źle odebrane. Już tyle miesięcy starała się zostawić przeszłość za sobą. Bała się, że będą miały jej za złe, jeżeli zrobi jakiś ruch w stronę Daniela. Nie miała na to siły.

– Ale co ze spuścizną naszej rodziny? – zapytała Maria. Teraz z kolei jej głos brzmiał bezradnie.

– Mamo, i tak musiałem kiedyś odejść – powiedział Daniel.

– Nie martw się, babciu, ja zostaję w firmie i będę się starał najlepiej, jak umiem – wtrącił się Łukasz. – Będziesz ze mnie dumna.

– Na pewno, Łukaszku, ale... Co by powiedział ojciec? – wydusiła Maria, nadal wyraźnie przygnębiona decyzją syna. – On był bohaterem... Co ludzie powiedzą? Będą plotkować, że uciekłeś, że naprawdę jesteś winny czegoś, co ta baba...

– Szczerze, to nie obchodzi mnie, co ludzie będą gadać – oznajmił Daniel. – Gadają. Gadali. I zawsze będą gadać.

– Ale co teraz będzie? – nie ustępowała Maria.

Malwina poczuła na sobie spojrzenie Podgórskiego.

– Nie wiem – powiedział, jakby mówił tylko do niej. – Pewnie jakiś nowy rozdział.

17 Slang. Komendant.

OD AUTORKI

Pokrzydowo, 2021

Szczęśliwa trzynastka?

Dziękuję, że byliście już ze mną w Lipowie tyle razy! To bardzo wiele dla mnie znaczy. Piękne jest to, że możemy wędrować wspólnie po tych okolicach. Twórzcie te historie razem ze mną podczas czytania, dodając swoje doświadczenia i uruchamiając wyobraźnię. Dziękuję Wam, drodzy Czytelnicy! Bez Was nie byłoby mnie jako pisarki. Zajrzyjcie kiedyś do prawdziwego Lipowa (na mapie odnajdziecie je pod nazwą Pokrzydowo). Jest tu przepięknie i... nikt nikogo nie morduje. Choć te strony mają wiele tajemnic, a prawie każde jezioro rzeczywiście kryje swoją legendę, a nawet mniejsze miejscowości swoje historie. Niektóre, choć w nieco zmienionej formie, poznaliście w tej książce.

Nie byłoby mojego pisania również bez moich najbliższych. Mojego męża, Krzyśka, na którego wsparcie mogę zawsze liczyć. Bez względu na to, jak trudno by było. Bez Magdy i Ani też bym się nie obyła. Jesteście dla mnie jak siostry. A Ty, Darek, jak brat! Luscia, Gosia, Emilia, Tomek i Marcin. Na takich przyjaciół zawsze mogę liczyć (nie tylko przy organizowaniu Złotów w Lipowie!). M, Tobie też wielkie dzięki. Wiesz za co. Dziękuję również moim Rodzicom za nieustające wsparcie w każdej chwili.

Dziękuję serdecznie aspirant sztabowej Annie Nalińskiej za pomaganie mi w kwestiach policyjnych. Ania przekazała mi rzetelną wiedzę i wykazując olbrzymią cierpliwość, poświęciła dużo czasu, żeby rozwiązać różne moje wątpliwości (wszelkie ewentualne błędy są moje, poza tym pisarz musi czasem troszkę pozmyślać!). No i odważyła się skosztować

upieczonych przeze mnie bułek! A z moimi umiejętnościami kulinarnymi wiecie przecież, czym to może grozić!

Jak zwykle również wielkie dzięki całej (prawdziwej) ekipie Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy za jej codzienną służbę. I cierpliwość do mnie i moich wymyślonych historii! Bo jak za każdym razem tak i teraz dodam dla porządku, że wszystkie wydarzenia i osoby opisane w tej książce są całkowicie fikcyjne i powstały w mojej wyobraźni jedynie na potrzeby tej opowieści. Wszelkie ewentualne podobieństwo personaliów i zdarzeń jest zupełnie przypadkowe.

Dziękuję serdecznie także następującym osobom: Annie Derengowskiej, Maciejowi Makowskiemu, Mirze Olejarskiej i całemu działowi promocji, Elżbiecie Kwiatkowskiej oraz reszcie naprawdę fantastycznej ekipy wydawnictwa Prószyński Media; dziękuję też Małgorzacie Grudnik-Zwolińskiej, Maciejowi Korbaśkiemu oraz Mariuszowi Banachowiczowi za ich wkład w ostateczny wygląd tej książki.

Dziękuję również wszystkim recenzentom, redaktorom portali internetowych dotyczących literatury oraz blogerom książkowym, którzy aktywnie uczestniczą w popularyzowaniu polskiej literatury. Dziękuję moim patronom medialnym oraz pisarzom, którzy mnie wspierają.

Trzynasta książka, i to z trzynastoma częściami... A mnie po raz trzynasty pozostaje tylko raz jeszcze Wam wszystkim podziękować. I do zobaczenia przy okazji kolejnej historii!

Kasia Puzyńska

Spis treści

PROLOG

CZEŚĆ 1. TERAZ

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

CZEŚĆ 2. CISZYCIEL

ROZDZIAŁ 12

CZEŚĆ 3. AUTOBUS

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

CZEŚĆ 4. CISZYCIEL

ROZDZIAŁ 26

CZEŚĆ 5. TERAZ

ROZDZIAŁ 27

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[CZEŚĆ 6. CISZYCIEL](#)

[ROZDZIAŁ 38](#)

[CZEŚĆ 7. TERAZ](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[ROZDZIAŁ 40](#)

[ROZDZIAŁ 41](#)

[ROZDZIAŁ 42](#)

[ROZDZIAŁ 43](#)

[ROZDZIAŁ 44](#)

[ROZDZIAŁ 45](#)

[ROZDZIAŁ 46](#)

[ROZDZIAŁ 47](#)

[ROZDZIAŁ 48](#)

[ROZDZIAŁ 49](#)

[ROZDZIAŁ 50](#)

[ROZDZIAŁ 51](#)

[ROZDZIAŁ 52](#)

[ROZDZIAŁ 53](#)

[ROZDZIAŁ 54](#)

[ROZDZIAŁ 55](#)

[CZEŚĆ 8. CISZYCIEL](#)

[ROZDZIAŁ 56](#)

[CZEŚĆ 9. AUTOBUS](#)

[ROZDZIAŁ 57](#)

[ROZDZIAŁ 58](#)

[ROZDZIAŁ 59](#)

[ROZDZIAŁ 60](#)

ROZDZIAŁ 61
CZEŚĆ 10. CISZYCIEL

ROZDZIAŁ 62
CZEŚĆ 11. TERAZ

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67

ROZDZIAŁ 68

ROZDZIAŁ 69

CZEŚĆ 12. CISZYCIEL

ROZDZIAŁ 70

CZEŚĆ 13. TERAZ

ROZDZIAŁ 71

ROZDZIAŁ 72

ROZDZIAŁ 73

ROZDZIAŁ 74

ROZDZIAŁ 75

ROZDZIAŁ 76

ROZDZIAŁ 77

ROZDZIAŁ 78

ROZDZIAŁ 79

ROZDZIAŁ 80

ROZDZIAŁ 81

ROZDZIAŁ 82

OD AUTORKI